



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

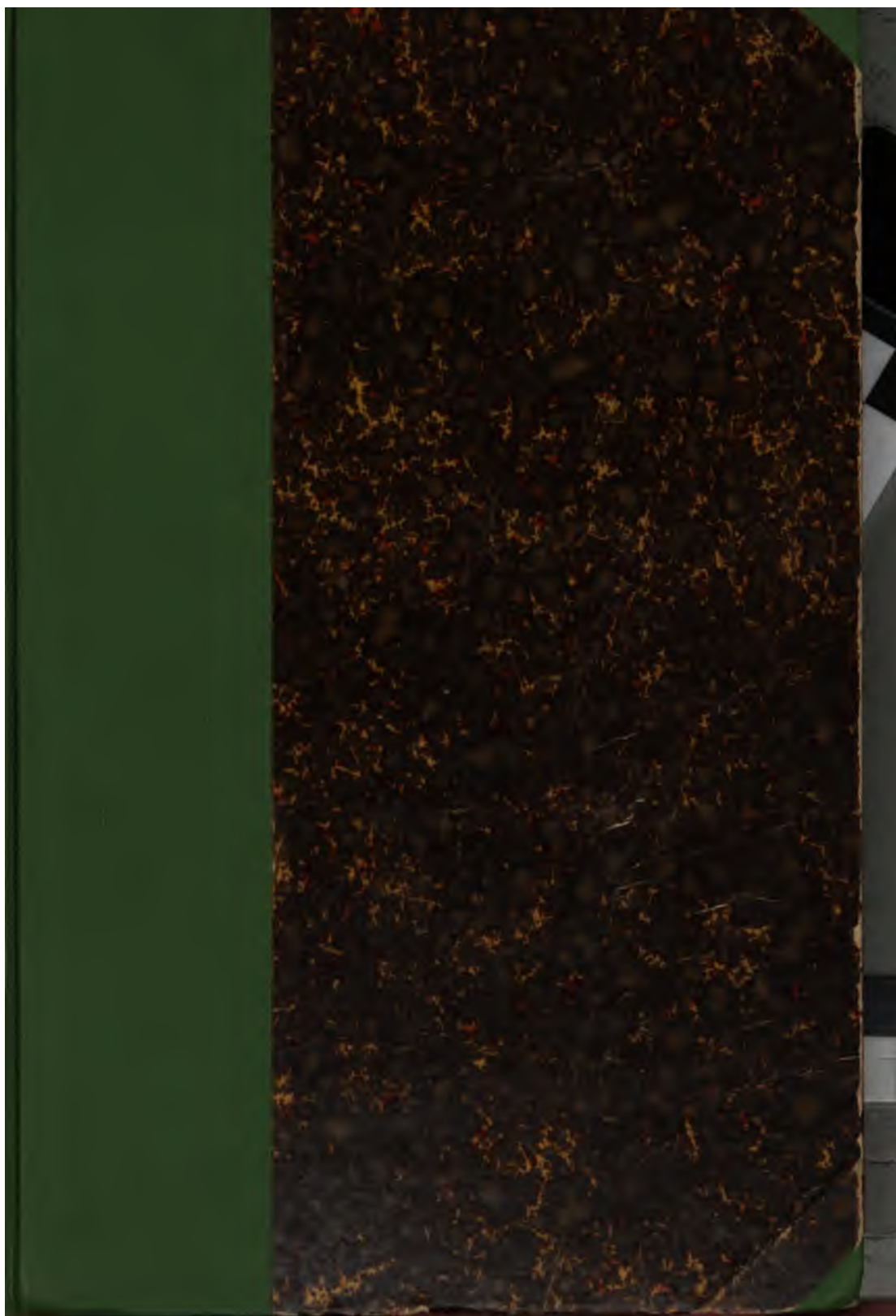
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>









11  
2. 1. 1997 12

## Z dziejów literatury polskiej



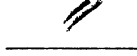


2. 8 942 12

Z dziejów literatury polskiej



STANISŁAW DOBRZYCKI



Z DZIEJÓW  
LITERATURY POLSKIEJ



SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA W KRAKOWIE

1907.

PG 7015  
D6

Z drukarni «Czasu» w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.



# Polska poezja średniowieczna





**P**oezya polska nie zaczęła się z Kochanowskim; przed jej „wschodem słońca“ musiało być świtanie. Nie zaczęła się też z Rejem. Jej początki sięgają dalej w głąb naszych dziejów. Te początki zasługują na naszą uwagę — niesłusznie dotąd zaniebdywane. Jak w życiu ludzkim lata dzieciinne mają wielki wpływ na późniejszy żywot człowieka, tak i w literaturze lata dawne są w ścisłym związku z późniejszymi i wzajemnie się tłumaczą. Znajomość polskiej poezyi średniowiecznej objaśni nam niejednen fakt późniejszy, który dotąd pozostaje jeszcze niewytłumaczony.

Inna rzecz, czy ta poezya godną jest swego miana. Niewątpliwie brak jej tego, co „poecie, na świat przycho-dzącemu, dane bywa za wzór powołania“ — brak jej piękności. Ale w takim razie, chcąc być sprawiedliwym, nie należałoby mówić o poezyi polskiej przed Kochanowskim, nie należałoby zaliczać do poetów Reja, ani poetów z epoki saskiej, ani wielu — bardzo wielu — starszych i młodszych w wieku XIX. A jednak ci wszyscy w historyach literatury figurują w dziale „Poezya“, nazywani są poetami. Bądźmyż więc konsekwentni i zaliczając do poezyi „Uwagi o śmierci niechybnej, wszystkim pospolitej, wierszem wyrażone“, albo „Sto bajek i oko“, zaliczajmy do niej także i polskie wiersze średniowieczne. Nazwą „poezya“ w najogólniejszem znaczeniu obejmuje się utwory, odznaczające się właściwą sobie formą — a pod taką nazwę dadzą się podsunąć i polskie wiersze XV wieku.

Zresztą czemże jest literatura? Podobnie jak sztuka, jak nauka, jest ona jedną z form, w których się duch ludzki objawia, w których daje na zewnątrz znać o sobie. Literatura polska jest taką formą wyrażania się ducha narodu polskiego. A poznać tego ducha jest naszym obowiązkiem. Poznać go nietylko w najpiękniejszych, najpotężniejszych wyrazach jego objawienia się, ale we wszystkich, choćby na pozór najdrobniejszych. Takie badanie literatury będzie dopiero w całym znaczeniu tego słowa naukowem. Prawdziwa nauka bada wszystkie fakta, wchodzące w jej zakres, wszystkie zjawiska uważa za godne swej uwagi i tylko wyznacza im odpowiednie miejsce. Więc nie postawi na równi Reja z Mickiewiczem, ale badać będzie obu w sposób jednakowy, i może właśnie dlatego jej wyniki będą trafne i prawdziwe. Więc i polskie wiersze średniowieczne są dla niej takim samym materiałem, jak cała późniejsza poezja. Że nie są święte, to badacza mało obchodzi. Od pierwszych rysunków na kości mamuta, wykonanych przez człowieka przedhistorycznego, do fresków Michała Anioła odstęp z pewnością większy, aniżeli od „Bogurodzicy“ do „Pana Tadeusza“ — a przecież historyk sztuki i owymi rysunkami musi się zajmować. Tak samo dla lingwisty każdy fakt językowy ma równe znaczenie, tak samo zoologowi wszystkie zwierzęta, botanikowi wszystkie rośliny są równie cenne i równie ciekawe.

Z tego stanowiska należy patrzeć na polskie wiersze średniowieczne, a wtedy badania nad nimi nie będą wydawać się rzeczą zbyteczną. Do niedawna jeszcze zwracano u nas uwagę niemal wyłącznie na wiek XIX i XVI — co nie należało do tych dwóch epok, nie było warte szczegółowych studyów. Dopiero w ostatnich czasach zaczyna się zwrot i ku innym okresom, i pokazuje się jasno, ile w nich rzeczy ciekawych i ważnych. Między innymi zwrócono się i ku wiekom średnim. Dawniejsi historycy literatury zajmowali się nimi stanowczo zanadto, poświęcali im za wiele miejsca w porównaniu z innymi; dość powiedzieć, że w „Historii



literatury polskiej“ Maciejowskiego, prawda, że sięgającej tylko do połowy XVII wieku, na cztery tomy dwa prawie w całości poświęcone są literaturze średniowiecznej, a więc stosunek stanowczo nieproporcjonalny. Przeciwno takiemu postępowaniu powstała reakcja, która znowu poszła za daleko, skoro wszystkie zabytki staropolskie zaliczała do zabytków wyłącznie językowych, żadnemu miejsca w literaturze nie przyznając. Tymczasem nastał ów zwrot ku wiekom średnim, o którym wyżej wspomniano. W historii politycznej i w historii kultury przyniósł on z sobą już bardzo wiele nowych wiadomości i spostrzeżeń. W filologii polskiej nie może się pochwalić tak cennymi zdobyczami na ilość; różne tego przyczyny, jedną z pierwszych niezwykle szczupły zastęp ludzi, poświęcających się tej nauce. Ale co do jakości nie potrzebuje się wobec tamtych wstydić. Prace Nehringa, Bobowskiego, Łopacińskiego, a zwłaszcza Brücknera, przyniosły wiele szczegółów nowych, nieznanych, zmieniających w wielu razach dotychczasowe poglądy na piśmiennictwo polskie przed Rejem, wydobyły na jaw znaczny poczet zabytków nowych, które w większej części należą do literatury, więc ich ignorowanie byłoby tem mniej usprawiedliwione.

Część przynajmniej tych zdobyczy posłużą nam do skreślenia obrazu polskiej poezji średniowiecznej, tak jak się dzisiaj przedstawia.

## I.

Historyk bizantyński opowiada, że przed jednego z cesarzów bizantyńskich przywiedziono w czasie wyprawy wojennej trzech mężów Słowian, którzy „nie mieli przy sobie żadnego żelaza ani żadnej broni, ale nieśli w rękach gęśle, zresztą zaś niczego przy sobie nie mieli“. Opowiedzieli oni cesarzowi swoje koleje, a zapytani, czemu nie mają z sobą broni, „mówili, że chodzą z gęslami, gdyż nie przywykli przypasywać mieczów, ponieważ kraj ich nie zna żelaza

i dozwala im przeto żyć w pokoju i zgodzie; grają tedy na gęślach, nie umiejąc uderzać w trąby“.

Te gęśle i ten brak mieczów przeszły w legendę i opromieniły pierwiastkowe dzieje Słowian światłem, w którym lud ten w zaraniu swej historii wydaje się jakimś sielankowym społeczeństwem jednostek, nieznających żelaza, dobrych, łagodnych, których całe życie jednym szczęśliwym snem przy dźwięku gęśli. Wyciągano stąd wnioski najrozmaitsze, możliwe i niemożliwe. Między innymi zaś powoływano się na nie zawsze, ile razy chciano pokazać, że Słowianie to naród na wskrós muzykalny i poetyczny, i że już w najdawniejszych czasach mieli bogatą i rozwiniętą poezję ludową.

W zdaniu powyższem jest bardzo dużo przesady i trochę prawdy. Naprzód zbytecznem jest zestawianie obok siebie tych dwóch faktów: noszenia gęśli i nienoszenia broni, bo nie mamy najmniejszego dowodu, aby jedno miało być przyczyną, drugie skutkiem. Grecy Homera chodzili nie z gęślami, ale z mieczami, a ich aoidowie składali pieśni, które wzruszały do łez starych bohaterów. Świat germański wydał Nibelungi i Gudrun, choć wojowniczość uważają wszyscy za jedną z najważniejszych jego cech. Nie mamy też żadnych danych, upoważniających nas do wniosku, jakoby Słowianie w zamierzchłej swojej przeszłości wytworzyli byli wspaniałą poezję — ludową. Ta jest znacznie późniejsza, z epoki, w której duch słowiański — przeszedłszy już kilka wieków — nie mógł być takim samym, jak w czasach najdawniejszych.

Ale przecież część prawdy jest w owem, wyżej przytoczonym, zdaniu. Słowianie musieli mieć od niepamiętnych czasów jakąś poezję. W chwili, w której się wyłonili ze wspólnoty aryjskiej, w której zaczęli być odrębnym szczepem czy narodem, w tej chwili odrywa się i ich poezya od wspólnego aryjskiego pnia i staje się samodzielną. Nie mamy dzisiaj jej przykładów, ale istnienie takiej poezyi, religijnej, będącej zarazem śpiewem, nie ulega wątpliwości. U wszystkich

ludów aryjskich taka poezya była — jednym z okazów, przepyszny, są indyjskie Wedy — była też i u Słowian.

Ze wspólnego zaś pnia słowiańskiego oddzieliła się z czasem i poezya polska.

Najstarszemi pieśniami polskimi były zapewne pogańskie śpiewy obrzędowe. Dzisiaj nie mamy ani jednej takiej pieśni, nie możemy sobie też odtworzyć ich formy, bo paralele z innych narodów potwierdzają tylko istnienie ich u nas, tak samo świadectwa historyczne — szczegółów nie objaśniają. Ale to jest pewnem, że jak były takie śpiewy u Słowian wogóle, tak były i u tych szczepów, z których wytworzył się naród polski. Świadczy o tem rozumowanie, świadczą przykłady innych ludów, świadczą wreszcie historyczne wzmianki, umyślne i mimowolne, zapisane w czasach późniejszych. To kronikarz wspomni czasem o pogańskich śpiewach, to znów dekrety biskupie i książece, zakazujące pogańskich obrzędów i pieśni, to wreszcie występuje przeciw nim kaznodzieja.

Z przyjęciem chrześcijaństwa rozpoczyna się zwrot. Rozpoczyna się tylko a nie dokonywa w jednej chwili. Społeczeństwo nie przechodzi tak łatwo ze starego porządku w nowy. Pomału ustępują obrzędy, najpierw czysto religijne, jak składanie bogom ofiar w świątyniach i wogóle na świętych miejscach, potem religijno-obyczajowe, obchodzone w pewnych miejscach lub w pewnych czasach. Z obrzędami giną i pieśni. Jak się to jednak pomału dokonywa, świadkiem niektóre zwyczaje pogańskie, które z pewnemi zmianami dochowały się do naszych czasów, świadkiem też fakt, że jeszcze w wieku XV statuta biskupa krakowskiego wyraźnie mówią o śpiewach pogańskich, w których się wzywa po imieniu i czci bóstwa (*cantus paganici, in quibus idola invocantur et venerantur*). Słyszał te pieśni Długosz; słyszał, jak się w nich powtarzały imiona bóstw: Łada i Jesza, i umieścił je w swej historii, mówiąc o religii naszych pogańskich przodków.

Prócz hymnów obrzędowych, religijnych, były zapewne także pieśni świeckie, ale o takich nie mamy już ani tak szczupłych świadectw jak o pierwszych. Zresztą jeżeli takie pieśni były, to późniejsze, już chrześcijańskie, były do nich podobne, aż dopiero z czasem, wskutek różnych wpływów, forma poezji ludowej stała się inną, podobną do form sztucznych, i taką już pozostała po dziś dzień.

Wstępujemy w okres chrześcijański. Do oceny poezji ludowej polskiej z czasów od Bolesława Wielkiego do XVI wieku mamy niewiele danych: dzisiejszą poezję ludową, z której można wyciągnąć pewne wnioski na jej przeszłość, i świadectwa historyczne. Wierszy samych — ani jednego. A to nie jest rzeczą dziwną. W wiekach średnich, zwłaszcza w dawniejszej epoce, pisano niewiele, w Polsce mniej, niż na Zachodzie. Jeżeli zaś pisano, to rzeczy najważniejsze i uważane za najważniejsze. Wiersze i śpiewy ludowe zapisywać wydawałoby się zbytkiem, marnotrawstwem papieru i czasu. Prócz tego pieśń ludowa (*vulgaris*) uchodziła za coś podłego, nikczemnego, niejednokrotnie za rzecz pogańską i bezbożną, więc tembardziej nie była godną zapisania. My dzisiaj oddalibyśmy stosy rękopisów z uczonymi traktatami i rozprawami za parę pieśni ludowych z lat dawnych, ale te dawne lata patrzyły na tę sprawę inaczej. Nie mamy więc dzisiaj żadnego wiersza ludowego z wieków średnich, żadnej pieśni, tylko świadectwa o nich. Tak czytamy u kronikarza, że po śmierci Bolesława Wielkiego powszechna żałoba zapanowała w Polsce, ustały wszelkie śpiewy; śpiewy te nazwane są dziewczycami (*cantus puellaris*), widocznie śpiewane były przez dziewczęta. Przy powrocie Kazimierza Odnowiciela witał go lud pieśnią, której początek zachowała nam tradycja — prawda, że późna — a witajże, witaj, miły gospodarzynie. Śpiewano pieśni o Ludgardzie, małżonce księcia Przemysława, której nieszczęśliwe życie i żalosny koniec mogły natchnąć ludowego poetę i rozrzewnić jego słuchaczy. Również przedmiotem pieśni była tragiczna śmierć księżnej

Ludmiły, żony Ziemowita mazowieckiego, zdarzenie, które Szekspirowi miało dostarczyć treści do „Baśni zimowej“. Pieśni o Ludgardzie (z wieku XIII) istniały za czasów Długosza, o Ludmile (wiek XIV) śpiewał lud w okolicach Rawy jeszcze w wieku XVI. Przedmiotem pieśni była także niewiara małżeńska; jedną z takich pieśni jest ballada o pani, która zabiła męża. Śpiewano też o sławnym rozbójniku Krzysztofie Szafrąncu z Pieskowej Skały, który żył i rozbijał w drugiej połowie XV stulecia.

Wymieniliśmy tylko kilka najważniejszych, ale prócz nich jest cały szereg świadectw historycznych, które wszystkie składają się na przypuszczenie, że polska poezya ludowa wieków średnich była stosunkowo bardzo rozwinięta; że obejmowała pieśni z różnych zakresów i rodzajów; że śpiewano przy uroczach i zabawach, w polu przy pracy, w obozie, podczas widowisk publicznych; że opiewano ważniejsze wypadki, historyczne i niehistoryczne; że wreszcie jedna z takich pieśni, ballada o niewiernej pani, przetrwała po dziś dzień, trudno tylko zbadać, o ile się w ciągu wieków zmieniła. Z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że już w wiekach średnich utwory sztuczne dostawały się pomiędzy lud i tam przyjmowały. Wiersz, którego treścią są narzekania umierającego na źle spędzone życie, znany w literaturze średniowiecznej polskiej i czeskiej, powstały prawdopodobnie w drugiej połowie XIV wieku, żyje dzisiaj w ustach ludu, przyswojony przez niego zapewne bardzo wcześnie.

Porównanie z dzisiejszą poezją ludową prowadzi do bardzo interesujących spostrzeżeń. Na pozór zdawałoby się mogło, że dzisiejsza jest bezpośrednim dalszym ciągiem dawnej. Jednakże po dokładniejszym zbadaniu musimy przyjść do innego przekonania. W dzisiejszej poezji ludowej polskiej przeważa pierwiastek liryczny. Nasze zbiory etnograficzne zawierają przeważnie krótkie śpiewki, których treścią jest bardzo rzadko opowiadanie jakiegoś szczegółowego faktu, ale przeważnie wyrażenie uczuć śpiewającego. W jakim

kierunku ta liryka idzie, to ma dla nas w tej chwili znacznie mniejsze, faktem jest, że żywioł liryczny jest w niej dominujący. Gdzie zaś spotykamy się z wierszem opisowym, opowiadającym, tam rysy są jakby zatarte, panuje pewna ogólnikowość, co sprawia, że te wiersze nie wznoszą się na wyższy stopień wartości. Natomiast w poezji średniowiecznej mamy prawo przypuścić — obok wierszy lirycznych — epiczne. Panuje w niej indywidualność (naturalnie co do wymienianych osób), nie typowość: są pieśni o pewnych wymienionych osobach (Ludgarda, Ludmiła, Szafraniec), albo przywiązane do faktów (zgon króla, przybycie Odnowiciela, zabicie męża przez żonę). Stąd wnosimy, że w tej poezji była większa niż w dzisiejszej różnorodność, a co bardzo ważne, więcej pierwiastku epicznego, więcej wyrazistości.

Jakiż z tego wniosek? Jest rzeczą niewątpliwą, że gdy pieśń ludowa pozbawia się charakteru epicznego, zwykle się jej wartość obniża. Cokolwiek możnaby powiedzieć dobrego i chwalebного o duszy ludu, to jednak nie zawiera ona w sobie tylu uczuć i nie potrafi ich tak stopniować, jak dusza ludzi wykształconych; więc wyraz tych uczuć, poezya liryczna, nie będzie tak piękna i bogata, jak liryka cywilizowana. Tymczasem w epice lud ma wyższość. Jego zmysł obserwacyjny, o ile dotyczy zjawisk zewnętrznych, jest daleko bardziej rozwinięty aniżeli u ludzi wykształconych, u których krzyżują się przeróżne czynniki i przeszkadzają im skupić uwagę na jedną rzecz. Stąd i opowiadanie w epice ludowej jest proste, niewyszukane, a dziwnie wyraziste i plastyczne. Stąd ta niezrównana plastyka Homera. Stąd czar, jaki wywierają niektóre byliny rosyjskie. Stąd pieśni serbskie o Kosowym polu są daleko piękniejsze aniżeli pieśni liryczne. Stąd też możemy śmiało mówić o wyższości poezyi ludowej polskiej średniowiecznej nad dzisiejszą. Jakkolwiek materiału do wniosków mamy niewiele, to jednak z tego, co mamy i co wiemy, możemy z wielkim prawdopodobieństwem takie twierdzenie postawić.

Wytłumaczenie tej zmiany, której ludowa poezya polska w późniejszych czasach uległa, przekracza już ramy naszego zadania. Nadmienimy tylko krótko, że przyczyny są różne: historyczne, socyalne i inne. W dawniejszych czasach, kiedy wprowadzie różnice stanowe były, i znaczne, ale ogólny poziom wykształcenia był mniej więcej w całym narodzie jednaki, poezya ludowa obejmuje nietylko lud w ściślejszem znaczeniu tego słowa, ale i inne warstwy. Z biegiem lat jednakże zwiększa się między nimi przedział, zawarunkowany inteligencją i wykształceniem. Warstwy cywilizowane mają teraz już swoją poezyę, sztuczną, pisaną, poezya ludowa ogranicza się tylko na chaty wiejskie. A że całe życie chłop polskiego, począwszy od drugiej połowy XV wieku, składało się na to, aby zakres jego umysłu nie przekraczał jego wsi rodzinnej, więc odbiło się to i na poezyi. Chłop polski — wieku XVI do XVIII — osiadły na ziemi bądź co bądź monotonnej, i w tej monotoności żadną wybitną cechą się nie odznaczającej, miał i życie bardzo monotonne, dzień podobny do dnia, rok do roku. A dzień ten i rok nie obfitowały wcale w niezwykle zdarzenia. Praca na roli zapełniała życie. Do wojska szedł ten chłop bardzo rzadko, w życiu publicznem udziału nie brał, nieprzyjaciela widział w swej wsi raz na kilkadziesiąt lat, więc cały jego widnokrąg zamykał się w obrębie wsi rodzinnej. Przy tem wszystkiem był niewolnikiem — niewolnik nie będzie tworzył bohaterских pieśni — a materyalnie działo mu się względnie dobrze. Z duchowej uczy warstw wykształconych jeżeli mu się co dostało, to okrucy i odpadki. Te wszystkie czynniki złożyły się na ukształtowanie umysłu tego chłopca tak, jak jest nim po dziś dzień, te też czynniki wpłynęły na zmianę dawnej poezyi ludowej na taką, jaką jest dzisiaj.

Potwierdzeniem naszego wywodu są losy pieśni ludowej rosyjskiej, małoruskiej i serbskiej — w innych warunkach inne skutki, — z drugiej strony czeskiej — w warunkach podobnych skutki te same.

## II.

Poezya sztuczna jest rodzoną córką ludowej, jeżeli literatura rozwija się samodzielnie, bez obcych wpływów bezpośrednich. Ale taki wypadek należy do rzadkości. W Europie chrześcijańskiej niepodobna go znaleźć. Stąd i polska literatura nie wyrasta z pnia własnego. Powstanie swoje zawdzięcza literaturze łacińskiej średniowiecznej i literaturze czeskiej. Od nich brała formy, od nich treść. Cała kultura szła do nas z Zachodu, więc i piśmiennictwo, które jest jednym z objawów tej kultury, z Zachodu przyjść musiało. Na naszą kulturę średniowieczną działały przedewszystkiem trzy czynniki: kultura czeska, łacińska (ogólno-średniowieczna) bezpośrednio lub przez czeską, i wreszcie niemiecka. Ta ostatnia, tak potężny wpływ na nas wywierająca w pewnych działach (rzemiosła, handel), w literaturze bodaj że żadnego śladu nie zostawiła. Co łatwo zrozumiemy, zważywszy, że właściwie szerzyła się u nas ta kultura tylko przez osadników niemieckich, rzemieślników i chłopów, którzy byli dzielnymi rzemieślnikami i rolnikami, ale literatury nie piastowali. Literaturze czeskiej natomiast ułatwiała wstęp do Polski wielkie podobieństwo języka i łatwość wzajemnego porozumienia się — większe niż dzisiaj; ułatwiała też poczucie wspólności plemiennej, z pewnością wtedy istniejące, pomimo licznych wojen, które Polska z Czechami toczyła. Ogólne zaś średniowieczne wykształcenie było łacińskie i to się szerzyło w Polsce przez Kościół.

Z tych dwóch pierwiastków złożyła się nasza literatura wieków średnich. Zaczęła się od tłumaczeń, przeróbek i naśladowań, zapożyczyła się od tamtych w treści i formie, i taką już później zastała także w tych utworach, które są oryginalne.

Wychował ją Kościół. Tam stawiała ona pierwsze kroki, i w nim doszła do pewnego rozkwitu. Pierwszemi rzeczami, napisanemi w języku polskim, były modlitwy, wyznanie wiary, spowiedź powszechna, formuły przy udzielaniu sakramentów.



Stało się to w wieku XIII, nie wcześniej; wogóle wiek XIII można uważać za początek naszego życia umysłowego. Potem przybyło więcej modlitw, przekład psalmów, wreszcie kazania. Z temi ostatnimi zaczyna się polska proza. Kazania z natury rzeczy musiały być więcej samodzielne, więcej oryginalne; stąd od nich poczyna się żywszy rozwój piśmiennictwa.

Równolegle z prozą rozwija się poezya, i również początek swój zawdzięcza Kościołowi. Najstarszymi polskimi utworami poetycznymi są pieśni kościelne. Ich losy są mniej więcej takie same, jak na Zachodzie. Nieledwie przez cały ciąg wieków średnich panował w Kościele podczas nabożeństwa śpiew łaciński. Uprawiali go zaś księża i służba kościelna. Stan taki trwał bardzo długo, tak, że jeszcze w XVII wieku mówiono u nas: „między księżą i żaki chwala Boża słynie“. Śpiew religijny w języku narodowym odzywa się rzadko. Po raz pierwszy zjawia się w wieku X w Niemczech. Dotąd lud śpiewał a raczej wykrzykiwał tylko *Kyrie elejson*, czasem po kilkaset razy. Z czasem jednak zaczęto się oglądać za wyrażeniem swych uczuć w języku własnym, rodzimym. Do *Kyrie elejson* poczęto dodawać naprzód jego przekład albo raczej parafrazę *Christ uns genade*, z czasem także i inne zdania, zawierające krótkie pobożne westchnienie albo modlitwę. Z tych zdań zaś, nie mających jeszcze formy poetyckiej, nie będących jeszcze pieśniami, wyrobiły się jednak niebawem i pieśni. Pierwsze te pieśni miały już formę zwrotkową, nie były rymowane, a po każdej zwrotce powtarzało się *Kyrie elejson*, jako pozostałość z czasów dawniejszych. Nazywały się *laisami*. A jak okrzyk *Kyrie elejson* był dla rycerstwa chrześcijańskiego hasłem bojowem, tak były i *laisy* pieśniami bojowemi. Doszło ich do nas niewiele, a poznać je właśnie po tym charakterystycznym przyśpiewie, świadczącym o ich pochodzeniu.

Ponieważ zaś Czechy i Polska przyjęły chrześcijaństwo od Niemców, więc i u nich śpiew kościelny przechodził ta-

kie same koleje. Tak samo śpiewano pierwotnie tylko *Kyrie elejson*, które Czesi przekształcili na *krles*, *krlesz*, Polacy na *kierlesz*. Tak samo też jak u Niemców był ten okrzyk hasłem bojowym; o Polakach zapisał w wieku XIII kronikarz ruski, mówiąc o jednej z bitw polsko-ruskich: „Lachy szli krzepko na Wasylka, śpiewając *kierlesz*“. Później na wzór laisów niemieckich powstają czeskie — np. stara, do dziś śpiewana pieśń, *Hospodine pomiluj ny* — na wzór czeskich polskie. Mamy w naszej hymnologii średniowiecznej trzy takie laisy, prawda że spisane dosyć późno, laisy do Syna Bożego, do Ducha świętego i do Najświętszej Panny. Pierwszy i trzeci weszły w skład „Bogurodzicy“.

Z laisów i obok nich powstają inne pieśni, przeznaczone do śpiewu w kościele. Ale podczas mszy pieśń w języku niełacińskim odzywała się chyba wyjątkowo; częściej przed i po nabożeństwie, częściej jeszcze na procesyi i podczas pielgrzymki, najczęściej podczas widowisk i przedstawień. W Niemczech powstały laisy w wieku X, do Kościoła weszły dopiero w dwa lub trzy wieki później. W Polsce tem bardziej nie można mówić o śpiewie kościelnym polskim przed wiekiem XIII. W samym XIII stuleciu mamy świadectwo o pieśni chłopów polskich, którzy się przyłączyli do biczowników, ale to była pieśń sekciarska, więc nie była śpiewana w kościele, zresztą wraz z sektą prędko zagięła. Najstarsze nasze laisy powstały prawdopodobnie w tymże wieku. Mamy więc wiek XIII jako najstarszą datę powstania polskiej pieśni kościelnej, a tem samym całej poezyi sztucznej.

Obok pieśni, przeznaczonych do śpiewu, powstają wiersze z charakterem pobożnym, treści moralno-dydaktycznej, i legendy. Wszystkie te utwory razem tworzą polską poezję religijną średniowieczną. Obok niej rozwija się poezya świecka; zdaje się, że powstała cokolwiek później. Jeżeli religijną możemy posunąć do wieku XIII, z wielkim prawdopodobieństwem, to pierwszy wiersz świecki, zapisany w początkach XV wieku, powstać mógł w drugiej połowie XIV;

o wcześniejszych nic nam nie wiadomo. Na liczbę jest wierszy religijnych znacznie więcej, co jest w zupełnej zgodzie z ogólnym nastrojem wieków średnich, pełnych wiary i pobożności; świeckich jest daleko mniej.

Liczba pieśni jest dosyć znaczna. Dzielią je według treści na pieśni do Matki Boskiej, do Świętych, na Boże Narodzenie, Post wielki, Wielkanoc, Zielone Świątki i Boże Ciało. Najwięcej jest pieśni do Matki Bożej, szczególnie godny uwagi i dorzucający jeszcze jedno świadectwo o szczególnej czci narodu polskiego do Najświętszej Panny. Nie było tego objawu w literaturze niemieckiej ani czeskiej, więc polska tamtych nie naśladowała; fakt ten miał źródło w uczuciach samego narodu.

Na ich czele stoi „Bogurodzica“. Jedna z tych niewielu pieśni średniowiecznych, które żyją po dziś dzień; najstarsza ze wszystkich; poetycznie największą mająca wartość. Śpiewana przez rycerstwo nasze przed bitwą przez kilka wieków — po raz pierwszy mamy o tem historyczną wiadomość w opisie bitwy pod Grunwaldem: powiada naoczny świadek, że Polacy, przysposobiwszy się do boju, „wszyscy z płaczem jednogłośnie zaśpiewali Bogurodzica i ruszyli do walki“. Od tego czasu słyhać tę pieśń na polach wszystkich ważniejszych bitw, zwłaszcza w wieku XVI i XVII; że zaś właśnie na te dwa wieki przypadają walki, które słusznie zaliczamy do najpiękniejszych chwil naszych dziejów, więc i „Bogurodzica“, złączona z niemi, stała się nam drogą i szanowną pamiątką narodową. Za taką uważano ją już w wieku XVI; Jan Łaski na czele statutów królestwa polskiego drukuje tekst „Bogurodzicy“ i nazywa ją *devotissima et tanquam vates regni Poloniae cancio*. On też pierwszy umieszcza legendę o autorstwie św. Wojciecha.

„Bogurodzica“ w takim stanie, w jakim ją widzimy w połowie XV stulecia i w jakim — z małemi zmianami — doszła do naszych czasów, nie jest utworem jednolitym. Składa się z trzech części. Pierwszą, najstarszą, tworzą dwa

laisy, do Najświętszej Panny i do Syna Bożego; drugą pieśń wielkanocna, trzecią pieśń postna, a jakkolwiek pieśni te były początkowo całkiem odrębnymi utworami, to jednak — dość dziwnie — połączone razem dają całość organiczną, w której niema gwałtownych przeskoków myśli, ale jedna z drugą wiąże się w ogóle naturalnie i logicznie.

Do tych trzech części dodawano już w XV wieku nowe zwrotki i nowe pieśni. Tak dodano — zdaje się już wcześniej — część pieśni do Wszystkich Świętych, dwie zwrotki z pieśni do św. Wojciecha, dwie z pieśni do św. Stanisława, w której „Polanie proszą miłego patrona, aby się modlił za nich Bogu“. W wieku XV dodano też modlitwę „za króla polskiego i za dziatki jego“, albo „za króla polskiego i za brata jego, króla węgierskiego, za królowę Zofię, przez nie nam ucieśzną“.

Widzieliśmy, że okrzyk *Kyrie elejson* był zarazem hasłem bojowym rycerstwa chrześcijańskiego. Kiedy z *Kyrie elejson* powstały laisy, to przejęły one na siebie także wojenny charakter tego okrzyku. To nam tłumaczy, dlaczego „Bogurodzica“, niemająca w sobie zgoła pierwiastku wojennego, śpiewana była przez rycerstwo polskie przed bitwą — co tak zastanawiało Mickiewicza. Ponieważ jej pierwsze dwie zwrotki, jej początek i geneza, były laisami, więc spełniały także wojenną funkcję laisów.

Wszystkie dane historyczne składają się na to, że autorem tej pieśni nie mógł być św. Wojciech. Legenda ta powstać mogła stąd, że się zwykle rzeczy ważne i szanowane a nieznanego początku łączy z wybitnymi postaciami historycznymi. Wiadomość o autorstwie św. Wojciecha zjawia się dopiero w początkach XVI wieku — tradycja w każdym razie zbyt późna. Pierwsza zaś wiadomość o Bogurodzicy wogóle, pochodzi z pierwszych lat XV wieku. To tylko jest pewnem, że musiała ta pieśń już w XV stuleciu być rozpowszechniona, skoro tak wielkie wojsko, jak pod Grunwaldem, mogło ją śpiewać *unanimiter*, skoro zaraz

w początkach tego stulecia spotykamy jej dwa odpisy, skoro redakcyje z tego wieku tak się między sobą różnią, i skoro Długosz nazywa ją pieśnią ojczystą, *patrium carmen*, co z wielkiem prawdopodobieństwem można tłumaczyć: śpiewaną od dawna.

„Bogurodzicą“ zajmowano się z całej literatury średniowiecznej najwięcej, i zupełnie słusznie. Mimo to jednak dotąd wiele rzeczy jest niewyjaśnionych, wiele tłumaczeń i objaśnień jest nietrafnych, powstają zresztą ciągle nowe przypuszczenia — tak, że najdawniejsza i najważniejsza pieśń polska czeka jeszcze na opracowanie.

Oprócz „Bogurodzicy“ jest innych pieśni do Matki Boskiej poczet dość znaczny. Charakter ich różny: jedne są wyłącznie modlitwami, inne opowiadają zdarzenia z życia Najświętszej Panny (Zwiastowanie i Poczęcie, cierpienia Najświętszej Panny, Wniebowzięcie), inne wreszcie są hymnami uwielbiającymi. Są między niemi przekłady, z łaciny lub czeskiego, są też i utwory oryginalne. Z języka łacińskiego przekładano owe sławne antyfony i pieśni, ułożone w wiekach średnich, np. *Ave pulcherrima regina*, albo *Ave maris stella*, albo antyfonę *Salve Regina*; po części zostawiano formę oryginału, ale częściej zmieniano ją, przedewszystkiem rozszerzano, bo tak było dogodniej. W każdym razie oryginały mają wielką wartość poetycką. Z czeskiego co prawda wybierano rzeczy słabsze.

Z pieśni do Świętych zachowały się w całości dwie do św. Anny, zresztą same fragmenta; do św. Stanisława, którego osoba i historia były w Polsce średniowiecznej bardzo popularne; do świętego Wojciecha, pieśń, która weszła w skład „Bogurodzicy“; do św. Floryana („Tworzyjana“ po staropolsku), w której Polanie proszą „miłego patrona“, aby im dał zboże tanie; do Wszystkich Świętych, fragment zachowany również w „Bogurodzicy“. Jest to bardzo niewiele, ale mamy liczne świadectwa, że ich było więcej, np. do św. Mikołaja, do św. Barbary, ale zaginęły. Widocznie nie

odznaczały się żadnym szczególniejszym przymiotem, były słabe i nieudolne; a że przytem w kościele najrzadziej je śpiewano, więc łatwo mogły popaść w zapomnienie. Te, które mamy, są bardzo słabe, może z całej naszej średniowiecznej spuścizny poetyckiej najslabsze. Formą podobne do innych, w treści i w opracowaniu są gorsze: niema w nich pierwiastku epicznego, któryby je mógł jako tako ratować, a liryka nie wydaje ani jednego głębszego tonu; uczucia, które się tak pięknie mimo całej słabości formy objawiało w pieśniach do Matki Boskiej, tutaj nie widać wcale.

Pieśni na Boże Narodzenie już od dawna nazywają się kolendami. Nazwa pochodzi od wyrazu *Kalendae*. Około Kalend styczniowych odbywały się w Rzymie *saturnalia*. Ich potomkami, zastosowanymi do społeczeństwa chrześcijańskiego, były średniowieczne widowiska, odprawiane pierwotnie około świąt Bożego Narodzenia, skąd też przeszła na nie nazwa *kalend* — kolend. Z czasem zaś nazwa ta przeszła na pieśni, śpiewane w czasie tych widowisk. W Polsce były owe średniowieczne *saturnalia* również rozpowszechnione, a przybyły tutaj z Zachodu; razem z niemi zaś przyszła i nazwa kolenda, oznaczająca pieśń na Boże Narodzenie. Dzisiaj kolendy są najulubieńszymi u nas pieśniami, i to w całym narodzie, jest ich najwięcej, są może z całej polskiej hymnologii najpiękniejsze i psychologicznie najciekawsze. W wieku XV jest ich bardzo niewiele; rękopisy przechowały ich zaledwie kilka. Ale już w następnym stuleciu poczet ich wzrasta bardzo szybko. Co się łatwo tłumaczy ich związkiem z owymi widowiskami średniowiecznymi. W Polsce widowiska te znane były już dawno, ale były — niepolskie. Po klasztorach — łacińskie, po miastach niemieckie. Polszczyzną się — jeśli tak wolno powiedzieć — w drugiej połowie XV wieku, idą między ludność polską, a w pierwszej połowie XVI wieku mamy ich rozkwit, spopularyzowanie; ludność polska je przyjęła, przejęła się niemi i piastowała je długo, od początków XVI stulecia począwszy. Resztkami ich są dzi-

siaj szopki i jasełka. Otóż z chwilą, w której widowiska rozszerzać się poczęły i popularyzować, rozszerzają się i popularyzują pieśni, i z czasem stają się bardzo charakterystyczną częścią naszej hymnologii, najciekawszą może przez to, że w niej zjawia się wieś polska i lud polski w charakterze osoby działającej.

Kolendy XV wieku już mają podobny charakter do dzisiejszych, choć niema ani tak pięknych, ani tak wesołych; głównem uczuciem jest jednak i tutaj wielka radość i wesele z narodzenia Pana. Jedna z nich samym tekstem swoim świadczy, że była śpiewaną w czasie jakiegoś widowiska: „Nuż wy bielscy panowie, panny, panie, żaczkowie“... — a więc najwidoczniej w jakieś Białej. Co jednak najciekawsze, to że już w tych kolendach ukazuje się charakter ludowy, prawda, że bardzo jeszcze nieśmiało, ale w każdym razie jest. Początek jednej takiej kolendy brzmi: „Stała się nam nowina, nigdy taka nie była“ — żywcem przypomina pieśni ludowe; podobnie zakończenie innej: „Gdzie sam przebywa, wesela używa“, jest charakterystycznym zakończeniem baśni i powiastek.

Pieśni postne nie wyróżniają się niczem. Jedna z nich: „Jezusa Judasz sprzedał“, była bardzo rozpowszechniona, śpiewana i przerabiana w XVI wieku; staropolski humor przyczepił do niej anegdotę o chłopcu, który śpiewał: „Judasza Jezus sprzedał“, i o szlachcicu, który słysząc to zrobił uwagę: dobrze mu tak, bo i on Jezusa sprzedał. Pieśń tę przypisują błogosławionemu Władysławowi z Gielniowa, błędnie, gdyż jest ona przekładem z czeskiego. Opowiada bardzo dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, mękę Pana Jezusa. Inna znowu opowiada również szczegółowo o siedmiu słowach Chrystusa na krzyżu.

Z pieśni wielkanocnych jedna, cokolwiek zmieniona, dochowała się do naszych czasów, drugą śpiewa lud do dziś dnia w zupełnie tej samej postaci, jak w wieku XV. Jest to znana pieśń procesyjna „Przez twoje święte zmartwychwsta-

nie". Myślę, że do zachowania jej przyczyniła się ta okoliczność, że ją Kościół przyjął do rytuału. Podczas procesji w czasie wielkanocnym duchowieństwo śpiewa po dwa wiersze hymnu łacińskiego, a pomiędzy tem śpiewa lud pieśń, o której mówimy. Zapewne tak samo było i dawniej i dlatego pieśń doszła do nas w całości.

Wśród pieśni do Ducha świętego jest jedna, której forma jest zadziwiająco dobra, jak na wiek XV, a i treść głębokością bardzo się korzystnie od wszystkich innych wyróżnia, tak, że nawet powstaje podejrzenie, czy to nie jest przypadkiem utwór późniejszy, XVI już wieku. Inna znowu ma charakterystyczne zakończenie *Kyrie elejson*, logicznie z całością się nie wiążące, a więc wskazujące na to, że pieśń sama jest *laisem*, tem samem bardzo dawna.

Pieśni na Boże Ciało, podobnie jak pieśni do Świętych, nie wyróżniają się niczem szczególnem. Jedną z nich podejrzewano, że jest husycką, ułożoną w celach propagandy, ale to przypuszczenie niema podstawy.

### III.

Legandy były w wiekach średnich niezwykle ulubione i rozszerzone. Do wyobraźni młodzieńczych ludów przemawiała silnie cudowność; do ducha pobożności przykład, jaki dawało życie świętego. Początku legend należy szukać w rzymskiem *martyrologium*. Zawierało ono w wysokim stopniu obydwa pierwiastki: dydaktyczny, stawiając przed oczy najdoskonalsze wzory wiary i cnoty chrześcijańskiej, i cudowny. Katolicka cześć świętych wpłynęła wielce na rozszerzenie się literatury legendowej, a podatny grunt, na który w umysłach średniowiecznych natrafiła, spowodował jej bujny rozkwit i bardzo długi, bo u ludu do dziś trwający, żywot. Legandy, apokryfy i opowieści stanowią pokarm umysłowy szerokich mas w wiekach średnich. Uczeni doktorowie, juryści, zakonnicy czytali i pisali uczone traktaty — ogół ludno-



ści (o ile czytał) czytał jedynie opowiadania i legendy. Tem się tłumaczy fakt, że w dzisiejszych powieściach i opowiadaniach ludowych spotykamy tak często reminiscencje średniowieczne. Literatura legendowa przyjęła się przedewszystkiem u ludu, tam też przetrwała po dziś dzień, wyparta z literatury sztucznej przez humanizm.

Już bardzo wcześnie powstają na Zachodzie legendy, pisane prozą i wierszem, w języku łacińskim, i w narodowych. Najslawniejszym zaś był i największy wpływ wywierał zbiór legend, ułożony przez włoskiego mnicha a później biskupa Jakóba a Voragine, w XIII wieku. Zbiór ten, zwany Legendą złotą, *Legenda aurea*, był w całej Europie niezwykle popularny; czytano go z zapałem, odpisywano po niezliczone razy, naśladowano i tłumaczono na wszystkie języki. Wpływ „Legendy złotej“ widocznym jest i w literaturze polskiej.

Z wieków średnich jednak posiadamy legend polskich bardzo mało. Kilka prozaicznych i dwie wierszowane. Ale to nie było wszystko. Mamy świadectwa, że już w wieku XIV istniały legendy, napisane po polsku (tłumaczone); wiemy, że istnieją rękopisy z XV wieku z legendami, dotąd jeszcze nie wydanymi. Zachowało się niewiele, ale było dawniej więcej. Zresztą z legendami dzieje się u nas to samo, co z kolendami. Do Polski przyszły one później i były z razu łacińskie; polskie przekłady zjawiają się liczniej w pierwszej połowie XVI wieku, zupełnie tak samo, jak polskie widowiska sceniczne i kolendy, jak polskie powieści średniowieczne, jak apokryfy. Cały ten ruch umysłowy, który na Zachodzie ogarnął masy w wieku XIV i XV, do Polski zawitał dosyć wcześnie, ale rozszerzył się i opanował masy później, już w wieku XVI, wtedy, gdy równocześnie ukazują się zwiastuny humanizmu i odrodzenia. Jest to zjawisko bardzo interesujące, jednak dotąd mało zbadane.

Z dwóch polskich legend wierszowanych, jedna jest o św. Dorocie, ale jej język jest taką mieszaniną polskiego z czeskim, że właściwie nie wiadomo, do której ją zaliczyć

literatury; wielka szkoda, bo temat jest bardzo wdzięczny i — pominąwszy język — opracowany stosunkowo bardzo dobrze. Druga, w wiekach średnich ulubiona i rozpowszechniona, to legenda o św. Aleksym.

Legenda sama jest swą treścią jednym z najcudniejszych utworów świata chrześcijańskiego. Polskie opracowanie (z połowy XV wieku), choć niedołążne formą i wyrazem, wdzięk i piękność legendy odczuć pozwala. Rozpoczyna się modlitwą do Boga o oświecenie:

Ach Królu wieliki nasz,  
co ci dzieją (nazywają) Mesyjasz,  
przydadz rozumu k mej rzeczy,  
me serce bóstwem obleczy,  
racz mię mych grzechów pozbawić,  
bych mógł o twych świętych prawić:  
żywot jednego świętego,  
co miłował Boga swego.

Następuje opowiadanie o rodzicach świętego. Byli to ludzie możni, wysokiego rodu, wiernie Bogu służyli, ale nie mieli potomstwa. Dopiero na usilne modły i prośby obdarzył ich Bóg synem, którego nazwano Aleksy. Ten od dzieciństwa rad służył Bogu. Gdy miał lat dwadzieścia cztery, za wolą ojca pojął żonę z cesarskiego dworu. Ale w noc poślubną opuścił żonę, dom i miasto rodzinne (Rzym), poszedł w dalekie strony, szaty swoje i złoto rozdał ubogim, a sam siadł pod kościołem i dla miłości Bożej stał się żebrakiem. Dniem i nocą nie odstępował kościoła, leżąc u jego wrót, cierpiąc upał i zimno, głód i pragnienie. Wszystko znosił cierpliwie dla miłości Bożej. Zdarzyło się raz, że „obraz“ (posąg) Matki Bożej wstał z ołtarza, poszedł do odźwiernego, i polecił mu odemknąć kościół, aby Aleksy nie leżał na mrozie. Powtarzało się to kilka razy. Odźwierny rozgłosił to po mieście i ludzie zaczęli uważać żebraka za świętego.

Tymczasem ojciec jego po wszystkich krajach porzysłał sługi, aby szukali zaginionego syna. Przybyli oni i do

miasta, w którym Aleksy przebywał, dali mu jałmużnę, a on był wesół, że dla miłości Bożej znosił takie upokorzenie, ale go nie poznali i z niczem wrócili do domu.

Jednak św. Aleksemu nie była miłą chwała, jaką go otaczali mieszkańcy owego miasta. Wsiadł więc na okręt, mając zamiar udać się do Syrii. Ale wiatr się obrócił i przypędził okręt do Rzymu. Uważając to za zrządzenie Boże, święty postanowił tutaj pozostać, udać się na dwór swego ojca i tam — niepoznany — cierpieć:

już tu chcę cierpieć,  
męki i złe chwile mieć,  
u mego ojca na dworze,  
gdym nie przebył za morze.

Spotkał na moście ojca swojego i jął go prosić o jałmużnę „w imię Syna Bożego i dla syna Aleksego“. Na wspomnienie syna ojciec rozrzewnił się i zasmucił, i nie poznawszy Aleksego, przyjął go na swój dwór. Tutaj święty znosił wiele przykrości od służby, a łoże miał pod schodami. „A leżał tu szesnaście lat, wszystko cierpiał prze Bóg rad“.

Siedemnastego roku zachorował. Czując zbliżającą się śmierć, napisał list, w którym opowiedział całe swoje życie. List ten umierając ścisnął mocno w ręce. Po jego śmierci stał się wielki cud: wszystkie dzwony w Rzymie zaczęły same dzwonić. Kiedy badano a nie można było dojść, jaka tego przyczyna, niemowle jedno zawołało, aby się udać do domu Eufamiana, a tam pod schodami będzie umarły święty. Poszła więc tam wspaniała procesya, papież z kardynałami i cesarz. Dzwony ciągle same dzwoniły, a koło ciała gorzały cztery świece, mające w sobie święty ogień. Gdy spostrzeżono list w ręce zmarłego, chciano go wyjąć, ale nikt tego nie mógł dokazać; lecz gdy przyszła żona, list sam wpadł jej w rękę, i wtedy dopiero poznano, kim był zmarły.

Na tem się nasza legenda urywa, niedokończona; następowały zapewne narzekania ojca, matki i żony, które

spotykamy w innych opracowaniach tego tematu, naprzykład w prozaicznych.

Temat legendy — jak już wspomniano — jest bardzo wdzięczny, wiele w nim poezyi i daje wiele sposobności do pięknego opracowania. Jednakże to opracowanie takim nie jest. Poeta, który legendę napisał, starał się tylko o to, aby ten piękny chrześcijański żywot opowiedział chrześcijanom i postawił im przed oczy wzór, godny naśladowania. Opowiadał więc po prostu, tak jak umiał; nie chodziło mu zgoła o wiersz piękny, o wyrażenie poetyczne. Rzecz sama zaprzętała go tak, że dla niej nie uważał na formę. Jest to zresztą cechą może całej literatury średniowiecznej. Całość przez swe krótkie, niezłożone zdania, przez zupełny brak sztuki, przez naiwność opowiadania robi wrażenie utworu ludowego. Nawet pierwszy wydawca tej legendy z rękopisu (dr Wł. Wisłocki) był tego zdania, że ułożył ją jakiś dziad wędrowny, który słyszał żywot świętego na kazaniu, a potem słuchaczom swoim wyśpiewał; co więcej, Kolberg dorobił do tego muzykę, na podstawie dzisiejszych dziadowskich melodj. Oczywiście to czysta fantazya, ale pewien pozór prawdopodobieństwa mogła mieć za sobą. Może ze wszystkich polskich wierszy średniowiecznych żaden nie jest do dzisiejszych utworów ludowych, zwłaszcza do pieśni dziadowskich, tak podobny, jak właśnie legenda o św. Aleksym.

Z legendami, w których się już znajduje pierwiastek nauczający, łączą się te wiersze pobożne, które nie są pieśniami, nie były przeznaczone do śpiewu, a treść ich jest tego rodzaju, że nie można ich zaliczać do poezyi świeckiej. Należą tu naprzód dekalogi rymowane. Dla snadniejszego zapamiętania i dla ułatwienia tym sposobem nauki, układano najważniejszą, zasadniczą część katechizmu, dziesięcioro przykazań, w rymy, tak jak później układano reguły gramatyczne. Powstały te wierszowane dekalogi dosyć wczesnie, a odmawiali je księża z ambony, z początku razem z niektórymi modlitwami zamiast kazania, później — kiedy

poziom wykształcenia u księży dostatecznie się podniósł, tak, że mogli wygłaszać kazania i homilie — przed lub po kazaniu. Stąd pochodzi znaczna liczba redakcyj i bardzo znaczna odpisów, mieszczących się przeważnie w rękopisach, które zawierają kazania polskie lub łacińskie. Dekalogi te, z razu niewielkie (dwadzieścia wierszy, każde przykazanie ujęte w dwuwiersz), z czasem się rozszerzają i z krótkiego wyliczenia przykazań stają się w wieku XVI obszernymi poematami nauczającymi.

Obok dekalogów mamy kilka drobnych wierszy dydaktycznych, mających takie same zadanie: reguły katechizmowe uczynić łatwiejszemi do pamiętania. Takim jest wyliczenie grzechów głównych, pouczenie, jaką powinna być spowiedź, wyliczenie uczynków miłosiernych, wstęp do spowiedzi powszechnej. Tu też należą wiersze takie, jak rozmowa grzesznika pokutującego z Bogiem, albo ten wiersz, w którym poeta prosi Boga, aby odwróciwszy nieszczęścia od Polski, spuścił je na Tatarów, Turków, Wołochów i pogan. Ten ostatni zawiera wspomnienia historyczne, odnoszące się do drugiej połowy XV wieku. Ale najciekawsze z tej grupy są dwa wiersze: skargi umierającego na źle spędzone życie i dyalog o śmierci.

Pierwszy wartości poetyckiej niema. Napisany w ten sposób, że początkowe litery strof dają porządek abecadła: sztuczka jedna z wielu ulubionych w wiekach średnich, oczywiście z góry już budząca powątpiewanie o wartości samego utworu. Treścią jego są narzekania konającego na źle spędzone życie, w najrozmaitszy sposób wyrażane. Wiersz ten jest przekładem z czeskiego i jest bardzo stary. Najciekawsze w nim jest to, że stał się własnością ludu. Może jedyny z najdawniejszej polskiej literatury utwór poetycki, któremu to przypadło w udziale. Musiał już od początków być bardzo rozpowszechniony; wskutek tego dostał się między szerokie warstwy ludowe, a te — ze zmianami naturalnie — przechowały go po dziś dzień, po wszystkich stronach Polski.

W jednym z odpisów tych „Skarg“ jest z właściwym poematem zespolona druga pieśń, oczywiście z razu zupełnie odrębna; dopiero z czasem podobieństwo formy i ten sam charakter myśli spowodowały złączenie dwóch utworów w jeden — i w tej też formie przeszły obydwaj jako jedna całość do ludu. Ten drugi wiersz opowiada losy duszy po śmierci człowieka. Opowiada, jak „dusza z ciała wyleciała; na zielonej łące stała, stawszy silno zapłakana“. Przyszedł ku niej święty Piotr, pyta o powód płaczu. „Niewola mi rzewno płakać? a ja nie wiem, gdzie się podziąć“. Wtedy św. Piotr wziął ją z sobą do królestwa rajskiego.

Najobszerniejszym dziełem poetyckim w Polsce średniowiecznej jest dialog między mistrzem i śmiercią (*de morte prologus*). Temat — śmierć — w wiekach średnich bardzo rozpowszechniony. Myśl tych wieków zwróconą była przede wszystkim na życie przyszłe, pozagrobowe. Stąd temat ten należy do najbardziej rozpowszechnionych. Ogólny zaś stopień umysłowości, młodzieńczość i naiwność tych wieków wpłynęły na sposób opracowania tegoż tematu, nie tylko w poezji ale i w malarstwie. Śmierć nie jest jakąś abstrakcją, jak później, nie jest pięknym młodzieńcem, jak u Greków, jest to nadzwyczaj wstrętne i ohydne kobieta, którą można widzieć i z nią rozmawiać. Taką właśnie rozmowę przedstawia nasz poemat. Godzien on jest szczegółowego rozbioru, jako jedyny większy polski utwór średniowieczny i dla swej treści.

Na wstępie znajduje się inwokacja do Boga z prośbą o pomoc w składaniu dzieła, podobnie jak w legendzie o świętym Aleksym :

Gospodzinie wszechmogący,  
nad wszystko stworzenie większy,  
pomóż mi to dzieło złożyć,  
bych je mógł pilnie wyłożyć  
ku twej chwały rozmnożeniu,  
ku ludzkiemu polepszeniu.

Następuje wezwanie do ludzi, aby posłuchali o okrutności śmierci („wszyscy ludzie posłuchajcie, okrutność śmierci poznajcie“), oraz przykładu („przykład o tem chcę powiedzieć, słuchaj tego, kto chce wiedzieć“).

Polikarp, mnich pobożny a mędrzec wielki i mistrz wybrany, prosił Boga usilnie o to, aby mógł widzieć śmierć w jej postawie. Bóg wysłuchał jego prośby. Gdy się raz pewnego modlił w kościele, samotny, bo ludzie już byli wyszli, zjawiła się przed nim śmierć.

Następujący opis tej śmierci — który umyślnie przytaczamy — jest wstrętny, ale właśnie przez to dla swego czasu charakterystyczny. Polikarp mianowicie:

uźrzał człowieka nagiego,  
 przyrodzenia niewieściego,  
 obraza wielmi szkaradego,  
 łoktuszą przepasanego.  
 Chuda, blada, żółte lice,  
 łści się jako miednice.  
 Upadł ci jej koniec nosa,  
 z oczu płynie krwawa rosa;  
 przewiązała głowę chustą,  
 jak samojedź krzywousta.  
 Nie było warg u jej gęby.  
 poziewając, skrzyta zęby.  
 Miece oczy zawracając,  
 groźną kosę w ręku mając.  
 Wypięta zebra i kości,  
 groźno siecze przez lutości.

Na taki widok mistrz przeraził się tak bardzo, że padł na ziemię bez zmysłów. Gdy tak „leżał wznak, jako wiła“, śmierć poczęła sobie z niego dworować, że niby zdrów a wdycha, że ma, czego tak gorąco pragnął; każe mu powstać i mówić. Odzywa się między innymi w te słowa:

wstań, odpowiedz, jestli umiesz;  
 za po polsku nie rozumiesz?  
 snadź ci *sortes* nie pomoże,

przeleknałeś się nieboże!  
już odetchnij nieboraku,  
mów ze mną, ubogi żaku;  
nie bój się dziś mojej szkoły,  
nie dam ci czyść epistoły.

Mistrz powiada „wielmi skromnie“, że się bardzo przeląkł, że mu ta rzecz bardzo niemiła, że gdyby śmierć była co przykrego przemówiła, „zerwałaby się w nim każda żyła, nagleby go umorzyła i duszęby wypędziła“; prosi śmierci, aby trochę odstąpiła i odrzuciła kosę, aby mógł podnieść głowę. Tego oczywiście ona uczynić nie może, bo „dzierży kosę na rejestrze, siecze doktory i mistrze i zawždy ją gotową nosi“, ale mistrza zachęca, aby powstał, bo mu się dziś nie chce „zniewierzać“. Mistrz chwiejąc się powstał. Rozpoczyna się teraz właściwy *prologus de morte*.

Mistrz pyta śmierci, skąd się wzięła, kiedy się urodziła, gdzie jej ojciec albo matka. Dostaje odpowiedź. Urodziła się śmierć wtedy, kiedy Ewa zerwała jabłko i dała Adamowi; razem z jabłkiem skosztował Adam śmierci, skąd musiał umrzeć. Teraz pyta mistrz, dlaczego śmierć chce ludzi żywota zbawić, co oni jej złego zrobili, że stracili u niej łaskę — i czyby się nie dała podarkami uprosić? on sam dałby upiec dobry kołacz, byle tylko mógł się jej uchronić. Śmierć każe mu schować sobie podarki, bo ją to jeszcze może rozdrażnić; na pytania zaś odpowiada, że ma swą moc od Boga, stwórcy wsze go stworzenia, który jej „pożyczył takiej mocy, aby morzyła we dnie i w nocy“. Tej mocy używa w całej pełni:

morzę na wschód, na południe,  
a umiem to dzieło cudnie;  
od północy do zachodu  
chodzę, nie pytając brodu.  
Toć me nawiększe wesele,  
gdy mam morzyć żywych wiele;  
gdy się imę z kosą płasać,  
chcę ich tysiące pokąsać.



Toć jest mojej mocy znamię:  
morzę wszystko ludzie plemię.

A więc mądrych i głupich, chorych i zdrowych, starych i młodych, ubogich i bogatych. Wojewodów i cześników, książąt i hrabiów zabierze sobie, z króla ściągnie koronę a jego głowę za włosy pociągnie pod kosę; bywa też i w cesarskiej ziemi, „zimie, lecie i w jesieni“. Zabiera filozofy i gwiazdarze, rzemieślniki, kupce i oracze, wszystkich zdrajców i lichwiarzy. Boją się jej karczmarze, co źle piwa dają:

nie często mię wspominają.  
Jako swe miechy natkają,  
wtenczas mą kosę poznają,  
kiedy nawiedzą mą szkołę,  
będą im łać w gardło smołę.

Ona zabiła mocnego Samsona, mądrego Salomona, nadobnego Absalona, Goliasha, Annasza i Kajfasza, ona Judasza „obiesiła“ i „dwu łotru na krzyż wbiła“, pomorzyła olbrzymy i Wietrzycha obrzymskiego (= *Dietrich von Bern*). Nad tymi się pomściła, „a swą kosę ucieszyła“. Raz tylko została zwyciężona: gdy Chrystus, umęczony przez nią, trzeciego dnia zmartwychwstał.

Polikarpowi nie może się to pomieścić w głowie, aby ktoś nic nie dbał o ludzką przyjaźń: z kimże się śmierć po-braci, gdy wszystkich wygubi?

gdy wszyscy ludzie posieczesz,  
a gdzież się sama ucieczesz?  
wždyć trzeba ludzkiej przyjaźni,  
by cię zgrzeli w swojej łaźni,  
aby się w niej napociła,  
gdybyś się zbyt urobiła.

Śmierć bardzo gniewają takie słowa. Grozi mistrzowi, że mu za taką mowę utnie szyję nawet w kościele. „Otoś mistrzu barzo głupi, nie rozumiesz o tej kupi“. Tłumaczy mu, że jej o nic ziemskiego nie chodzi; nie korzyści ona w odzie-

niu ani w żadnem bogactwie. Wymienia znowu, kogo morzy i łupi; więc świeckich i duchownych, kanoników i plebanów z grubą szyją, panie i rozpustne niewiasty, panny, wdowy i mężatki; mordarze i okrutniki na śmierć posiecze, posiecze też żaki i dworaki, szlachcicom zaś bierze drogie futra i szaty, a zostawia ich w jednej koszuli.

Więc na cóż są lekarze i zioła, które podobno wielką moc mają? pyta mistrz. Na co? lekarze się tylko próżno chwala, ale przeciw śmierci żadna maść nie pomoże, żadne lekarstwa, żadne apteki. Na małą chwilę mogą uśmierzyć niemoc, ale „przeciwko śmiertelnej szkodzie nie znajdzie ziela w ogrodzie“. Nie pomoże ani lubieszczka, ani piołun, ani szatwia. Śmierć od wieków panuje nad rodzajem ludzkim, nie zważając na leki.

Mistrz przypuszcza, że możeby się dało przed śmiercią ukryć i schować pod ziemię, albo twardo замуrować, albo zamknąć się na wieży, ze wszystkich stron dobrze strzeżonej. Ale omal, że tego przypuszczenia nie przypląca szyją. Śmierć powiada, że choćby się dał skować w żelazie i też w ziemi zakopać, pewno go „potrzepie, jedno sobie kosę sklepie“. A że już raz kosę naostrzyła, więc nadarmo jej nie podniesie, ale musi nią mistrza „podgolić“. Mistrz już prawie ginie ze strachu, a śmierć, trochę się ułagodźwwszy, przedkłada mu, aby się jej tak nie sprzeciwiał i nie nabawiał jej „mierziaczki“, bo przecież przed nią nikt się nie skryje, nawet zwierzęta; sama w nory i w jamy włazi, każdego pozbawia żywota. Jednaką cenę ma u niej papież i najlichszy żebrak, kardynałowie i biskupi, kanonicy, sufragani, proboszczowie, opaci. Dobrzy mnisi się jej nie boją,

bo dobremu mało płaci,  
aczkolwiek umrze, nic nie straci,  
pozbędzie świeckiej żalności,  
pójdzie w niebieskie radości.

Ale szczególnież zawzięta jest przeciwko mnichom złym, którzy z klasztoru uciekają, „i swej woli pożywają“. Tacy są

najgorsi, bo „gdy mnich pocznie dziwy stroić, nikt go nie może ukoić“.

Wkońcu mistrz pyta o panny, co czystość chowały. Śmierć mówi, że dziwiła się, patrząc na ich męki i wytrwałość.

Na tem poemat się urywa — nieskończony.

Wiersz stanowczo najciekawszy i najgodniejszy uwagi z całej naszej średniowiecznej spuścizny literackiej. Forma jest wcale jak na owe czasy dobra. Wiersz ośmiozłotkowy, w wiekach średnich bardzo używany, płynie gładko i równo, dykcya swobodna, nie znać zupełnie wysiłku żadnego: słowem, autor dyalogu miał znaczny na swe czasy talent poetycki. W jednym układzie dałoby się dużo zarzucić. Rzeczy, należące do siebie, rozdziela często po różnych miejscach, a stawia obok siebie zdania, nie wiążące się z sobą, skąd wynikają naprzykład częste powtarzania się. Ale w tem miejscu należy zauważyć, że tekst, który posiadamy, jest już kopią, a wiadomo, jak w wiekach średnich przepisywacze klasycznie umieli przekręcać, przestawiać i psuć oryginały — znaczną więc część usterek w układzie dyalogu możemy złożyć na karb kopisty.

Największa wartość naszego dyalogu polega na tem, że jest on żywym i barwnym świadectwem swego wieku. Pod tym względem żaden z naszych wierszy średniowiecznych nie może się z nim równać. Wszystkie omawiane dotąd są zbyt ogólnikowe i zbyt jednostronne. Są one wyłącznie utworami pobożnymi, religijnymi. Jako takie świadczą tylko o jednym objawie życia średniowiecznego — objawie znanym zresztą dobrze skądinąd i zbyt powszechnym, aby dorzucił jakiś nowy a barwny szczegół do naszych zapatrywań na średnie wieki. Tymczasem dyalog o śmierci, jakkolwiek ma cechę i podkład religijny, jak zresztą cała ówczesna literatura, to jednak jest żywym i barwnym świadectwem średnich wieków; wprowadza takie momenty, które nam pozwalają przypatrzeć się tym wiekom zblizka i szcze-

gółowo, ukazuje nam drobne objawy codziennego życia, które naszej znajomości wieków średnich więcej przynoszą, aniżeli wiele uczonych a suchych traktatów. Wyobrażenie śmierci, naiwne pytania i uwagi mistrza, „mędrca wielkiego“, odpowiedzi śmierci — to wszystko jest nawskróś średniowieczne. A dopiero te satyryczne wycieczki: przeciw karczmarzom, co źle piwa dają, a zato po zgonie będą pić smołę; o kanonikach i proboszczach, którzy się dostaną do szkoły śmierci; o lekarzach, chełpiących się swą nauką, przeciw śmierci próżną; o sędziach, którzy są dla swej rodziny względni, a od stron biorą podarki; o mnichach niedobrych i rozpustnych: — te zwłaszcza rzucają światło na cały szereg zjawisk w ówczesnym obyczajowym stanie Polski. Zjawia się też tutaj po raz pierwszy w języku polskim humor, i to nie w najgorszym rodzaju, rubaszny wprawdzie, naiwny przytem niepomiernie, ale w każdym razie już jest. Dyalog cały ma bardzo wyraźny a silny związek ze współczesnym życiem i obyczajami, dlatego czyta się go naprawdę z zajęciem, podczas gdy wiele innych raczej jedynie z obowiązku.

Autorem jego był z pewnością jakiś mnich: widać to po dokładnem i obszernem opisaniu mnicha dobrego i złego, po znajomości rzeczy zakonnych, po ciągłym odwoływaniu się do stanu duchownego i po licznych wzmiankach o szkole; autor był mnichem i zarazem nauczycielem w szkole klasztornej. Ogólną treść poematu zaczerpnął z prozaicznego oryginału łacińskiego; powstał zaś nasz utwór zapewne w połowie XV wieku.

Dyalog mistrza Polikarpa ze śmiercią jest szczytem polskiej. poezji średniowiecznej, ma też dla nas — jako świadectwo obyczajowe — największą wartość.

## IV.

Wierszy świeckich jest bardzo niewiele. Już z fragmentami można się ich doliczyć zaledwie kilkanaście. Historycznie wszystkie są ciekawsze od pobożnych (z wyjątkiem Dyalogu), wprowadzają w literaturę jakieś nowe pierwiastki, mają zupełnie inny charakter. Są też wszystkie oryginalne, przynajmniej dotąd nie stwierdzono ich pochodzenia od obcych wzorów. Jakby dla wynagrodzenia szczupłej liczby, zakres ich jest bardzo rozmaity: wiersze dydaktyczne, satyryczne, polemiczne, miłosne, historyczne. Forma zazwyczaj nie jest lepsza od formy wierszy religijnych, ale jest w nich jakaś większa swoboda, znać u twórców większą łatwość pisania. Jest jeszcze jeden szczegół — zresztą czysto zewnętrzny — który je wyróżnia od religijnych. Mianowicie chronologia jest więcej ustaloną, przy niektórych można nawet wcale dokładnie datę oznaczyć, tak, że przez to możliwy jest chronologiczny ich przegląd.

Z pierwszych lat XV wieku, a więc jak dotąd najstarszy, pochodzi wiersz zawierający przepisy o zachowaniu się przy stole, rodzaj ówczesnego „Nie wypada“, ubranego w rymy. Rodzaj bardzo zgodny z duchem swego czasu. Ale najciekawsze, że z naukami, co przy stole wypada lub nie wypada, połączony jest prawdziwy hymn pochwalny na pannie, wysnuty z poprzedniej części zgoła logicznie. Ta pierwsza część zawiera rady, bardzo praktyczne: krajać należy często a niewielkie kawałki, nie sięgać do misy przed innymi, zacniejszymi, nie siedzieć przy stole jak kół. Panny muszą być delikatne: „panny! tego się trzymajcie, małe kęsy przed się krajcie“. Młodzieńcy zaś winni służyć przy stole pannom. Stąd rozwija się traktat o zacności i szlachetności płci niewieściej, w słabej formie ale bardzo gorącymi słowy. Co jest na świecie wesela, to tylko pannom zawdzięczamy; dobra pani to klejnot, a „przepaśćby mu, kto ją gani!“; chwalić musi panie każdy, kto jeno ma zacną duszę. Książ-

żęta, wstają przeciw nim i dają im chwałę. Tę zacność zaś, to poszanowanie, odbierają niewiasty przez cześć dla Matki Bożej.

Autora tego wiersza znamy po imieniu, nazwał się bowiem sam przy końcu wiersza, prosząc Boga o łaskę dla siebie. Był nim jakiś Słota lub Złota. Sądząc z utworu samego, był to człowiek świecki i rycerz, wychowany w obyczajach zachodnich, gdzie właśnie kult niewiasty, *Frauentienst*, był w pełnym rozkwicie. U nas śladów takiego kultu jest niezmiernie mało, widać nie odpowiadał on usposobieniu narodu a może raczej stopniowi jego kultury; jednym z takich śladów ze znaczeniem więcej teoretycznym jest wiersz Słoty.

Inny utwór dydaktyczny traktuje o wyborze żony: nie wybieraj oczyma, ale słuchaj „cichymi uszyna“, czy dobra, czy rządzna i gospodarna; liczko rumiane i posąg mogą zdradzić, przymioty duszy nie. Wiersz ten był widać bardzo ulubiony, bo zachował się w kilku odpisach, co w naszej średniowiecznej literaturze jest nieomylnym znakiem rozpowszechnienia utworu; przekazały go zaś rękopisy z kazaniem. Kazania wypisywano po łacinie, mówiono po polsku. Dla ożywienia wykładu wplatano niejednokrotnie wiersze. Tych już nie można było w rękopisie notować po łacinie, musiano je zapisać w brzmieniu polskim, i temu zawdzięczamy zachowanie kilku polskich wierszy.

Jeszcze jeden utwór dydaktyczny, ciężki i małej wartości, w którym są wyłożone zasady ortografii polskiej, zaczynający się:

Kto chce pisać doskonale  
język polski, i też prawie, (= dobrze)  
umiej abecado (= abecadło) moje,  
którem tak wypisał tobie.

Ująwszy pewną część reguł w rymy, autor dał reszcie za wygraną i odsyła do wypisanego poniżej abecadła, może przez wzgląd na czytelnika, jak sam twierdzi („ale bych ci

nie przedłużyć, ani tęskności uczynił, patrzy abecada mego, tobie tu napisanego“) albo może napisanie dwudziestu przeszło wierszy było zbyt wielką dla niego pracą, aby ją mógł dalej kontynuować.

Z pierwszego dziesiątka lat XV wieku pochodzą dwa urywki pieśni miłosnych. W jednym poeta narzeka na miłość, że go oślepiła i tak jej się oddał, że już nikogo nie zna; w drugim upomina dziewczynę, aby miłowała wiernie, w przeciwnym razie dyabeł będzie panem jej duszy. Zato w późniejszych już latach spotykamy dwuwiersz, w którym miłość występuje jako przeszkoda do osiągnięcia rzeczy niebieskich: „o ganiebna lubości, iż nie dbasz niebieskich słodkości“.

Przepisywanie rękopisów było ciężką pracą. Jeden z naszych kopistów dodaje na końcu rękopisu taką uwagę: „kto nie umie pisać, ten mniema, aby mała była robota“. Otóż tę pracę uprzyjemniano sobie w taki sposób, że czasem wpisywano jakieś zdanie żartobliwe, jakiś wierszyk nie należący do rzeczy, zwłaszcza na końcu kodeksu. Tym sposobem powstały takie dwuwiersze:

*dum bibo piwo  
stat mihi kolano krzywo,*

albo inny, w którym się pisarz tłumaczy, dlaczego źle napisał:

*przeto źle napisano,  
iże mało piwa w dzbanie miano.*

Takim też sposobem dostał się pomiędzy traktaty łacińskie wiersz przeciwko piwu. Poeta przestrzega kapłana, aby, jeżeli chce „polepszyć dusze swej“, nie mawiał często: „piwa nalej“, „boć piwo jest dziwny olej“, i tylko się później z księży chłopi natrzęsają.

W połowie XV wieku spotykamy się z najciekawszym z pomiędzy wierszy świeckich. Jest to kantylena o Wiklefie. Andrzej Gałka z Dobczyna, *magister artium* w akademii krakowskiej, był zwolennikiem Wiklefa i jego naukę wyłatał

z katedry. Z innych powodów, nie dogmatycznych, musiał się udać na pokutę do klasztoru mogińskiego. Książki swoje zostawił u jednego z profesorów. Te książki w czasie jego nieobecności przejrzano i znaleziono odpis dzieł Wiklefa. Gałce groził proces, więc uciekł na Śląsk. Stamtąd napisał na swą obronę między innymi list do jednego z magnatów, a z listem wysłał kantylenę, ułożoną po polsku. Ta kantylena jest tak śmiała, taka zuchwała i energiczna, że podobnych jej trzeba szukać pomiędzy husyckimi pieśniami czeskiemi, w Polsce zaś dopiero w epoce reformacji. Jest krótka, zwięzła, dosadna, występuje gwałtownie przeciw papieżowi i jego księżom „cesarskim“, a wynosi pod niebiosy Wiklefa i jego naukę, i jego kapłanów, „Chrystusowych“.

Zaczyna się butnie:

Lachowie, Niemcowie,  
wszyscy językowie <sup>1)</sup>  
wątpicie-li w mowie,  
w wszego pisma słowie:  
Wikleń prawdę powie.

Jemuż nie <sup>2)</sup> równego  
mistrza pogańskiego,  
i chrześcijańskiego,  
ni będzie większego  
aż do dnia sądnego.

:

Mędrzec ten jawnemi uczynił wszystkie rzeczy pospolite, zakryte mędrcom, „od boskich rozumów aż do ludzkich umów“, popisał mianowicie „z pełności“ o godności cerkiewnej, o panowaniu antykrysta i o złości niniejszych popów <sup>3)</sup>. Różnica między prawdziwymi kapłanami a cesarskimi: kapłani Chrystusowi naśladowują Chrystusa i rozszerzają jego naukę, cesarscy zaś to są antykrystowie, „ich moc nie od Krysta, ale od antykrysta“. Największem złem jest bogactwo księży,

<sup>1)</sup> Narody. <sup>2)</sup> Niema.

<sup>3)</sup> Pop po staropolsku jest zwykłą nazwą na księdza wogóle.



posiadanie dóbr i majątków. Zaczęło się ono od Konstantyna. Cesarz ten pierwszy dał papieżowi mienie, a po nim dawali świeccy, oszukani przez księży, stąd też ich potomkowie są w nędzy. (Książdz Andrzej miał jedną z najbogatszych prehend, św. Floryana na Kleparzu). Jeśli się chcemy tej nędzy pozbyć, „musimy się bogu modlić a miecz naostrzyć, antykrysty pobić“. Tym mieczem jest słowo Chrystusa, prawda:

Prawda rzecz <sup>1)</sup> Krystowa,  
 też antykrystowa;  
 prawdę popi tają,  
 prawdy się lękają,  
 też pospółstwu bają.

Kończy się wiersz prośbą do Chrystusa o prawdziwe kapłany, którzyby „prawdę wiedli, antykrysta pogrzebli, nas k' tobie przywiedli“.

Jako utwór polemiczny, służący do propagandy, odpowiada kantylena bardzo dobrze swojemu celowi. Krótka, bo z pieśni nikt się zasad jakiejś nauki nie uczy, tylko się nią ma zapalić, energiczna i dosadna w wyrażeniach, przez tę energię i przez wyrazistość, którą jeszcze popiera doskonała forma, ma ona znaczną wartość poetycką i obok Dyalogu o śmierci może stanąć na czele naszej średniowiecznej poezji. Z wierszem tak dobrze napisanym nie spotkamy się wcześniej, aż dopiero gdzieś w połowie XVI wieku. Dodajmy jeszcze, że takich husyckich pieśni było więcej; dobrze, że choć jedna ocalała, aby w polskim języku świadczyć o ruchu, który nie musiał być u nas mały i słaby, i tylko uległ silnej ręce i rozumowi Oleśnickiego. Jest też kantylena o Wiklefie jedynym polskim wierszem średniowiecznym, którego autora dobrze znamy i coś więcej o nim możemy powiedzieć.

Wypadki historyczne były z dawna tematem wierszy. Bitwę pod Grunwaldem opiewał poemat, wkrótce po niej

<sup>1)</sup> Mowa.

ułożony; niestety nie zachował się. W jednym z rękopisów z połowy XV wieku kopista po kazaniu zanotował, że w oryginale, z którego odpisywał, następuje wiersz polski o bitwie Grunwaldzkiej, ale go nie uważał za potrzebne przepisać. Mamy tylko jedną pieśń o zabiciu chorążego krakowskiego, Andrzeja Tęczyńskiego, przez pospólstwo krakowskie w roku 1461. Tęczyński znieważył w dotkliwy sposób płatnerza; mieszczanie ujęli się za swym współobywatelem, pochwycili Tęczyńskiego w kościele Franciszkanów, dokąd się był schronił, tam go zabili a trupa wlekli ulicami aż na ratusz. Spotkała ich jednak zato bardzo surowa, prawie okrutna kara. Całe to zdarzenie jest treścią wiersza, zaczynającego się od słów:

A jacy to źli ludzie, mieszczanie Krakowianie,  
 żeby pana swego, wielkiego chorągiewnego,  
 zabiliście chłopcy, Andrzeja Tęczyńskiego.  
 Boże się go pożałuj, człowieka dobrego,  
 iżę tako marnie zczedł<sup>1)</sup> od nierównia swego<sup>2)</sup>.

Wiersz, który zresztą wartość poetycką ma bardzo małą, jest z pewnością utworem szlachcica i może nawet którego z krewnych Tęczyńskiego; widać to z nienawiści i pogardy, jaką żywi dla mieszczan, których stale nazywa chłopami: „kłamacie chłopcy jako psy“ — w innym miejscu: „nie stoicie wszyscy za jeden palec jego“; kara wymierzona na miasto (padły głowy sześciu mieszczan) jeszcze się mu wydaje za małą: „już ci ich sześć sieczono, jeszcze na tem mało“. Wiersz jest czemś więcej aniżeli prostym opowiadaniem faktu. Podobnie jak samo zdarzenie jest on jednym z objawów antagonizmu pomiędzy potężniejszą szlachtą i potężnym jeszcze mieszczaństwem, a pośrednio pomiędzy żywiołem niemieckim i polskim.

Inny znowu utwór dotyka stosunku szlachty z chłopstwem. Jest to satyra na leniwych chłopów. Napisana przez

<sup>1)</sup> Zginał. <sup>2)</sup> Od ludzi nierównych mu godnością.

szlachcica, zapewne w końcu XV wieku, kiedy to lud zaczęto przymuszać do pracy na rzecz panów, przytwarzać go do gleby i zmuszać do pańszczyzny. Utwór bardzo ciekawy i bardzo charakterystyczny. Żali się w nim nasz szlachcic, że chłopci, mając panu dzień robić, częstokroć odpoczywają; „a robią silno obłudnie, ledwo wynidą pod południe, a na drodze postawają, rzekomo pługi uprawiają“; umyślnie tak robią, aby się panu źle urodziło; gdy pan przyjdzie, każdy dobrze orze, gdy odejdzie, jak najgorzej; umyślnie pogubi kliny, bieży do chrustu po inny, ale poszedłszy do chrustu „za krzem leży, nie rychło zasię wybieży“. Ciekawe są cztery ostatnie wiersze: zawierają one spostrzeżenie, które jeszcze i w naszych czasach nieraz zrobiono, że na pozór, to każdy chłop niezgrabny, głupi, „prawy wołek“, ale w rzeczywistości jest to „chytry pacholek“.

Satyra ta musiała trafić do przekonania szlachty, była rozszerzona i czytana; a jeszcze w wieku XVII spotykamy wiersz obszerniejszy i dokładniejszy, ale powtarzający partye z naszej satyry zupełnie dosłownie.

Pozostaje jeszcze kilka pieśni t. zw. Sandomierzanina, z końca XV wieku, słabe, nieudolne, i mniej ważne; jedna opowiada o napadzie Tatarów na Sandomierz, bardzo ogólnikowa; inna o odpustach w temże mieście („ile dni do roku bywa, tyle Sandomierz odpustów miewa“); inna wreszcie o klęskach, które w drugiej połowie XV wieku spadły na Polskę.

To byłby cały plon poetycki Polski średniowiecznej. Zajmowaliśmy się dotąd każdym jego działem z osobna — spojrzmy teraz na całość.

## V.

Jak cała nasza kultura chrześcijańska, tak i nasza poezya średniowieczna przyszła do nas z Zachodu. Stamtąd wzięła treść i formę, a zapatrzwszy się w te wzory, nastę-

pne rzeczy wyłącznie podług nich tworzy. Tem pochodzeniem i tą zależnością ona się niemal cała tłumaczy. Młodszość naszej kultury jest udziałem i naszej poezji średniowiecznej. Kiedy na Zachodzie mają trubadurów i minnesängerów, u nas poczyna się dopiero jaki taki ruch umysłowy. Wiek XIII w Polsce jest epoką początków tej oświaty, która obejmuje większe koło, nie tylko szczypty zakres księży i mnichów. Szerzy się zaś ta oświata od stolic biskupich i książęcych. Ale epoka podziałowa, burzliwa, niespokojna, tak dalece jej rozwojowi sprzyjać nie mogła. Dopiero gdy Łokietek państwo zjednoczył, a Kazimierz zjednoczone zagospodarował i wzbogacił, dopiero wtedy ze wzrostem dobrobytu wzrasta i oświata, obejmuje coraz większe koła i stale naprzód postępuje. W wieku XV jest już tak znaczną, że tak świetny skądinąd wiek XVI przecież nie wydał ludzi tej miary, co Długosz i Kopernik. Naturalną jest rzeczą, że w takich czasach oświata dociera tam, gdzie język łaciński mniej jest znany — powstaje już pragnienie słyszenia i czytania rzeczy, pisanych w języku narodowym. Stąd łatwo zrozumieć, dlaczego największy rozwój polskiej poezji średniowiecznej przypada właśnie na wiek XV. Przedtem było na nią zawczasie, grunt nie był dostatecznie przygotowany.

Formy tej poezji wzięte są z Zachodu. Rzekomej rodzimej formy nie znajdujemy. Jeden tylko jej rodzaj, ósmiozgłoskowy wiersz epiczny (w dialogu o śmierci, w legendzie o św. Aleksym, w satyrze na leniwych chłopów, w pieśniach Sandomierzanina i innych), bardzo rozszerzony, możnaby uważać za rodzimą formę słowiańską, zważywszy na jego rozpowszechnienie w poezji ludowej słowiańskiej, ale i ten pochodzi z Zachodu. Wielkiego bogactwa form nie znać. Pieśni mają zawsze budowę zwrotkową. Zwrotki rozmaite, od najprostszego dwuwiersza do bogatej kombinacji wierszowej. Spotykamy tę różnorodność wyłącznie w przekładach. Tam tłumacz starał się zachować budowę oryginału. Ale że poetą był słabym, więc mu się to rzadko udawało. Taka

naprzykład legenda o św. Dorocie, albo pieśń do Najświętszej Panny *Ave pulcherrima regina* mają w oryginale budowę zwrotki niezwykle misterną i sztuczną; w przekładzie zatarło się to zupełnie, tak, że gdybyśmy dziś nie mieli równocześnie oryginałów, odtworzenie pierwotnej formy byłoby w wielu razach niemożliwe. Najzwyczajniejszy jest wiersz ośmiozgłoskowy. Wyjątkowo (w pieśni do Ducha świętego i w pieśni o Tęczyńskim) spotykamy wiersz trzynastozgłoskowy. Kantylena o Wiklefie wyróżnia się formą od innych utworów, zbudowana ze zwrotek pięciowierszowych; jest to forma ulubiona w Czechach w czasach i pieśniach husyckich. Zważywszy treść tego utworu i jego genezę, zrozumiemy odrazu, skąd się wzięła jego forma, właśnie taka, nie inna. Zresztą utwory poezji świeckiej przedstawiają w formie mniej różnorodności od religijnej — właśnie dlatego, że są oryginalne.

O treści mówiliśmy w szczegółowym rozbiore. Utwory treści religijnej przeważają na liczbę. Ale nie można stąd wyprowadzać wniosku, jakoby cała ta poezja tkwiła w kościele i w życiu pozagrobowym. Wieki średnie wcale nie były wrogiem życia doczesnego; — rzecz to już dziś znana, ale warto ją jeszcze raz stwierdzić. Staraty się tylko utrzymać je w harmonii z życiem przyszłym, poza tem wcale go nie tłumili. Stąd obok religijnej mamy też i poezję świecką, żartobliwą, bohaterską, miłosną i t. d. Że w polskiej poezji jest tych utworów znacznie mniej, to nic dziwnego. Zaczęła się ta poezja przez kościół i w kościele, a jeszcze nie zdążyła się rozwinąć tak, jak się rozwinęła na Zachodzie, mając lepsze po temu warunki co do czasu i co do tematów. Naturalną tedy rzeczą, że utworów świeckich będzie mniej, religijnych znacznie więcej.

Bezwzględna wartość całej tej poezji jest bardzo mała. Forma zwykle niedołączna, brak jasnego układu bardzo częsty, rym nędzny, rytm kulawy, wyrażeniom zwykle nie dostaje mocy i wyrazistości. Takie wiersze nie mogą mieć prawa do nazwania ich dobrymi, cóż dopiero pięknymi!

A stan taki wyda się jeszcze biedniejszy, skoro się rozejrzemy po współczesnych literaturach europejskich. Czeska wydała dotąd wielką liczbę pieśni i legend, wierszy miłosnych, dydaktycznych, satyrycznych, wydała wszystkie rodzaje, panujące na Zachodzie, od bajki do epepei; zakwitła w niej rycerska romantyka, romanse wierszowane, fantastyczne legendy, epos rycerskie, w tem ostatniem zwłaszcza Alexandreis. Niemiecka ma wtedy w zakresie poezyi ludowej Nibelungi i Gudrun, w sztucznej cały minnegesang z Walterem z Vogelweide na czele, że wszystkie inne rodzaje pominiemy. Francuzi mają najwspanialszą w świecie średniowiecznym lirykę i pieśni o Rolandzie, Hiszpanie pieśni o Cydzie. W literaturze włoskiej trzy imiona: Dante, Petrarca, Boccaccio. Gdy się od tych obrazów skieruje wzrok na poezję polską: jakież biedny widok!

A jednak, choć tak bardzo zostaje w tyle, choć taka biedna, poezja polska jest tamtych siostrą własną, rodzoną. Młodsza — może najmłodsza — mniej piękną, zapomnianą i zaniedbaną, ale niemniej siostrą. Są one wszystkie do siebie podobne, wszystkie mają te same rysy, wspólny jest wszystkim początek i pochodzenie, ten sam duch, ta sama istota.

W literaturze nowożytnej panuje przedewszystkiem indywidualność. Jej utwory są obrazem ducha jednostek, indywidualuów. Dopiero na dalszym planie widzimy obraz ogółu — społeczeństwa, narodu, kraju i t. d., a obraz ten nie jest niczem innym, jak kombinacją rysów obrazów jednostkowych, z nich się składa, bez nich nie mógłby istnieć. Całkiem przeciwnie jest w literaturze średniowiecznej. Tam jednostka ginie, nie znać jej. Całe tło wypełnia sobą masa. Literatura średniowieczna jest obrazem ogółu. I to nietylko jednego narodu, ale całej Europy chrześcijańskiej. Cała Europa chrześcijańska jest jednym społeczeństwem. Różnice grup, na to społeczeństwo się składających, są bardzo nieznaczne — jeszcze mniejsze różnice indywidualuów w tych grupach. Literatura tego społeczeństwa również jest jedną, dzieli

się na grupy, różne naprzykład co do zewnętrznej szaty językowej, ale co do istoty swej te same. Tak samo nie wysuwają się z tła ogólnego jednostki. Różnice między nimi być muszą, ale różnice te nie dotyczą rzeczy zasadniczych.

Co jest tego przyczyną?

W poezji ludowej spotykamy ten sam objaw. I tam nie są istotnymi różnice miejsca, różnice osób — jednostka w niej ginie, występuje ogół.

Sądzę, że powodem tego jest niski stopień kultury. Oczywiście nie należy tego rozumieć w ten sposób, jakoby wieki średnie pogrążone były w barbarzyństwie. Tylko wieki te miały ten stopień kultury, na którym umysły wszystkich ludzi są do siebie podobne. Tak jest dzisiaj u ludu, wśród warstw niewykształconych, ostatecznie możnaby tu zaliczyć i bardzo wiele jednostek z tak zwanych warstw wykształconych — tak było w całych wiekach średnich. Dopiero później poczyna się różniczkowanie umysłów, i dopiero wtedy poczyna się indywidualizm. Przez całe wieki średnie niewiele naliczyć można ludzi, którzy nosili ducha innego, aniżeli świat ich otaczający — w literaturze może jeden Dante. Zato z chwilą, w której się poczyna Odrodzenie, jakaż odrazu różnaitość, jakie bogactwo indywidualuów! Włochy są klasycznym potwierdzeniem naszego zapatrywania. Tam kultura była zawsze wyższą, niż w reszcie Europy średniowiecznej, tam też potężnych, różnych od otaczającego je świata i ludzi i indywidualności najwięcej, tam też najwcześniej się poczyna i najwspanialsze wydaje owoce owo różniczkowanie umysłów ludzkich.

Jeżeli tedy wszystkie dusze są do siebie podobne, to i ich utwory będą również do siebie podobne. Tem się tłumaczy brak istotnych różnic pomiędzy poetami i wogóle pomiędzy literaturami średniowiecznymi.

Wobec tego zrozumiemy, że do utworów średniowiecznych musimy przykładać bądź co bądź inną miarę, inaczej się na nie zapatrywać, aniżeli na nowożytnie. Tutaj ka-

żda rzecz ma wartość, bo każda jest świadectwem o swych czasach, o ówczesnym społeczeństwie. Jedna będzie świadectwem mniej, druga więcej dokładnem; jedna mniej, druga więcej pięknem; ale ważne są wszystkie w jednakim stopniu, wszystkie zarówno zasługują na uwagę. I możemy ubolewać, że nie mieliśmy trubadurów albo Waltera z Vogelweide, możemy ubolewać, że nasza poezya średniowieczna jest nikła i słaba i brak jej piękności — pominąć jej, przejść obok niej obojętnie nie możemy. I nie potrzebujemy się w tem kierować sentymentalizmem, potrzebą serca, dlatego, że to jest poezya polska. Nie! ta poezya równie jak inne, więcej piękne, jest jako świadectwo równie dobra, równie ważna.

Dlaczego Polska średniowieczna nie wydała poezyi tak wspaniałej, jak zachodnia, to jest łatwo zrozumiałem. Późniejsze wciągnięcie jej w zakres cywilizacji chrześcijańskiej spowodowało późniejszy rozwój kultury. Z ludów Europy zachodniej i środkowej Polska najpóźniej przyjęła chrześcijaństwo i najpóźniej ono swój wpływ cywilizacyjny na nią poczęło wywierać. A że w naturze niema gwałtownych skoków lecz powolny, naturalny rozwój, więc rzecz jasna, że Polska XIV wieku nie mogła stać w kulturze tak wysoko, jak współczesna Francya. Zanim zaś polska poezya średniowieczna mogła się rozwinąć do takiej świetności (pozostając w swej istocie średniowieczną), jak gdzieindziej, przyszło Odrodzenie i pchnęło ducha ludzkiego — i poezyę — na inne tory.

Ta, o której mówiliśmy wyżej, powszechność literatury średniowiecznej, tłumaczy ją całą — w rzadkich tylko razach trzeba szukać innego wyjaśnienia.

Tłumaczy naprzód treść. Treścią literatury, w szczególności poezyi średniowiecznej, jest to, co zajmuje i obchodzi wszystkich, co myślą, o czem mówią i co robią wszyscy. Stąd rozumiemy, dlaczego w tej poezyi przeważa żywioł religijny. Stąd w liryce nie spotykamy wyrażenia takich uczuć, do którychby się nie mogli przyznać wszyscy.



Stąd też rozumiemy wiele innych rzeczy. Tak naprzykład kwestya oryginalności lub przekładu. Poecie średniowiecznemu nie chodzi o siebie, o sławę autorską. Jeśli więc znajdzie w innej literaturze utwór, który jego zamiarom odpowiada, to oczywiście nie tworzy sam nowego, ale przekłada utwór już gotowy i puszcza go w świat, nie zaznaczając, że to przekład. Jeżeli autorowi średniowiecznemu to potrzebne, to przepisze z innego autora dosłownie większą część traktatu i wcieli do swojej pracy, a nie jest to kradzież literacka, jak dzisiaj. To jest wspólna własność wszystkich i wszyscy z niej mogą czerpać. Pojęcie dzisiejsze własności literackiej nie istnieje. — I polska poezya średniowieczna w ten sposób postępuje. Stosunki są w niej takie. Wiersze świeckie są wszystkie oryginalne, niema wcale śladu jakiegokolwiek tłumaczenia. Z wierszy pobożnych mniejszą część stanowią przekłady, większą oryginały, choć nie zawsze oryginalne: dyalog o śmierci nie jest przekładem, ale jego twórca opracował łaciński traktat prozaiczny. Pomiedzy pieśniami przeważają przekłady, i to w części z języka łacińskiego — przekładano hymny i pieśni średniowieczne — w przeważnej zaś części z czeskiego. Wpływ czeski pod tym względem był znaczny. Do wielu pieśni znaleziono czeskie oryginały, do innych wprawdzie nie, ale nie ulega wątpliwości, że to jest przekład z czeskiego; świadectwa dostarcza język i forma utworu. Wpływu innych piśmiennictw, na przykład niemieckiego, nie znać w średniowiecznej poezyi polskiej wcale.

Przypatrzmy się poetom. Jednego znamy dobrze, kownika Andrzeja Gałkę. Innych wiemy tylko imiona. Więc Słota, autor przepisów o zachowaniu się przy stole; mistrz Maciej z klasztoru łysogórskiego; składał też pieśni jakiś Słopuchowski, również z klasztoru łysogórskiego; tradycya przekazała nam imię poety Ścibora z XV wieku. Zresztą możemy się tylko z samych wierszy domyślać autora: mnicha, ryceza, szlachcica. Ale czy o tych poetach co wiemy, czy nie

wiemy, jest to dosyć obojętne. Oni wszyscy stanowią jeden typ, który znowu niczem się nie różni od innych średniowiecznych. Osobistość poety ginie, zostaje tylko jego utwór, a utwór jest taki sam, jak wszystkie inne. Czy autor był księdzem czy rycerzem, czy starym czy młodym, bogatym czy żebrakiem, umysł jego był zawsze taki sam i zawsze takie same wydawał utwory. Jest to oczywiście skutek czy jeden z objawów owej średniowiecznej powszechności.

Zdążamy do końca. Nie zaszkodzi zapewne zrekapitulować krótko to, co mówiliśmy w tym ostatnim rozdziale. Polska poezja średniowieczna jest w najściślejszym związku z poezją zachodnią, jest jej jedną gałęzią, wyrastającą z tego samego pnia. Jest słabszą, jest mniej piękną, albowiem jest młodszą, powstała o kilka wieków później i później mogła się rozwinąć. Zaczyna się nie wcześniej, jak w XIII wieku. Do największego — względnego — rozkwitu dochodzi w XV wieku. Z całą literaturą zachodnią dzieli zasadnicze właściwości, jest tak samo jak tamta powszechną i anonimową. Jest też, jak tamta, świadectwem nie o jednostkach, ale o ogóle i ma wielką wartość jako świadectwo historyczne. Badanie jej jest integralną częścią badania nad kulturą polską.

# Najdawniejsze kołody polskie





**K**olędy: wyraz ten ma dla Polaka znaczenie szczególniejsze, sięgające daleko poza znaczenie zwyczajne, filologiczne. Kolędy, to dla Polaka nie tylko pieśni, śpiewane w czasie świąt Bożego Narodzenia. To coś dziwnie swojskiego i rodzimego, to jedna z naszych pamiątek narodowych. A chociaż krytyka filologiczna i historyczna tłumaczy nam, że początku naszych kolęd należy w każdym razie szukać poza naszymi granicami, my pomimo tego uważamy kolędy za jeden z najoryginalniejszych i najbardziej charakterystycznych produktów naszej kultury, naszego życia, naszego ducha. To bezwiedne niejako i nieświadome odczuwanie polskości, rodzimości naszych kolęd krytyką historyczną i filologiczną wstrząsnąć się nie da, i zupełnie słusznie. Przyszły do nas kolędy z Zachodu, to prawda; ale ta roślina z pod innego nieba u nas przyjęła się tak dobrze, że wytworzyła nowy typ, nową odmianę. Stąd zupełnie słusznie i z najspokojniejszym w świecie sumieniem możemy nasze kolędy uważać za wytwór specyficznie polski. Inne narody takich kolęd nie mają. Mają pieśni na Boże Narodzenie, nie mają kolęd. Odczuwamy to silnie, gdy nas losy rzuca na obczyznę. Bez kolęd święta Bożego Narodzenia tracą dla nas większą część tego uroku, który miały w domu. Podoba się nam i chętnie słuchamy *minuit chrétien* albo *stille Nacht, heilige Nacht*, ale te pieśni, choć piękne, nie są kolędami. Nam w czasie świąt Bożego Narodzenia potrzeba koniecznie kolędy polskiej; tej pieśni raz wesołej, drugi raz smutnej, rzewnej, raz wzniosłej, drugi raz nawet rubasznej; tej pie-

śni, w której pastuszkowie betlejemscy mają imiona Stacha i Wacha, Kuby i Kazimierza, w której szopka betlejemska taka podobna do zwyczajnej naszej chłopskiej szopy; w której cała przyroda z egzotycznością Wschodu niema nic wspólnego, bo to przyroda polska; pieśni, której melodia staroświecka tak żywo nieraz przypomina takt i nastrój uroczystego poloneza.

Czy to nasze umiłowanie kolęd jest skutkiem czy też może przyczyną ich polskości, ich rodzimego tchnienia? to na razie obojętne. Faktem jest, że kolędy stały się nam jednym z koniecznych, istotnych składników naszego życia religijnego. Widać to dobrze po tem, jak się je śpiewa. Nie jeden z nas pamięta, „kiedy miał dziewięć, dziesięć latek“, noc wigilijną na wsi, pamięta, jak wśród zimowej ciszy, wśród blasku księżyca, szedł na mszę pasterską; jak zaraz po odezwaniu się dzwonka odzywał się z chóru głos organisty: „Wśród nocnej ciszy“, i jak kościół cały pochwycił ten ton i całą siłą w odpowiedzi zaśpiewał: „Głos się rozchodzi“. Jak wtedy kościół cały huczał poprostu, jak nie było nikogo, kto by nie śpiewał! starzy i dzieci, zdrowi i osłabieni, mężczyźni i kobiety: wszyscy śpiewają, wszyscy się cieszą z Bożego Narodzenia, wszyscy spieszą do Betlejem, chcąc przywitać Nowonarodzonego. A śpiew ten nie ustaje; skończy się jedna kolęda, zaczynają zaraz drugą i trzecią; nikt nie wyjdzie z kościoła, aż dośpiewają ostatniej zwrotki „Anioł pasterzom mówił“. I tak jest ciągle, od Bożego Narodzenia do Najświętszej Panny Gromnicznej. Kolędy rozlegają się po kościołach i po domach. W innej porze roku już tego zapалу, tej radości śpiewania niema; posłuchajmy najpopularniejszych nawet pieśni (np. niektórych pieśni do Matki Boskiej), a już widać, że nie śpiewa cały kościół, że lud cały nie jest tak rozmodlony w śpiewie, jak wtedy, gdy „kolęduje Małemu“.

Tak jest po kościołach wiejskich, na wsi. Ale nawet tak zw. intelligencya miejska, która — nawet gdy wierząca —

zatraciła ten ścisły związek z nabożeństwem, która pieśni naszych kościelnych starodawnych nie zna, nawet ta zna jeszcze i śpiewa kolędy. Tego na Zachodzie niema. Mają wprawdzie chłopi sabaudzcy *chants de Noël* i śpiewają je, mają Niemcy swoje *Weihnachtslieder*, ale nie jest to tak powszechne, jak u nas, nie jest — choć nieraz starsze wiekiem (kolędy francuskie sięgają wieków średnich, z niemieckich wiele pochodzi z pierwszych lat XVI wieku) — tak narodowe, jak u nas.

Jeżeli zaś kolędy mają dla nas tak wielkie znaczenie, to powinny być stać się przedmiotem bardzo szczegółowych badań. Należąc do różnych epok — bo mamy kolędy z XV wieku i z czasów najnowszych, np. „Pasterzu! Pasterzu! Czy widzisz, jakie światło tam?“, napisaną przez ks. J. Hołubowicza T. J., w ostatnich latach bardzo śpiewaną — nosząc przez to na sobie znamiona najrozmaitszych czasów, odbijające w sobie cechy czy to średniowiecznego czy renesansowego sposobu pisania, tchnące drugi raz barokiem lub sarmatyzmem: kolędy mimo to wszystko tworzą jeden organizm, tworzą jedną całość wskutek jedności, tożsamości motywów. Tem bardziej więc opracowania się dopraszają.

Tego opracowania dotąd jeszcze nie mamy. Pomijając drobne i dziś przestarzałe uwagi dawniejsze, możemy wskazać na jedną rozprawę o kolędach: prof. St. Tarnowskiego. Jest to studyum, napisane świetnie; i w tem, co ono mówi, trudno powiedzieć coś lepszego. Ale studyum to ogranicza się do rozbioru psychologicznego i estetycznego kolęd. Jest to bardzo wiele, ale nie wszystko. Pozostaje jeszcze wiele pytań nietkniętych, natury więcej filologicznej, ale niemniej ciekawych i ważnych. Czekają na wyjaśnienie takie kwestye, jak początek i pochodzenie naszych kolęd; rozdzielenie kolęd według epok, w których powstały; zbadanie, które z nich miały żywot trwalszy i dłuższy, i dlaczego; wyszukanie imion autorów; zbadanie melodyi. Takie i tym podobne pytania, dotąd prawie zupełnie nieporuszone, domagają się odpowiedzi.

Temat i praca rozległe. Trzeba przecież przejść pięć wieków literatury polskiej; sięgnąć do kancynałów i do poetów świeckich; nie wystarczy zadowolić się drukami, ale trzeba sięgnąć i do rękopisów; trzeba się zapoznać z muzyką. Trzeba, aby zbadać kolędy polskie, traktować rzecz porównawczo, więc sięgnąć do kolęd czeskich, słowackich, francuskich, łacińskich. Trzeba wciągnąć w zakres badania pieśni ludowe, pokrewne kolędom. I tak dalej — jednym słowem książka, któraby była taką encyklopedyą kolęd, wymaga pracy niemało.

Zanim się taka książka ukaże, przypatrzmy się jednemu jej rozdziałowi. Zbadajmy najstarsze kolędy polskie, z wieku XV i XVI. I takie ujęcie tematu ma rację. Największy rozwój i rozkwit naszych kolęd przypada mniej więcej na wiek XVII i XVIII; z tych dwóch wieków pochodzą kolędy najpiękniejsze, najwięcej rozpowszechnione, najoryginalniejsze, w tych wiekach powstało tych kolęd najwięcej. Ale zanim się tak rozwinęły, zanim doszły do swego szczytu, miały okres stopniowego rozwijania się z małych początków. A to przypada właśnie na wiek XV i XVI. Stąd kolędy tych dwóch stuleci można znowu ująć razem, jako pewną grupę utworów, mających wspólne znamiona.

Badanie tych właśnie kolęd jest więcej ułatwione od innych: posiadamy bowiem w Rozprawach wydziału filologicznego Akademii (w tomie 19) „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku“, zebrane i wydane przez M. Bobowskiego; zbiór bogaty, dotąd mało wyzyskany, obejmuje 181 pieśni. Uzupełnienia znajdują się w rozprawie prof. Brücknera „Drobne zabytki języka polskiego XV wieku“ (w 25 tomie Rozpraw). Obie te rozprawy zawierają cały materiał, jaki nam jest dzisiaj dostępny. Wśród mniej więcej dwustu pieśni znajduje się czterdzieści osiem kolęd. To jest cały nasz zasób z tych dwóch stuleci. Oczywiście mowa tu jest wyłącznie o pieśniach nabożnych. Pomijamy zaś obecnie kolędy o charakterze świeckim, czę-



ste u poetów XVI wieku; nie będą one pominięte w pracy, obejmującej całość, zbytecznymi byłyby w jednym rozdziale. Tutaj wszystkich pytań, związanych z kolędami, rozstrzygnąć niepodobna; niektóre zaznaczymy, inne pominiemy, albowiem materiał, którym na razie rozporządzamy, jest za szczupły, aby się można na jego podstawie kusić o rozwiązanie wszystkich zagadek.

\* \* \*

Mamy tedy na blisko dwie setki pieśni nabożnych katolickich czterdzieści osiem kolęd. Jest to procent znaczny, największy ze wszystkich; pieśni ku czci Matki Boskiej znajdujemy w zbiorze Bobowskiego czterdzieści i jedną. Czy ta znaczna liczba kolęd świadczy o tem, że już w wieku XV i XVI ten rodzaj pieśni nabożnej staje się tak popularnym? Sądzę, że jeszcze nie. Zobaczmy później, skąd się bierze tak znaczna liczba. Nie należy też zapominać, że niektóre z tych „pieśni“ wyglądają na obszernie poemata opowiadające raczej, aniżeli na prawdziwe pieśni do śpiewu.

Na wiek XV przypada kolęd sześć, na XVI cała reszta. Widzimy, jak ogromnie stosunek się zmienia. Na 45 pieśni z wieku XV kolęd 6, na 136 z wieku XVI kolęd 42. Z tych liczb znowu widać, i to już bardzo wyraźnie, że kolędy w wieku XV jeszcze nie rozpowszechniły się zbyt, podczas gdy wiek XVI jest jakby ich początkiem, i to odrazu na wielką skalę. Ale i z tego jeszcze nie wynika, jakoby kolędy XVI wieku już były tak popularne, jak późniejsze; kiedy w dzisiejszych kantyczkach spotykamy kolędy z wieku XVII lub XVIII jedną za drugą, i słyszymy je śpiewane w kościele, to z kolęd XVI wieku bardzo niewiele przeszło do naszych czasów. Wiek XVI był dla kolęd niejako wiekiem próby. Weszły kolędy do polskiej hymnologii odrazu w ilości znacznej, ale zanim się należycie utrwaliły i przyjęły, większa ich część zaginęła, i tylko spełniła swe zadanie w ten sposób, że utorowała drogę kolędom XVII stulecia.

Do tej sprawy wrócimy jeszcze później, teraz idźmy za porządkiem.

Najstarsza kolęda polska zapisana jest w rękopisie pod rokiem 1424; druga 1435; trzecia 1442. Są to daty rękopisów; utwory same mogą być wcześniejsze.

Tę najstarszą kolędę warto tu przytoczyć w całości; warto się przypatrzeć, jak wygląda pierwsza z tych pieśni, które później tak się rozpowszechnią. Wydał ją po raz pierwszy Brückner w wymienionej rozprawie <sup>1)</sup>; powtarzamy ją za nim, zmieniając starą pisownię na dzisiejszą.

Zdrów bądź <sup>2)</sup> królu anielski,  
K nam na świat w ciele przyszedł <sup>3)</sup>,  
Tyś zajisty <sup>4)</sup> Bóg skryty,  
W święte czyste ciało wlitý <sup>5)</sup>.

Zdrów bądź stwórcy wspaniałemu stworzenia <sup>6)</sup>,  
Narodził się w uciropieniu,  
Prze swego ludu zawińienia.

Zdrów bądź panie ot panny,  
Jenż się narodził za ny <sup>7)</sup>.

Zdrów bądź Jezu Kryste królu,  
Racz przyjąci <sup>8)</sup> naszą chwałę,  
Racz daci <sup>9)</sup> dobre skonanie,  
Prze twej matki zasłużenie,  
Abychom <sup>9)</sup> cię wždy <sup>10)</sup> chwalili,  
Z tobą wiecznie królowali. Amen.

Tak wygląda najdawniejsza polska pieśń o Bożem Narodzeniu. O podobieństwie do kolęd późniejszych niema jeszcze mowy. Widzimy, że pierwsza część pieśni to rozumowanie, druga — prośba. Nie znać ani tej wielkiej radości z Bożego Narodzenia, ani tej naiwnej poufałości człowieka z Boskiem Dzieciątkiem, która stanowi taki wdzięk kolęd

<sup>1)</sup> Brückner, str. 225 i nast. <sup>2)</sup> Bądź pozdrowion.

<sup>3)</sup> Któryś przyszedł. <sup>4)</sup> Prawdziwy. <sup>5)</sup> Wlany, wcielony.

<sup>6)</sup> Forma zepsuta, zapewne przez kopistę. <sup>7)</sup> Za nas.

<sup>8)</sup> Przyjąć, dać. <sup>9)</sup> Abyśmy. <sup>10)</sup> Zawsze.

późniejszych. Wydaje się, jakby autorem tej pierwszej kolędy polskiej był jakiś umysł przy całej pobożności trzeźwy, suchy, racjonalistyczny, a nie umysł głęboko a po prostu czujący; umysł niepodobny do św. Franciszka z Assyżu. Ktoby był tym autorem, nie wiemy. O pochodzeniu pieśni możemy tylko wyrazić przypuszczenia. Właściwości językowe, jakoteż pewne właściwości formy zdają się dowodzić, że pieśń ta jest przekładem z czeskiego. Potwierdza zaś to przypuszczenie fakt, że nasza kolęda zapisana jest w postylli *Carcer animae* magistra Szczekny. Mistrz Szczekno (lub Szczekna), ozdoba uniwersytetu praskiego a następnie krakowskiego <sup>1)</sup>, bardzo możliwe, że przetłumaczył na polskie kolędę czeską i umieścił w swojej postylli; albo też kopista Polak, znalazłszy w oryginale kolędę czeską, przetłumaczył ją od siebie, dla użytku Polaków, na język polski. Jakkolwiek zresztą rzecz się miała, jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że pierwszą kolędę polską zawdzięczamy pośrednio mistrzowi Szczeknie.

Pieśń „Zdrów bądź królu anielski“, powtarza się jeszcze w dwóch późniejszych odpisach wieku XV, za każdym razem z pewnemi, nawet dość znacznemi, zmianami, co w wiekach średnich jest rzeczą zwyczajną. Trzykrotny odpis w trzech różnych rękopisach świadczy o rozpowszechnieniu pieśni; naturalnie jeszcze nie u ludu, lecz tylko pomiędzy klerykami.

Inna kolęda <sup>2)</sup>, z rękopisu z roku 1442, już się więcej dziwi niezwykłości faktów:

Stałać się rzecz wielmi dziwna:  
Panna syna porodziła  
Przeze wszej stradzy <sup>3)</sup> cielistej,  
Toć jest dziwne a nowe.

<sup>1)</sup> Zobacz o nim pracę ks. Fijałka: „Studia do dziejów Uniwersytetu krakowskiego i jego Wydziału teologicznego w XV wieku“, w *Rozprawach Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności* tom XXIX, strony 62—71.

<sup>2)</sup> Bobowski, str. 76—77. <sup>3)</sup> Zmazy, straty.

W innym zaś miejscu :

Słuchał-li kto takie dziwy,  
By trze królowie przyjeli <sup>1)</sup>  
Od wychoda słuńca k niemu,  
Dawając dary jemu,  
Tworcę swojemu.

Ta kolenda też, w przeciwieństwie do poprzedniej, pierwsza z naszych kolęd zawiera wezwanie do radości, do wesołości, wezwanie, które się tak często będzie później powtarzać:

Radujmy się, weselmy się,  
W Betleem, małym mieście  
Bóg narodził się.

Tak brzmi *Repetitio* po każdej zwrotce. Co dowodzi także i tego, że kolęda ta już z góry przeznaczona była do śpiewu, że była pieśnią.

Kolęda „Stałać się rzecz wielmi dziwna“ jest przekładem oryginału czeskiego.

Wpływ czeski ogranicza się do powyższych dwóch pieśni. Jest więc niewielki, podczas gdy w zakresie innych pieśni lub w ogóle innych gałęzi piśmiennictwa polskiego średniowiecznego był daleko silniejszy.

Z reszty kolęd średniowiecznych jedna <sup>2)</sup> („Chrystus się nam narodził, Jenż dawno powieszczon był“) pochodzi ze znanego kancyonału Przeworszczyka z roku 1435; druga („Dziękujmy wszyscy Z tej Bożej dobroci“) jest rozszerzoną parafrazą sekwencji Grzegorza Wielkiego *in galli cantum* (*Grates nunc omnes*), przekład dosłowny mamy w wieku XVI; trzecia ma w swej budowie sztuczkę poetycką: pierwsze litery zwrotek tworzą abecadło („Augustus kiedy królował“). Dwie ostatnie kolędy <sup>3)</sup> może jednakże pochodzić już z wieku XVI.

<sup>1)</sup> Przyjechali. <sup>2)</sup> Bobowski, strony 75—76.

<sup>3)</sup> Brückner, strony 226—227.

Najciekawszą z kolęd jest tak zwana rotuła kolędowa<sup>1)</sup>, pochodząca jakoby z połowy wieku XV (ale możliwym jest też pochodzenie jej późniejsze). Jest to właściwie pięć pieśni, różnych formą. Pierwsza mówi o tem, że:

Panna Pana porodziła,  
Panna Pana Zbawiciela,  
Stworzyciela, Pana naszego,  
Miłego Ducha świętego,

i wzywa do wesela z tego powodu:

Wiesielmy się dzisiaj ninie,  
Bo przez Jego narodzenie  
Mamy zbawienie.

Pieśń druga odzywa się do białskich panów, pań, pańien i żaczków; stąd wniosek, że może śpiewaną była na jakimś przedstawieniu, widowisku, w jakiejś Białej, na przedstawieniu być może szkolnem. Rotuła, o której mówimy, jest przekładem z łaciny. Otóż w tekście łacińskim czytamy:

Vos bialinenses parvuli,  
Omnes et singuli,  
Date laudes Christo nato  
To to to domino.

Za przykładem łacińskiej pieśni polska także sobie przyśpiewuje:

Nuż wy bielscy panowie,  
Panny, panie, żaczkowie,  
Dajcie Bogu chwałę za to,  
Za to, za to, to, to, to, to,  
Iż się narodził.

Takie radosne pokrzykiwanie spotykamy i w trzeciej pieśni:

Mesyasz wierny Chrystus nasz  
Objawił ci nam już swój czas  
Eja, eja, swego narodzenia.

I tak po każdej strofie powtarza się eja! eja!

---

<sup>1)</sup> Bobowski, strony 77—80.

Pieśń czwarta zaczyna tak, jak dzisiaj niejedna piosnka ludowa: „Stała się nam nowina“. Tak samo zaczyna jedna z kolęd XVI wieku: „Stała się nam nowina tego to księżyca“; inna znowu powtarza niemal bez zmiany pierwsze dwa wiersze: „Stała się nam dziś nowina, Nigdy taka nie była“ <sup>1)</sup>).

Pieśń piąta wreszcie jest modlitwą do Matki Bożej, by prosiła Synaczka swego,

Aby nam raczył daci,  
W przybytku mieszkaci,  
Gdzież to sam przebywa,  
Wesela używa.

Ta rotuła kolędowa jest ciekawa naprzód z tego względu, że jest jedyną między średniowiecznemi, o której możemy z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że była śpiewaną, podczas kiedy inne wyglądają na wyłącznie książkowe. Dalej — że jest przekładem kolędy łacińskiej; zobaczymy później, że w wieku XVI przekłady takie z łaciny są stosunkowo bardzo liczne, i jeżeli gdzie mamy szukać pierwowzoru naszych kolęd, to przedewszystkiem w hymnologii łacińskiej; nasza rotuła byłaby chronologicznie pierwszą w tym szeregu. Wreszcie podkreślić należy i to, że w rotule spotykamy się z pewną rozmaitością tonów, w przeciwieństwie do dwóch starszych kolęd, z pewną swobodą i wesołością, co kolędy późniejsze rozwina jeszcze bardziej. Rotuła jest jakby pierwszą kolędą prawdziwą, w tem znaczeniu wyrazu, w jakim zwykle „kolęde“ sobie wyobrażamy.

Toby był cały plon kolędowy, zebrany w Polsce średniowiecznej, w XV wieku. Niewiele tego wszystkiego. Ale to rzecz naturalna. Literatura polska średniowieczna nie jest bogatą ilościowo; więc zadowoleni jesteśmy już tem, że z różnych rodzajów literackich z owych wieków przeszły do nas przynajmniej ich przykłady. Powstaje dalej ta literatura

<sup>1)</sup> Bobowski, strony 214, 229.

dość późno, późno więc pojawiają się i kolędy. Żadna z tych kolęd średniowiecznych nie miała dłuższego życia; jedna tylko (z kancyonału Przeworszczyka) powtarza się w kancyonałach z roku 1521; do naszych czasów nie doszła żadna. Omawialiśmy je jednakże szczegółowiej, bo one są pierwsze, najwcześniejsze, są poprzedniczkami typowych kolęd późniejszych. Jako taki początek zasługiwały na uwagę.

Przejdźmy teraz do wieku XVI.

\* \* \*

Kolędy XV wieku kryją się po rozmaitych rękopisach: między kazaniami, postyllami, modlitwami; osobnego, samodzielnego zbioru pieśni, jakiegoś kancyonału polskiego z tych czasów nie znamy (z wyjątkiem kancyonału Przeworszczyka, który widział i miał Juszyński, ale którego my już nie znamy, bo zaginął). Natomiast kolędy XVI wieku doszły do nas w innym stanie; przeważnie w kancyonałach. W szczególności rzecz przedstawia się w ten sposób:

Dwie kolędy pochodzą z kancyonału z roku 1521<sup>1)</sup>; ten kancyonał także zaginął, pewną ilość pieśni z niego podał Juszyński w „Dykcyonarzy poetów polskich“;

pięć kolęd przechowały nam dwa wydania „Żywota Pana Jezusa Krysta“ Baltazara Opecia, z roku 1522<sup>2)</sup>;

trzydzieści dwie kolędy znajdują się w dwóch rękopiśmiennych zbiorach pieśni, z roku 1551 (w bibliotece książąt Czartoryskich) i z lat 1551—1555 (w bibliotece Kórnickiej<sup>3)</sup>;

trzy wreszcie są w osobnych drukach ulotnych<sup>4)</sup>.

Z dwóch kolęd kancyonału z roku 1521 jedna jest wspomnianą już pieśnią średniowieczną („Chrystus się narodził“), z pewnemi oczywiście zmianami. Jest to, jak wspomnieliśmy, jedyna z kolęd średniowiecznych, która żyła ży-

<sup>1)</sup> Bobowski, str. 132—133. <sup>2)</sup> Bobowski, str. 136—162.

<sup>3)</sup> Bobowski, str. 179—330. <sup>4)</sup> Bobowski, str. 346—352.

ciem dłuższem; trzecia jej odmiana znajduje się jeszcze w kancyonale krakowskim z roku 1643, a więc w dwieście lat po pierwszym tekście <sup>1)</sup>. Druga z tych kolęd to znana do dziś dnia: „Kiedy król Heród królował“. Figuruje ona jeszcze dzisiaj w kantyczkach, znaną jest i śpiewaną. A więc z kolęd dzisiaj żyjących jest ona najstarszą, dobiega jej 400 lat wieku. Przez ten czas musiała się nieco zmienić, co jest rzeczą zupełnie naturalną; usunięto archaizmy, zmieniono nieraz cały wiersz, w zasadzie jednak pieśń dzisiejsza jest zupełnie tą samą, co w roku 1521. Dla pokazania zaś, jak tekst w ciągu wieków się zmieniał, podajemy kilka zestawień:

Tekst z roku 1521:

1. Kiedy król Herod królował,  
Nad żydy panował,  
Wtenczas sie Chrystus narodził,  
Aby lud swój wierny oswobodził.
5. Gdy to król Herod usłyszał,  
Iż tak jest, rozumiał,  
Złęknął sie i zmucił barzo,  
I z nim Jeruzalem wszystko miasto.
6. Tedy zebrawszy biskupy  
I licemierniki;  
Badając sie od nich pytał,  
Gdzie sie narodzić miał.
10. I rzekł im, gdy je najdziecie,  
Wiedzenie mi dajcie,  
Ja też do niego przyjadę,  
Wszego dobrego winszować będę.

Tekst dzisiejszy:

(„Pastorałki i kolędy“. Kraków, 1883 r., strony 98—100).

1. Kiedy król Herod królował,  
I nad żydami panował,

---

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 76.



Wtenczas się Chrystus narodził,  
By świat z grzechu wyswobodził.

5. Gdy to Herod wyrozumiał,  
Przełękłszy się, tak się zdumiał,  
Że z nim wszystko Jeruzalem  
Zażywało strachu z żalem.
6. Tedy zebrawszy biskupy,  
Mędrce i starce do kupy,  
Pyta wszystkich, chcąc dochodzić,  
Gdzie się Chrystus miał narodzić.
10. Idźcież spieszno wżdy królowie,  
Wysokich rzeczy mędrcomie,  
A ju tu was nazad czekam,  
I rad będę, gdy doczekam.

Najważniejsza zmiana stała się w drugim wierszu każdej zwrotki: w tekście najstarszym wiersz ten liczy sześć zgłosek, inne osiem; tak jest jeszcze w tekście z roku 1643 (w kancyonale krakowskim); natomiast tekst dzisiejszy wyrównał liczbę zgłosek we wszystkich wierszach do zgłosek ośmiu. Stało się to zapewne pod naporem melodyi. Inne zmiany nie sięgają tak głęboko, aby nawet można mówić o drugiej redakcyi: tekst dzisiejszy wyszedł z owego pierwszego z roku 1521.

A skoro już mówimy o kolędzie, która od wieku XVI przetrwała do dziś dnia, to przy sposobności wymieńmy i resztę takich; jest ich kilka, a stosunek tekstów dzisiejszych do dawnych jest rozmaity.

I tak mamy kolędę: „Gdy się Pan Jezus narodził“, z rękopisu w bibliotece Czartoryskich, z roku 1551<sup>1)</sup>. Jej napis brzmi: „O narodzeniu pana Jezusowym i o pannie przenaczystszej Maryej Matuchnie jego i o trzech królach“, ale właściwie jest to opowiadanie tylko o trzech królach. Otóż istnieje dzisiaj kolęda: „Gdy Marya porodziła, Gwia-

<sup>1)</sup> Bobowski, strony 219—223.

zda cudna się zjawiła“<sup>1)</sup>); ta kolęda nie jest identyczną z kolędą XVI wieku, jest daleko krótsza, ale cały sposób przedstawienia rzeczy jest tak uderzająco podobny, że musimy przypuścić dwie redakcje tej samej pierwotnie pieśni, wyszłe z jednego, nieznanego nam źródła; nie można zaś mówić, że tożsamość motywów (obie kolędy opowiadają pielgrzymkę trzech króli) spowodowała podobieństwo raczej zewnętrzne.

W tymże rękopisie znajduje się kolęda dzieci: „Już cię żegnamy o rozkoszne dziecię“<sup>2)</sup>. Tę kolędę z pewnemi zmianami, z których najważniejszą jest rozszerzenie, spotykamy w kantyczkach dzisiejszych<sup>3)</sup>. Pieśń to charakterystyczna, przytaczamy więc obydwa teksty:

Tekst z roku 1551:

1. Już cię żegnamy, o rozkoszne dziecię,  
Polecamy się twej naświetszej łasce.  
Nynaj, nynaj, nynaj,  
A nas nie zapominaj,  
Kiedy zemrzemy,  
Racz przyjąć nas na gody  
Wiekuiestej chwały.
2. Już cię żegnamy o naświetsza panno,  
Ublągaj grzesznym to miłe dzieciątko,  
Niechaj nyna, nyna,  
A nas nie zapomina i t. d.

Tekst dzisiejszy:

1. Już cię żegnamy o najmiłszy Panie,  
Dziękując za łask twych obfite danie,  
Lulaj... o nas dzieciach nie zapominaj,  
Kiedy będziem umierały,  
Racz nas przyjąć do swej chwały.

---

<sup>1)</sup> „Pastorałki i kolędy“, strony 65—66.

<sup>2)</sup> Bobowski, strony 203—204.

<sup>3)</sup> „Pastorałki i kolędy“, strony 95—96.

2. Już cię żegnamy, ukochania celu,  
Z Panny zrodzony, świata Zbawicielu,  
Lulaj... i t. d.
3. Już, już i ciebie żegnamy, Maryja,  
Proszę niechaj nam łaska Twoja sprzyja,  
Zasypiaj... o nas dzieciach i t. d.
4. Już, już i ciebie, o ojczyźnie mniemy  
Chrystusa Pana, nadobnie żegnamy,  
Spoczywaj... o nas dzieciach i t. d.

Tu już najmniejszej nie ulega wątpliwości, że kolęda dzisiejsza jest tylko przerobieniem i rozszerzeniem kolędy dawnej. O ile jednakże pieśń dzisiejsza jest rozpowszechnioną i śpiewaną, wskazać nie potrafimy.

W „Żywocie Pana Jezu Krysta“ Opecia znajduje się „pieśń piękna o obrzędzie bożego narodzenia“: „Z Bożego Narodzenia Anieli się weselą“<sup>1)</sup>; pieśń obszerna (18 zwrotek po 7 wierszy). Otóż w „Pastorałkach i kolędach“<sup>2)</sup> spotykamy kolędę, która jest jakby wyciągiem z tamtej. Zwrotka pierwsza jest w obu mniej więcej ta sama:

#### Wiek XVI:

Z Bożego Narodzenia  
Anieli się weselą,  
Radując się śpiewają,  
Jednego Boga chwalą:  
Panna Boga poczęła,  
Krystusa porodziła,  
Panna nieporuszona.

#### Dzisiaj:

Na Boże Narodzenie,  
Aniołów ucieszenie,  
Gdy z weselem śpiewają,  
Bogu cześć, chwałę dają.

---

<sup>1)</sup> Bobowski, str. 148—150. <sup>2)</sup> Str. 114—115.

Panna syna powiła,  
 Chrystusa porodziła,  
 Panną będąc jak była.

Po tej pierwszej zwrotce jednak teksty się rozchodzą; tekst dzisiejszy jest, jak powiedzieliśmy, jakby wyciągiem z dawnego.

Przetrwiała dalej do naszych czasów kolęda „Dzięki już wszyscy oddajmy Panu Bogu“<sup>1)</sup>, przekład sekweny *in galli cantum*, — oczywiście znowu z pewnymi zmianami<sup>2)</sup>.

Wreszcie zachowała się do dziś dnia i żyje w całej mocy jedna z najpopularniejszych kolęd, może najwięcej ze wszystkich śpiewana: „Anioł pasterzom mówił“<sup>3)</sup>. Podczas kiedy poprzednie (z wyjątkiem „Kiedy król Herod królował“) przechowały się może więcej w piśmie niż w ustach ludu, to „Anioł pasterzom mówił“ śpiewane jest powszechnie i przez wszystkich. Co zaś jest bardzo godnem uwagi, to fakt, że tekst pierwotny, mimo takiego rozpowszechnienia, doszedł do nas niemal nienaruszony. Jest tylko jedna zmiana większa. Pieśń dzisiejsza wyrzuciła z dawnego tekstu jedną zwrotkę, może dlatego, że nastrój jej i wyrażenia mniej są poetyczne od innych:

Nuż wy przekłęci żydzi,  
 Mówcie, co się wam widzi,  
 Zowiecie Jezusa synem cieśle,  
 W czym się bardzo mylicie,  
 Przeuczylście się.

W zamian za to wprowadziła na zakończenie zwrotkę „Bogu bądź cześć i chwała“<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 138. <sup>2)</sup> „Pastorałki i kolędy“, strona 60.

<sup>3)</sup> Bobowski, strony 309—310; z rękopisu Kórnickiego, lata 1551—1555.

<sup>4)</sup> Do zestawień używamy tylko jednego dzisiejszego zbioru kolęd, t. j. „Pastorałek i kolęd“, wydanych przez Ks. Misyonarzy w Krakowie, jako najbardziej rozpowszechnionego wśród ludu.

Tyle więc kolęd dożyło — ze zmianami większemi lub mniejszemi — do naszych czasów. ¶Niema ich wiele; z innych pieśni doszło nas stosunkowo więcej (n. p. z pieśni postnych i wielkanocnych). Czem ten objaw tłumaczyć? Zdaje mi się, że naprzód tem, iż wiek XVI to jest właściwy początek kolęd; a takich początków zawsze wiele ginie, tocząc z innymi po prostu walkę o byt. Drugi powód ważniejszy. Raz dany popęd twórczości w kierunku kolęd wywołał na tem polu w wieku XVII ogromną produkcję. Powstaje w wieku XVII wielka liczba kolęd, przewyższających swe poprzedniczki wartością czysto literacką, przewyższających je także i psychologicznie, t. zn. więcej odpowiadających pojęciom, poglądom, upodobaniom narodu. Stąd też kolędy wieku XVII rozpowszechniły się niezmiernie, zaćmiewiając sobą i usuwając w zapomnienie mniej doskonałe kolędy XVI wieku.

Wracamy teraz do przerwane go wątku. W „Żywocie Pana Jezu Krysta“ znajduje się kolęd pięć. Z tych trzy są przekładami starszych oryginałów łacińskich: „Dzięki już wszytcy oddajmy“ przekładem sekwencji Grzegorza Wielkiego (*Grates nunc omnes*); „Nastał nam dzień wesoły“ przekładem pieśni *Dies est leticie*, z XIV wieku pochodzącej; tak samo kolęda „Z Bożego Narodzenia Anieli sie wesela“ przekładem pieśni *In natali Domini gaudent omnes angeli*, pochodzącej również z wieku XIV<sup>1)</sup>. Dwie inne kolędy nie są właściwie pieśniami. Tytuł jednej: „Nabożna rozmowa świętego Bernata z Panem Jezusem, nowonarodzonym dzieciątkiem“, drugiej: „Nabożne i rozkoszne tolenie z przywitaniem i pozdrowieniem nowo narodzonego Pana Jezusa“<sup>2)</sup>. Są to obszerne poematy, których treścią jest Boże Narodzenie. Do śpiewu jednakże nie mogły być przeznaczone, są na to za długie, za długie są też pojedyncze wiersze, forma bardzo nieregularna, podczas gdy

<sup>1)</sup> Bobowski, strony 138, 139, 151.

<sup>2)</sup> Bobowski, strony 140, 144.

poprzednie mają formę świadomie muzyczną. Dla przykładu, że tak jest, cytujemy kilka zwrotek z obu utworów.

Z „Nabożnej rozmowy“ :

1. Zdrów bądź, Jezu maluśki, jenżeś król niebieski,  
O dzieciątko sławetne, wielmi śliczne;  
Stońce sprawiedliwości, świeco wszelkiej prawdy,  
Boże wielkiej miłości, mocności naszej wiary.
  
8. Panno nieporuszona, dziewico wybrana,  
Weźrzy na płacz sługi twego, nie opuszczaj, proszę ciebie,  
Daj Marya dzieciątko, które masz nam dać,  
Samo-ć zdrowie ubogich, samo-ć Jezu miły.

Z „Nabożnego i rozkosznego tolenia“ :

1. Dziecię namilejsze, proszę cię, nie płaczy:  
Aza twoje członeczki już drżą od zimna?  
Czyli jaski kamienne ciebie nie chcą trzymać,  
A grzechy tego świata przypędzają cię płakać?
  
21. Bądź z synem pozdrowiona, matuchno łaskawa,  
Prosi-ż za nami synaczka, boś ty miłosierna matka.  
Byśmy się polepszyli, szczęście dokonali,  
A tak z Twoją pomocą do nieba się dostali.

Otóż takie dowolności, takie nieregularności formy panują w obu utworach, które nie są pieśniami, ale utworami wierszowanymi w ogóle; także treść różni się nieco od zwykłych kolęd, jest tu więcej jakiejś kontemplacji, rozważania Bożego Narodzenia, więcej westchnień i apostrof do Dzieciątka, podczas gdy w innych kolędach mamy raczej epiczne opowiadanie bez tej rozwlekłości, jaka panuje tutaj.

Następują teraz w porządku chronologicznym dwa rękopiśmienne zbiory pieśni. Pierwszy z roku 1551 w bibliotece Czartoryskich, wydany po raz pierwszy przez Bobowskiego, zawiera czterdzieści pieśni, w czym większa część kolęd; drugi z lat 1551—1555 z biblioteki Kórnickiej, znany już przedtem Wiszniewskiemu i nazwany przezeń kantyczkami, ma (obok psalmów, modlitw rymowanych i prozaicz-

nych i t. p.) czterdzieści dwie pieśni, w czym znowu większa część kolęd. Pewna ich ilość jest wspólna obu rękopisom; prócz tego zaś w każdym z nich jest po kilka kolęd, nie znajdujących się w drugim. Tym sposobem w obu zbiorach znajduje się nowych, dotąd nieznanych pieśni kolędowych trzydzieści dwie. Widzimy więc, jak okazała to stosunkowo liczba; dwa te rękopisy zawierają dwie trzecie wszystkich naszych kolęd z wieku XV i XVI. Stąd też ich znaczenie dla historii kolęd jest bardzo wielkie. One nam dużo pomagają w zrozumieniu tego faktu, że pieśni polskie na Boże Narodzenie, w wieku XV tak jeszcze nieliczne, tak ogromnie rozpowszechniają się w epoce późniejszej. One dają nam klucz do rozwiązania tej zagadki.

Jest mianowicie między temi pieśniami jedna, której tytuł brzmi <sup>1)</sup>: „O nabożeństwie wielkim Franciszka świętego ku dzieciństwu Pana Jezusowemu; a jako ludzie ku temuż insze pobudzał znakiem i okazaniem zewnętrznym pieśń“. Otóż pieśń ta jest wierszowanym opracowaniem legendy o urzędzeniu jasełek przez świętego Franciszka z Assyżu. Mówi ona:

Toć jest miejsce duchowne, święte i nabożne,  
Które wybrał służebnik Jezusów osobny,  
Franciszek krześcijański, wszemu światu jawny,  
Cnotami okraszony, pokorny, spokojny.

Na pamięć narodzenia w Betleem Bożego  
Uczył jaski nowe z umysłu czystego;  
To słysząc lud w Grecium, w mieście tak rzeczonym,  
Wybieżał się dziwować jaskom uczynionym.

Św. Franciszek wszystko nagotował „i sianka w one jaski z wesołością nastał, wołu teze z osiełkiem wespołek postawił“. Nie uczynił tego jednakże z własnej mocy, lecz za zezwoleniem Ojca św.:

---

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 217.

Jasiek takich uczynić mąż ten byłby nie śmiały,  
 By był osobliwego dozwolenia nie miał  
 Od stolca papieskiego, ni by był tak śmiały  
 Franciszek ten pokorny, w domnimanu mały.

Dowiedziała się o tem, co św. Franciszek miał czynić,  
 okoliczna ludność. Zbiegli się tedy ku jasełkom, „nabożnie  
 śpiewając, Jezusa i Maryę mile pozdrawiając“. Zeszli się też  
 i bracia zakonni i stanęli u jasełek, „by w tym ojcu świę-  
 temu wdzięczność ukazali, a Dzieciątko z Matuchną mile po-  
 zdawali“. — Rozpoczęła się potem msza święta, w nocy;  
 wśród mszy

Stał u jasełek Franciszek, łzami pokropiony,  
 Na ciele i na duszy wszystkich przemieniony,  
 Jako gwiazda jaśniuchna, świecąca na morze;  
 Wesele, które tam niósł, Ty znasz Panie Boże.

Mąż niektóry z Grecium, rycerz Jan, powiadał później  
 pod przysięgą, że widział Dzieciątko, gdy je śpiące piasto-  
 wał św. Franciszek na rękach. Czytał potem św. Franciszek  
 ewangelję, po ewangelii zaś wygłosił kazanie,

Dzieciątko namilejsze barzo często mienił,  
 Ludzie wszyscy z pilnością tego przysłuchali,  
 Z nabożeństwa wielkiego rzewliwie płakali.

Kończy się pieśń temi słowy:

I my w tym naśladować ojca naświętszego,  
 Przyszliśmy, Jezu miły, do łóżka Twojego,  
 Wejrzy na nas ubogie, weźm nas w Swą opiekę,  
 A racz wlać duszom naszym niebieską pociechę.

Cała więc pieśń poświęcona jest opowiadaniu tego  
 faktu, że jasełka zaprowadził św. Franciszek.

W innej znowu kolędzie jest jedna strofa, zwracająca  
 się do braci zakonu św. Franciszka <sup>1)</sup>:

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 191.



Bracia zakonu mniejszego,  
 Naśladujcie Franciszka świętego:  
 Miłujcie Krysta miłego  
 I ubóstwo jego,  
 Przez wątplenia wszego  
 Królestwa wiecznego  
 Dostąpicie u niego.

Już z tych dwóch faktów możnaby wywnioskować, że nasze rękopisy pochodzą najprawdopodobniej z jakiego klasztoru franciszkańskiego <sup>1)</sup>; przypuszczenie to nabiera tem większej pewności, że w jednym z rękopisów znajduje się „Reguła i zakon świętego Franciszka popisan“, i modlitwa o ranach Pana Jezusa, do których Franciszkanie szczególnie mieli nabożeństwo <sup>2)</sup>. Zdaje się tedy nie ulegać wątpliwości, że te „kantyczki“ z połowy XVI wieku zawdzięczamy zakonowi św. Franciszka.

Jakież stąd dalsze wnioski?

Święty Franciszek powołał do życia jasełka; za jego przykładem piękny ten obyczaj piastowali i rozwijali dalej zakonnicy jego reguły <sup>3)</sup>, tak na Zachodzie, jak i u nas. — Przy jasełkach śpiewano pieśni nabożne, kolędy. Te kolędy zrazu niewątpliwie były łacińskie; ale ażeby i lud mógł brać udział, musiano dla niego przełożyć owe łacińskie kolędy na język ludowy, a w dalszem następstwie tego także i tworzyć nowe. Zatem zwyczaj urządzania jasełek pociąga za sobą rozbudzenie twórczości w kierunku kolęd. Tak było na Zachodzie, tak samo było u nas. Skoro Franciszkanie urządzali w swych kościołach jasełka, starali się także dostarczyć ludowi kolęd w jego języku. To nam tłumaczy, dlaczego nagle w połowie XVI wieku zjawia się naraz tak znaczna

<sup>1)</sup> Że napisane były dla zakonników wogóle, o tem świadczy wiele miejsc i zwrotów; w jednej n. p. pieśni poeta zwraca się wyraźnie do zakonników; w innej jest prośba do Dzieciątka, aby nie zostawało na mrozie w stajence, ale poszło z proszącymi do celi.

<sup>2)</sup> Bobowski, str. 180—181. <sup>3)</sup> Bobowski, str. 19.

liczba pieśni kolędowych polskich. Widocznie jasełka już się były przyjęły i zaaklimatyzowały. Już lud bierze w nich żywy udział — śpiewem; tem chętniej zaś to robi i tem więcej, że podczas zwykłego kościelnego nabożeństwa śpiew w języku ludowym ma zakres szczupły, ograniczony: śpiew ten rozlega się w języku łacińskim, a tylko niewielka liczba dawnych, autoryzowanych już pieśni polskich ma wstęp do kościoła. A że uczucie religijne tego ludu pragnie wypowiedzieć się wszechstronnie, także i w języku własnym, zrozumiałym dla wszystkich, przeto z tem większym zapałem korzystają ze sposobności takiego śpiewania, z jasełek. Że jasełka były bardzo popularne, na to mamy dosyć świadectw<sup>1)</sup> pośrednich; mamy dużo jasełek wyrażonych w rzeźbie i wypowiedzianych w utworach literackich (wiek XVII, XVIII); mamy te jasełka przecież jeszcze dzisiaj, choć niezupełnie w dawniejszej postaci.

Śpiewał tedy lud przy jasełkach kolędy polskie. Pierwsze, które w ten sposób powstały, mają wyraźne znamiona tego pochodzenia: kolędy z naszych dwóch rękopisów nieustannie wspominają o jasełkach, przypominają je ciągle, tak, że gdybyśmy nie mieli żadnego innego świadectwa, już z tego moglibyśmy twierdzić na pewno, że to pieśni jasełkowe. Skoro zaś raz przyzwyczajono się do jasełek i do kolęd, to twórczość na tem polu naturalnym biegiem rzeczy rozwijała się coraz bardziej. Nie można było przecież powtarzać nieustannie tych samych pieśni, musiały powstawać nowe. Jasełkom więc zawdzięczamy ogromne bogactwo naszych kolęd; one dały początek gromadnemu pojawieniu się pieśni, one ten płomień dalej utrzymywały i podsycaly; z jasełek wychodzi kolęda XVI wieku, jako twór pełen siły i zdolności do życia, jasełka to życie utrzymują i rozwijają.

Oto dlaczego owe dwa kancjonały z połowy XVI wieku są tak ważne; dzięki im możemy ten proces cały w jego

---

<sup>1)</sup> Por. n. p. świadectwo Hozjusza, cyt. u Bobowskiego, str. 20.

tworzeniu się podpatrzeć; dzięki im mamy rozjaśniony punkt wyjścia i rozumiemy dalsze linie rozwoju.

Rozpatrując się w tych kolędach, widzimy, że one już prawie zupełnie odpowiadają temu zwykłemu u nas pojęciu kolędy. Z wyjątkiem jednej rzeczy: spolonizowania i zlokalizowania. Tego tu jeszcze niema. Tu pastuszkowie nie mają jeszcze polskich imion; nie przynoszą darów przyrody polskiej; niema tu tej żartobliwości, tego humoru rodzimego, jaki mają kolędy późniejsze. To są jeszcze kolędy ogólniechrześcijańskie; mogły one powstać zarówno w Polsce, jak we Włoszech lub w Anglii. Czem się ten brak polskości tłumaczy? Oto zdaje się, że przeważna część tych pieśni nie jest oryginalną, ale tłumaczoną z oryginałów łacińskich. Bobowski sądzi, że „niedołężna forma tych pieśni obok wyszukanej, a niekiedy nawet wykwiintnej treści, każe nam się w nich domyślać przekładów, i to prawdopodobnie z łaciny, chociaż pierwowzory większej ich części nie są nam znane“<sup>1)</sup>. Spostrzeżenie to jest trafne. Możliwy je jeszcze poprzeć innymi argumentami. Kolędy te są przeznaczone do śpiewu; jako takie mają często po tytule napis: „ma notę“, „ma notę własną“ i t. d. Otóż ta uwaga może się rozumieć chyba tylko w ten sposób, że łaciński oryginał, znany i śpiewany, ma tę nutę, znaną i śpiewaną; wtedy ta sama nuta znajduje zastosowanie i do pieśni polskiej; inaczej ta notatka nie miałaby wiele sensu. Dalej — kolęda „Anioł pasterzom mówi“ ma łaciński napis *Angelus pastoribus dixit vigilantibus*. Nie trudno zobaczyć w tym napisie dwa wiersze:

Angelus pastoribus  
Dixit vigilantibus,

najwidoczniej początek łacińskiego oryginału. Co więcej — spróbujmy te dwa wiersze zaśpiewać tak, jak kolędę polską, a zgoda będzie uderzającą. Najwidoczniej „Anioł pasterzom

---

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 181.

mówi“ jest przekładem pieśni łacińskiej, zastosowanym ściśle do jej formy i do jej melodyi. Dalej — skoro tradycja jasełek była żywą w zakonie franciszkańskim, to musiała także być tradycja kolęd łacińskich, śpiewanych przy jasełkach; naturalną jest rzeczą, że zamiast tworzyć wszystkie pieśni nowe, Franciszkanie polscy przekładali na język polski istniejące już i uświęcone tradycją pieśni łacińskie. Otóż ten fakt, że te kolędy są przeważnie przekładami, wyjaśnia brak w nich pierwiastków lokalnych, wyłącznie polskich. Te pojawią się później, kiedy pobożna poezja polska zdobędzie się już na kolędy oryginalne, w których nie będzie krępowana więzami wzorów obcych i fantazyi, pierwiastkom rodzimym, danem będzie pole obszerne.

Ale z wyjątkiem owej polskości, kolędy XVI wieku mają już wszystkie znamiona kolędy takiej, jak ją sobie zawsze wyobrażamy.

Są to naprzód kolędy do śpiewu. Z nielicznymi wyjątkami takich utworów, które są raczej poematami, małemi eposami, wszystkie te wiersze są naprawdę pieśniami, przeznaczonemi do śpiewu i śpiewanemi. A kolęda może być tylko śpiewaną. Gdzie tego nie ma, tam jest wiersz, którego treścią, rozwiniętą w jakikolwiek sposób, jest Boże Narodzenie, ale nie ma kolędy. Tej bez śpiewu, bez melodyi, jako żywo nie potrafimy sobie wyobrazić. Ma przecież poezja XVI i XVII wieku bardzo dużo wierszy tej treści; nieraz nawet z napisem kolęda; pisał takie utwory Kochanowski, Szarzyński, Jagodyński, Grochowski, Miaskowski, Morsztyn, Kochowski, i tak dalej i tak dalej — możnaby lepiej powiedzieć, że nie było poety, któryby nie stąpił na te obszary. A jednak kolędami te utwory nie są, bo albo nie były przeznaczone do śpiewu, albo do melodyi się nie nadawały. One nieraz nie różnią się od prawdziwych kolęd ani formą ani treścią, a przecież jest między nimi a tem, co nazywamy i co odczuwamy kolędą, jakaś niezbyt ścisła, niezbyt zamarkowana, a jednak odczuwalna granica...

Kolędy odznaczają się ogromną różnorodnością form poetyckich. Rozpatrując się w samych tylko dwóch śpiewnikach franciszkańskich, jesteśmy zdziwieni tak wielkim w tym względzie bogactwem. Budowa tych kolęd jest stroficzną; zwrotki są najrozmaitsze, od trójwierszowych do ośmiowierszowych; wiersze w zwrotkach znowu najrozmaitsze, o najrozmaitszej ilości zgłosek. Jednostajność budowy w zwrotce należy do rzadkości. Popatrzmy n. p. na „Anioł pasterzom mówił“: zwrotka złożona z pięciu wierszy; wiersz pierwszy, drugi i czwarty, mają po siedem, trzeci dziesięć, piąty sześć zgłosek. A ta kolęda należy jeszcze do więcej regularnych i niejako monottonnych. Dla poznania innych przytoczmy kilka przykładów (posłużą one zarazem do pokazania samych kolęd):

O duszo moja, oto miłość twoja  
Z nieba stąpiła, w pannie się złożyła,  
Pan Jezus, ciebie szukając, żałując,  
Do nieba wzywając <sup>1)</sup>.

Albo:

W jasiłkach leży  
Kwiatek śliczny,  
Panieńskie porożenie;  
Jego tulą aniołowie,  
Nynu, nynu, nynu,  
Nie płacz panieński synu <sup>2)</sup>.

Albo:

Stała się nam dziś nowina,  
Nigdy taka nie była, alleluja,  
Iż zawoniał nam syn boży,  
Jako kwiat ślicznej róży, alleluja,  
Weselać się, śpiewajmy jemu, alleluja <sup>3)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Bobowski, str. 192. Należy, co prawda, mieć w pamięci, że w odpisie rękopiśmiennym forma nieraz ulega zepsuciu.

<sup>2)</sup> Bobowski, str. 205. <sup>3)</sup> Bobowski, str. 229.

Albo:

Bogu ojcu chwałę dajmy,  
Synu bożemu śpiewajmy,  
Ducha świętego wzywajmy <sup>1)</sup>).

Albo:

Póđźmy do jaśtek nowych Jezusa miłego,  
Pozdrówmy go pokornie z serca naboźnego,  
Jak pana naszego  
Króla niebieskiego <sup>2)</sup>).

Tych kilka przykładów sądzę że wystarczy, aby pokazać wielką form różnaitość w omawianych kolędach. Ta różnaitość pochodzi najpierw z naśladowania form oryginałów łacińskich; te oryginały są średniowieczne, a wiadomo, jakim bogactwem form, nieraz bardzo kunsztownych, odznacza się średniowieczna hymnologia łacińska. Powtórę zaś różnaitość zwrotek w kolędach tłumaczy się tem, że są to utwory przeznaczone do śpiewu, jako takie zaś musiały nieraz stosować się do już istniejących gdzieindziej melodyj.

Motywy kolęd XVI wieku są oczywiście te same, co późniejszych i co poprzednich. Tutaj odmienności być nie może, bo przedmiot jest ten sam. Ilość zaś tych motywów jest wogóle ograniczona: fakt narodzenia się Boskiego Dzieciątka jest źródłem, z którego one wynikają; motywy epiczne, opowiadające, łączą się z uczuciowymi, z lirycznymi. Otóż całe opracowanie, cały styl i stylowość kolęd polega na grupowaniu i na waryacyi tych motywów. Tak jest już w kolędach średniowiecznych, tak w epoce ich najbogatszego rozwoju, tak wreszcie i w wieku XVI. Jedne z tych utworów będą więcej opowiadające; inne więcej wyrazem uczucia; inne wreszcie kombinują jedno z drugim. Wszystkie jednakże po za zakres dogmatycznego (jeśli to jest dobre wyrażenie) pojmowania faktu Bożego Narodzenia wychodzą bardzo rzadko.

---

<sup>1)</sup> Bobowski, str. 273. <sup>2)</sup> Bobowski, str. 284.

Kiedy kolędy późniejsze fantazyi nie krępują, owszem, chętnie dają się jej unosić, tutaj do wyjątków należy taka, jak „Druga pieśń o narodzeniu bożym obyczajem historyej“<sup>1)</sup>, która nawet potrąca o apokryfy; wie ona doskonale, co mówili ludzie betlejemscy do Józefa, na jego prośbę o przytułek:

juże mamy pany,  
Książęta a i ziemiany,  
A już się weselą z nami;

wie ona, że

Sybilla prorokowała,  
Iż pannę w niebie widziała,  
Dzieciątko w ręku trzymała.  
Cesarzewi ukazała,  
Wszechmocność mu powiedziała;

ta kolęda opowiada, że

W Rzymie w boże narodzenie  
Ciekł olej nad przyrodzenie,  
A ciekł tam z jednej studnice,  
Podług boskiej tajemnice;

trzej królowie

Z panną ślicznie rozmawiali,  
Gdy się z Jezuskiem witali,  
I rączki mu całowali;

w szopie betlejemskiej było więcej świętych gości:

Anna, Joachim tam byli,  
Pannie niebieskiej służyli,  
A z wnuczkiem się weselili.

Kolęda ta nadzwyczajnie przypomina apokryf z XV wieku. — Ale wśród kolęd w wieku XVI jest ona wy-

<sup>1)</sup> Bobowski, str. 273 i nast. Obyczajem historyej — jakoby historia, opowiadanie. Ta kolęda ma też drugi tytuł: „Rozmyślenia nabożne“.

jątkiem <sup>1)</sup>. Wszystkie inne trzymają się ściśle opowiadania ewangelijnego, pozwalając sobie na odstępstwa bardzo drobne, jak to na przykład, że Boskiemu Dzieciątku zimno, więc płacze. Nie należy jednak z powyższych słów wnosić, jakoby były kolędy, które tylko opowiadają; takiej właściwie niema ani jednej. Motywy epiczne występują zawsze w towarzystwie refleksyjnych lub lirycznych. Typowym przykładem jest tu kolęda „Anioł pasterzom mówi“. Pierwsze dwie zwrotki są tylko opowiadaniem; ale już w trzeciej i czwartej jest refleksja („Taki pan chwały wielkiej Uniżył się wysoki“ i t. d.; „O dziwne narodzenie“); motywy łączą się w całość, ale od siebie dadzą się łatwo oddzielić, łączą się w grupy, jasno zarysowane. Najliczniej zaś, najczęściej występują kolędy liryczne — zaliczamy tutaj pieśni tak o nastroju czysto lirycznym, jak i refleksyjnym. W tych to kolędach motywy epiczne nie żyją życiem samoistnym, ale służą tylko za ramy dla uczucia. Przykłady lepiej rzecz objaśnią.

#### Druga pieśń

Pana Jezusa płaczącego w dzieciństwie cieszyć <sup>2)</sup>.

1. Czemu płaczesz Jezu?  
Aza zimno czujesz?  
Azali cię matka nie odziała?  
Azali cię miła nie przyjęła?  
Azali cię miła nie piastuje?  
Azali cię słodko nie miłuje?
2. Czemu płaczesz Jezu?  
Aza domu nie masz?

---

<sup>1)</sup> W innych tu i ówdzie znajdujemy drobny szczegół, podobnie jak tamta przypominający opowiadania apokryficzne; tak n. p. opis gwiazdy:

W gwiazdzie dzieciątko było,  
A na głowie swej krzyż miało,  
Do nich gwiazda jest mówiła,  
Jezusa im zjawiła.

(Bobowski, strona 220).

<sup>2)</sup> Bobowski, strona 204. Druga = inna.



Betleem cię miasto wzgardziło,  
Przyście twoje stworzenie poznało,  
Ta noc ciebie słońcem jest wyznawa,  
Ta czeladka twoja ciebie żąda.

3. Czemu płaczesz Jezu?  
Aza łóżka nie masz?  
Dusza moja ciebie przyjąć żąda,  
Dusza moja ciebie trzymać żąda,  
Dusza moja tobie serce dawa,  
Dusza moja ciebie poznać żąda.

O narodzeniu Pana Jezusowym pieśń  
i o Maryej Pannie, matuchnie jego naświętszej <sup>1)</sup>).

1. Stała się nam dziś nowina,  
Nigdy taka nie była, alleluja,  
Iż zawoniał nam syn boży,  
Jako kwiat ślicznej róży, alleluja.  
Weseląc się, śpiewajmy jemu, alleluja.
2. Z ojca wyszedł namilejszy  
Na ten świat nanędzniejszy, alleluja,  
A opuściwszy anioły,  
Dał się nam znać już miły, alleluja.  
Weseląc się i t. d.
3. O dziwnaż to jest nowina,  
Iż panna miała syna, alleluja,  
Poczęła go w niewinności,  
Porodziła w radości, alleluja.  
Weseląc się i t. d.
4. Porodziwszy chwaliła,  
I w jasłeczki włożyła, alleluja,  
Mówiąc: synu namilejszy,  
Któż nad nas jest nędzniejszy?  
Jam jest uboga panna i cieślina żona.
6. Poznał wół Boga swego,  
Stworzyciela naszego, alleluja,  
W jasłkach położonego.  
I zagrzał tchem swym jego, alleluja.  
Rozżaliła się panna płaczącego syna.

<sup>1)</sup> Bobowski, strona 229 i nast.

10. O któż słychał takie dziwy,  
 Iżeby Bóg prawdziwy,  
 Leżąc między zwierzętami,  
 Był uwian szatami ubogimi,  
 Łoża ciepła nie znając, pomocy żądając.
14. O Boże, ojcze nasz miły,  
 Chwalim cię z wszej siły i z anioły,  
 Iżeś nas nawiedził nędzne,  
 Pocieszył barzo smętne i niemocne,  
 Przez synaczka swojego dziś narodzonego.

Te i poprzednio w całej pracy przytoczone wyjątki dadzą mniej więcej wierne wyobrażenie kolęd XV i XVI wieku.

Mówiliśmy wyżej, że ilość motywów w kolędach jest z natury rzeczy ograniczoną, a odnosi się to tak do epicznych, jak i lirycznych; jak w pierwszych ciągle przewija się fakt narodzenia Bożego, tak w drugich powtarzają się uczucia czułości wobec Dzieciątka, czułości, połączonej z rozrzewnieniem i litością; powtarzają się wezwania do radości i radość sama, objawiająca się tu i ówdzie także pokrzykiwaniem: ej, ej! lub ohej, ohej!; powtarzają się uczucia wdzięczności względem Boga, wezwania do modlitwy, i modlitwy same nareszcie, do Boskiego Dzieciątka, do Boga Ojca, do Panny Najświętszej; powtarzają się też same refleksje nad Narodzeniem i jego skutkami dla ludzkości, podziw i zdziwienie nad niezwykłością zdarzenia. Jednym słowem są to te same motywy, które znajdziemy i w kolędach następnych; wiemy, że inaczej być nie mogło. Są więc pod tym względem kolędy XVI wieku takie same, jak w XVII, z tą różnicą, że późniejsze są artystycznie o wiele doskonalsze, więc też uczuciom i myślom dają wyraz piękniejszy. Brak też w tych wcześniejszych jednego bardzo wdzięcznego motywu: pasterzy. Oni tam są, ale zajmują zaledwie tyle miejsca, co i królowie, to znaczy niewiele. Motyw jest w związku, ale jeszcze nie rozwinięty. Przypomnijmy zaś sobie, jaką on rolę odgrywa w kolędach późniejszych i jak znako-

micie pod względem literackim został wyzyskany; nie mówimy tu nawet o jego rozwinięciu epickim; ale jak doskonałą daje on sposobność do wprowadzenia przed oblicze Dzieciątka ludzi biednych, małych, cichych prostaczków — przecież oni pierwsi otrzymali od anioła radosną wieść, ich to spotkało „witać Go przed bogaczami!“ Otóż tego pięknego i tak bardzo chrześcijańskiego motywu w kolędach XVI wieku jeszcze nie znać<sup>1)</sup>.

Pozostają nam jeszcze trzy kolędy, wydane osobno drukiem w roku 1558. Nie różnią się one od poprzednich niczem szczególnem, chyba większą starannością formy. To jednak, że pojawiają się w druku, jest zjawiskiem wcale charakterystycznym. Znaczy to, że kolędy są już bardzo rozpowszechnione, że jest na nie — mówiąc po kupiecku — popyt. Pojawiają się równocześnie dwa ich wydania. A takie druki ulotne na paru kartkach, druki „ludowe“, rozchodzą się bardziej, niż inne, gdyż bardziej odpowiadają potrzebom ogółu. To więc, że w połowie XVI wieku spotykamy kolędy drukowane, świadczy o wielkiej już wtedy ich sile żywotnej, świadczy, że stały się już one własnością najszerszego ogółu. Jest też jeszcze jeden szczegół ciekawy: w obu drukach przy tekście znajduje się melodia, na jeden lub kilka głosów; twórcą zaś pierwszej jest nie jakiś nieznany muzyk, ale sam mistrz muzyki polskiej ówczesnej, Wacław Szamotulski.

<sup>1)</sup> W jednej kolędzie już coś podobnego się znajduje :

Weselcie się dzisiaj ubodzy,  
Co cierpicie wielkie szkody;  
Syn się boży narodził,  
Ten was dzisiaj pocieszy;  
Z pokornością cierpcie,  
Jezusem się cieszcie  
I w nim się kochajcie.

(Bobowski, strona 190).

Ale jest to odosobnione, a potem nie są to jeszcze owi „biedni ludzie“ i nie są pastuszkowie.

Skorośmy już potrącili o muzykę, to należałoby chyba powiedzieć coś o melodyach ówczesnych naszych kolęd. Niestety na tem polu możemy się wykazać tylko dobremi chęciami. Trzebaby się znać dobrze na historyi muzyki, żeby te melodye omówić, wykazać ich pochodzenie, stosunek do późniejszych. Brak też prawie zupełny opracowań, na którychby się można oprzeć i po prostu ich wyniki reprodukować; jeszcze daleko do historyi muzyki polskiej. Nadmienimy więc tylko tyle, że przeważna część kolęd polskich XV i XVI wieku już była przeznaczoną do śpiewu i była śpiewaną. Owe trzy kolędy drukowane mają melodyę, skomponowaną dla nich umyślnie; rzeczą historyka muzyki będzie zbadać, na jakich motywach te melodye się oparły. Mniejsze kompozycye Wacława z Szamotuł mają charakter ściśle katolicko-liturgiczny<sup>1)</sup>; zapewne tak samo ma się rzecz z kolędą.

Przy wielu kolędach obok tytułu znajdujemy słowa: „ma notę“<sup>2)</sup>; wniosek oczywisty, że kolęda była śpiewaną, najprawdopodobniej na tę melodyę, co łaciński oryginał. Albo: „ma notę własną“<sup>3)</sup>. Albo: „ma też notę“<sup>4)</sup>; to zn. jak pieśń poprzednia. Przy jednej pisarz dodał admonicę ku czytelnikowi: ta pieśń ma notę własną, „przeto się jej z pilnością naucz“. O dwóch kolędach zaś czytamy<sup>5)</sup>: „ta pieśń może być śpiewaną jako i o słowiku“, widocznie na melodyę jakiejś popularnej piosenki o słowiku.

Jakiegokolwiek zaś te melodye były, jedno możnaby twierdzić ze znaczną pewnością: do melodyj późniejszych podobne chyba nie były; kolędy XVII i XVIII wieku już mają melodye świeckie, między którymi dominuje polonez i menuet, te zaś po za wiek XVII wstecz nie sięgają.

\* \* \*

1) Książd Surzyński, „Monumenta musices sacrae in Polonia“, strona V.

2) Bobowski, nr 103–108, 111. 3) Bobowski, nr 99, 113.

4) Bobowski, nr 109, 113. 5) Bobowski, nr 113 i 114.

Jeżeli teraz jeszcze raz spojrzymy na kolędy XV i XVI wieku, obejmując całość, to łatwo zauważymy kilka wytycznych punktów. Rozwój kolęd — nawet przy dotychczasowym stanie badań — przedstawia się dość jasno. Ich początek przypada na wiek XV; im dalej idziemy naprzód, tem jest ich więcej; w połowie XVI wieku spotykamy się już z wielkim rozkwitem, objawiającym się z jednej strony w obfitości kolęd, z drugiej pojawianiem się ich w drukach ulotnych. Czyli: linia rozwoju kolęd polskich idzie najzupełniej normalnie, wznosząc się od poziomu stałe w górę, aż gdzieś w wieku XVII osiągnie punkt najwyższy. Tak jest co do ilości. Co do jakości tak samo. Bardzo niewyrobione z początku, bardzo ubogie w urozmaicaniu danych faktami motywów, im dalej w wiek XVI, tem więcej się udoskonalają i urozmaicają, aż wreszcie, znowu w wieku XVII, osiągną pełnię rozwoju i bogactwa w grupowaniu i rozwijaniu zasadniczych motywów.

Pochodzenia są kolędy nasze obcego: najstarsze są przekładami z języka czeskiego lub łaćńskiego. Te ostatnie są w oryginale przeważnie daleko starsze, n. p. pochodzą z wieku XIV. Są więc wytworem średniowiecznym. Takimi też są i nasze kolędy XVI wieku — renesansu na nich nie znać. Przyczyniła się do tego w wysokim stopniu ich treść, czysto religijna, nie dająca pola motywom starożytnym. Potem ich ludowość. Kolędy są od początku poezją ludową (nie należy tu mieszać pojęcia dzisiejszej ludowości), i taką pozostały. Otóż poezya ludowa szła sobie swoją drogą, rozwijała dalej i bezpośrednio motywy średniowieczne, nie troszcząc się o to, co się działo „w górze“. Doskonałego zestawienia dostarczają tu pieśni na Boże Narodzenie, pisane przez Miaskowskiego; jest między niemi taki n. p. poemat, w którym Muzy stają nad żłóbkiem i śpiewają na cześć Boskiego Dzieciątka, wezwane do tego przez księżyc - Dyanę. — O czemś podobnem w kolędzie prawdziwej oczywiście ani nie słyhać.

Są więc kolędy, wytworem średnich wieków i tradycję średniowieczną przechowują, nie troszcząc się o prądy literackie. Jest to objaw, na który w innych działach literatury zwrócono już uwagę; konstatujemy to samo dla naszych kolęd.

Pierwsze kolędy przyszły do Polski drogą książkową, ale te nie miały warunków rozwoju (wiek XV). Rozszerzyły kolędy i dały im siłę żywotną jasełka. Dla jasełek i przy nich powstają kolędy już to tłumaczone z łaciny, już to oryginalne. Rozszerzenie wielkie i popularność jasełek sprawiły rozszerzenie się i popularność kolęd. Jest to jednak jeszcze kwestya, domagająca się szczegółowego zbadania.

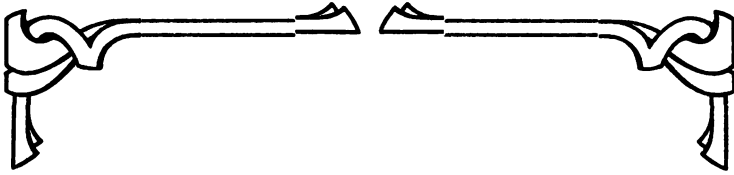
Mówiliśmy nieraz, że kolędy nasze są pierwotnie pochodzenia obcego, z Zachodu. Rzecz to naturalna wobec całego biegu naszej kultury. Przyszły z Zachodu jasełka, więc razem z nimi przyszły kolędy. Przyszedszy jednak, zaaklimatyzowały się u nas świetnie i rozwinęły tak, że w wieku XVII i XVIII są już zupełnie oryginalne, są wytworem rodzimym polskim; wytworzyły tu gałąź hymnologii, jakiej na Zachodzie niema. Bardzo zaś dobrym objawem jest to, że te kolędy do dziś dnia żyją, że mają zdolność dalszego rozwijania się i że w całym narodzie jest silne tych kolęd spopularyzowanie i umiłowanie.




R E J







 rzeszło dwadzieścia dzieł, nie licząc zaginionych; z tych kilka imponujących rozmiarami; poematy o kilkunastu tysiącach wierszy, traktaty o kilkuset foliantowych listach, dialogi i dramaty, obrazki rodzajowe i traktaty moralne, apoftegmata i figliki, psalmy i pisma polityczne, zwierzyńce i dociekania teologiczne, wizerunki i zwierciadła, w których snadnie przypatrzeć się możemy ludziom i sprawom Polski XVI wieku: wszystko to składa się na obfitą, ogromną, bogatą działalność literacką Reja. Jest się czemu — jakby on sam powiedział — napatrzyć i nadziwować.

Przez tę masę pism przedieramy się, chcąc z nich wyrozumieć duszę twórcy i odtworzyć sobie jej linie, chcąc zrozumieć jego związek z epoką, z życiem, z ludźmi, i wyznaczyć jego pozycję w rozwoju literatury. W tej pracy jednak napotykamy — nie wiem: ułatwienie czy przeszkodę — na utarte już o Reju mniemanie i sąd, na wyobrażenie o nim, propagowane tak przez tych, którzy go znają z jego dzieł, jak i przez tych, co o nim tylko słyszeli. Wyobrażenie to dla pisarza i człowieka bardzo pochlebne.

Albowiem Rej miał zawsze szczęście. Żadnemu chyba z naszych autorów nie powodziło się tak dobrze za życia i po śmierci, jak jemu.

Młodym chłopcem nie potrzebował się uczyć. Kiedy Górnicki, Orzechowski, Kochanowski w młodych latach musieli przesiadywać nad retoryką i gramatyką, Reja nikt nie zmuszał do nauk „poważnych a trudnych“; biegał sobie po polach żórawińskich, pływał łódką po Dniestrze, w knieje

i błota za zwierzem się zapuszczał. Rósł sobie Mikołajek, jak go Pan Bóg stworzył, i na zabawie upłynęła mu młodość sielska, anielska. Miłe też musiał z tych czasów wynieść wspomnienia, skoro w kilkadziesiąt lat później mniej więcej podobny kreśli ideał pedagogiczny, nie pozwalając dzieciom łamać się z twardymi a wichrowatymi naukami, z gramatyką, która uczy jeno szczebiotać a słówek obleśnych wykręcać, z logiką, która uczy, jakoby z prawdy nieprawdę uczynić, a prawdę z nieprawdy.

Jako pisarz Rej należał do autorów wziętych i czytanych. Świadczą o tem powtarzane wydania jego dzieł, co, jeżeli kiedy, to zwłaszcza w wieku XVI stanowczym jest dowodem poczytności. Świadczą „zacytane“ egzemplarze jego pism, których szczątki doszły naszych czasów, świadczą głosy uwielbienia współczesnych.

Jako człowiek należy do najpopularniejszych w ówczesnej Polsce, bogatej w osobistości popularne. „Panięta, a ludzie młodzi zawždy się około niego bawili, bo był człowiek poćiwy, zachowały, dworski, znajomy wszem, a byli nań ludzie zacni barzo łaskawi“. Łaskawość ta zaś objawiała się nie tylko platonicznie.

Jedyny z autorów XVI wieku miał współczesnego biografa. Kiedy o Kochanowskim nie zanotowali współcześni prawie nic, a biografia jego, pełna zresztą błędów, pochodzi dopiero z wieku XVII, Rejowi jeszcze za jego życia pióro przyjaciela wystawiło w interesującym życiorysie pomnik literacki.

Miał też Rej szczęście do krytyki w naszym stuleciu. W początkach naszej historyografii literackiej, w pierwszych dziesiątkach XIX wieku, kiedy wskrzeszano znajomość dawnej literatury i kiedy każdego dawnego pisarza witano z radością i z rozrzewnieniem, nazwano Reja ojcem piśmiennictwa polskiego, a zaszczytnego tego przydomku lata późniejsze mu nie odebrały, — wyznaczono mu w szeregu autorów Odrodzenia miejsce wyniosłe, a z miejsca tego późniejsze

lata go nie strąciły, pomimo odzywające się od czasu do czasu głosy przeciwne. Pogląd to powszechny; wśród uczonych historyków Rej cieszy się wziętością niemniejszą, jak wśród wykształconego ogółu. Na barwnym tle Odrodzenia wydaje się on jeszcze barwniejszym od innych. Postać sympatyczna, owiana na wpół legendami. Na dźwięk tego imienia na twarzach naszych pojawia się nieodwołalnie na wpół nieokreślony, na wpół jowialny a życzliwy uśmiech. Nic dziwnego: typ i wcielenie dawnych, dobrych czasów, ku którym zawsze z tęsknotą wybiegamy myślami. A choć w chwilach krytycyzmu gorycz zalewa nam serce, „za co życie w życia chwili z taką pychą roztrwonili“, to jednak najczęściej górę bierze sentyment, i to jest wypadkowa naszych rozmyślań. W takim zaś świetle innych nabierają rzeczy kolorów. Z pewnem też rozczuleniem czytamy o Reju, że „z rucznicą a z wędką biegając około Niestru aż do osmi naście się lat ćwiczył, bąki strzelając“, a dziwy, jakie Wereszczyński opowiada o apetycie naszego Pantagruela, pomimo, że w nie nie wierzymy, dodają mu w naszych oczach nawet uroku, bo otaczają aureolą jakiejś tężyzny, która dzisiaj nam, uduchowionym charlakom, imponuje.

Musi być jakiś głębszy powód tej sympatii i wziętości. Niepodobna, aby jej dziś nie obalono, gdyby była bez podstaw.

Jednakże, zestawiając wziętość Reja i znajomość jego pism, widzimy rażący brak stosunku między jedną a drugą; nie idą one równym krokiem. Przypomina się tu westchnienie Lessinga: „My poeci wolelibyśmy, aby nas mniej chwalono, a więcej czytano“. Istotnie — któż Reja nie pochwali? Ale któż go będzie czytał? Historyk literatury, ale i ten tylko wtedy, kiedy musi, kiedy mu to jest koniecznie potrzebne do jego studyów. Powracać do niego nie będzie. Nie zwróci się do niego, kiedy po pracy zechce porozmawiać z jakim poetą; sięgając ku półce, na której ugrupowane są pomniki dawniejszej literatury polskiej, ręka jego spocznie na Kochanowskim, na Górnickim, na Zimorowiczu, na Pasku choćby,

ale ominie Reja, bo ten mu nie da wytchnienia, nie da mu czystej i bezwzględnej przyjemności duchowej. Bo Rej jest przede wszystkim przeraźliwie nudny. Nie głoszę tu żadnej herezy; dla nauki niema rzeczy nudnych, ale nie chodzi mi w tej chwili o naukowe badanie pism Reja, tylko o ogólne wrażenie, które one zostawiają w umyśle każdego wykształconego człowieka, a nie historyka-specjalisty. Chodzi mi o zaznaczenie roźdzwięku, który bezwarunkowo istnieje między sławą Reja a jego poczytnością.

Rozdziwku tego bynajmniej nie mam zamiaru usuwać, owszem bardzo silnie go podkreślam, bo on nam pomoże do uprzytomnienia sobie, do zrozumienia, w czym jest źródło wziętości i sympaty, otaczającej Reja i dawniej i dzisiaj, i na czym polega jego znaczenie. Wziętość i znaczenie Reja nie wypływają z jego osobistości ani z jego dzieł, rozważanych z pominięciem momentu historycznego.

Jako człowiek Rej wychyla się ku nam ze swych pism, z biografii przyjaciela, uzupełniającej i objaśniającej pisma, wreszcie z aktów, objaśniających a niekiedy prostujących rysy, nakreślone w biografii. Z tych wszystkich danych można złożyć portret bardzo dokładny i szczegółowy — i znowu w tem Rej jest szczęśliwszy od współczesnych mu polskich autorów. Ale szczegółowy i dokładny — portret ten pozostaje obrazem człowieka bardzo zwyczajnego, bardzo „przeciętnego“, bez cienia wielkości w jakimkolwiek kierunku, dobrym, czy złym. Linie zwyczajne nie wznoszą się ani na chwilę ponad zwykły normalny poziom. Polska renesansowa ma dosyć osobistości, przerastających tę codzienną miarę: Reja miejsce nie jest między niemi. Więc jako osobistość Rej nie ma danych po temu, aby tak bardzo wyróżniać się na tle swej epoki, aby tak ściągać ku sobie oczy. Człowiek to niewątpliwie i sympatyczny i interesujący, ale to wszystko tłumaczyłoby tylko sympatyę, jaką wzbudzał we współczesnych (i to sympatyę osobistą, nie literacką), w mniejszym już stopniu sympatyę wśród dzisiejszych, a już najmniej

wziętość i wysokie stanowisko w historii literatury i kultury polskiej. Co innego człowiek sympatyczny, co innego wyższy. Pierwszym jest Rej w skali znacznej, drugim zgoła nie. Przez jaskrawe zaznaczanie tego faktu nie robimy, rzecz jasna, Rejowi jakichś zarzutów; jakim go Pan Bóg stworzył a życie uformowało, takim był, i rekryminacje z tego powodu spóźniłyby się o lat czterysta. Nie obniżamy też tym sposobem znaczenia Reja, musieliśmy tylko skonstatować, że jego źródła i początki nie tutaj winniśmy szukać.

Pisma — Rej jako pisarz — również wyjaśnienia tego faktu nie dają. Pisma, rozważane bez względu na moment historyczny, na epokę, na tło, jako fakt literacki odosobniony, a rozważane jedynie ze względu na to, co w nich jest trwałego, co może się ostać w nich dla wszystkich czasów. Ten sposób rozważania jest, jak każdy inny, usprawiedliwiony. Chcąc wytłumaczyć, wyjaśnić jakiego pisarza, muszę — obok innych szczegółów — rozważać warunki jego pojawienia się i działania; chcąc go najogólniej osądzić, mogę się bez tego obejść. — Przypatrując się Szekspirowi na tle renesansu, a w szczególności renesansu angielskiego, zrozumiem i wytłumaczę sobie jego technikę, jego sposoby; do odczuwania jego wielkości nie potrzebuję tego wszystkiego. Barwę pisarza muszę określać z czasu, z epoki, z warunków; wielkość mogę określić bezwzględnie, nie oglądając się na nic. Otóż kiedy z tego stanowiska patrzymy na Reja, to ostateczny sąd o nim będzie taki, że jest to talent wielki w stanie najzupełniejszej pierwotności i w okrucach.

Powiedzmy odrazu, w czym się ta wielkość objawia. Rej jest najlepszym, najznakomitszym obserwatorem w dawniejszej literaturze polskiej. Tu się zaczyna i tu się kończy talent Reja. Obserwacja to zewnętrzna, kształtów, linii, ruchów; dalej nie sięga. Co nie podpada pod zmysły w porządku fizycznym, tego Rej już zaobserwować tak dobrze nie potrafi, to już dla niego za trudne. Zaobserwowaną rzecz Rej skopiuje — ale twórczym talentem nie jest. Nie umie stwo-

rzyć rzeczy nowej z pojedynczych danych. — Nie jest tedy twórcą, nie jest poetą w pierwszym znaczeniu tego wyrazu. Nie stworzył ani jednej postaci, nie nakreślił ani jednego charakteru, nie pokazał w pismach swych ani jednego człowieka. Nie może mówić o swych „dzieciach wieszczych“. Kreski, które się nazywają Józefem czy Zefirą lub Achizą, nie stanowią jeszcze obrazu. Nie umie też Rej obserwować siebie. Subiektywizmu w jego dziełach niema wcale, subiektywizmu, który sprawia, że poeta zwraca uwagę na różne stany i ruchy swojej duszy i odtwarza to — mniejsza w jaki sposób — w swych dziełach. Do poezji polskiej wprowadził go Kochanowski, u Reja jeszcze go nie widzimy. Otóż to wszystko możliwem jest wtedy, kiedy twórca umie patrzeć nie tylko okiem. Tego daru Rej jeszcze nie posiada, jego obserwacja jest fizyczną, zewnętrzną.

Z tem ograniczeniem i zacieśnieniem do zjawisk wyłącznie zewnętrznych, o obserwacji Rejowskiej możemy powiedzieć, że jest ona po prostu niezrównaną. Pod tym względem Rej nie ma współzawodnika w dawniejszych epokach naszej literatury, jeden Pasek tylko zbliża się do niego, poza tem podobną zdolność znajdziemy dopiero w XIX wieku. — Przytem Rej ma ten wielki dar, że zauważy całą masę szczegółów, rysów, ruchów, a nigdy nie pomyli się co do tego, który szczegół, rys, ruch jest ważniejszy. Było to naturalnie bezwiedne; na myśl mu nie przychodziło, że należy rzecz stylizować; ale to właśnie świadczy tem bardziej, jak wielką była ta jego zdolność, jak zmysł obserwacji był znakomicie rozwinięty.

Otóż zdolność ta powołała do życia w pismach Reja znaczną liczbę obrazów i obrazków, i te mają w całym jego dziele literackim wartość największą. Obrazki te będą dwójakiego rodzaju: albo całości samoistne (t. j. one są zawsze w związku całego utworu, ale mogą dla siebie samych stanowić całość), albo też, najczęściej z kilku kresek złożone, służą do porównań. Jeżeli o Słowackim Krasiński powiedział,

że ma bezczelną łatwość ślicznych wierszy, to o Reju można by również słusznie wykrzyknąć: co za bezczelna łatwość pysznych porównań! Używa ich też Rej bardzo często, biorąc zawsze z tej sfery, z tego zakresu, który znał najlepiej i któremu się w życiu swem dość napatrzył, ze sfery najbliższej sobie, z życia codziennego, z przyrody, zwłaszcza ze świata zwierzęcego. Mają zaś owe porównania tę wielką zaletę, że i same w sobie są świetnymi obrazkami, i celowi swojemu — porównaniu, objaśnieniu jednej rzeczy przez drugą — doskonale odpowiadają. Obrazy większych rozmiarów nie są naturalnie tak częste, jak porównania, ale i one występują obficie, w „Rozprawie“ zwłaszcza, „Wizerunku“ i „Żywocie“. One to stanowią te oazy, w których po długich a nużących wędrówkach wśród piasków gadatliwości Reja czytelnik znajduje wytchnienie i ochłodę, i na których z lubością się zatrzymuje. Nie sposób je tu przytaczać a choćby wyliczać; zaznaczmy tylko między innymi, że w obrazkach tych Rej przedstawia się nam jako rysownik świetny nie tylko jednostek (obraz eleganta wieku XVI), ale i grup (przypomnę tu niezrównaną w plastyczności scenę podczas żniwa, kiedy pan bawi się polowaniem na kuropatwę, a żeńcy się gapią, i „padła, panie, padła“ krzyczą; albo obrazek rynku krakowskiego z przekupkami i t. d., i t. d.).

Te obrazy i obrazki to szczyt Reja, to najwyższy stopień, na który wznosił się jego talent. Fakt ten zapewniałby Rejowi miejsce wysokie, gdyby nie miał przeciwwagi w licznych stronach ujemnych: w najzupełniejszym braku jakiegokolwiek zmysłu artystycznego, w rozwlekłości i gadatliwości, w kołowaniu ciąglem obok tej samej myśli, w powtarzaniu tej samej rzeczy aż do unudzenia, w braku głębszych myśli i t. p. — rejestr taki znacznie będzie obfitszy od rejestru rzeczy dobrych i pięknych. Talent wielki pozostał w stanie najzupełniej pierwotnym. Rej robi wrażenie bryły rudy, w której są pasma i ziarna złota; tego złota jest dużo, ale nie jest ono wyosobnione, nie powstał z niego klejnot.

Nie tu miejsce wchodzić w powody, dla których się tak stało, dla których Rej nie rozwinął przyrodzonych swoich darów. Brak zupełny porządnego wykształcenia w latach młodszych, a dorywczość i fragmentaryczność późniejszej jego autodydaktyki objaśniają ten fakt znacznie. Dalej: *Es bildet ein Talent sich in der Stille, Sich ein Charakter in dem Strom der Welt*; tej *Stille* Rejowi brakło — wykształcił się też na człowieka, na charakter interesujący, ale talent pozostał w tym stanie prymitywnym, w jakim mu został dany.

Wszystko inne, cobyśmy o talencie Reja powiedzieli, będzie przyczynkiem do określenia jego jakości, barwy, do jego portretu literackiego. Jak poprzednio szczegółowego wizerunku osobistości, tak nie mamy zamiaru podawać tutaj portretu pisarza; bo chodziło nam na razie o wskazanie tego, co w działalności Reja przekracza moment historyczny, co ma wartość trwałą i co — zdaniem naszym — oprzeć się może zmianom czasu, smaku i t. d. A teraz wracamy do naszej kwestyi: czy tej wysokości talentu Rej zawdzięcza swą wziętość? Jawną jest rzeczą, że nie. My dzisiaj możemy sobie uprzytomnić, co w Reju jest najlepszego, ale musimy w tym celu wykonać rodzaj operacji na jego pismach. Wiek XVI jednakże tak jeszcze nie postępował, brał dzieła jako całość. Zapewne, że czytelnik ówczesny bezwiednie te piękniejsze miejsca odczuwał, ale trudno przypuścić, żeby sobie z tego zdawał dokładnie sprawę. Fakt zresztą, że „Żywot“, w którym ta zdolność Reja objawiła się najświetniej, stosunkowo mało był popularny, zdaje się to zdanie potwierdzać. Nie widzimy też zgoła, aby Rej w tym zakresie był wywarł wpływ na jakiegokolwiek pisarza — tak, jak technika i sposób wyrażania myśli Kochanowskiego wytworzyły po prostu szkołę. W dzisiejszych naszych sądach także nie można powiedzieć, żeby ten moment czysto estetyczny sam jeden przeważał szalę na korzyść pochlebnego o Reju mniemania; owszem, dzisiaj bardzo często akcentujemy właśnie ujemne strony Reja - pisarza. Tak wysokie stanowisko literacko - kul-



turalne, jak i sympatyę, któremi darzyli Reja współczesni jemu i my dzisiaj, zawdzięcza on czemu innemu.

\* \* \*

Rej pojawił się we właściwym czasie: to cała tajemnica jego powodzenia; to powód jego barwności. Tragicznym bywa los tych, co przychodzą za wcześnie; smutnym tych, co za późno. Rejowi naszemu inny los dostał się w podziale. Przyszedł on wtedy, kiedy się dokonała pełnia czasów, przyszedł wtedy, kiedy wszystko, cała Polska ówczesna pożądała go i wyglądała. Z jego pojawieniem się tajne brzemię lat wydało płód, oczekiwany i upragniony. I w tem jest jego ogromne znaczenie w porządku historycznym, w tem przyczyna sympatii, jaka mu się dostała, w tem powód, że naród postawił go na piedestału tak wysokim. Dzięki temu Rej wykształcił się na pisarza takiego, jakim był, to jest: przy całym braku wielkości interesującego i barwnego.

Występuje on na przełomie wieku XVI, w chwili osobliwej. Praca cywilizacyjna, którą wykonywały epoki poprzednie, zaczyna wydawać owoce. Społeczeństwo polskie ze średniowiecznego przemienia się w nowożytne — naród rozszerza się duchowo, rozpiera, dąży do tego, aby swoje życie duchowe zmanifestować we wszelkich kierunkach. Cały nawał myśli, poglądów, zdań, krzyżuje się w ówczesnej Polsce, masa nowych pojęć wywiera wpływ na umysły. Epoka przełomowa, bujna, żywa i ruchliwa, obfitująca w ludzi i w myśli, w pragnienia i dążności.

Taka epoka musiała gorąco pragnąć piśmiennictwa, któreby było tych idei i dążeń heroldem i propagatorem. Dotychczasowe piśmiennictwo polskie temu warunkowi nie odpowiadało. Prawda, że stosunkowo, na ilość, było ono już nie najgorzej rozwinięte; już ono po części zaradzało coraz szerszemu pragnieniu lektury. — Ale cóż w tej literaturze w pierwszej połowie XVI wieku było? Psalterze, pieśni, żywoty świętych, Gadki Glabera i Algorytmy Kłosa, zielniki

książeczki uczące dobrego zdrowia, rządu, Marchołty Fortunaty, literatura, mająca znaczenie w historycznym rozwoju piśmiennictwa polskiego, ale nowej epoce nie wystarczająca, oderwana od życia, nie poruszająca spraw, które teraz poruszają do głębi umysłami, artystycznie nieciekawa, społecznie mała, bez znaczenia. Nic dziwnego, że taka literatura nowej Polsce nie wystarcza, że coraz silniej, coraz namiętniej odzywa się pragnienie piśmiennictwa, któreby dało wyraz duchowi czasu.

To jest jeden postulat ówczesnego społeczeństwa polskiego co do literatury. Ma ona mieć żywotną cerę i z życiem, z epoką, ma być ściśle związaną, ma być ich odbiciem. Postulat drugi, to literatura polska, w polskim języku. Naród przyszedł do świadomości siebie, do samowiedzy. Jak jednostki w epoce Odrodzenia, tak i narody się indywidualizują i tej indywidualności swojej pragną dać wyraz. A wyraz ten wtedy będzie szczerzy i prawdziwy, gdy będzie w języku ojczystym. Łacina znaczenia swojego nie utraci zupełnie, ale panowanie, przewagę, odstąpić musi językowi rodzimemu, polskiemu. Otóż i to pragnienie jest w ówczesnym społeczeństwie polskim bardzo silne, a naiwny, ale tak niezmiernie charakterystyczny wyraz dają mu skargi szlachty na sejmikach, że księża dla siebie każą wybijać książki łacińskie, a zabraniają bić polskich dla ludzi świeckich.

W takiej chwili, wśród takiego nastroju umysłów zjawia się Rej i przynosi z sobą literaturę, która tym wszystkim warunkom odpowiada świetnie i spełnia wszystkie pragnienia. Na postulaty czysto artystyczne jeszcze czas nie przyszedł, nie zwracano też uwagi, nie widziano tego, że pisma Reja tak często w tym względzie szwankują. Na takie drobności ludzie ówcześni nie zważali wcale; czynili to dopiero znacznie później, kiedy ich tego nauczył Kochanowski. Było więc dzieło Reja jakby stworzone na to, żeby je Polska ówczesna przyjęła z otwartymi ramionami, z radością i zapałem. Było ono bogate na liczbę, przynosiło z sobą dużo — więc

każdemu coś przynosiło: politykom i statystom myśli i rozprawy polityczne i społeczne; zajęтым kwestyami religijnymi — psalmy, postylle i dyalogi o tychże kwestyach; ludziom, którzy dążyli do harmonijnego wykształcenia swej osobistości — wizerunek i zwierciadło, z którego mogli brać wzory; nie przepomniął też Rej tych, którzy „po zatrudnionych myślach, dla krotofile, wolni będąc“, pragnęli „przełożyć“ coś ucieśnionego, a nie wystarczyło im już Marchoń: dla tych napisał figliki. Pisał Rej dużo, więc ilościowo literaturę polską odrazu wzbogacał. Pisał o tych wszystkich sprawach, które wtedy były w umyśle i na ustach wszystkich; sięgnął do życia i życie kreślił. Wreszcie pisał wyłącznie po polsku. Mniejsza o to, czy robił tak dlatego, że po łacinie pisać nie potrafił, czy też naprawdę i szczerze pragnął pokazać, że Polacy nie gęsi, że swój język mają. Jakakolwiek była pobudka, rezultat odpowiadał pragnieniom powszechnym.

Więc nic dziwnego, że Reja współcześni postawili tak wysoko na Parnasie polskim, i nic dziwnego, że to stanowisko przyznaje mu historyografia dzisiaj. Zjawienie się Reja w chwili stosownej sprawiło, że Polska ówczesna uważała go za tłumacza swych myśli i pragnień i była mu za to wprost wdzięczną. My dziś w tem tak bezpośrednio zainteresowani nie jesteśmy, ale i my odczuwamy pewien rodzaj wdzięczności dla Reja; zjawisko to psychologicznie naturalne: myśl nasza, śledząc dotychczasowy rozwój literatury polskiej, widzi w niej niemal wyłącznie zjawiska sporadyczne, w Reju dopiero spotyka pierwszego autora w obszernem znaczeniu tego słowa, piszącego wiele i w różnych kwestyach. Więc myśl ta, zmęczona drobiazgowością i fragmentarycznością zjawisk poprzednich, z przyjemnością niemałą spoczywa i odpoczywa na Reju. Stąd uczucie pewnej sympaty i niemal wdzięczności.

Zatem Rej, rozważany sam w sobie, jako zjawisko artystyczno-literackie, nie ma wartości i znaczenia — ma je wielkie, rozważany jako zjawisko historyczno-literackie. Jest

pierwszym autorem polskim, pierwszym, który pisze dużo, a wyłącznie po polsku, pierwszym, który wytwarza literaturę żywą i żywotną.

Z tych danych dopiero wysnuć można charakterystykę Reja, człowieka i pisarza, na takim tle dopiero możemy go nie tylko już osądzić, ale zrozumieć i wytłumaczyć.

Pojawia się Rej na przełomie czasów — nosi też na sobie znamiona duchowe obydwu epok. Jest to człowiek i pisarz zarówno średniowieczny, jak i nowożytny. Jest pośrednikiem między dawnymi a młodszymi laty. A to znowu robi go dla nas postacią tak niezmiernie interesującą. Jest Rej przez to typem, mikrokosmem ówczesnej Polski, w której również widzimy ścieranie się, czy może współrzedne obok siebie istnienie pierwiastków średniowiecznych i nowożytnych.

Cała działalność literacka Reja ma charakter dydaktyczny, nauczający i moralizujący. Nawet wtedy, kiedy powagę zawiesi na kołku i zapragnie czytelnika rozweselić, o tem zadaniu swym nie zapomina, wmawiając w siebie w drugich, że figliki napisał dla ćwiczenia języka i dla nauki młodzieży. Otóż dydaktyzm jest jedną z najwybitniejszych cech literatur średniowiecznych i stamtąd przeszczepiony został do piśmiennictwa nowożytnego.

Ale, przeszczepiony, uległ także pewnym zmianom. Literatura średniowieczna poucza wprost — tak też postępuje znaczna ilość pism Rejowskich. Literatura nowożytna, w chwili w której zaczyna się rozwijać, używa ku temu trzech sposobów. Albo postępuje tak samo, jak średniowieczna, urozmaicając tylko rzecz pod względem formalnym, to znaczy zastosowując różne rodzaje literackie: traktat prozaiczny, dialog, satyrę i t. p. Albo też tezę swoją i tendencję rozwija za pośrednictwem postaci, stworzonych przez nią w tym celu i ożywionych — czyli pisze n. p. dramat *à thèse*. Takim utworem jest Kochanowskiego „Odprawa“, takim „Józef“ i „Kupiec“ Reja. Wreszcie sposób trzeci, najbardziej dla nas interesujący i dla literatury renesansu typowy: stwarza ogólny

wizerunek, ogólny typ, i ten stawia za wzór; stwarza model księcia, senatora, hetmana, dworzanina, pośła i tak dalej. Tego rodzaju dzieła są wybitnym znamieniem tej właśnie epoki i koniecznie w niej powstać musiały. Przez to, że nauczające i moralizujące, łączą się one z wiekami średnimi, więc musiały powstawać blisko nich — ale przez sposób, w jaki przedmiot swój ujmują i obrabiają, są zupełnie nowożytny. Jest w nich najpierw próba wyodrębnienia pewnych kategorii z całego zasobu zjawisk życia i stworzenia z nich odrębnych całości, a więc próba indywidualizowania. Prawda, że z tej próby wyłaniają się dopiero typy, nie jednostki jako indywidua — ale te typy są już między sobą bardzo różne, i między sobą są już indywidualne. Wreszcie cel tych dzieł jest najzupełniej nowożytny. Są one produktem tego dążenia nowoczesnych społeczeństw do wytłumaczenia sobie świata i jego zjawisk, do określenia i zrozumienia siebie samego. Przechodząc z wieku młodzieńczego w męski, społeczeństwo pragnie sobie zdać sprawę z tego, czym jest i czym być ma. Stąd pochodzą te programowe określenia, drogowskazy przyszłych dróg, po których ludzkość ma postępować, te określenia „człowieka“ w rozmaitych jego funkcjach. Jest to jeden krok, znaczny, do przebudzenia się indywidualności, do „odkrycia człowieka“. Otóż w tym ruchu u nas Rej zajął miejsce wydatne „Żywotem“.

Nowoczesnym jest Rej przez myśli, które w swych piśmich rozwija, przez treść. „Wizerunek“, a w większym daleko stopniu „Żywot“ są takim nowożytnym określeniem człowieka, jakim według pojęć na przełomie wieków średnich i nowszych być powinien. — Średniowiecznym jest sposób, w jaki te myśli wypowiada. Nowożytnym jest jego stosunek do humoru i dowcipu; fakt zbierania różnych facecji i figlików, redagowania takich zbiorów, jest cechą renesansu; taką cechą jest też i satyra, a jej początki widzimy u Reja. (Przez satyrę rozumiem tu nie n. p. całość „Rozprawy“, ale pojedyncze obrazki z satyrycznym zacięciem, rozsiane po

wszystkich prawie pismach Reja; dzięki swej zdolności obserwacyjnej Rej miał dane na genialnego satyryka i humorystę; zupełny brak sztuki tym danym pozwolił zmarnieć). Natomiast znowu treść tych figlików jest średniowieczną i średniowiecznym jest ich rodzaj humoru i dowcipu. Średniowiecznym jest fakt, że Rej tak się zajmuje kwestyami religijnymi — humanista Kochanowski lub Górnicki myśli i mówi o czym innym — i w tem podobny jest nasz pisarz do całej reformacji, która przez akcentowanie momentów religijnych była objawem chronologicznie reakcyjnym. Za to znów nowy, burzący dotychczasową tradycję sposób przedstawienia tych kwestyj, stawia reformację, a z nią Reja, na terenie nowożytnym. Kreśląc ideał, wzór człowieka, Rej robi krok naprzód ku indywidualizmowi, więc ku światu nowożytnemu. Ale sam należy do epoki poprzedniej, do literatury średniowiecznej, w której masa, ogół, występuje na plan pierwszy, nie dozwalając indywidualnościom wysunąć się naprzód. Literatura nowożytna pokazuje nam przedewszystkiem jednostki, średniowieczną masę, tłum, ogół; pierwsza jest indywidualną, druga powszechną i typową; w badaniu pierwszej główną wagę ma badanie ducha twórców, w drugiej całego społeczeństwa. Stąd pisarze drugiej prędkiej są typami, niż pierwszej; stąd prędkiej typem jest Rej, niż Kochanowski, prędkiej Bielski, niż Górnicki. Dzieło Reja nie ma w sobie nic egotyzmu, nic subiektywizmu, jest bezosobiste. My Reja w niem widzimy, ale pośrednio, dowiadujemy się, co on myśli, co czuje, ale nie dowiadujemy się, jak myśli i jak czuje. On sam o sobie nigdy nie mówi, nie daje poznać najmniejszej istoty swej duszy, jak to robi n. p. Kochanowski w „Pieśniach“ lub w „Trenach“. Więc też pisma Reja nie są indywidualnym obrazem jednej duszy, ale typowym i sumarycznym obrazem dusz pewnej epoki i pewnego kraju. A to jest jedna z najwybitniejszych cech literatury średniowiecznej.

I tak dalej: ciągle u Reja spotykamy się z równoczesnym obok siebie istnieniem pierwiastków średniowiecznych

z nowożytnymi, mieszających się z sobą, krzyżujących tak, że nieraz trudno je od siebie oddzielić. Stąd to chyba poszło, że z dotychczasowych charakterystyk naszego pisarza jedne widzą w nim wyłącznie wieki średnie, drugie wyłącznie renesans. Rej tymczasem łączy w sobie obydwie epoki. Można by tylko powiedzieć, że pierwsza bądź co bądź u niego przeważa. Cechy średniowiecza są głębsze, renesansu raczej zewnętrzne. Tak bywa zresztą w każdej epoce przejściowej: kierunki nowe objawiają się zrazu tylko znamionami zewnętrznymi, więcej się ślizgają po powierzchni zjawisk, zanim się zupełnie wykształcą i sięgną do głębi. Takim jest romantyzm przed Mickiewiczem i Słowackim, takim renesans przed Kochanowskim.

Pomimo tej „zewnętrzności“ Rej ma jednak w rozwoju naszego odrodzenia znaczenie wielkie, jako jeden z jego pionierów i twórców. Rej jest tylko poprzednikiem Kochanowskiego, Górnickiego i innych, ale razem z nimi ma tę zasługę, że budował Polskę nowożytną.

Tak wyobrażam sobie Reja na tle powszechnych wówczas ogólnie - europejskich zmian duchowych. Te zmiany przypadają w różnych krajach na lata różne, ale w istocie swej wszędzie są te same, czy pojawią się bardzo wczesnie we Włoszech, czy znacznie później w Niemczech lub Polsce. W związku z tem dziejowym zjawiskiem mało znaczący sam przez się Rej staje się zjawiskiem bardzo ciekawym i ważnym.

\* \* \*

Obok przyczyn ogólnie - europejskich, wywołujących wszędzie skutki te same, działają na ukształtowanie się faktów literackich tak w tej epoce, o której mówimy, jak i w każdej innej, także warunki lokalne; połączone działanie pierwszych i drugich daje piśmiennictwu wytyczną i warunkuje jego obraz ogólny. Na tem tle dopiero możemy myśleć i mówić o indywidualnościach pisarskich.

Otóż Rej, pisarz i umysł, jak jest produktem tych dążeń powszechno europejskich, tak w wyższym jeszcze stopniu jest produktem warunków i stosunków specyficznie polskich i typowym wizerunkiem Polski ówczesnej. I to właśnie sprawiło, że ta Polska ówczesna z takim zapałem Reja przyjęła; wszak to była krew z jej krwi i kość z jej kości, był to „jako jeden z nich“, przychodził do swoich i swoi go przyjęli. Dawał Rej ówczesnemu społeczeństwu literaturę żywotną i idącą z życiem, ale równocześnie pokazywał mu jego własny portret, myślał i mówił tak samo i to samo, co myśleli i mówili wszyscy. Orzechowski lub Modrzewski także poruszali kwestye żywotne i aktualne, a jednak nie było tak wielkiej tożsamości ich ducha z duchem ówczesnej Polski. Więc tylko jeden był Rej i tylko jemu jednemu tak wysokie wyznaczono miejsce. A dziś dla nas Rej przez to właśnie ma wartość największą. Jest doskonałym zwierciadłem, w którym możemy się przypatrzeć sprawom i ludziom Polski w połowie XVI wieku. Rej splata się w naszym umyśle z ogólnym wyobrażeniem narodu w tej epoce. Wiemy, że w tym samym czasie byli w Polsce ludzie, którzy potęgą umysłu swego zostawiają Reja daleko po za sobą. Ale gdy chodzi o najogólniejsze syntetyczne wyobrażenie narodu w pewnej epoce, to wyobrażeniu takiemu ton zasadniczy daje zawsze masa, nie jednostki, choćby genialne. Otóż Rej jest jednym z tej masy, a że wszelakie jej cechy w sobie skupia, przeto obraz jego staje się tem samym obrazem całego ówczesnego społeczeństwa.

„Całego społeczeństwa“. Wyrazowi temu nie nadajmy dzisiejszego znaczenia. Społeczeństwem jest wtedy wyłącznie prawie szlachta i ona jest narodem. Rej tedy szlachcicem jest przede wszystkim i szlachty reprezentantem — jako człowiek i jako pisarz. Jako człowiek: o ile go widzimy z pism jego, z aktów, z biografii Trzecieckiego, tak samo wyobrażamy sobie ówczesnego szlachcica z warstwy pośredniej pomiędzy magnatami a szarakami; zasadnicze rysy tego typu śledzić



możemy w późniejszych wiekach naszej historii, a jeszcze dzisiaj typ ten nie należy do wymarłych.

Jako pisarz: zaznaczamy tutaj, że nie chodzi nam o to, czy Rej zastępował interesa szlachty i był ich rzecznikiem, tylko, że w pismach jego znalazło odbicie ówczesne życie szlacheckie. Najważniejszym dziełem Reja jest „Żywot człowieka poczciwego“. Niezmiernie charakterystyczny jest ten tytuł. Myślelibyśmy, że to będzie ideał człowieka w ogóle, tymczasem jest to obraz szlachcica polskiego. Charakterystycznym jest, że Rej nie zatroszczy się o to, czy te dwa pojęcia są równie szerokie, czy można jedno podstawiać na miejsce drugiego. Na tym jednym tytule już znać epokę i znać ówczesne życie polskie. Człowiekiem jest przede wszystkim szlachcic. Niema zresztą w takim pojmowaniu rzeczy przez Reja jakiejś niechęci lub pogardy dla innych stanów, jakiegoś samolubnego zasklepiania się w kastowości, jest tylko odbicie życia, które warstwę szlachecką wysunęło na plan pierwszy i oddało jej nad innymi panowanie. Dalej: cały ów model wzorowego człowieka jest przeznaczony dla szlachcica ziemianina, żołnierza, pośta — w tych trzech kategoriach mieścił się przecież żywot szlachcica polskiego przez trzy wieki. Na wiek XVI zaś, na jego połowę, przypada ostateczne ustalenie się tego właśnie typu. Rej przeniósł do literatury to, co stało się wtedy życiem.

I w innych pismach Reja z tym samym objawem się spotykamy: „Zwierzyniec“ przecież poza opowiastkami historycznymi i poza moralnymi apoftegmatami cały zajęty jest przez szlachtę. „Zwierciadło“ nie tylko „Żywotem“ ten sam fakt potwierdza. Tam, gdzie Rej zbytnio zależny jest od obcego wzoru, tam moment ten nie występuje tak silnie: „Józef“, „Wizerunek“, „Figliki“, a jednak i tam ostatecznie szlachcica odkryć można, zwłaszcza w „Figlikach“.

Dalej: przypomnijmy sobie, jak układają się u nas w tej epoce stosunki ekonomiczne, jak cała szlachta staje się narodem rolniczym przede wszystkim i wyłącznie, jak cała Pol-

ska wyrusza wtedy na wieś. I ten fakt odbił się żywo w pismach Reja. Wieś, a za nią przyroda, pojawia się teraz w literaturze polskiej. Szlachcic z „Żywota“ to wyłącznie ziemianin, rolnik, wszystkie inne jego zajęcia są tylko chwilowe. Poezya życia wiejskiego odbija się w „roku na cztery części rozdzielonym“: ten motyw, tę poezję wsi, wprowadził do naszego piśmiennictwa pierwszy Rej, po nim dopiero (naturalnie już daleko piękniej) przedstawił to samo Kochanowski w „Sobótce“. Wieś wciska się do dzieła Rejowego całym swoim życiem, wszystkimi objawami tak, że spotkamy tu obok pana, szlachcica, także przelotnie i chłopa, dowiemy się czasem o pieśni ludowej i t. p. Wszystko to świadczy, jak Rej, pomimo moralizującego tonu swych pism, silnie związany jest z życiem i jak nam to życie pokazuje.

Wieś zaprowadziła ówczesnych naszych pisarzy do przyrody, której odczuwanie występuje w tej literaturze bardzo wybitnie. Najpiękniejsze obrazy przyrody, świadczące i o dobrem na nią patrzeniu i o wrażliwości na jej piękno, dał Kochanowski. Rej tak daleko jeszcze nie zaszedł. Osobnych obrazów przyrody u niego jeszcze nie znajdziemy, na to brakło mu sztuki. Ale z nader licznych wzmianek, fragmentów, porównań, widać najwyraźniej, że przyroda nie jest dla Reja martwą, że się z nią zna i spoufalił, że ma oko na nią otwarte. Że zaś pierwszy na to w literaturze zwrócił uwagę, to jest dowodem, jak czułym był rejestratorem ruchów ówczesnego życia i jak silnie z tem życiem był związany.

Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na ideał, który Rej w „Żywocie“ kreśli, to nie trudno zauważyć, że nie jest to ideał najwyższych, najlepszych i najmądrzejszych w narodzie, ale właśnie tej przeciętnej masy. Człowiek Reja jest moralnie dobry, ale jest to dobroć mała, negatywna raczej, to znaczy nie robi on nic złego; jest dyletantem wiedzy i działania; poza zakres swojej wsi wychodzi niezmiernie rzadko, tak fizycznie jak i duchowo; jest hedonikiem w dość codziennej mierze — „azaż to nie rozkosz“ jest dlań moto-

rem dobrego życia. I tak dalej: widzimy, że jest to ideał człowieka poczciwego może, ale nadzwyczajnie zwyczajnego, przeciętnego. Taką bywa masa, taką była masa szlachecka w owej epoce — otóż Rej, kreśląc taki ideał, przemawiał do tej masy i w jej imieniu i jej ogólny wyidealizowany obraz nam przekazał. Sam wznosił się nad nią tem, że był pisarzem, że w swem pisaniu służył idei, więc pod tym względem wyższy jest nad swojego człowieka poczciwego, ale poza tą różnicą jest on najzupełniej częścią tej właśnie społeczności. I przez to tak on sam, jak jego dzieła, nabierają dziś dla nas takiego znaczenia świadectwa historycznego.

\* \* \*

Na ten temat możnaby o Reju mówić wiele i długo, bo każda monografia o nim może i powinna być obrazem ówczesnej Polski. W szkicu niniejszym poprzestać musimy na wymienieniu takich rysów, które się nam zdają najważniejszymi; pominęliśmy więc n. p. język i styl Reja, tylokrotnie wychwalany — język i styl jest rzeczą podrzędną, bo gdy jest talent, znajdzie się i język i styl, same nigdy istnieć nie mogą; nie widzę też oddziaływania tego języka Rejowskiego na ówczesnych prozaików. Najważniejszym, gdy Reja pragniemy scharakteryzować, jest to, że on pierwszy dał Polsce piśmiennictwo żywotne, w którym naród znalazł swoje myśli i dążenia, że jest jednym z twórców Polski nowożytnej, i że my dzisiaj, jego studyując, poznajemy tem samem wielkie obszary życia dawnej Polski.

I dlatego to, pomimo małego aryzmu, Rej zupełnie słusznie zajmuje tak wysokie miejsce w historii literatury i kultury polskiej.





Humor i dowcip w Polsce XVI wieku





**H**myślnie używam określenia „Humor i dowcip w Polsce“ a nie „Humor i dowcip polski“. Z tem drugiem określeniem bowiem wiązałoby się zadanie, którego na tem miejscu nie mogę się podjąć.

Chodziłoby mianowicie w tym razie o to, aby określić specyficzne cechy i znamiona humoru i dowcipu polskiego w epoce Odrodzenia, w odróżnieniu od dowcipu narodów innych. Zadanie to niewątpliwie bardzo pojętne i bardzo wdzięczne, w razie spełnienia walny przyczynek do poznania kultury polskiej, ale w obecnych warunkach tak jeszcze trudne, że najlepiej będzie cofnąć się przed niem. Nie mówię już o tem, że w takim razie należałoby się uporać z kwestyą, jak trzeba komizm pojmować (aby mieć podstawę do wywodów szczegółowych), a kwestya to niełatwa: „Najwięksi myśliciele, od Arystotelesa począwszy, próbowali sił swych na łatwym tym na pozór problemacie. Lecz problemat ten zawsze wymyka się z pod wszelkiej próby systematycznego ujarzżenia go i znowu się podnosi, zuchwale wyzywając myślenie filozoficzne“ (Bergson, Śmiech. Studium o komizmie. Lwów - Warszawa, 1902, str. 1). Ale najważniejszą przeszkodą byłby fakt, że humor i dowcip polski XVI wieku wogóle jeszcze wcale nie był opracowany; są opracowania pojedynczych autorów lub pism humorystycznych (n. p. „Figliki“ Reja przez Chrzanowskiego, „Fraszki“ Kochanowskiego przez Zatheya, i innych), ale najpierw i te prace szczegółowe nie zajmują się specjalnie rozbiorem humoru i dowcipu, nie komizm rozbieranych dzieł jest ich punk-

tem wyjścia, a powtóre nikt nie pokusił się dotąd o rozpatrywanie całości sumy objawów, składających się na humorystykę polską renesansową. Otóż w pracy, która poprzedników nie ma, a na terenie trudnym się porusza, lepiej sobie postawić zadanie skromniejsze. Więc nie będziemy się wcale kusili o to, aby wyznaczyć cechy osobiste dowcipu polskiego w epoce Odrodzenia, za to rozpatrzmy sobie i zsegregujemy objawy tego dowcipu i humoru, jak się w ówczesnej Polsce przedstawiają. Pomieszanie w nich pierwiastków i motywów obcych z rodzimymi jest tak wielkie, że niepodobna ich łączyć. Możemy je tylko układać w pewne grupy. Będzie to praca tylko z grubsza, ale kto karczuję las, nie jest jeszcze obowiązany stawiać na jego miejscu pałacu, wystarczy, jeżeli przygotuje miejsce.

Powyższe kilka słów wydały mi się koniecznymi, aby zapobiec możliwemu nieporozumieniu między autorem a czytelnikiem.

Obok tego jeszcze zastrzeżenie drugie. Tylokrotnie parafrazowane i adaptowane zdanie: powiedz mi, co czytasz (. . . z kim się wdajesz..., co jesz... i t. d.), a powiem ci, kim jesteś, zastosowano także do dowcipu i do humoru, i powiedziano: powiedz mi, z czego się śmiejesz, a powiem ci, kim jesteś. Czyli: z tego, jak się człowiek śmieje i z jakich pobudek, co mu się wydaje śmiesznym, wnioskujemy o jego poziomie i jakości umysłowej. Otóż zdanie to, jak mniej więcej wszystkie zdania ogólne, w świetle faktów nieco się załamuje. Zwłaszcza gdybyśmy je zastosowali w całej rozciągłości do humorystyki i humorystów polskich XVI wieku, natknęlibyśmy się na rzeczy wprost niezrozumiałe. Polska XVI wieku w najwyższych nawet swoich reprezentantach duchowych śmieje się zwykle w sposób prostacki, szeroko otwierając usta, a śmieje się zbyt często z rzeczy, na które my dzisiaj wzduszamy ramionami. Ojciec naszej literatury że nie był zbyt wybredny ani subtelny, to wiemy, więc jego żarty i śmiech nas nie dziwią; ale Górnicki, Kochanowski! tych po prostu



czasem pojąć nie możemy, tak rzecz nam się nie zdaje godną uśmiechu, a oni tak się z niej cieszą! Otóż gdybyśmy z tych faktów wnioskowali o umysłowości Górnickiego lub Kochanowskiego, wnioskowanie wypadłoby fatalnie i niezgodnie z rzeczywistością. Nie należy więc przypisywać humorystyce większego niż ma znaczenia dla psychologii jednostek czy narodów; nie należy też przenosić naszych dzisiejszych pojęć do wieków dawnych.

Nie będąc jedynym lub najważniejszym, dowcip jest jednakże świadectwem psychologicznym jednym z ważniejszych, a zdanie powyżej przytoczone ma znaczenie niemałe, jeżeli je stosujemy do faktów w zakresie ułamkowym. Zwłaszcza dla epok dawniejszych. Tam humorystyka dodaje ogólnemu obrazowi psychologicznemu wiele życia. Bez niej portret osoby czy epoki byłby jakiś sztywny i konwencyonalny, z nią nabiera więcej żywotnej cery, staje się prawdziwszym.

Stąd rozwija się też potrzeba badania wesołości Polski XVI wieku. Ta Polska, którą znamy z aktów, z dokumentów, z kronik, z poważnych dzieł literackich, jest jakby niekompletną, czegoś nam w jej obrazie brakuje. Brak ten uzupełnimy, czytając czy to „Figliki“ Reja, czy niezliczone „Fraszki“ z Kochanowskim na czele, czy akta Rzeczypospolitej Babińskiej, czy zachowane przez Górnickiego wiadomości o rozmaitych żartach i figlach, jakie sobie Polacy ówcześni płatali.

„Wiek XVI“ nie stanowi dla humoru polskiego jakiegś ściśle zaokrąglonej jednostki; humor wieku XVII, zwłaszcza w pierwszych dziesiątkach, jest w istocie swej taki sam, jak w stuleciu poprzednim. Ograniczanie więc naszego przedmiotu wiekiem „XVI“ jest czysto mechaniczne. Możemy go też w pewnym punkcie przerwać. Tym punktem zaś będzie mniej więcej śmierć Kochanowskiego. Nawet uzyskamy w takim razie coś na kształt punktu granicznego, wynikającego z samej rzeczy, a nie wziętego dowolnie. Ze śmiercią Kochanowskiego kończą się jego fraszki, wykwit dowcipu i humoru polskiego w tych czasach; równocześnie zaś w epoce

przed tą datą mieści się Górnicki z Dworzaninem i Rej. W tych trzech pisarzach zaś zawiera się największa suma i najlepsza jakość polskiej humorystyki Odrodzenia.

Jeszcze jedna uwaga na zakończenie tego — może już przydługiego — wstępu. W teoretyczne określenia i odróżniania humoru od dowcipu wdawać się tu nie możemy; musimy przypuścić ciche porozumienie się piszącego z czytającym co do znaczenia tych dwóch wyrazów. W każdym razie zaakcentujmy silnie, że co innego jest humor, co innego dowcip, chociaż są one w bliskim z sobą związku; humor będzie stanem umysłu, dowcip produktem pewnego stanu; można mieć humor bez dowcipu i odwrotnie, choć prawdą jest, że dowcip częściej rozwinie się na podłożu humoru aniżeli na innym; zdolność do dowcipu każe przypuszczać jakieś większe zróżniczkowanie i pogłębienie umysłu, aniżeli zdolność do humoru. I kiedy rozważamy obydwie te zjawiska chronologicznie, to humor w najrozmaitszych postaciach pojawia się w epokach najdawniejszych, dowcip zaś wstępuje na arenę tem więcej, im więcej zbliżamy się do czasów nowszych. Wiadoma też rzecz (choćby z Kultury Odrodzenia we Włoszech Burckhardta), że dowcip, w pełnym znaczeniu tego słowa, jest produktem Odrodzenia.

## I.

W Polsce średniowiecznej humor i dowcip wydaje się, jak gdyby był monopolem pewnej tylko grupy ludzi, komików zawodowych. Rozmaici „jigrcy“ i „wiły“ rozweselali publiczność średniowieczną. Dowcip to był i humor więcej cyrkowy; to też i samo rzemiosło i jego przedstawiciele nie cieszyli się poważaniem. Ale poza tem z pewnością była humorystyka nieco lepsza i wyższa; ślady jej bardzo nieliczne zachowały się n. p. w kazaniach: dla pobudzenia uwagi słuchacza kaznodzieja wywody swoje przeplatał opowiadaniem, historyjkami, między którymi tu i ówdzie zaplątała się historyjka wesoła, czyli anegdotka. Anegdotka jest najwyższym

wytworem humoru w Polsce średniowiecznej; o innych jego stopniach nie mamy świadectw. Zapewne były. Musiała być n. p. gra słów, pierwszy znów stopień dowcipu. Ale literatura polska średniowieczna, ograniczona na pole religijne i prawnicze, nie przechowała ich. Są jakby próby humoru czy dowcipu w natrzęsaniach się śmierci z Polikarpa (Rozmowa magistra ze śmiercią = *prologus de morte*), albo w satyrze na leniwych chłopów (w której można ostatecznie dopatrzeć się niejkiej, bardzo nierozwiniętej zresztą, zdolności autora do takiego grupowania wyników obserwacji, że ostatecznie ich wrażenie będzie z pewnym dodatkiem humoru) — wogóle jednakże świadectw brak, średnie wieki pod tym względem wobec nas milczą.

Mówi za to wiek XVI. Ma on na swoje usługi literaturę rozwiniętą niezmiernie w porównaniu z epoką poprzednią, i ta literatura przechowała nam przykłady dowcipu i humoru średniowiecznego. Równocześnie zaś przechowała nam humorystykę renesansową. Bo wiek XVI w Polsce, to nie cała pełnia Odrodzenia, jak to było we Włoszech lub we Francji. Odrodzenie polskie zaczyna się naprawdę dopiero gdzieś w połowie tego stulecia. Stąd literatura polska w pierwszych dziesiątkach XVI wieku jest co do istoty swej raczej średniowieczną. Dalej: nie było między wiekami średnimi a Odrodzeniem jakiejś przepaści, ale było przejście. W literaturze polskiej ta przejściowość objawiła się doskonale w Reju. Wreszcie zaznaczyć trzeba, że mnóstwo faktów duchowych ze średniowiecza przeszło do Odrodzenia i do czasów nowszych. Zwykle wyobrażamy sobie Odrodzenie jako coś, co nie ma związku z latami, poprzedzającymi je; zapatrywanie to okazuje się z postępem badań coraz mylniejszem. W szczególności co do naszego tematu należy pamiętać, że humorystyka renesansu jest bogatszą, więcej rozwiniętą i więcej pogłębioną, aniżeli jej poprzedniczka, ale że z niej wzięła bardzo wiele i że jest jej jakby dalszym ciągiem, z bocznym przyływem pewnej ilości nowych pierwiastków.

Na samym wstępie do wieku XVI, jako jeden z najwcześniejszych druków polskich, pojawia się w roku 1521 Marchońt („Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchońtem grubym a sprosnym, a wszakoż jako o niem powiadają barzo zwymownym, z figurami i z gadkami śmiesznymi“), książka pochodzenia niepolskiego, przekład z łaciny średniowiecznej. Jest to w literaturze polskiej najlepszy okaz humorystyki średniowiecznej. Na dnie pisemka leży myśl o wyższości zdrowego „chłopskiego“ i naturalnego rozsądku i dowcipu (Marchońt) nad książkowym, uczonym (Salomon). Myśl ta odziała się w szaty humorystyczne. Salomon z Marchońtem „gadają się“; na każdą sentencję króla Marchońt odpowiada jej parafrazą, rubaszną, sprosną bardzo często, humorystyczną dla ówczesnych czytelników. Poczem udowadnia królowi słuszność swych twierdzeń: że zając ma w ogonie tyle stawów, co w grzbiecie, — że sroka ma tyle pierza białego, ile czarnego, — że dzień jest bielszy niż mleko, — że niewieście tajemnicy żadnej powierzyć nie można; wszystko zagadnienia najzupełniej w duchu średniowiecznym.

Kilka próbek z Marchońta.

Opisanie osoby Marchońta i jego żony: „Wzrost Marchońtów był krótki, mały a mięszy, głowę miał wielką, czoło szyrokie, czerwone a zmarszczone, uszy kosmate a zwieszzone do półlica, oczy mięsze a płynące, wargę spodnią mało niejako u wałacha, brodę smrodliwą a kosmatą jakoby u kozła, ręce jakoby klocki, palce krótkie a mięsze, nogi okrągłe, nos mięszy a garbaty, wargi wielkie a mięsze, oblicze jakoby u osła, włosy jakoby na kozle, obów nóg jego była chłopka a barzo gruba, skóra jego kosmata a błotna, suknia jego krótka telko do łędźwi, nogawice jego farbowane, odzienie jego farby barzo grubej. Żona też jego była malutka a barzo mięsza, ..., włosy jej były jakoby szczeciny, brwi wielkie ostre a smrodliwe jakoby na grzbiecie u wieprza, brodę jakoby u kozła, uszy jakoby u osła, oczy pochmurne a płynące, wzrok wężowy, ciało czarne a zmarszczone, ..., palce

miała krótkie mając na nich żelazne pierścienie, nozdrze oboje wierzchnie i spodnie miała nieboga barzo wielkie, goleni krótkie a mięsne a kosmate jakoby i u niedźwiedzia, suknia jej była kosmata a rozerwana“. Ta nadobna para służy naturalnie autorowi do portretów karykaturalnych, jakkolwiek ostatecznie jego sympatyje są raczej po stronie sprośnego Marchołta niż mądrego Salomona.

Genealogia Marchołta i jego żony, podana przez niego jako antyteza genealogii Salomonowej, jest (zwłaszcza ta druga) sumą tego, co sobie wyobrażamy jako humor śprośnie-rubaszny, tak że na tem miejscu niepodobna jej przytoczyć, choć należało wspomnieć. Polega tutaj dowcip na nazwiskach tych generacyj; motyw, który w humorze XVI wieku spotkamy niejednokrotnie.

Z owego przekomarzania się obu rozmawiających za-notujemy takie n. p. zdania:

Salomon. Niewiasta, która się Boga boi, będzie chwਾਲona. — Marchołt. Kotka, która dobrą skórę ma, będzie obłupiona...

S. Niewiasta cudna a poczliwa ma być szanowana nad wszystkie inne znamienitsze dary. — M. Niewiasta ciała tłustego rada dawa żywota swojego...

S. Wiele jest ludzi co w ubóstwie trwają, a wszakże z żonami mieszkają. — M. Nędzny człowiek chleba nie miał, wszakże sobie psa nabywał.

S. Kiedy sidziesz za stołem bogatego, tedy patrzaj pilno, co przed cię położą. — M. Wszelka postuga brzuchowa do brzucha wchodzi i w brzuchu się chowa...

Marchołt należał do ulubionych ksiązek „ludowych“ w wieku XVI, przedrukowywano z niego wyjątki w rozmaitych wokabularzach, i dawano czytać dziewczętom dla ćwiczenia języka.

Z wieków średnich przeszła też do humorystyki Odrodzenia a negdota. Używamy tej nazwy, choć niedokładnej, ale lepszej nie ma. Wiek XVI nazywał ją rozmaicie (mieszając

zresztą z sobą różne kategorie). Tak Kochanowski zbiór swój anegdota (prozą) nazwał Apoftegmatami, Rej Figlikami. Figliki Rejowskie są znowu w Polsce XVI wieku największym i najbardziej typowym zbiorem anegdota. Na nich można doskonale studyować, jakie historyjki uciészne, jakie anegdotki kursowały po ówczesnej Polsce. Moment to bardzo ważny, zastanówmy się nad nim trochę obszerniej.

Anegdota — krótka uciészna historia, czasem z satyrą (bardzo ogólną zresztą), często bez tej myśli, poprzedniczka i jakby embryon dzisiejszej humoreski, nie jest, jak to się często słyszy, wytworem Odrodzenia. Była w starożytności ulubioną i w wiekach średnich. W epoce renesansu za to przyszła do znaczenia, jakiego nigdy przedtem (a chciałoby się powiedzieć i nigdy potem) nie miała. Stała się teraz osobnym rodzajem literackim, równouprawnionym z innymi, poważniejszymi, uprawianym bardzo gorliwie przez humanistów.

Skądże ten jej nagły rozrost teraz? Oto powód był ten sam, który wpłynął na rozszerzenie się humoru, na spotęgowanie się dowcipu: wyższy stopień oglądy, rozwój życia towarzyskiego. Wieki średnie tego życia nie miały, stworzyło je Odrodzenie. Otóż tylko na tem tle humor i dowcip może się rozwijać i kwitnąć, tylko w życiu towarzyskiem ingenia mogły się krzesać i wydawać iskry humoru i dowcipu. O naszym rozwoju i rozkwicie życia towarzyskiego w Polsce w połowie XVI wieku świadczy ówczesne piśmiennictwo bardzo wyraźnie. Nie możemy się tu wdawać w opisy tego życia — odsyłamy n. p. do studjum K. Morawskiego (*Z życia towarzyskiego w epoce Zygmunta Augusta. Przegląd polski, 1884*) — zauważmy tylko, co nam do naszej rzeczy potrzebne: towarzystwo ówczesne musi być i jest wesołem, człowiek smutny, ponury, mruk, nie ma w niem miejsca, chyba jako objectum żartu. Już humor i dowcip nie są wyłącznie monopolem zawodowych komików. Dworzanin u Górnickiego, szlachcic u Reja, to ludzie, którzy umieją się bawić i umieją żartować.

wać. Od dworzanina Górnicki żąda, „aby był trefnym w powieści, a umiał rozśmieszyć podczas te, z którymi będzie“, podaje też wskazówki, jak ma trefnować — wskazówki świadczące o tem, jak humor postąpił od wieków średnich: „ustawicznie trefnować nie przystoi dworzaninowi, ani też tym kształtem, jako szaleni, albo pijanice, albo błaznowie“. Rej zaleca tyle razy pomierne a poczciwe biesiady, podczas których i pożartki być mogą, i wesołość; a w przedmowie do Figlików wypowiada te charakterystyczne słowa:

„Ażaj nie wiesz, iż duch smętny kiedy kogo ruszy,  
Mędrzec pisze, iż kości i krew barzo suszy,  
Bo kiedyby ludzie wszystko by w klozie siedzieli,  
Tylko myśląc a bez żartów, wszakby poszaleli“.

Takiem wesołem towarzystwem było grono młodych ludzi przy dworze królewskim, między którymi był Kochanowski i Górnicki, takimi były owe zebrania szlacheckie w Małopolsce, o których poucza nas pośrednio Żywot poczciwego człowieka, a bezpośrednio Rzeczpospolita babińska.

Otóż w takim wesołem towarzystwie prosperują trzy kategorye, trzy działy niejako humorystyki: figliki (anegdoty), które sobie ci ludzie opowiadają; figle, które sobie płatają; dowcipy najrozmaitsze, które improwizują, tworzą. Te trzy kategorye ułożyliśmy w szereg progressywny; każda następna wymaga większego wyrobienia umysłowego od poprzedniej. Do tego, aby ovladać i wykonywać pierwszą, nie potrzeba wcale być dowcipnym, trzeba mieć tylko pamięć, znać i pamiętać duży zasób anegdotek, dykteryjek, historyjek. Człowiek, który ma ten dar, jest w towarzystwie wesołem pożądanym, choćby sam nie potrafił stworzyć ani jednego dowcipu. Wyższy już stopień przedstawia figiel, jaki się komu płata. Naturalnie o ile jest istotnie dowcipny a niezbyt bolesny. Wreszcie najwyżej stoi twórczość na polu dowcipu.

Przy podziale tym należy pamiętać, że kiedy mówimy o anegdocie, jako pierwszym stopniu humorystyki, to mamy

na myśli nie jej autora (bo to wchodzi w zakres kategorii trzeciej), ale sam fakt jej rozszerzenia. Anegdota bowiem, jak apolog, jak opowieść, należy najczęściej do tematów powszechno-europejskich. Na pozór nieraz bardzo rodzima, z akcją na terenie polskim, z nazwiskami polskimi osób działających, po bliższym zbadaniu okazuje się, że istnieje u humanisty niemieckiego i u włoskiego, że rozszerzoną jest w wiekach średnich, że znaną była już w starożytności; każdy kraj tylko, każda epoka, ubierała ją w swój kostium. Otóż jeżeli Polak XVI wieku opowiadał anegdotkę o upartej niewieście (golono - strzyżono), to nie stworzył jej sam, ale wyczytał w Dworzaninie Górnickiego, — ten przetłumaczył z Castigliona, ten wziął z literatury włoskiej średniowiecznej, i tak dalej. Otóż tego Polaka, który powtarzał powieść o upartej niewieście, nie możemy jeszcze *eo ipso* uważać za dowcipnego (chyba jeżeli temat ten opracuje na nowo, odrębnie i dowcipnie: Mickiewicz); ani skalą tej anegdoty nie możemy mierzyć dowcipu polskiego XVI wieku, — świadczy ona tylko o humorze. Nieraz nawet Rej albo bezimienny poeta protestant (wiersze z lat 1562—1568, wyd. Chrzanowski w akad. Bibliotece pisarzy polskich, nr. 43) przez nieudolność formy bardzo często anegdotę samą psują. Mają na tyle humoru, żeby pointę odczuć, nie mają takiego dowcipu, tak wyrobionego, żeby jej czy to rozwlekłością, czy niepotrzebną nauką moralną, i t. p. nie zepsuć. Na tych autorach (w innych rzeczach wcale dowcipnych) widać doskonale, jak opracowanie wierszem jakiejś uciесnej historii nie daje jeszcze patentu na dowcip.

## II.

Jest tedy anegdota (figlik) pierwszym działem humorystyki polskiej XVI wieku, i zapewne najbogatszym ilościowo. Prawdziwa ich powódź zalewa wtedy Polskę. Powtarzają się wszędzie, u poetów i u prozaików; są osobne ich zbiory (Reja



„Figliki albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach, dla krotofile, wolny będąc, czytać możesz“, wyd. drugie z roku 1574 — wyd. pierwsze 1562 p. t.: „Przypowieści przypadłe“, — Księga druga Dworzana, r. 1566, zawiera wielką ilość takich figlików, — Kochanowskiego Apophtegmata), obok nich zaś spotykamy się z dykteryjkami w dziełach o najpoważniejszej tendencji, jak n. p. Rejów Żywot człowieka poczciwego. Większa ich część jest pochodzenia obcego (por. co do Reja studium Chrzczanowskiego w Rozpr. Wydziału filolog. t. 23, str. 320 i nast.). Wzięte to z kazań, to z Gesta Romanorum, to ze zbiorów facecyj, ułożonych przez humanistów: Poggia, Bebla, Gasta<sup>1)</sup>), z apophtegmatów Erazma z Rotterdamu i t. p. Po prostu ówczesna publiczność nasza tak się w nich lubuje, że bierze je, skąd może. A następnie przyswaja, lokalizuje, polszczy. Dowie się n. p. o żarcie słynnego błazna włoskiego Gonelli (najwięcej na świecie lekarzy): w lot połączy go z błaznem polskim, ze Stańczykiem. Wyczyta gdzieś dowcipne powiedzenie króla aragońskiego: wnet przypisze je Zygmuntowi. I tak dalej, aż wreszcie tą drogą dojdzie do anegdot własnych, rodzimych. Ów proces polonizowania anegdot widać we wszystkich jego fazach w Dworzaninie. Tam Górnicki podaje trzy niejako grupy anegdot: 1. żywcem z oryginału Cortigiana przetłumaczone, a więc mówiące o osobistościach obcych, włoskich, czasem hiszpańskich; 2. przerobione z Dworzana włoskiego — to, co Castiglione mówi o chłopie weneckim, Górnicki mówi o chłopie z okolic Krakowa; a przerabia tak zręcznie, tak umie dokładnie określić n. p. czas („gdy posłowie książąt pomorskich królowi hołd czynili“), że w pierwszej chwili ani nie przypuszczamy obcego pochodzenia facecji; 3. nareszcie podaje też anegdoty rodzime, powstałe niewątpliwie na ziemi polskiej.

---

<sup>1)</sup> Którzy sami także ich nie wymyślili ale brali od poprzedników.

Rozpowszechniwszy się i zakorzeniwszy tak głęboko w wieku XVI, dykteryjka staje się teraz trwałym nabytkiem literatury i umysłowości polskiej. Wiek XVII kocha się w niej tak samo, jak jego poprzednik, tak samo ją uprawia jako osobny rodzaj literacki. Później z literatury anegdota znika jako rodzaj, ale tem silniej żyje w tradycji. Gdy się zna humorystyczne rzeczy z wieku XVI, odkrywa się z przyjemnością starych znajomych w dzisiejszych pismach humorystycznych, które z miną wynalazcy opowiadają n. p. o mężu, któremu się żona w sadzie obwiesiła, i o jego sąsiedzie, proszącym o gałązkę z tego drzewa, aby ją w swym ogrodzie posadzić, — nie domyślając się, że jest to jeden z figlików Rejowskich, opowiedziany zresztą na tysiąc kilkaset lat przed Rejem przez Cicerona; albo kiedy się czyta różne anegdoty z życia naszych znanych facecyonistów (n. p. Rzewuskiego). Rodzajem osobnym w literaturze ta anegdota przestała być; zesza niejako niżej, od literatury pisanej do ustnej, tradycyjnej; ale żyje do dziś dnia, żyje nietylko wśród warstw wykształconych ale i wśród ludu, i żyć chyba będzie bardzo długo, ma bowiem dziwną zdolność przystosowania się do warunków najrozmaitszych, stąd wielką siłę żywotną.

O anegdotach, kursujących w Polsce w XVI wieku, można mówić ze względu na ich formę, na opracowanie. Tu zaś zaznaczmy, że te, które zostały zapisane w prozie, wyglądają daleko lepiej; należą tu anegdoty z prozaicznych pism Reja (p. p. Żywot), Apophtegmata Kochanowskiego, facecye w drugiej księdze Dworzanina. W tych pismach forma odpowiada doskonale treści; to, co w facecyi jest komiczne, uwydatnione jest bardzo dobrze. Natomiast anegdoty, opracowane w wierszach, są najczęściej co do formy swej opłakane. Pisał je Rej, pisał Smolik, pisał Anonim-protestant: wszyscy, jako poeci, raczej pośledni (Kochanowskiego Fraszki to zupełnie inny rodzaj). Poeci owi nie umieją władać wierszem należycie, to też ich wóz dowcipu tam i sam chodzi. Po prostu myśl facecyi bardzo często nie jest uwy-

datniona należycie; najważniejszy moment, w którym jest najwyższe napięcie dowcipu, nie jest tak od innych odróżniony, jak sam dowcip na to zasługuje.

Ale ostatecznie o formę mniejsza na razie; najważniejszą jest dla nas treść facecyi. Nie forma bowiem jest w niej wieczną; Wacław Potocki opowie anegdotę inaczej, aniżeli Rej, dzisiejszy humorysta inaczej, aniżeli Potocki. Treść natomiast zostaje ta sama, i ona przedstawia największy dla nas interes. Ona to pokazuje nam, z czego Polak XVI wieku się śmiał i cieszył, co uważał za opowieść zabawną i rozweselającą; czyli jest ona ważnym świadectwem do poznania stopnia i rodzaju kultury polskiej w owej epoce. Wobec tego zaś zupełnie jest dla nas obojętną rzeczą, czy te anegdoty są wytworem rodzimym czy też towarem importowanym, czy zostały stworzone przez Reja, Kochanowskiego i innych, czy też przetłumaczone z Poggia lub Bebla. Dla ich wartości jako świadectwa kulturalnego pochodzenie ich nie ma znaczenia.

Otóż rozpatrując treść ówczesnych anegdot, spostrzegamy odrazu ten fakt, że repertoar ich jest stały. Zupełnie tak samo, jak dzisiaj. Jak dzisiaj bohaterem pism humorystycznych jest stale to profesor roztargniony, zapominający parasola, to niedobra teściowa, to oficer uważający się za półboga, tak samo i w humorystyce XVI wieku znajdziemy zawsze całe szeregi wariantów tego samego motywu, to samo zdarzenie opowiadane wiele razy, te same figle i psoty, te same cięte odpowiedzi, i tak dalej. Daje się więc cała masa anegdot sprowadzić do pewnej liczby motywów typowych, zasadniczych. To też główne motywy są nieśmiertelne; w różnych postaciach i odmianach przewijają się po literaturze od starożytności do naszych czasów. Prób usystematyzowania w wieku XVI u nas nie było; anegdoty w zbiorach układają się przypadkowo. Dopiero „Facecye polskie“ z roku 1624 pierwsze podzieliły swój przedmiot na sześć grup: 1) żartowne powieści, 2) misterne kusy a fortele, 3) apophthe-

Kilka figlików Reja <sup>1)</sup>:

Na ciasny kolet fortel. Krawiec zrobił panu kolet, który się zdawał ciasnym. Odesłano więc suknię do naprawy. Ale krawiec ani jej nie tknął, odesłał rano, kiedy pan był na czczo, i istotnie kolet był dobry. Analogiczną dykteryjkę znamy o Fredrze (synu) i jego szewcu.

Złodzieje co błazna chcieli okraść. Złodzieje w nocy zakradli się do mieszkania błazna, i szukają, coby wziąć. Błazen nie śpi, odzywa się wreszcie: trudno macie znaleźć co w mym pokoju po ciemku, kiedy ja za dnia nic nie mogę znaleźć. Anegdotę opowiada się dzisiaj o poecie albo o studencie.

Pleban, co prze Bóg kazał dawać. Pleban w kazaniu zachęcał do dawania w imię Boże, obiecując, że kto da, weźmie za to w trójnasób. Dwóch biedaków słysząc to, przyprowadziło plebanowi swą krowę, ta zaś wróciła wnet do nich z krową plebana, który teraz nie mógł się o nią upominać. Także dykteryjka żyjąca do dziś dnia.

Pleban pieska na cmyntarzu pochował. Strofowany za to przez biskupa, odrzekł mu, że pies umarł po chrześcijańsku i zapisał biskupowi pieniądze. Biskup pieniądze wziął i plebanowi dał spokój. Facecya to Poggia, satyra na chciwych duchownych, w epoce reformacyi musiała się bardzo podobać.

Co pragnienia nie dał leczyć. Pijak choruje na febrę, ma przytem okrutne pragnienie. Lekarzom, którzy się nim zajmują, każe leczyć tylko febrę, bo pragnienie to on już sam później wyleczy.

Chytry jad niewiasta. Młodzieniec pewien wychowywał się w puszczy, nie wiedząc, co to jest niewiasta. Raz przyjechał z opiekunem swoim do miasta, zobaczył kobiety, pyta, co to? opiekun tłumaczy mu: „Są to djabli, byś o nich

---

<sup>1)</sup> W streszczeniach idziemy często za cytowaną rozprawą Chrzanowskiego.

do śmierci nie wiedział“. Gdy wrócili do puszczy, młodzieniec się frasuje, a na zapytanie: skąd jego frasunek? odpowiada, że radby przy sobie widział takiego djabła, zaraz by mu było lepiej. Anegdota ta należy do najulubieńszych i najwięcej rozpowszechnionych; w naszych zbiorach etnograficznych często ją spotykamy.

Anegdot o kobietach jest naturalnie wiele. Tak n. p.: Co się nie chciał spowiedać, iż się żona spowiedała (bo z pewnością wszystko złe na niego wypowiedziała). Albo: Co podle żony nie chciał w niebie sieść (zmarły woli nie pójść do nieba, skoro się dowiedział, że św. Piotr wyznaczył mu w niebie miejsce koło nieboszczki żony). Albo: Co żonę kazał dać wilkowi za pokutę. (Chłopi schwyтали wilka; ale nie chcą go zabić pogrążonego w grzechu bez pokuty; wtedy jeden z nich radzi im, aby mu za pokutę dać żonę). Inna podobna: Chłop co się ożenił (widzi skaczącego wilka i wzdycha: ten pewnie nie ma żony). Albo: Co żonę chciał z okrętu wyrzucić (burza; rozkaz kapitana, aby każdy wrzucił do morza co ma najcięższego, — jeden z podróżnych chce wrzucić swą żonę).

Oczywiście przytaczamy tu ilość minimalną anegdot; Figlików Reja jest dwieście kilkadziesiąt, z czego przeważająca większość anegdot. Z przytoczonych przykładów widać, jak te anegdoty Rejowskie nie są umiejscowione ani chronologicznie, ani geograficznie. Pewna ich część jednakże ma i te szczegóły — są to najczęściej dykteryjki ze stosunków polskich, więc n. p. o Włochu, który zaproszony przez Polaka na ucztę, usnął przy niej, tak długo trwała; albo o Niemcu między Polaki: Niemiec przy uczcie słysząc, jak Polacy zwracali się do służącego, który nalewał wino, ze słowem „nalej“, wziął to słowo za imię własne i rzekł: „Lieber Najlej, podaj mi też piwa“; albo facecye, wyśmiewające Litwinów i t. p. Wogóle jednak trzeba zauważyć, że figliki Reja nie są przywiązane do osób historycznych, wymienionych po

nazwisku. Są ogólnikowe. Zdaje się, że w wielu razach z umysłu: w oryginale, z którego Rej przekładał, jest n. p. nazwa miejscowości, w której się dzieje akcja facecyi; Rej ją opuszcza, aby nie dać poznać, że to jest przekład.

Inne są apophtegmaty Kochanowskiego. Te jeden w drugi mówią o osobach, które wymieniają po nazwisku, i to o postaciach z ówczesnej Polski, znanych wszystkim. Podobnie (choć nie zawsze) robi i Górnicki tam, gdzie nie przekłada z Castigliona, ale opowiada od siebie. Otóż te anegdoty nie są trwałe, nie należą do ogólnoeuropejskiej filiacji tematów humorystycznych; natomiast mają dla nas wielką wartość z tego znowu powodu, że są dla nas rodzajem spisu ludzi dowcipnych w Polsce XVI wieku. Zajmiemy się też nimi w rozdziale IV.

### III.

Druga kategoria humorystyki polskiej XVI wieku to humor czynny, figle, fortelne kusy, krotofile. W wesołym, rozbawionem towarzystwie, na domiar w społeczeństwie tak młodem, rozwijającym się dopiero, jak nasze ówczesne, takie wzajemne płatanie sobie figłów musiało być na porządku dziennym. Naturalnie niezawsze te figle były wytworne; zapewne nawet częściej było wprost przeciwnie. Inaczej jednak być nie mogło. Pamiętajmy, że to jeszcze ludzie bardzo pierwotni, że Kochanowskich, Górnickich, nawet Rejów, nie było wtedy wielu, ale na pochwałę moralistów ówczesnych trzeba przypomnieć, że oni starają się swych czytelników odwrócić od takiego figlowania. Górnicki mówi o jakimś księdzu Buczyńskim, który siła takowych żartów spachał, co szubienicą barzo pachną. Otóż dworzanina swego przed tem przestrzega: „Przeto dworzaninów żart, abo kunsztowna postuga, nic nie ma podobna być księdza Buczyńskiego sztuce, ale ma mieć w sobie przystojenstwo, foremność, a bez zbytniej szkody i obrazy towarzyskiej, wymysł, i nastosowanie“. Jakimi były

żarty mniej przystojne, o tem poucza nas znów Górnicki i Rej. „Jeden drugiego strąci z schodu, wepchnie w błoto, oczy mu zaleje, grochem popluska, mlekiem zmyje, a potem chychu na trzy zbyty“. „Ale to nic u naszych panów, kiedy się rozigrają, jeden drugiemu oczy zalać kampustem, albo czem tłustem gębę zamazać, czapkę zrzezać, suknią zdrapać, pod nosem świeczkę zagasić“; tu Rej dodaje porównanie: „a pospolicie charci takie krotofile miewają“. Widzimy, że są to figle takie same, jakie i dziś popłacają w towarzystwie bardzo młodem albo mało kulturalnem. Swoją drogą nie należy ich sądzić zbyt surowo; objawy humoru tak różnie się przedstawiają na tle różnych okoliczności i pod wpływem różnych warunków, że ta sama rzecz raz się wyda niesmaczną, niezabawną, drugi raz wcale dowcipną.

Po za temi ogólnemi świadectwami, negatywnemi zresztą, niewiele mamy wiadomości o lepszych figlach XVI wieku, a przechował je nam znów Górnicki, i to z nazwiskami osób działających, a więc świadectwo bardzo autentyczne. Trzeba przyznać, że między tymi figlami są istotnie zabawne i nawet dowcipne — przyczem oczywiście trzeba pamiętać, że w „figlu“ zawsze ktoś musi być wywiedzionym w pole, byle tylko nie było to połączone ze szkodą, byle żart nie był zbyt bolesny; tym warunkom figle, przytoczone przez Górnickiego, odpowiadają.

Więc n. p. dowiadujemy się, że pan Gizicki gościa swego uprzedził, że żona jego jest przygłucha, żonie zaś to samo powiedział o gościu, z czego wynikło, że tych dwoje „silnym głosem“ mówiło z sobą, ku wielkiej uciechu otaczających. (Nawiasem powiedzmy, że Górnicki figle takie dobrze opowiada). Albo pan Zebrzydowski i pan Krupski, dworzanie królewscy: kiedy owies był bardzo drogi, a w końcu nawet nie można go było dostać, ubrali dwóch pachotków, którzy jakoby wysłani przez kasztelana wileńskiego, rozdawali dworzanom ceduły na 50, 30, 10 beczek owsa. Dworzanie z wielką chęcią posyłali wozy do wsi, w której miano

owies wydawać, ale wozy wróciły z niczem. Górnickiemu ten żart podoba się; niemniej podoba mu się „ona posługa pana Łukasza Łęckiego, który gdy na straży króla Y. M. miał nocleg, w nocy otoczywszy wszystkie izbę, gdzie fraucymer miał złożenie, pochodniami rozpalonemi, a zawoławszy: Gore! uczynił taki strach, iż drugie panny zapomniawszy się, nie wiedziały co czyniły“.

Najwięcej Górnicki chwali i uważa za najforemniejsze takie żarty, które człowieka „z przodku nakarmią strachu, a potem wszystko się w śmiech a krotoczwilę obróci“. Jako przykład, istotnie dobry, opowiada żart, jaki sobie wyrządzili dwaj dworzanie Zygmunta Starego, Pukarzewski i Skotnicki. Pukarzewski prosił Skotnickiego na wieczerzę i „był mu tak rad, że go i od rozumu odpoił“. Nieprzytomnego kazał związać i wsadzić do sklepu, na to już przygotowanego, i straż nad nim postawił. Skotnicki po kilku godzinach się budzi, zdziwiony, co się z nim dzieje, woła wielkim głosem: Jest tu kto? przebóg cię proszę, ozwij mi się. Straż nauczona, co ma robić, objaśnia mu wreszcie, dlaczego zamknięty jest w lochu: „Aza nie pomnisz, żeś pocziwą dzieweczkę zgwałcił, i ojcaś jej, gdyć jej wziąć bronił, zabił“. Skotnicki wpada w rozpacz, lamentuje; udało mu się wreszcie uprosić jednego ze straży, iż poszedł po pana Kaspra Maciejowskiego. Ten, wciągnięty oczywiście do zabawy, zrazu mu jeszcze dodał strachu, potem dopiero, nibyto czyniąc różne starania, uzyskał warunkowe uwolnienie Skotnickiego. Rzecz zakończyła się śmiechem, a dla Skotnickiego także i pewnym wstydem, gdy z niego później długo żartowano. Że jednak sam należał do ludzi wesołych, postanowił Pukarzewskiemu odplacić pięknem za nadobne. W rok potem zaprosił Pukarzewskiego do siebie, upoił go tak samo, poczem przywołał barwiera, a ten śpiącemu pół twarzy zalepił plastrami. Pukarzewski po przebudzeniu dowiedział się, że przez tego i tego został zraniony w twarz, i musi spokojnie dłuższy czas leżeć, nic nie jeść takiego, czemby mógł wargi i szczęki zbyt sforsować;



dziwił się tylko, że go ta rana nic nie boli, barwierz jednakże (któremu Pukarzewski jeszcze za opatrunek dobrze zapłacił) wyjaśnił mu, że to tylko w pierwszej chwili, poczem ból przyjdzie. Skotnicki, działając niejako równolegle do pierwszego żartu, sprosił również znajomych i przyjaciół, ci rzekomo się nad nim litują — aż ostatecznie rzecz zakończyła się śmiechem. Całe to wydarzenie Górnicki opowiada wprost świetnie, żywo, dramatycznie i dowcipnie.

Takie były zabawy, takie sobie figle Polacy XVI wieku płatali.

#### IV.

Szukamy wreszcie dowcipu w Polsce XVI wieku i szukamy ludzi dowcipnych. Wśród tych odróżnimy sobie takich, którzy plody swojego dowcipu przekazali nam sami, bezpośrednio: są to dowcipni pisarze, humoryści, — od tych, którzy nic nie pisali, ale o których dowcipie poucza nas tradycja. Ci ostatni budzą wielki interes; oni dają nam poznać, jakim był dowcip polski XVI wieku w życiu codziennym, i jakim było tło, na którym rozwija się humorystyka w literaturze. Dalej: ich dowcip możemy już śmiało nazywać polskim, rodzimym. Rozmaite ucinki, żartobliwe a dowcipne odpowiedzi, naśladowania innych osób: to są wszystko za zwyczaj improwizacye, a jako takie są rzeczą oryginalną, chociażby niegdyś, poprzednio, na te osoby oddziaływał był dowcip obcy.

O tych ludziach informuje nas przede wszystkim Dworzanin Górnickiego, nieocenione, bo najobszerniejsze i najważniejsze źródło do poznawania humoru i dowcipu własnego Polaków XVI wieku; żadne inne pismo takiego dla nas w tym względzie znaczenia nie ma <sup>1)</sup>. Poza Dworzaninem

<sup>1)</sup> Przy sposobności powiedzmy, że Górnicki jest jedynym w Polsce XVI wieku teoretykiem humoru i dowcipu. Pan Derśniak mianowicie powiada: „Podług mego zdania trojaki jest sposób tre-

mamy już tylko okruchy takich wiadomości. Najważniejszym z tych drugorzędnych źródeł jest opowiadanie Sarnickiego o rzeczypospolitej Babińskiej. Dalej Apophtegmata Kochanowskiego, ważne przez to, że podają nazwiska. Inne źródła (n. p. Fraszki Kochanowskiego i jego naśladowców, Anonima - protestanta i inne) mają dla nas w tym razie mniejsze znaczenie przez to, że nazwisk nie podają, są więc ogólnikowe.

Jakże tedy wyglądał ten dowcip?

Mówi najpierw Górnicki o ludziach, którzy doskonale umieją naśladować drugich. „Jądro tej trefności a wdzięczność wszytka w tem jest, aby człowiek, powiedając jako się rzecz w sobie miała, umiał twarz wyrazić, słowa, obyczaje i sprawę wszytkę tego, o kim mówi; iżby ci, którzy słuchać będą, zapomniawszy się mniemali, że to przed oczyma ich teraz się dzieje. I kto w to może dobrze potrafić, z niebarzo trefnej rzeczy barzo trefną uczyni“. Tak umiał pan Jan Ocieski, podkomorzy krakowski, naśladować pana Tęczyńskiego,

fnowania, chocia pan Myszkowski dwojaki tylko być powiada; to jest jeden, który w długim a dworskim, jako się co stało, powiadaniu zależy, — drugi, który w jednym a węzłowatym rzeczeniu zawisł. Ale ja trzeci sposób przyłożę, w którym bywają i trefne a prędkie rzeczenia, i długie a foremne powieści, i k temu żart abo przysługa jaka, w której rychlej się kunszt a śmiech, niż wielka szkoda towarzyszowi najdzie“. Odpowiednio do tej zasady Górnicki swoje facecye grupuje. Niestety jednak podział ten nie jest jego własnością. U Castigliona M. Bernardo Bibiena mówi: *...dico chè, secondo me, di tre maniere se ne trovano, avvenga chè M. Federico solamente di due abbia fatto menzione, cioè di quella urbana e piacevole narrazion continuata, che consiste nell'effetto d'una cosa; e della subita ed arguta prontezza, che consiste in un detto solo. Però noi ve ne giungeremo la terza sorte, che chiamiamo burle; nelle quali intervengon le narrazioni lunghe e i detti brevi ed ancor qualche operazione*. Własnością Górnickiego jest dodawanie do facecuj włoskich także facecuj polskich, i grupowanie ich według tej zasady. W każdym razie warto zaznaczyć tę jedyną u nas w XVI wieku próbę teoretycznego określenia humoru i dowcipu.

podkomorzego sędomierskiego; tak hetman Tarnowski doskonale „pokazywał“ tchórzliwego pewnego szlachcica morawskiego; tak Gabryel Grabowiecki „kiedy Niemca Polakiem czyni, trudno ma być co trefniejszego“<sup>1)</sup>.

Jest to rodzaj dowcipu jeden z najprostszych i najmniej wybrednych, a jednakże wiedzie od niego prosta droga na wyżyny komizmu. Jest w nim bowiem zdolność do obserwacji rysów komicznych i zdolność do reprodukcji, powtórzenia tych rysów. Otóż wyobraźmy sobie, że ta zdolność objawi się w sposób doskonały na scenie: będzie to świetny aktor-komik; w literaturze: będzie to świetny humorysta, komedyoopisarz, satyryk, który stworzy literacki typ komiczny, będzie to Szekspir, twórca Falstafa, Molière, twórca Chorego z urojenia. Tak daleko jednak dowcip polski XVI wieku nie zaszedł, typu komicznego nie stworzył (to się stało dopiero w wieku XVIII), były wtedy tylko najprostsze jego rudymenta.

Górnicki wymienia dalej kilku ludzi dowcipnych. Takim był Stanisław Białobocki, który się zaczepiającym go dobrze umiał odciąć; w Dworzaninie z tem nazwiskiem spotykamy się kilka razy; umie on dowcipnie łątkę przypiąć panom Karwickim za ich niezłe apetyty i pragnienia, umie ironizować, gdy mu służąca zbytnio przesoliła potrawę („Miła siostrzo, aboś tego nie soliła?“). Dowcipnie umiał dotknąć i pan Lakiński, i pan Chalecki, starosta cyrkaski. Ten ostatni „stojąc przy królu starym, w Wilnie na pałacu, na ten czas, kiedy niedźwiedzia psy trawiono, a psi jakoś nieochotnie z niedźwiedziem się wiązali, i król J. M. jął mówić: Widzę te psy okarmić musiano, iż niedźwiedzia nie chcą, — powiedział: Przeto, królu, każ tu pisarze swe spuścić, tym nic nie wadzi, by się niewiem jako objedli, przedsię oni zawždy dobrze biorą“. Dowcipną była i pani Kochanowska, sędzina sandomierska, „stateczna pani i barzo trefna“, której Gór-

---

<sup>1)</sup> Przypomnijmy, że dzisiaj naśladujemy żyda — rys tak świetnie pochwycony przez Weysenhoffa w Podfilipskim.

nicki kładzie w usta żart rzeczywiście doskonały, choć na dzisiejsze pojęcia mocno nieprzyzwoity. — Sądząc z Apophtematów Kochanowskiego, dowcipnym był biskup Gamrat, szlachcic z radomskiej ziemi Ciecierski, kanclerz koronny Dębiński i t. d. Tradycja przypisuje też dowcip obu ostatnim królom Jagiellonom. I tak dalej: widzimy, że Polsce Zygmunto-  
wskiej nie zbywało na humorze, nie zbywało też i na dowcipie. Dowcip to w życiu towarzyskiem przeważnie, więc nie może w nim być mowy o jakiejś kreacyi komicznej na wielką skalę. Nie jest też ten dowcip zbyt głęboki, ale w każdym razie znać w nim różne odcienia, jest i gra słów (opowiadanie o kozle n. p., albo kalembur Reja, przytoczony przez Górnickiego, niezbyt wytworny), jest zręczne odcinanie się, jest wreszcie i ironia.

Była także i „Münchhausiada“. Górnicki nazywa ten rodzaj „grubym kłamem, rymownie złożonym“; jako przykład podaje z Cortegiana opowieść o małpie, która grała w szachy, od siebie zaś opowieść o głupich chłopach (opowieść jak wiadomo jedna z najbardziej rozszerzonych); następnie dodaje: „Ale kto się takowemi powieściami chce ucieszyć do woli i nauczyć się czego, słuchaj onego nieubogiego ziemianina, co na karasiu jeźdźca, a w szczuce znalazł jastrzębia, a on kuropatwę skubie; i miał kiedyś lejcowego, który w wozie ciągnąc, kuropatwę zawietrzył, a on nie będąc takim, wysiadł i pięćdziesiąt ich kobiercem przykrył“. Otóż taki gruby kłam, rymownie złożony, należał do objawów ulubionych w dawnej Polsce<sup>1)</sup>, uprawiany jest w wieku XVII z zamiłowaniem (Bohater straszny Piekarskiego, choć przekład, z tego jednak zamiłowania wyptywa), aż w wieku XVIII wyda polskiego Münchhausena, Radziwiłła. Dla naszego tematu w tej chwili jest on o tyle ważny, że razem z ironią tworzą główny zrąb dowcipu w Rzeczypospolitej Ba-  
bińskiej.

---

<sup>1)</sup> Por. też Anonima-protestanta fraszkę „O koniu“ (str. 45).

Głośna to Rzeczpospolita; w przeglądzie dowcipu w Polsce XVI wieku pominąć jej nie wolno, uchodzi bowiem ciągle za jego wykwit, koronę niejako. Tego entuzjazmu, tego podziwu nie możemy dzielić; trudno się też zgodzić na postawienie tej Rzeczypospolitej na jednym poziomie z klasztorem Telemitów u Rabelais'go lub z Okrętem głupców Branta: te są na szeroką skalę zakreślone kompozycjami humorystycznymi, tamta — obrazem bardzo prymitywnym, z kilku kresek. Sam fakt jej powstania jest istotnie interesujący, świadczy o humorze i dowcipie jej twórców, świadczy o rozwinięciu życia towarzyskim, świadczy dalej o pewnym zacięciu satyrycznym epoki. Ale po za tem z całej tej Rzeczypospolitej, ze wszystkich jej aktów i powiedzeń jedna jest rzecz naprawdę dowcipna: odpowiedź Pszonki Zygmunтови Augustowi na jego pytanie, kto jest w Babinie królem. Po za tem Rzeczpospolita owa przedstawia dwa odcienia humoru czy dowcipu: nadawanie różnych godności *a contrario* jest objawem pewnej zdolności do ironii; obdarowywani zaś temi godnościami dochodzą do nich najczęściej przez grubą kłam. Akta babińskie zaczynają się roku 1600 <sup>1)</sup>, możemy z nich jednak pośrednio, a także i z innych świadectw, n. p. Sarnickiego, wnosić, że i w wieku XVI owe żarty i dowcipy były takie same; otóż w aktach tych aż do znudzenia powtarza się jeden motyw, owego nieubogiego ziemianina, znanego nam z Górnickiego. Ostatecznie więc i aspiranci do godności babińskich i nadający je zbytnio się nie wysilali. Wykwitu dowcipu polskiego w XVI wieku szukać musimy nie w Babinie; znajdziemy go w literaturze, w szczególności zaś u tego pisarza, który stoi na jej czelu, u Kochanowskiego. Jego „Fraszki“ są najwyższym stopniem, do którego się wzniosł nasz ówczesny dowcip. Nie jest to, powiedzmy odrazu, stopień tej wysokości, co w ówczesnej literaturze angielskiej

---

<sup>1)</sup> St. Windakiewicz, Akta Rzeczypospolitej Babińskiej (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, tom VIII).

lub francuskiej, a choćby i niemieckiej, bo tamte literatury miały przedtem kilka wieków rozwoju, podczas gdy polska zaczęła żyć naprawdę właściwie dopiero teraz. Niema więc w niej komedyi, z typami i sytuacjami głęboko komicznymi, jakimi są komedye Szekspira; niema satyry takiej, jaką jest n. p. Don Kiszot albo Gargantua i Pantagruel, satyry, która nie moralizuje (bo takich mamy wtedy dosyć) ale ironizuje. Niema w naszej literaturze XVI wieku koncepcyi komicznej, są tylko jej próby, drobne obrazki od ręki, rzucane na papier raczej przypadkowo i nieświadomie — po za tem cały ówczesny dowcip polski zamyka się w obrębie słowa. Jest to dowcip słowny *par excellence*.

Stąd najliczniej może reprezentowaną jest w nim igraszka słów, kalembury i dwuznaczniki. Rodzaj to zresztą w epoce Odrodzenia niezmiernie ulubiony, że przypomnę tu nieustanną grę słów, którą spotykamy u Szekspira i to nie tylko w jego komedjach. U nas szermuje nią dosyć często Rej w pismach prozaicznych. Używano jej w polemikach religijnych: katolicy nazywali luterstwo łoterstwem, ministrów sinistrami i świniarami, protestanci odpłacali się im, zowiąc katolików kątolikami, ajendy bajendami i t. p. W Marchołcie wiemy, że nazwiska przodków Marchołta i jego żony obmyślane są na efekt humorystyczny. Tak samo w Tragedyi żebraczej<sup>1)</sup>, pełnej rubasznej werwy i humoru, największa suma dowcipu spoczywa właśnie w nazwiskach żebraków<sup>2)</sup>. We wszystkich zbiorach facecyj i fraszek spotykamy się z tym dowcipem bardzo często; tak też i we „Fraszkach“ Kochanowskiego. W tych jest go bardzo wiele, jest igraszka z tem słowem „fraszki“, żarty z nazwisk (Kozieł, Gąska, Łazicki i Barzy); jest też najlepsze z tych „dwuwykładnych rzeczeń“ we fraszce na doktora Hiszpana: „Doktór nie pu-

<sup>1)</sup> Z roku 1552; wyrazu tragedia nie bierzmy w dzisiejszem znaczeniu; tak samo nie szukajmy komizmu w „Komedyi o mięso-puście“ albo w Bielskiego „Komedyi Justyna i Konstancyej“.

<sup>2)</sup> Parzychost, Wirywant, Żyżka, Kłysz, Wilkołek.

ścił ale drzwi puściły“, najlepsze dlatego, że po za samymi słowami jest tu i akcja, z odcieniem humorystycznym.

Obok gry słów dowcip w Polsce XVI wieku pojawia się i w kategoriach innych, mniej więcej tych samych, co anegdota, która zapewne niejednokrotnie służyła mu za wzór i model. Pisarzy-komików było dosyć, począwszy od Krzyckiego. Wybitnym humorystą był Rej. Nie mówimy tu naturalnie o Figlikach, w których Rej jest prawie wyłącznie zbieraczem, nie twórcą. W Figlikach nie mamy dowcipu Rejowskiego; mamy go za to w innych pismach: w Rozprawie między panem, wójtem a plebanem znajdziemy od czasu do czasu obrazek o zacięciu satyrycznym (całość Rozprawy nie jest satyrą ale utworem dydaktycznym), n. p. ów wizerunek odpustu; podobnie w Wizerunku; podobnie — najwięcej — w Żywocie. Objawia się on tu w rozmaitych uwagach autora, wypowiedzianych najczęściej mimochodem, w porównaniach bardzo żywych, plastycznych, pełnych humoru, branych zaś najczęściej ze świata zwierzęcego, wreszcie w rozrzuconych po całym dziele obrazkach. Te obrazki to może najlepsza część Żywota, i może najlepsza rzecz Reja wogóle, świadczą też najlepiej o jego świetnej obserwacji. Ot na przykład wizerunek pysznego eleganta XVI wieku: „A patrz jedno na jego postawy, jeśliże się nie masz czemu i pośmiać i podziwować, a on idzie nawieszawszy dziwnych pstrych chobotów około siebie, na ludzi nie patrzy tylko sam na się pogląda, cień upatruje, spluwa choć mu nie trzeba, rękawicę z tej ręki, na której sygnet, zdejmie a w drugiej ją dzierży, kaszle, krząka choć mu się nie chce, z kamyka na kamyk stąpa, kroku strzeże, aby go nie zmylił, na pacholki się ogląda, jeśli je ma. A jeśli też już gdzie na miejscu między dobrymi towarzyszami usiedzie, tedy, jeśli co mówi, to już z oną przewłoką, z oną postawą, z onem przekęsowaniem słówek, z onem rzekomo zająkowaniem, aby tak rozumiano, iż z rozumem mówi. Paznokcie ogląda, czapki poprawuje, a łotrowie mu siedząc pochlebiają i jeden na drugiego poglądają“.

Takich obrazków w Żywocie jest dużo (prawda, że ten jeden z najlepszych). Brakuje im tylko jednej rzeczy do tego, aby były doskonałymi obrazkami komicznymi. Oto twórca ich nie myśli o efekcie komicznym, niema tego zamiaru, chce być tylko moralistą. Swoją zapas śmiechu wyładował w Figlikach, gdzieindziej chce być tylko poważnym nauczycielem. Jednakże pod powłoką powagi musiały u Reja być obfite i głębokie pokłady humoru i naturalnego dowcipu, jeżeli się przez nią potrafiły przebić, i niejako wbrew woli pisarza wydać takie obrazki.

Górnicki humorystą nie jest. Jego „Dworzanin“ jest dla poznania tej strony ówczesnej Polski nieoceniony, ale on sam dowcipu zdaje się nie miał — być może zresztą, że nie miał sposobności do ukazania go. Natomiast humorystą prawdziwym jest Kochanowski, humorystą najlepszym w ówczesnej Polsce, najdowcipniejszym i najwytworniejszym. Jego dowcip jest ostatnim wyrazem dowcipu w Polsce XVI wieku, tak pod względem swej *vis comica*, jak i pod względem literackiego opracowania. Ale że cała działalność poetycka Kochanowskiego obraca się w formach raczej drobnych, przeto ta właściwość przechodzi i na jego dowcip. Kreacyi wielkich poeta nie stworzył, pozostały za to po nim doskonałe drobne utwory żartobliwe i dowcipne, pozostały Fraszkki.

Nie dbają moje papiery  
 O przeważne bohaterzy:  
 Nic u nich Mars chocia srogi,  
 I Achilles prędkonogi:  
 Ale śmiechy, ale żarty  
 Zwykły zbierać moje karty.  
 Pieśni, tańce i biesiady  
 Zchadzają się do nich rady.

Tak mówi Kochanowski o swoich „księgach“, przede-  
 wszystkim jednak odnoszą się te słowa do Fraszek. Natu-



ralnie nie wszystkie fraszki <sup>1)</sup> są wesołe, ale te głównie nas tu obchodzą. Odbiło się w nich bujne życie towarzyskie, wśród którego Kochanowski obracał się w Krakowie, na dworze biskupim czy królewskim. Wiele z nich jest przekładem, przerobieniem lub naśladowaniem jakiegoś wierszyka starożytnego, czy to z Antologii greckiej, czy z Marcyalisa — ale nawet przekłady są do pewnego stopnia oryginalne, bo po za wierszem leży fakt; poecie to, co opowiada, nie jest wyłącznie materiałem do utworu literackiego, ale faktem żywym, rzeczywistym, on na to wszystko sam patrzył; jeżeli zaś do tego faktu stosował się dobrze epigramat Marcyalisa, króla fraszek, to poeta humanistyczny, w epoce Odrodzenia, nie będzie tą pomocą gardził, będzie ją uważał za rzecz całkiem naturalną, — tak zresztą robią w owym czasie wszyscy. Treść Fraszek najrozmaitsza i do najrozmaitszych ludzi adresowana; są fraszki do towarzyszków zabaw po gospodach krakowskich, do towarzyszek, które w tych zabawach brały udział, do panien z fraucymeru królowej, do różnych dygnitarzy koronnych i t. d. Podstarzałej zalotnicy poeta tłumaczy, że już za późno na zabawy, „daj pokój, przebóg, sama baczysz snadnie, że nic po cierniu, kiedy róża spadnie“. Na-  
bożnej zapytuje:

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,  
Czego się, miła, tak często spowiadasz?

Kachnie, chodzącej w żałobie, przekłada, że ubielone  
lica nie godzą się z żałobą.

Baltazarowi, choremu na głowę, tłumaczy powód  
choroby:

Nie dziw, żeć głowa, Baltazarze chora,  
Siedziateś wedle głupiego doktora.

---

<sup>1)</sup> Termin „fraszka“ oznacza u Kochanowskiego utwór drobny  
rozmiarami, treści rozmaitej, często błahej, nie ujęty w tak ścisłe  
prawidła, co do formy, jak n. p. pieśń (carmen) — nie oznacza zaś  
tego, co oznaczał później, utworu wesołego i żartobliwego wyłącznie.

Innego doktora przestrzega, że wie, kędy chodzi miłować, „bo która z tobą wieczór pobłaznuje, każda nazajutrz piżmem zalatuje“.

Między towarzyszami jest jeden, nazwiskiem Chmura. Imię, które się prosi, aby je wsadzić do fraszek. To też poeta zdumiewa się nad tak suchem latem, że aż chmury kapały się w rzece; kiedy z Chmury żartowano, a żartowano właśnie fraszką Kochanowskiego, poeta rzekomo go broni: nadarmo go szczujecie moją fraszką, bo właśnie o nim można powiedzieć: karmiony wronami <sup>1)</sup>.

Rycerz jakiś ma zbyt duży kołnierz u delii: poeta żartuje z tego: trzeba by się dowiedzieć, czy to kołnierz u delii, czy też delia u kołnierza. Dowcip to niezbyt głęboki, ale trzeba przy nim myśleć o jego aktualności: to jest, że fraszka ta powstaje w wesołym towarzystwie, nagle zaimprovizowana na widok komicznej postawy owego rycerza; wtedy dowcip doraźny działał silniej, aniżeli dziś na nas. Wogóle we Fraszkach Kochanowskiego dużo jest utworów, do których trzeba sobie koniecznie wyobraźnią dorobić dekorację, chwilę, w której powstały, otoczenie, nastrój rozbawionych ludzi, którzy przy tem są obecni. Fraszki są właśnie najczęściej odbiciem jednego momentu, są niejako migawkowym zdjęciem jakiejś chwili. W tem leży ich wartość jako świadectwa historyczno - obyczajowego i o tem przy ich ocenie trzeba zawsze pamiętać.

Takim obrazkiem chwili jest słynna fraszka „Na doktora Hiszpana“ (odnosi się do Rojzyusza), zwana królową Fraszek. Trzeba koniecznie stać się jednym z tych wesołych towarzyszy, którzy się dobijali do drzwi doktora, a wtedy uprzytomnimy sobie cały jej humor i dowcip, i będziemy się nią cieszyli tak samo, jak się cieszyło wesołe grono, gdy mu Kochanowski na drugi dzień po zdarzeniu świeżo napisaną fraszkę odczytywał. Prawda, że i co do formy, jako żywość,

<sup>1)</sup> Dziś mówimy: szpakami karmiony, chytry, sprytny, mądry.

dramatyczność opowiadania, drobny ten wierszyk mało ma sobie równych. Zamiast streszczać prozą lepiej będzie fraszkę tę, choć tak znaną, przepisać w całości:

Nasz dobry Doktor spać się od nas bierze,  
 Ani chce z nami doczekać wieczerze.  
 Dajcie mu pokój: najdziem go w pościeli,  
 A sami przedsię bywajmy weseli.  
 Już po wieczerzy: pódźmy do Hiszpana;  
 Ba wierę pódźmy, ale nie bez dzbana.  
 Puszczaj Doktorze, towarzyszu miły.  
 Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.  
 Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie.  
 By jeno jedna, Doktor na to powie.  
 Od jednej przyszło aż więc do dziewiąci,  
 A Doktorowi mózg się we łbie maści.  
 Trudny (powiada) mój rząd z temi pany,  
 Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany.

Nie cytujemy fraszek więcej, bo żadna antologia nie da o nich pojęcia. Zaznaczmy tylko jeszcze raz, że dowcip w nich zawarty, nie jest na ogół biorąc bardzo głęboki, ani też nie jest, jeśli tak można powiedzieć, zbyt dowcipny. To znaczy, że przy czytaniu fraszek nie budzi się w nas podziw dla umysłu poety, zdolnego głęboko w rzeczy spojrzeć i z tych głębin wyciągnąć komizm, innym niewidoczny, ani też nie ogarnia nas śmiech niepoohamowany. A jednak fraszki są rzeczywiście dowcipne, i jako takie są najlepszym okazem dowcipu w ówczesnej Polsce. Najlepszym nie tylko względnie, w porównaniu z innymi, bo na bezrybiu i rak mógłby być rybą, ale i dobrym bezwzględnie, same w sobie. Pochodzi to (nie mówiąc już o dobrej formie literackiej wogóle) stąd, że Kochanowski ma poczucie i zrozumienie dowcipu, uwydatni w swym wierszu właśnie to, co trzeba, tak że uwagę czytelnika zawsze koncentruje w sobie *pointe'a*. Czyli, że Kochanowski jest prawdziwym humorystą, chociaż w rozmiarach niezbyt wielkich. Jest to w związku z całą jego poezją:

jest on poetą „niewielkim“, ale w swoim niewielkim rodzaju jest świetny i doskonały.

Fraszki wywołały całą literaturę naśladowniczą; od czasu Kochanowskiego niemal każdy poeta uważa sobie za obowiązek pisać fraszki. Chronologicznie rzeczy te przekraczają już okres czasu, objęty naszym tematem; współcześni Kochanowskiemu są taki n. p. Anonim-protestant albo Melchior Puddłowski, pierwszy pisze w latach 1562—1568, drugiego fraszki wyszły w roku 1586. Na ogół wszystkie te fraszki późniejsze nowego nic pod względem rodzaju dowcipu nie przyniosły.

Nowość tę mogła być przynieść literatura dramatyczna. Mogła być przynieść z sobą rozmaite sytuacje i typy komiczne. W tej epoce jednak, którą rozpatrujemy, jeszcze się ona nie rozwinęła. Komizm mógł się pojawiać w komedii albo w intermedyach. Komedję właściwą wydała literatura polska dopiero w XVIII wieku — to co było przedtem (Potrójny Cieklińskiego, Z chłopów król Baryki) to są zjawiska sporadyczne, są zresztą późniejsze, z samego końca XVI i z XVII wieku. Intermedya rozwijają się bardzo bujnie w wieku XVII i dla badania humoru i dowcipu polskiego w tej epoce są materiałem bardzo ciekawym. W wieku XVI są dopiero ich początki. Wyjątkiem są *quasi*-intermedya w Sądzie Parysa (r. 1542); pierwsze prawdziwe, mało humorystyczne zresztą, pojawia się w roku 1579. Literatura intermedyów nie jest wytworem epoki Zygmunto-wskiej.

Dwie tylko rzeczy moglibyśmy tu wciągnąć. Najpierw ów Sąd Parysa, widowisko humanistyczne Lochera, przełożone na język polski i wydane w roku 1542. W oryginale po akcie trzecim jest jakby maleńkie intermedyum, w którym występują *rusticae mulieres*. Tłumacz polski przerobił to miejsce swobodnie:

„Baba pizczkowa ma wyjść pierwsza:

Ja pani pizczkowa baba stara,  
Ale między młodzieńcy jara.  
Pójdę teraz do tańca,

Boć mi miło skakać wedla młodzieńca,  
Baba skakała jako sarna,  
Bo się objadła grochowego ziarna.

Gordanka wtóra :

Ja Gordanka łaciczka rycerka,  
Dawnom jest młodzieńcom przyjaciółka.  
Pomogę tańca piszczkowej i chwili,  
Boć mi drgają pod kolany żyły...

Trzecia Czuczyna :

Ja pani Czuczyna, aczkolwiek mi się p..... trzęsie,  
Rozproszę ji w tańcu dzisiaj.  
Jestem ci barzo godna,  
W wieńcu barzo cudna...  
Będę tańcowała dzisiaj śmieie,  
Bom nie była w niedzielę w kościele“.

Tak wygląda najstarsza komiczna scena w literaturze polskiej. Komizm, jak widzimy, bardzo pokrewny Marchołtowemu.

W „Historii o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim“ Mikołaja z Wilkowiecka mamy w niektórych scenach próby dowcipu, również niezbyt głębokiego; tak n. p. w scenie zstąpienia Chrystusa do piekieł. Lucyfer niepokoi się, że mu Chrystus zabierze one dziady, co je zowią prorokami i patryarchami; gniewa się, że „niezbędni dziadowie oni śmieie sobie coś rokują,

A nawięcej pan Jadamek  
U nas tu napierwszy panek,  
Trzebaby go poczęstować,  
Z pół garnca mu smoły podać“.

Na co Jadam odpowiada: „Wypijesz ją sam poczwaro, Szpetna piekielna maszkaro“. Sprzecza się z Cerberusem także i prorok Ozeasz, a wreszcie Abram prosi Chrystusa o prędkie przyjście, na co znów Cerberus:

Ad idem, bracia, ad idem,  
Do browaru z owym dziadem,  
Co sam sobie przekwintuje,  
Iż u drzwi Jezusa czuje.  
Zbadło mu się święconego,  
Radby do rajy wiecznego.  
Już nie dba o smołę naszą,  
Woli w rajy z mlekiem kaszę.

Widzimy, że są to dopiero zawiązki na sceny lub osoby komiczne. Rozwój zacznie się w samym końcu wieku XVI, osiągnie szczytu w wieku XVII. Gdyby nie ogólne obniżenie umysłowe, jakie w tym stuleciu w Polsce w porównaniu z wiekiem poprzednim zapanowało, to epoka ta byłaby wydała rodzimą komedię polską, tyle w niej jest bogatego materiału humorystycznego. Ale wszystko to pozostało raczej w stanie rudy, w stanie materiału, są najprostsze tylko rysy, najprostsze efekta; nie było talentu, któryby z tego zdołał stworzyć komedię.

Na zakończenie wartałoby może poruszyć jedną kwestyę, bardzo ciekawą. Jaki udział w ówczesnym humorze i dowcipie bierze ówczesny lud, chłop polski? Jaki jest w XVI wieku dowcip ludowy? Dzisiaj, wiemy, chłop nasz i humoru i dowcipu pozbawiony nie jest. Nie jest to dowcip głęboki ani humor wybredny, ale jednakże jest. Nieraz zaś ma nawet wcale zręczne zacięcie. Nie mówię o tych przykładach, które znajdziemy w zbiorach etnograficznych; tam są najczęściej albo anegdoty albo rozmaite gadki i zagadki. Mówię o tym dowcipie improwizującym raczej, doraźnym, z którym każdy się spotkał nieraz, kto tylko miał z chłopem więcej do czynienia. Rozmaite spostrzeżenia, odpowiedzi, ucinki i „podkpiwanie“, to wszystko u chłopca znajdziemy, a nieraz w nie-najgorszym gatunku. Otóż byłoby rzeczą bardzo ciekawą wiedzieć, jak się pod tym względem miały rzeczy w XVI wieku. Niestety, świadectw brak. Co nie jest zresztą nic dziwnego. Literatura ówczesna jest przeważnie szlachecką, w części mieszczańską; przeto odbiło się w niej życie szlachty, częścią

mieszczanstwa. Chłop w literaturze zjawia się w tej postaci, jaką mu nadał szlachcic piszący. Więc często jako figura komiczna. Anonim-protestant pisze „o chrzcinach grubą chłopską mową“, wysmiewając ludowe wyrażenia. Rej w Figlikach najczęściej wyszydza głupotę, brak ogłady, prostactwo chłopca. To samo robi i Górnicki, to samo ostatecznie intermedya. Widać w literaturze wyraźnie, jak się już szlachta od chłopca oddzieliła, jak już na niego patrzy z góry, jak już obok społecznej i politycznej wytwarza się między dwiema warstwami narodu przepaść kulturalna. Prawda, że niejedynemu szlachcic w owym czasie nie stał kulturalnie wyżej od niejednego chłopca, nie był więcej wykształcony i więcej ogładzony. Ale nie w tem rzecz; jeżeli się uważał za wyższego, to już tem samem rozdział kulturalny jest.

Widzimy tedy, jak się śmieją z chłopca, ale nie widzimy, jak się sam ten chłopca śmiał i żartował. Pośrednio tylko możemy wnioskować (z faktów późniejszych), że kursowały wśród chłopców anegdota i dykteryjki tak samo, jak wśród szlachty, że tu i ówdzie zjawiał się osobnik, obdarzony większym zapasem dowcipu. O jednym takim znajduję wiadomość w „Gazecie Polskiej“ z roku 1827, nr 311, wziętą jakoby z „dawnego rękopisu“. Bliżej jednak rękopis ten nie jest oznaczony, nie mam zaś obecnie sposobności sprawdzić tej notatki, która zresztą ma wygląd podejrzanym, tak ze względu na język, w części tylko archaiczny, jak i ze względu na zbyt literackie opracowanie<sup>1)</sup>. Warto ją jednak przytoczyć:

„Łukasz z Górki, kasztelan Międzyrzeczki, gdy jechał na żaloty do Wojewodziny Krakowskiej na Lisko, miał z sobą w towarzystwie Mikołaja Reja, rozumu ciekawego. Tam przyjechawszy do Łęk wsi jednej pod Krosnem, rzekł Rej chłopcu: A kto tę wieś trzyma? Chłop: Ziemia a płoty. Rej: A któż

<sup>1)</sup> Jest ona w romansie Hofmanowej Jan Kochanowski w Czarnolesiu. Hofmanowa mogła się o niej dowiedzieć właśnie z „Gazety Polskiej“.

tu Panem? Chłop: Ten co ma więcej pieniędzy. Rej: A któż tu starszym? Chłop: Jest tu baba, co jej już przeszło sto i dziesięć lat, to ta najstarsza. Rej: Któż wyższym? Chłop: Lipa najwyższa, bo ją nad kościołem widać. Rej: Dalekoż południe? Chłop: Nie szło tędy panie, nie wiem jak daleko jest. Rej rozgniewany rzecze: Chłopie! alboć to z swoim równym błaznować? Chłop: Zsiądźcie jeno panie z wozu, zmierzywa się, co wiedzieć, jeżliśwa nie równi. Rej: Widzi mi się chłopie, weźmiesz w gębę? Chłop: Nie wezmę panie, ja nie pies; wolę w rękę jako człowiek. Obaczywszy pan Rej, iż na swego trafił, powiedział: iż jakom żyw tak sztuczny chłop na mię nie przychodził<sup>1)</sup>. Wiadomość to prawdziwa czy nie: przytaczamy ją, bo jednak sam fakt takiego dowcipu jest prawdopodobny<sup>1)</sup>; dzisiejszy zresztą dowcipniś wioskowy mógłby w podobny sposób odpowiadać. Do szczegółowych jednak spostrzeżeń brak nam danych.

---

<sup>1)</sup> Już w wieku XV w Satyrze na leniwych chłopów jest to ciekawe określenie chłopca, że na pozór jest niemrawy, „prawy (= prawdziwy) wołek“, ale w rzeczywistości jest „chytry pacholek“. To samo spostrzeżenie robi Rej w Zwierzyńcu.





# Przyroda w literaturze polskiej w epoce Odrodzenia





**W** żywotach naszych poetów i prozaików XVI wieku czytamy o jednym, że do osiemnastego roku życia chował się, biegając po polach i kniejach, o drugim, że po kilku latach pobytu na dworze królewskim zbrzydła mu *fal-lax aula* i z rozkoszą na wieś powrócił, by „łan ojczysty uprawiać“, o trzecim, że Wisłą spuszczał do Gdańska naładowane zbożem komiegi i sam na jednej z nich tę drogę odbył; o wszystkich zaś, lub prawie o wszystkich, czytamy, że żywot ich upłynął niemal cały na wsi — na wsi zrodzeni, na wsi i z wsią żyli, na wsi poumierali i w małych wiejskich kościółkach są pogrzebani.

Czytamy dalej w historii Polski XVI wieku o ogólnem i powszechnem zamitowaniu wsi; dowiadujemy się, że cały naród poświęcił się rolnictwu i stał się narodem rolniczym na kilka wieków.

Czytamy wreszcie w historii literatury polskiej XVI wieku, że ta literatura utrzymuje najściślejszy związek z życiem, jest jego wypływem i obrazem, wszystkie jego fale w sobie odbija, wszystkie objawy rejestruje.

Zestawiając te fakta z sobą, pytamy ze słusznem zaciekawieniem, jak się to odbiło w utworach literackich, to życie powszechne całego narodu i te żywoty pojedynczych pisarzy; zwrot ku wsi w życiu jakie wydał skutki w piśmiennictwie.

Więc najpierwszy skutek jest ten, że wieś jak stała się kategorią życia, tak staje się przedmiotem literatury. Literatura polityczna i moralizująca zajmuje się kwestyami społec-

cznemi, związanymi z wsią; literatura twórcza bierze wieś za tło i za temat, opisuje życie, obyczaje, zajęcia wiejskie, podnosi pożytki wsi, wielbi jej wczasy, rozkosze, powaby. Ten kierunek, objawiający się u Bielskiego, Reja, Klonowicza, Zbylitowskiego i t. d., wydał najpiękniejszy rezultat w Sobótce Kochanowskiego, w śpiewie szóstym, a zwłaszcza dwunastym.

Ale zwrot ku wsi wywołał i dalszy skutek literacki. Przez wieś ludzie XVI wieku przechodzą do obserwowania i odczuwania przyrody, a w dalszym następstwie do kreślenia jej obrazów. Żyjąc z tą przyrodą nieustannie, musieli oni zwrócić na nią pilniejszą uwagę. Zrazu patrzą na nią z punktu widzenia gospodarza, który wieczorem bada horyzont, aby postawić na jutrzejszy dzień prognostyk pogody. Piękność przyrody jeszcze go nie interesuje; jemu chodzi o to, aby po długiej suszy spadł na spiekłą rolę i na zagorzałe zioła deszcz nieprzepłacony; świeżo zżęte zboże spoczywa na zagonach: potrzebna mu pogoda, aby zbiór był łatwy i obfity, aby było co ładować na komiegi, dubasy i szkuty i zawieźć do Gdańska. Wnet jednak ten oracz, który cieszy się zasiewami dlatego, że „będzie miał z czem do Wisły“, zaczyna odczuwać także i piękność tego pola, pokrytego zbożem, łąk „kwitnących rozmaicie“, lasów „zieleniących się pięknie“. Korzyść, którą mu „święta ziemia“ daje, wywołuje w nim uczucie wdzięczności; w tem uczuciu na nią gdy patrzy, łatwiej mu już zauważyć także i jej piękno i odczuć je. Stąd naturalnie droga jeszcze dość daleka do pokazania w artystycznej formie tego odczucia, do poetyckiego obrazu, ale najważniejsza, najpierwsza rzecz już jest, właśnie to odczucie.

Taką, i tylko taką jest droga, po której prawie wszyscy nasi pisarze XVI wieku, kreślący obrazy przyrody, do jej odczuwania doszli. „Życie“ ich tego nauczyło, nie „literatura“.

Czy jednak taka konstrukcja psychologiczna nie będzie za śmiałą? Wszak wiemy, że nasze piśmiennictwo Odrodze-

nia dźwigało się i wzniosło na tak wysoki stopień z pomocą literatur innych, starożytnych przede wszystkim. Czy przypadkiem i w tem obrazowaniu przyrody nie mamy do czynienia z takim właśnie oddziaływaniem i wpływem literackim? Niesamodzielną w wielu razach, skąd tutaj ta literatura polska naraz staje się tak samodzielną?

Dalej: wiemy przecież, że odkrycie piękna w krajobrazie, indywidualne przypatrywanie się przyrodzie i indywidualne kreślenie jej piękności jest wytworem Renesansu; wiemy o tem, choćby od Burckhardta <sup>1)</sup>. Więc jeżeli już poeci włoscy w XIV wieku piękności natury widzą i przedstawiają, to polscy pisarze, późniejsi o lat dwieście, dziwnie się wydadzą ze swoją rzekomą samodzielnością. Prawda, ani nie widzieli oni van Eycka, ani nie czytali Dantego, ale znali już Petrarke, studyowali zresztą Horacego, który w swych odach niejedną piękną obraz przyrody zostawił.

Tutaj przychodzi nam w pomoc najpierw Rej. Humanistą on nie jest, humanizm literacki przeszedł bez wpływu na niego. Zakres lektury Rejowej jest nam dziś dosyć dobrze znany; otóż ze wszystkich dzieł, które Rej „wartował“, jeden tylko Zodyak mógł mu nieco zwrócić uwagę na przyrodę. Ale kiedy porównamy obrazy Wizerunku z obrazami Zodyaku, żywe i prawdziwe ze schematycznymi i konwencjonalnymi, wtedy hipotezę o literackim pochodzeniu obrazów Reja absolutnie odrzucić musimy.

Jeżeli jednak Rej humanistą nie był, to był nim na wskrós Kochanowski. Znał on Petrarke i Ronsarda, a Horacego brał sobie za wzór w wielu ustępach Pieśni; między innymi zaś właśnie dla jego obrazów przyrody powyszukiwano paralele w odach Horacego. A jednak myśl, jakoby Kochanowski dopiero z książek nauczył się czytać w księdze świata, byłaby niemniej błędną, jak także mniemanie o Reju.

---

<sup>1)</sup> Kultura Odrodzenia we Włoszech. Część IV, rozdział III str. 15—24 (w drugim wydaniu przekładu polskiego, tom II, Kraków, 1905).

Gdy mówimy o obrazach przyrody w poezji, to należy w nich oddzielać od siebie dwa fakta. Jeden wyłącznie psychologiczny, odczuwanie przyrody przez tego poetę. Drugi, techniczny i formalny, sposób kreślenia tego obrazu. Można przyrodę odczuwać, a nie mieć daru należytego przedstawienia tego odczucia. Można być poetą w duchu, a nie móc być równocześnie poetą słowa.

Otóż, jeżeli nasi poeci XVI wieku mają ten pierwszy dar sami z siebie, jeżeli dzięki życiu nauczyli się podziwiać przyrodę, to kwestya, jak ten podziw wyrazić, była do rozwiązania trudniejszą. „Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie“. Jeszcze techniczna strona tworzenia nie jest w literaturze należycie wykształconą i wydoskonaloną. Musi się więc doskonalić tym sposobem, że poeta przypatruje się wzorom, że podpatruje ten sposób pisania i wyrażania uczuć u poetów innych. A ponieważ to jest wiek XVI, przeto wzorem dla poety polskiego będzie przedewszystkiem literatura starożytna. I oto mamy różnicę pomiędzy obrazami przyrody Reja na przykład, a Kochanowskiego. Obydwu życie na wsi przywiodło do odczuwania piękności natury. Ale pierwszy, niewykształcony, nie umiał tak silnie powiedzieć, jak intensywnie czuł, nie umiał na wyrażenie tego stworzyć pięknych obrazów. Drugi, z wielkim wykształceniem ogólnym i poetyckim, robi już wielki krok naprzód, bo nie tylko czuje, ale i umie nam to pokazać. W obrazach przyrody Reja mamy uczucie, że jest coś niedomówionego, obrazy Kochanowskiego widzimy, że są skończone i zupełne. Przy tej jednak różnicy i jedne i drugie są oryginalne, bo wyszły z ducha twórców, nie z książek.

Z tego też stanowiska musimy się zapatrywać na większość obrazów przyrody w literaturze polskiej renesansowej. Powstają, to prawda, przy zajęciu takiego stanowiska pewne trudności. Nie mamy mianowicie stałych i pewnych kryteriów, aby rozeznąć, który obraz będzie wzięty z życia, z natury, a który przejęty z książek. Rozstrzygać tu będą czyn-

niki, w których pierwiastki subiektywne dużo zajmują miejsca; obraz, który jeden historyk literatury osądzi jako szczerzy i prawdziwy, drugiemu będzie się wydawać konwencyonalnym. Ale nawet w takim razie omyłka będzie mniejszą, aniżeli wtedy, gdy wszystko, co u jednego poety przypomina w jakikolwiek sposób poezję drugiego, zakwalifikujemy jako naśladownictwo.

Zresztą niektóre kryteria znaleźć będzie można. W danych biograficznych na przykład, których celem nie jest zajmowanie miejsca w monografiach i kompendyach, ale objaśnianie dzieł literackich. Jeżeli więc spotykamy się z obrazem morza u Reja, który „jedno po sadzawkach polskich trochę pływał“<sup>1)</sup>, to bez zbytecznego wysiłku umysłowego poznamy, że jest to morze literackie. Jeżeli zaś Kochanowski tak pięknie śławi lipę w Czarnolesie, to już naprzód, zanim tej frazsecie przypatrzymy się dokładniej, możemy być pewni, że nie będzie to „deklamacja“.

Po za takimi kryteriami zewnętrznymi zostają jeszcze wewnętrzne, na których przecież tyle razy w badaniach literackich musimy polegać i polegamy, i na podstawie których takie nieraz misterne wnosimy budowy! Sam utwór przecież nieraz wyraźnie świadczy o swem pochodzeniu, o samodzielności lub naśladownictwie. Tu musi się już zostawić pole subiektywnemu poczuciu, którego bystrość zresztą u różnych może być różną.

Zatem, najogólniej rzecz ujmując, stwierdzamy, że poeci polscy Odrodzenia dochodzą do odczucia przyrody samodzielnie, bez wpływów literackich, a jedynie pod wpływem życia i pobytu na wsi. Twierdzenie rzucone jest tu *a priori* — w dalszym ciągu poprą je fakta.

Zanim jednakże przystąpimy do szczegółowego rozpatrywania tych obrazów, uporać się nam trzeba jeszcze z jedną przeszkodą. Twierdzimy, że tylko wsi — wsi polskiej —

---

<sup>1)</sup> Brückner, Mikołaj Rej. Kraków, 1905, str. 339.

zawdzięczamy obrazy przyrody w literaturze XVI wieku. A jednak u Kochanowskiego spotkamy obrazy morskie (Pamiętka Tęczyńskiemu, Pieśń I, 6 i II, 17), nie najgorsze, pierwszy zwłaszcza widoczną jest rzeczą, że nie jest konwencyonalny, że poeta widzi wzrokiem duszy burzę morską, którą kiedyś oglądał na prawdę, kiedy z Włoch jechał do Francji. To znaczy, że nie potrzebował czekać na „wieś spokojną, wieś wesołą“, aby dostrzec piękności przyrody, bo podróże jego otwały mu na nią oczy?

Zatem podróże. Wiemy, że Polacy zawsze, więc i w wieku XVI, niemało podróżowali. Szukając jednak śladów tych podróży w literaturze, spotykamy się z zawodem. Dzieł, opowiadających o nich, jest w tym czasie (i później) bardzo niewiele, „ubóstwo ich uderzające“<sup>1)</sup>. Jaki zaś z nich był skutek dla poezji, dla odczuwania piękności przyrody, o tem uczą nas poeci i prozaicy tych czasów. Kromera, który tyle świata zwiedził, który miał taką sposobność do porównywania z sobą rozmaitych krajobrazów, nie uderzy jednak różnica między równinnym pejzażem polskim, a górzystym alpejskim. Nie spróbuje też w „Polonii“ dać jakiegoś obrazowego opisu, da tylko pamięciowe daty geograficzne. Ale Kromer nie był poetą? Zobaczmyż więc, jak się ta rzecz przedstawia u poetów.

Kochanowski, największy wśród nich artysta, najwięcej wrażliwy, odbywa podróż wspaniałą. Oto jego *itinerarium*: Kraków, Wiedeń, Alpy, Wenecya, Padwa, Rzym, Neapol, morze, Marsylia, Paryż, Niemcy, Polska. I dziś taka podróż może być marzeniem niejednego z poetów. A inaczej wtedy ludzie jeździli, i lepiej mogli się krajom, ludziom i przyrodzie przypatrywać. Jakież z tej podróży rezultat dla poezji Kochanowskiego w zakresie obrazów przyrody?

Gdziem potym nie był? czegom nie skosztował?  
Jażem przez morze głębokie żeglował,

---

<sup>1)</sup> Brückner, Dzieje literatury polskiej, t. I, str. 165.



Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,  
Jażem nawiedził Sybilline lochy.

*(Fraszki, III, 1, w. 5—8).*

Co wadzi, póki lata niezajądą leniwe,  
Widzieć szeroki Dunaj, widzieć Alpy krzywe,  
Albo gdzie w pośród morza sławne miasto leży,  
Albo gdzie pod dawny mur bystry Tyber bieży.  
Dojedź i Partenopy, a ujrzysz te lasy,  
Gdzie złotej różgi szukał Eneasz przed czasy.  
Tamże i piekło będzie, i ogromna skała,  
Z której wieszczka Sybilla odpowiedź dawała.

*(Fraszki, II, 26, w. 7—14).*

Jeżeli jeszcze dodamy trzy obrazy morza, to już będziemy mieli cały poetycki plon podróży Kochanowskiego (w zakresie naturalnie, o którym mówimy). Z tych ustępów widać, że podróż ta zostawiła w umyśle naszego poety wrażenia przyjemne, że ją pamięta, ale „studyów“ w jej czasie nie robił, na widoki, które mu towarzyszyły, głębszej uwagi nie zwracał. Odczuwać i kreślić piękno przyrody Kochanowski podczas niej się nie nauczył.

Odbywał podróż Wisłą, a potem morzem do Szwecji Anonim-protestant, ale poczucia przyrody wcale u niego nie widzimy. Taką samą drogę odbył i Zbylitowski, który to poczucie ma, czasem nawet tak delikatne, jak w najlepszych obrazach Kochanowskiego. Ale objawi się ono nie w Drodze do Szwecji, będącej raczej rymowanym dyaryuszem podróży, lecz w Wieśniaku. Drogę do Gdańska opisuje Klonowicz, ale i ten opis będzie raczej geograficzny, aniżeli obrazowy, choć ze wszystkich ówczesnych relacyj podróżniczych ta ma jeszcze najwięcej życia.

Tak więc widzimy na tych przykładach, jak mały był u ówczesnych ludzi plon z podróży dla zrozumienia i odczucia przyrody. W tem zaś Polska XVI wieku nie jest zjawiskiem odosobnionem. Tak było wówczas wszędzie z bardzo nielicznymi wyjątkami. Pierwsze pejzaże w literaturze mają za podstawę to miejsce i tę okolicę, w której pisarz

dłużej przebywa, z którą się zżył<sup>1)</sup> i do której jest przywiązany; objaw w zasadzie ten sam mamy i w naszych obrazach przyrody. Dalej: jeżeli Pol wychwala dawne podróże: „Bodaj to tak jeździć człeku, jak jeździli ludzie z wieku“, to owi ludzie z wieku cokolwiek innego byli zdania. Niewygody podróży, rzeczywiście onego czasu niezmierne, musiały im przesłaniać widoki, choćby najpiękniejsze; cóż dopiero, kiedy droga szła przez góry. Jeżeli Benvenuto Cellini, człowiek wszechstronnie renesansowy, który przytem trudów się nie lękał, a w życiu swoim podróżował bardzo wiele, jeżeli on podczas przeprawy przez Alpy piękności gór nie widzi i tylko na trudy przeprawy narzeka<sup>2)</sup>, to tem więcej musiało tak być z innymi, mniej od natury obdarzonymi, mniej wytrzymałymi. Taki stan rzeczy trwał bardzo długo<sup>3)</sup>, i dopiero najnowsze czasy rozszerzyły teren, zajmowany przez piękne widoki. Dopiero przy końcu XVIII wieku odkryto piękno gór, ale jeszcze dziś można spotkać w Genewie resztki murów, którymi mieszkańcy miasta zastaniali sobie niegdyś widok na przerażający ich Mont Blanc. Epoka klasyczna nie lubowała się w górach, jakby stworzonych dla romantyków.

Zatem te dwa warunki konieczne są dla poety XVI wieku, aby powstał obraz przyrody: życie się z miejscem, okolicą, krajobrazem, i drugi, pewna harmonijność, pewna „klasycyzm“ tego widoku czy zjawiska przyrody. Nie jest to oczywiście prawo, nie przypuszczające wyjątków, ale normą ogólną ono jest, nietylko w poezji, ale i w malarstwie, które w zakresie pejzażu przedstawia uderzające wprost paralele ze sztuką słowa. Te dwa warunki zaś znajdowały się w Polsce w epoce Odrodzenia; jej poeci zżyli się z wsią i z jej wi-

<sup>1)</sup> Zob. u Burckhardta (II, 20—23) o Eneasz Sylwiuszu.

<sup>2)</sup> Zob. w jego niezrównanej Vita (przekład polski Feldmannowskiego, t. I, str. 295 i nast., Poznań, 1868).

<sup>3)</sup> Bardzo interesujące przykłady z wieku XVII podaje Lemaitre w książce p. t. „Théories et Impressions“ (Paryż b. r.), w artykule „Touristes d' autrefois“, str. 108 i nast.

dokami; krajobraz polski jest „klasyczny“ w tem znaczeniu że nie ma w nim w żadnym kierunku przesady, wybujałości, i nie ma grozy — nie ma gór wysokich (Tatry były ludzom ówczesnym nieznane, „wysokimi“ były dla nich n. p. góry świętokrzyskie), nie ma podzwrotnikowych huraganów, gwałtownych zmian atmosferycznych i t. p. Ta też przyroda odbiła się w poezji polskiej XVI wieku.

Taką, i tylko taką jest geneza obrazów przyrody w naszej literaturze Odrodzenia. Naturalnie, że pewna ich ilość musi odpaść na wpływy literackie, pewna ilość będzie konwencyonalna, ale ich ogół jest żywy i z życia wzięty.

Obok tych warunków i powodów wyłączonej polskich, tłem, podstawą dla powstawania obrazów przyrody będzie fakt ten sam, co w całej Europie: Odrodzenie. To znaczy: podniesienie umysłu na wyższy stopień. A to znowu znaczy: po pierwsze, większa tego umysłu wrażliwość i pobudliwość, większa złożoność, a więc reagowanie na znacznieszą liczbę pobudek, aniżeli dawniej. Więc i piękność przyrody łatwiej wywoła echo w takim umyśle, aniżeli w mniej złożonym. W XV wieku warunki życia polskiego były ostatecznie podobne do późniejszych, ale literatura tego okresu obrazów przyrody nie wydała. Po drugie, w Odrodzeniu umysły się indywidualizują, co jest skutkiem faktu poprzedniego; na skali niższej wszyscy są do siebie podobni, na wyższej wydobywają się z masy jednostki różnolite i między sobą różne. Otóż dzięki temu indywidualizowaniu się umysłów powstanie, jak mówi Humboldt <sup>1)</sup>, „owa indywidualna prawda (obrazu) przyrody, która wypływa z własnej obserwacji“. I w literaturze średniowiecznej europejskiej są obrazy przyrody, ale tam wszyscy patrzą na przyrodę w jednakowy sposób. Od czasów Odrodzenia każdy poeta patrzy na nią po swojemu (przynajmniej każdy szczery i prawdziwy, choćby nawet nie był poetą wielkim); stąd każdy przedstawi ją po

---

<sup>1)</sup> Kosmos, t. II, str. 58, Stuttgart, 1847.

swojemu, i każdego obrazu będą prawdziwe, choć realnie mogą być mniej prawdziwe, niż niejeden średniowieczny. Chodzi nam przecież nie o opis, ale o wrażenie, jakie przyroda na poetę wywiera; nie o opis prawdziwy, ale o wrażenie prawdziwe. To właśnie przyniósł ze sobą Renesans, i od tego dopiero czasu malowanie przyrody (w poezji i w malarstwie) może się rozwijać, może postępować naprzód, podczas gdy dotąd jest ono ciągle na jednym miejscu, mimo postępu i urozmaicenia w szczegółach.

Intensywność tych dwóch czynników, o których mówimy, w różnych narodach i w różnych jednostkach była różną, stąd i skutki nie mogły być wszędzie równie wielkie. Szekspir był jeden i jeden też powstał wtedy taki krajobraz księżycowy, jak w Kupcu weneckim, jedna noc, jak w Śnie nocy letniej. Były też i różnice chronologiczne. Włosi pierwsi weszli w krąg przemian, które przynosiło z sobą Odrodzenie, to też już w wieku XIV mają Dantego i Petrarę z ich poczuciem piękności przyrody. Do Polski Renesans przyszedł później; nie mogła też ona jeszcze wydać wtedy poetów tak wielkich, jak narody wyżej od niej posunięte w kulturze. Ale przy tej różnicy ilościowej, zjawisko jest w Polsce takie same, jak gdzieindziej, i pojawiło się w Polsce samodzielnie, niezależnie od innych, na tle skombinowanym z warunków ogólnie - europejskich i specyficznie polskich.

Te warunki stwarzają podstawę i zasadę obrazów przyrody i ich cechy wspólne; różnice pomiędzy poetami wywołają dalsze różnice pomiędzy pojedynczymi obrazami, którym teraz przypatrzemy się szczegółowiej, śledząc w nich odbicie świata zewnętrznego (a więc, jak się te obrazy przedstawiają i co przedstawiają, jakimi sposobami technicznymi poeta wrażenie swoje uzmysławia, jak na przyrodę reagują jego zmysły i t. d.) i odbicie świata wewnętrznego (a więc, jakie one dają świadectwo wrażliwości poety, jak dusza jego przetwarza substrat, dany przez przyrodę i t. p.). Badanie obrazów przyrody w literaturze XVI wieku będzie więc i ba-

daniem w zakresie ściśle techniczno-literackim, i badaniem w zakresie psychologicznym, i wreszcie, przez swą całość, będzie badaniem jednego z bardzo ważnych objawów kultury Odrodzenia w Polsce.

\* \* \*

Interesującą jest chronologia tego zjawiska. Do połowy XVI wieku nie spotykamy jeszcze w literaturze polskiej wrażliwości na piękno przyrody ani jej obrazów. Może dlatego, że nie ma jeszcze poezji, choć są wiersze. Środki artystyczne, którymi rozporządzali twórcy tych wierszy, były zbyt nikłe; zakres zaś i kierunek ich myśli był taki, że o piękność troszczyć się nie mogły. Stąd taka n. p. Pieśń o zimie (rok 1557) nie da nam, jakbyśmy sądzili złudzeni tytułem, obrazów zimowych, ale biadać będzie nad szkodami, które sroga wyrządziła aura, i poda odpowiedni obrok duchowy.

Po raz pierwszy pojawi się przyroda w naszym piśmiennictwie na przełomie XVI wieku. Powstają wtedy pisarze; którzy, poetami jeszcze nie będąc, mają jakieś przeczucia poezji, jakieś sny o pięknie; na których przyroda już oddziaływała. To stary Marcin Bielski, któremu

Wonią... wdzięczną z kwiecia ziemia podawała...  
Ptacy też rozmaite głosy wymyślali,  
Chwalebne sprawy Pańskie głośno wystawiali,  
Kosowie i grzywacy, kukały gzęgżołki,  
A brzęczący na kwieciu zbierały miód pszczołki.  
(*Sen Majowy* <sup>1)</sup>).

Po Bielskim robi już znaczny krok naprzód Rej, któremu przyroda objawiała się nieustannie w nieskończoności swych przemian i ruchów, swojego życia. Do tych dwóch pisarzy dołącza się Jakób Lubelczyk. Wprawdzie cała jego działalność zamyka się w obrębie spraw religijnych, ale po-

---

<sup>1)</sup> Sen Majowy wyszedł znacznie później; ale nie chodzi mi w tej chwili o chronologię dzieł, tylko o chronologię poetów.

czucia poetyckiego miał on w sobie stosunkowo niemało; lektura psalmów zresztą (które na język polski przełożył wierszem) zwróciła jego uwagę na obrazy przyrody, to też w jednej z jego pieśni nabożnych znajdujemy obrazek wiosny, w chronologii fizycznej pierwszy obraz przyrody w naszej literaturze.

Teraz pojawia się Kochanowski. Wprowadza odrazu motyw przyrody na wielką skalę. Zbogaca poezję polską w tym względzie i ilościowo, stwarzając znaczną liczbę rozmaitych obrazów przyrody, i jakościowo, bo te jego obrazy są najpiękniejsze w poezji naszej przed Mickiewiczem. Stwarza też niejako wzór i szkołę. Podczas gdy Rej, Bielski, Lubelczyk, tradycyji takiej nie wytwarzają — bo Kochanowski nie u nich uczył się patrzeć na przyrodę<sup>1)</sup> — to Sobótka, Fraszki, a zwłaszcza Pieśni pokazały poetom późniejszym, jak się na przyrodę patrzy, jak się nią rozkoszuje i w jaki sposób te wrażenia zamyka się w obrazy. To też po Kochanowskim mamy Klonowicza, Szarzyńskiego, J. Zbylitowskiego, Grabowskiego, Szymonowicza<sup>2)</sup>. Jest to już poczet znaczny, gdy się go porówna z tem, co było przed Kochanowskim<sup>3)</sup>. Jest też w porównaniu z tamtą epoką postęp techniczny. Prawda, że żaden z nich (może nawet i Kochanowski) nie zżył się z przyrodą w tak specyficznie ścisły

<sup>1)</sup> Może z jednym wyjątkiem. Obraz wiosny u Kochanowskiego (Pieśni I, 2: „Serce roście patrząc na ty czasy“) żywo przypomina ów obraz Lubelczyka; po za tem jednak większej zależności Kochanowskiego od poprzedników jego polskich w tym względzie nie widać. Kwestya ta zresztą łączy się z ogólniejszą, czekającą dotąd na zbadanie, z kwestyą stosunku największego poety XVI w. do jego poprzedników, piszących po polsku.

<sup>2)</sup> Szymonowicza Sielanki, pomimo późnej daty 1614, należą całkowiec do Renesansu; porównać je n. p. z powstałymi wkrótce po nich Roxolankami!

<sup>3)</sup> Bez względu na licząc, będzie to poczet nieznaczny na ten żywy ruch umysłowy, na znaczną ilość książek w drugiej połowie XVI wieku. Ale jak wiemy, ta literatura ma wybitną cechę „użyteczności“.

sposób, jak Rej, może żaden nie umiał jej tak do najdrobniejszych szczegółów zaobserwować, ale piękno widzą i opisują wszyscy lepiej od Reja. Szkołę Kochanowskiego znać na nich wszystkich (najwięcej na Zbylitowskim), ale równocześnie widać, że i oni sami piękności przyrody odczuwają. Kochanowski pokazał im, jak się tę piękność pokazuje drugim, stał się dla nich tem, czem dla niego był Horacy, ale gdyby oni sami nie byli zdolnymi do tego odczuwania, to wszelkie wzory nie byłyby się na nic przydały. Przecież w tej drugiej połowie XVI i w pierwszych latach XVII wieku tylu mamy „poetów“, tylu z nich odpisuje całe strony z Kochanowskiego, ale tylko tamci mają pod tym względem umysł subtelniejszy, mają oczy na piękności świata otwarte. To też w całej plejadzie poetów ówczesnych oni są nam dziś najbliżsi, i jako zjawiska psychologiczno-artystyczne daleko ciekawszy, aniżeli wielu innych, ważnych dla historyka, filologa lub folklorysty.

„Odwrotne“ przypatrzenie się kwestyi również nie jest bez interesu. Wiemy już, u których autorów XVI wieku pojawiają się obrazy przyrody i wrażliwość na jej piękno. Przypatrując się wszystkim innym, u których tego nie ma, dziwnym się od czasu do czasu. Bo przecież jest między nimi Górnicki, [człowiek bardzo wrażliwy na piękno wogóle — inaczej nie moglibyśmy zrozumieć przekładu i to takiego

więc utworów „sztuki czystej“ nie ma w niej zbyt wiele. Na tem tle owych pięciu poetów stanowi grupę dość znaczną. Uwzględniam zresztą w niniejszym krótkim szkicu tylko rzeczy najważniejsze i najbardziej typowe; i tylko takie ustępy, w których obraz przyrody występuje zupełny i w których odczucie przyrody nie ulega już w wątpliwości najmniejszej. Albowiem użycie n. p. konwencyonalnych porównań w erotykach ówczesnych, porównań lica ukochanej do róży pomieszanej z lilią i t. p., nie zawsze jest dowodem, że ten poeta ma poczucie piękności natury. Stąd wiele rzeczy, na pozór do naszego tematu należących, pomija praca niniejsza, nie wyczerpująca w zupełności przedmiotu, a pragnąca raczej zwrócić uwagę na rzecz ważną i dać inicjatywę.

przekładu Cortigiana, jaki mamy w Dworzaninie polskim. Jest między nimi taki potężny, nadzwyczajny poeta uczucia, jakim jest Skarga. Są dalej między nimi natury tak niepowседневne i niebanalne, jak n. p. Wereszczyński albo Strykowski. U tych wszystkich nie znajdujemy dowodów, żeby piękności przyrody odczuwali i opisywali. A sposobność ku temu mieli. Skarga może najmniej. Ale Górnicki, opisując pałac biskupi na Prądniku, mógł go być rzucić na tło przyrody, pól i drzew, tak jak Castiglione, mówiąc o pałacu w Urbino, wyraźnie wspomina jego przyjemne położenie pomiędzy górami. Wereszczyński, kiedy mówi o swoich dzikich polach, o stepach Ukrainy, albo Strykowski, który tak interesujące odbył podróże — ci dwaj mieli również dosyć sposobności ku malowaniu obrazów przyrody. A jednak tego nie robią. Otóż wobec tego faktu tem dobitniej i tem korzystniej odbijają tamci poeci, którzy doszli już do takiej subtelności zmysłów i umysłu.

Przejdźmy teraz nasz materiał i przypatrzmy się obrazom pojedynczym szczegółowiej. Przyczem przedewszystkiem zajmować nas będą Rej, Kochanowski i Szymonowicz, jako najwybitniejsi i najbardziej charakterystyczni przedstawiciele tego motywu w naszej literaturze renesansowej. Ci trzej są ze wszystkich najoryginalniejsi, najwięcej dają obrazów i najwięcej mają poczucia piękności natury, względnie (jak Rej) najbardziej się z tą naturą zżyli.

U Bielskiego i u Lubelczyka motyw ten występuje sporadycznie, niemal wyjątkowo. U Reja występuje on już odrazu gromadnie, w wielkiej ilości. Dzieje się to przedewszystkiem w Wizerunku i w Żywocie, daleko mniej już w innych dziełach, n. p. w Rozprawie lub Zwierzyńcu. W Żywocie, ściśle mówiąc, nie ma obrazów przyrody. Bo jeżeli pisarz określa pory roku i ich następstwo słowami: „Naprzód wiosna, więc lato, potem jesień, więc zima“, to największy wielbiciel Reja nie mógłby tu odkryć śladu jakiegoś obrazu. Podobnie nie widać obrazu pory roku w takim zdaniu: „Nie



odmieniajże się jako marzec na wiosnę, gdzie jednego dnia będzie i deszcz i jasno i krupy". Jest to tylko dowód, że autor wie, jak wygląda pogoda marcowa. Otóż w całym Żywocie obrazów przyrody właściwie nie ma; i pod tym względem dzieło to jest pewnym cofnięciem się w porównaniu z Wizerunkiem, obfitującym w rozmaitego rodzaju obrazy. Natomiast przewyższa go, o ile chodzi o odczuwanie, wrażliwość na przyrodę. Rzecz to istotnie interesująca: w Wizerunku, który jest jakby pierwszą redakcją Żywota, fizyczna, techniczna strona malowania przyrody rozwinięta jest daleko więcej i lepiej, obserwacja dokładniejsza, ilość obrazów znaczna — w Żywocie, w najlepszym dziele Reja, tego wszystkiego brak (są drobne obrazki, o czym później); za to strona czysto duchowa, odczuwanie piękności przyrody, wrażliwość na nią i rozkoszowanie się nią, jest tutaj silniejszą, i czujemy to n. p. w ustępach, opisujących delicye życia wiejskiego, choć właściwych obrazów przyrody wcale tam nie ma.

Gdy się zastanawiamy nad tym faktem, skłonni jesteśmy w pierwszej chwili do przypuszczenia, że jego powodem jest większa zależność Wizerunku od dzieła obcego, aniżeli Żywota, który jest bądź co bądź więcej samodzielny. Ale kiedy szukamy dla owych obrazów z Wizerunku wzorów w Zodyaku Palingeniusza, znajdujemy ich bardzo niewiele, a w tych, które znajdujemy, zależność Reja jest stosunkowo niewielką: z obrazów Palingeniusza mało poetyckich, Rej robi rzeczy daleko piękniejsze, a przynajmniej daleko więcej interesujące.

Przykład:

Quae si forte ferit nocturnae corpora lunae  
Eclipsim facit et populos terroribus implet...  
Nam quanto magis accedit sol pronus ad Austrum,  
Tanto maiores veniunt a montibus umbrae.  
(Zod. XI, 962 - 963, 971 - 972).

Obrazek Reja świadczy o daleko dokładniejszej obserwacji zjawisk przyrody; możnaby powiedzieć, że Palingeniusz obserwuje jak uczonec, Rej jak poeta:

Iż gdy sie kołem miesiąc w swej sperze ogrodzi,  
 Zawždy nam co nowego na ziemię przychodzi.  
 Albo gdy słońce idzie czyrwono za górę,  
 Użrzesz jutro albo wiatr, albo szpetną chmurę.  
 (Wizer. X, 355—358).

Drugi przykład jeszcze więcej typowy:

Patrże na tę stodołę (scil. świata tego), na jej dziwne sprawy,  
 Jakoć ją uchędożył, tak jako Pan prawy.  
 Gdy użrzesz piękne góry, ano sie zielenią,  
 Dziwne kształty i farby różno w sobie mienią.  
 Pożrzesz zasię na pola, a na łąki śliczne,  
 Ano na nich kwiateczki błyszczą sie rozliczne,  
 Jako drogie kamyczki, różne farby mając,  
 Prawie na wszem nadobnie świat uweselając.  
 Pożrzesz zasię na wody, pożrzesz na żwirzeta...  
 (Wizer. X, w. 655—663).

Temu obrazowi, prymitywnemu ale żywemu, u Palin-  
 geniusza odpowiada jedynie suchy katalog:

In qua sunt montes, colles, clivique, tumulique,  
 Convalles, campi, rupes, fauces, iuga, rura,  
 Silvae, stagna, lacus, fontes, fluvii atque paludes,  
 Oppida parva, urbes magnae, pagi, villae, arces,<sup>1</sup>  
 Saxa, metalla, hominum vitae opportuna tuendae.  
 (Zod. XI, w. 942—946).

Zatem nie ten fakt, że Wizerunek jest zależny od ob-  
 cego wzoru, sprawił, że w tym poemacie są obrazy przyrody  
 a w Żywocie ich nie ma. Sprawiała to treść obu dzieł: w Ży-  
 wocie nic się nie dzieje, nie ma akcji; w Wizerunku akcyja  
 jest wprawdzie pozorną, ale jakaś zawsze jest, w wędrówkach  
 młodzieńca. Otóż wśród tych wędrówek, bardzo urozmaico-  
 nych co do terenu i co do czasu, z koniecznością nasuwały  
 się czy to krajobrazy jakieś, czy zjawiska atmosferyczne, i te  
 poeta musiał opisywać. Naturalnie, że zależność od Palin-  
 geniusza, ale zależność w całości poematu, nie w pojedyn-  
 czych obrazach, musiała także do tego się przyczynić. W Ży-  
 wocie tego wszystkiego nie było, Rej w całości, w planie

dzieła, był zostawiony samemu sobie. Wskutek tego dał nam odczuć swoje odczuwanie przyrody zupełnie bezwiednie, niejako niezależnie od siebie, ale obrazów nie dał. Do tego trzeba już było pewnej sztuki i pewnego przemyślenia artystycznego, na które Rej o własnych siłach się nie zdobywał.

Materyalnie motyw przyrody występuje u Reja w dwóch kategoriach. Pierwszą stanowią obrazy większe, spotykane prawie wyłącznie w Wizerunku. Ich treścią jest albo zjawisko atmosferyczne, albo pejzaż, albo wreszcie całość niejako świata, kosmos. Grupę drugą stanowią małe, drobne obrazki, służące najczęściej do porównania, do objaśnienia rzeczy i spraw ludzkich, złożone zwykle z kilku kresek — słów, czasem tylko rozwijające się w obrazek pełniejszy i samodzielniejszy; treść ich wypełnia świat zwierzęcy głównie, w małej części także świat roślinny.

Z grupy pierwszej wydzielamy najpierw owe obrazy całości świata, przedstawiające nie jakiś specjalny pejzaż lub specjalne zjawisko, ale dające raczej syntezę tego wszystkiego, syntezę kosmosu. Obrazy takie są częste w poezji polskiej XVI wieku, mianowicie u takich poetów, którzy odznaczają się ściślejszym związkiem z poezją religijną. Są one bowiem pochodzenia biblijnego, wytyły z psalterza, w którym są najświetniejsze ich przykłady. Ich celem jest nie malowanie przyrody dla niej samej, dla piękna, ale przez pokazanie piękna przyrody uwielbienie wielkości i mądrości Bożej. Tworzą je u nas przedewszystkiem poeci, którzy się szczegółowo zajmowali psalterzem: Rej, Kochanowski, Szarzyński, Grabowiecki. Najświetniejsze dał Kochanowski, przy nim też powiemy o nich kilka słów; tutaj podamy kilka przykładów z Wizerunku (jeden przytoczony był powyżej).

Włada (scil. Bóg) Wiosną i Latem, Zimą i Jesienią,  
A dziwnie sie tam sprawy w tej możności mienia,  
Słońce, Gwiazdy i Miesiąc w jego opatrności  
Używają swych biegów i swojej jasności.

(Wizer. VIII, w. 103—106).

Szczegółowszy jest obraz następujący:

Gdy poźrysz na niebieskie ony straszne dziwy,  
 Których nigdy nie dosiagnął żaden rozum żywy,  
 Słońce, gwiazdy i miesiąc z złotemi farbami,  
 Jako dziwnemi kształty błyszczą się nad nami.  
 Zwierzęta rozmaite, których ziemia pełna,  
 Jako w nich dziwne kształty a rozliczna wełna.  
 Ptaszki na powietrzu, jako się wieszają,  
 A jaką dziwną piękność na swym pierzu mają.  
 Rzeki bystre i morza i tam co w nich pływa,  
 I jako w nich bez wiatru dusza bywa żywa,  
 I jakie rozmaite dziwy w nich bywają,  
 Nie mogą wypowiedzieć, co po nich pływają.

(*Wizer. II, w. 57—68*).

Por. także I, w. 69 i nast., V, w. 269 i nast., IX, w. 193—210 i t. p.

Zobaczymy później, o ile piękniej tę samą rzecz przedstawia Kochanowski — Rej jeszcze się więcej dziwi i zdumiewa, aniżeli zachwyca, ale w każdym razie już te obrazy u niego są.

Inne obrazy z pierwszej grupy obracają się przeważnie w sferze zjawisk przyrody, fenomenów, rzadko tylko spotykamy między nimi pejzaż. Świadczą one przedewszystkiem o doskonałej obserwacji Reja. Kilka przykładów:

Wschód słońca.

Rano się potym porwał, ano pięknie świta,  
 Już się jeden o drugim ptaszek w lesie pyta.  
 Już skowronek na górze pięknie przepieruje,  
 Słowiczek we krzu krzyczy, gęgzołeczka kuje.  
 Pożrzy wzgórze, skały już jasno się błyskają,  
 A promienie słoneczne ziemię rozświecają.  
 Zorza wzgórze wychodzi różanej piękności,  
 Na obłokach się broją jasne odmienności.

(*Wizer. IV, w. 97—104*).

Wnet poźrzał na wschód słońca, a zarza różana,  
 Z oną piękną modrością na poły zmieszana,  
 Objasniła wszytek świat, ony szpetne chmury  
 Pędziła cichym wiatrem za dalekie góry.

Ukazało się słońce nadobnej jasności,  
 Jako inny świat nastał z onej odmienności.  
 Tęcza też z drugiej strony ostatek chmurności  
 Wynosiła nad sobą nad gór wysokości.  
*(Tamże, VIII, w. 25—32).*

Rano gdy piękne słońce promienie po ziemi  
 Poczęło jasne puszczać, a ciemność się mieni,  
 Gdy ją pędzi za górę jasna zarza ona,  
 Bo przed światłem uciekać rzecz jej przyrodzona...  
*(Tamże, XII, w. 17—20).*

Zachód:

Gdy już było k wieczoru, słońce zachadzało,  
 Jasne nazad promienie po górach puszczało.  
 Ciemność od wschodu słońca ziemię pokrywała,  
 A mgła szara po górach też się podnasała.  
*(XII, w. 1—4)*

Czas przed burzą:

Było dobrze z południa, zarze powstawały  
 Czerwone od zachodu, i wiatrek niemały.  
 Tęcza się ukazała pięknej zieloności,  
 Ukazując na przyszyły wieczór odmienności.  
 Góry się zakurzyły, nad nimi szumiało,  
 Zrzadka przebłyskawając, już po trosze grzmiało.  
*(IX, w. 1—6).*

Burza:

Poczęło się wnet mieszać, burza się wierciała,  
 Wicher powstał nad górą, drzewina szumiała.  
 Błysnęło się okrutnie, więc piorun uderzył,  
 Nad młodzieńcem na cyprys, gdzie siedział, umierzył.  
 Uciał gałąź nad głową, tuż przed nim upadła.  
*(VIII, w. 5—9).*

Wypogodzenie się nieba po burzy:

Weźrzy potym ku górze, a chmury się broją,  
 Roztargnione powietrzem na poły się dwoją.  
 Wdzięczna modrość na niebie wnet się okazała,  
 Którą światłość słoneczna prawie wyjaśniała.  
 Także niebo by kryształ wnet się okazało,  
 A namniejszej chmureczki na nim nie zostało.  
*(XI, w. 453—458).*

Trefiło się gorąco, bo tak zawždy bywa,  
 Po prędkim dżdżu, rado się pięknie przejaśniwa,  
 Że się słońce nadobnie po górach błyskało,  
 A prawie się powietrze wszytko rozgorzało.

(X, w. 1—4).

Pejzaż namalować jest Rejowi daleko trudniej; rzadko  
 też znajdziemy taki obraz:

Przyszedł nad piękną rzekę cichuczko płynącą,  
 Wodę w sobie by kryształ nadobną mającą.  
 Rybki się po niej miecąc przy brzegoch igrają,  
 Ziółka, trawkę, robaczki biegając chwytają.  
 Oliwne drzewka wszędy przy brzegoch zielone  
 Stoją pięknym porządkiem jako rozsądzone.

(XII, w. 7—12).

Opis rajy:

Przyszli potym na górę na jasności dziwne,  
 Już tym świeckim na dole daleko sprzeciwnie,  
 Powietrze ono jasne prawie przezroczyste,  
 Bez namniejszej makuły, jako kryształ czyste.  
 Szerokość nieprzeźrzana na górze równiuczka,  
 Na niej trawa by hałas piękna, zieleniuczka.  
 Kwiateczki po niej wszędy, by drogie kamyczki,  
 Rozlicznemi farbami błyskają się wszycki.  
 Drzeweczka rozmaite, co takich na świecie  
 Nie masz nigdziej, co kwitną i zimie i lecie.  
 Owoce przedsię śliczne między kwiatki mając,  
 A rozliczne wonności ze wszzech stron dawając.  
 Ptaszki rozmaici, z dziwnemi farbami,  
 Krzyczą po onych drzewkach, by gędźcy z lutniami.

(XII, w. 183—196).

Do tejże kategorii należy po części także opis ogrodu  
 bogini rozkoszy, w ks. III poematu.

Jest tedy pejzaż zjawiskiem rzadkiem u Reja, a te,  
 które są, nie mogą się równać z obrazami zjawisk przy-  
 rody. Skądże to pochodzi?

Rej, jak już wiemy i jak widać z ustępów przytocz-  
 nych, jest świetnym obserwatorem. Jeżeli pomyślimy, że to

są najpierwsze wogóle w literaturze polskiej próby opisów wschodu lub zachodu słońca i t. p., to zdumiewać się będziemy nad tak doskonałym spostrzeganiem, nad wrażliwością oka Rejowego na zjawiska światła <sup>1)</sup>, na barwy, na ruch. Przedewszystkiem na ruch. Otóż Rej najchętniej i najlepiej maluje takie obrazy, których głównym elementem jest ruch, daleko gorzej zaś takie, w których przeważa nieruchomość, a więc pejzaże.

W pejzażu poeta musi stylizować — do czego koniecznie potrzebną jest kultura literacka. Tej Rejowi brakło, to też jego pejzaż jest katalogiem. W obrazach takich, w których przeważa ruch, rzecz stylizuje się sama, to, co najważniejsze, samo wpada w oczy. Otóż tutaj w danym razie może wystarczyć sama obserwacja; a gdy ona będzie tak bystrą, jak u Reja, to obraz wyjdzie prawdziwy i żywy.

Nawiasem zresztą dodajmy, że i u Kochanowskiego pejzaże są mniej liczne i mniej piękne, aniżeli obrazy inne, na przykład pór roku. Dodajmy, że wogóle w całej poezji lepiej udają się takie obrazy, w których dominuje jakikolwiek ruch, dziedzina bądź co bądź poezji najwłaściwsza. Jeżeli ten fakt podkreślamy u Reja, to dlatego, że u niego odstęp między obrazami jednymi a drugimi jest stosunkowo daleko większy, aniżeli u innych poetów. U niego obserwacja niezwykle bystra a równoczesny brak sztuki — u innych sztuki więcej, obserwacja nie tak doskonała. Skutkiem tego u Reja obrazy ruchowe są stosunkowo świetne, pejzaże stosunkowo bardzo słabe.

Ten fakt tłumaczy nam doskonale i objaśnia właściwości drugiej grupy obrazów Rejowych, owych drobnych obrazków ze świata zwierzęcego i roślinnego. Tych ostatnich

---

<sup>1)</sup> Por. *Wiz.* X, 731—732:

Patrzajże na promienie, gdy gmach przenikają,  
jako prochy z pióreczki po nich się mieszają.

Por. także kontrast światła i ciemności w X, w. 695 i nast.

będzie oczywiście daleko mniej i nie będą one tak żywe, jak pierwsze, bo w pierwszych momenty ruchowe będą miały pole i sposobność do rozwinięcia się, w drugich nie. Na te obrazki ze świata zwierzęcego zwrócono już baczniejszą uwagę; monografia prof. Brücknera zebrała ich ogromną ilość ze wszystkich dzieł Reja, zgrupowała i objaśniła. Wobec tego nie będziemy się tu zastanawiać nad nimi szczegółowo, podamy tylko kilka uwag, odsyłając zresztą czytelnika (zwłaszcza po przykłady) do wspomnianej monografii.

W zwierzęciu, o którym mówi, Rej widzi przedewszystkiem ruch. Niezmiernie rzadko wspomni cechę inną, ubarwienie na przykład, a i to najczęściej na tle ruchu: „jako pstre sojki przed nim z daleka dudkują“ (Wizer. II, 149); „wszystko to piękne piórka na śmierdzącym dudku, co się chodząc umizga, mnima pan by w czupku“ (II, 411—412); „pstryć też dzieciół i dudek, a wždy śmierdzi zawždy“ (VI, 295); „chociaj drugi krokerze chodząc by pstra kokosz“ (VI, 544); „był ci też owo bażant nadobnie upstrzony“ (VI, 561); „bujając po tym świecie jako paw, gdy pierze tu ku pięknemu słońcu nadobnie rozszyrzy“ (VII, 159—160). Po za tem przedstawia wyłącznie ruch, czynność. Najczęściej notuje jeden tylko rys, jeden moment: „używie, by na grudzie skacząc jako zając“ (II, 220); „wstawszy włoką się też tam z strachem zagładając, prosto gdy na groch dybie we dnie z lasa zając“ (III, 427—428); „siedzi zwiesiwszy głowę by na wiosnę gaska, gdy ją owo podskuba, nie wesół ni kąska“ (VI, 441—442); „siedzi jako skowronek, gdy w krzewinę wpadnie, gdy się cicho przy ziemi kobiec za nim kradnie“ (XII, 845—846); „patrz, i wilk w lesie iż też buja sobie, lecz gdy go gonia, barzo go to skrobie“ (Apoftegm.); „a wybierać sobie wszystko po ziarnku, jako ptaszek wybiera mak między gorczycami“ (Żywot); „ano myśl ona wspaniała, jako orzeł ku górze, wszystko bując chce“ (Żywot); i tak dalej — tego rodzaju obrazków jest u Reja najwięcej; rozsiane po wszystkich jego dziełach, stanowią niemałą ich



ozdobę i są zarazem jednym z najoryginalniejszych, najsamodzielniejszych produktów talentu Reja. Z obrazków małych, wywołanych najczęściej potrzebą i pragnieniem porównania, rozwija się od czasu do czasu obraz większy, zapominający o swem pierwotnem zadaniu, rozwijający większą ilość motywów.

Bo prawda gdzie swe skrzydła by orzeł roztoczy,  
Już fałsz ponuro chodzi, już łeb w ziemię tłoczy.  
Prawie jako pustółka nisko pod nią lata,  
A motyle żywiąc się kędy może chwata.

(*Wizer. I, 59—62*).

Więc nie wiem żywotli to albo jaka rozkosz,  
A snadź mało nie lepszą ma pod strzechą kokosz,  
Która sobie po śmieciach pochadzając gdacze,  
A wygrzebszy ziarneczko polatując skacze.

(*I, 221—224*).

Acz się więc jako wrony czasem w kupę zlecą,  
Kraczą, wrzeszczą, a drudzy jako sroki rzeką,  
A jako jastrząb którą za ogon połapi,  
To wnet pilnie każda sie do swego krza kwapi.  
Więc się pod skrzydło dłubie, a w nos drapie nogą,  
A ono przedsię dawią nędznicę ubogą.

(*V, 595—600*).

Bo to wieśna rycerka (wrona) nie daleko leci,  
Zawždy grzebie w październu, zawždy pilna śmieci.  
A taka gospodyni, że dożrzy wszytkiego:  
Niech chłop idzie za pługiem, ona już u niego;  
Młóci albo układa, alic ona siedzi;  
Kokoszka skoro złęże, ba wnet ją nawiedzi,  
Bo jeszcze niebożątko dobrze nie odgadacze,  
A nasza dawno z jajkiem po krzewinie skacze.  
Śwignia idzie na pole, alic na niej jedzie,  
Ba wszędy jej zawždy być na każdej biesiedzie.

(*VII, 1047—1056*).

Krotochwile chartów tak Rej opowiada: „Więc się tu po piasku gonią, więc tu przez się skaczą, więc tu jeden drugiego obali, a z onej krotofile to idą w się, aż jeden

z chromą nogą, drugi z rozdartym uchem idą skowycząc do domu“ (Żywot). Rybki około wędki: „Rybeczki około wędki igrają, biegają, a ona się im nadobnie błyszczycy, alic jedna po chwili chyt na brzeg, ani się sama obaczy, co się jej stało“ (Tamże). Takich obrazów w Żywocie pełno.

Z natury talentu Reja wynikało, że kreśląc te obrazki, był najzupełniej szczerym, to znaczy nie dorabiał nic fantazyą albo erudycją, dawał to, na co sam patrzył. Zatem galerja jego obrazków ze świata zwierzęcego składa się wyłącznie z takich okazów, których życiu i ruchom sam dokładnie się przypatrzył i sam poznał. Wyjątkowo tedy pojawi się tu lew, którego mógł widzieć na rynku krakowskim w klatce, albo zawzięta tygrys, albo „kokodrył“, o którym wyczytał w jakiej kosmografii; miejsca zresztą, w których mówi o tych zwierzętach, są bez życia i bez wyrazu, w porównaniu z innymi. Wyłącznie więc zajmuje się zwierzętami, które widział na swoim podwórzu, na swoim polu albo w lesie: zwierzęta domowe i „myśliwe“. Możliwy nawet dostrzec pewnej predylekcji do tych ostatnich, tak często je wspomina i opisuje. Stosunkowo bardzo często także mówi o ptactwie, zwłaszcza niedomowem — kokosz, gaska, bażant, wrona, sojka, sowa, kania, sokół, orzeł, skowronek, sroka, dudek, jaskółki, pustółka i t. p. należą do jego ulubionych. Ze zwierząt domowych bardzo częstym gościem w pismach Reja jest świnia, co jest w związku z ich moralizatorską tendencją — albowiem wzbudzając abominację, stworzenie to ma wielką wartość dydaktyczną. Dość często pojawia się także koń, koza i t. d. — bardzo często pies, wilk, zając, jeleń, lis: zwierzęta, z którymi lub na które Rej polował.

Jest więc Rej w tej drugiej grupie swych obrazów malarzem zwierząt. Czy przez to samo malarzem przyrody? Jasną jest rzeczą, że nie, jak nie był n. p. Michałowski malarzem przyrody, choć malował wspaniałe konie. Reja obrazki te pozostają fragmentami, motywami, które dopiero razem z całą masą innych na prawdziwy i zupełny obraz przyrody

mogłyby się złożyć. Tego złożenia Rej nie wykonywa. Nie grupuje najpierw tych obrazków zwierzęcych ze sobą w większe całości — każdy mniej więcej idzie swoją tylko drogą. Gdy je zaś poeta z sobą połączy (co się dzieje bardzo rzadko), to wtedy między innymi powstanie na przykład obraz taki:

Wilcy wyją za gumnem, a cieleta ryczą,  
Psi szczekają pod okny, świnię w chlewie kwiczą —  
(*Wizer. II, 191—192*).

obraz, w którym wprowadzie poeta grupuje motywy, ale nic nie jest tej grupie dalszem, jak jakikolwiek ślad piękności.

Dalej — Rej nie łączy swych zwierząt z resztą przyrody w całość. Nie przedstawi ich na tle pola lub lasu, czemu to pole lub ten las bardzo ożywił, a równocześnie te zwierzęta przedstawił jako część całości, jako jedną z części przyrody.

I tutaj dochodzimy do momentu decydującego w ocenie obrazów przyrody Reja. Pisarz ten nie stał się zupełnym, wszechstronnym malarzem natury, zatrzymał się na jednym ze stopni pośrednich, wiodących ku temu celowi. Miał Rej z dwóch potrzebnych do tego warunków jeden w wielkiej mierze: wrażliwość fizyczną i duchową; świetnie przyrodę widział i odczuwał. Ale widział niejako w rozbiciu; widział i przedstawiał znakomicie szczegóły, syntetycznego obrazu przyrody nie dał ani jednego. Bo do tego potrzebny był warunek drugi: sztuka, wykształcenie ogólne i specyficznie literackie. Tu nie wystarczało odtwarzać, trzeba było także stwarzać. W pierwszym razie prymitywność umysłu i talentu Reja nietyko nie przeszkadzały, ale owszem były pomocne; gdy rozważamy jego stosunek do przyrody, przypominają się nam opowiadania o dzikich na stepach i w lasach amerykańskich, o ludziach, przed którymi przyroda żadnych nie miała tajemnic, tak ją znali i tak się z nią żyli. Rej w stosunku do przyrody cokolwiek ma do nich podobieństwa. Ale w drugim razie ta pierwotność była tylko prze-

szkodą. Talent człowiek może mieć bez własnej pracy, sztuki nigdy. Gdyby Rej był znał dobrze literaturę starożytną, gdyby był znał n. p. Horacego i rozumiał tak, jak Kochanowski, to ten Horacy byłby go nauczył, jak się z pojedynczych wrażeń składa wrażenie ogólne, jak z pojedynczych kresek składa obraz. Bez wykształcenia Rej nie mógł znaleźć tych wskazówek i tej pomocy, bez której, zwłaszcza w początkach, nie obchodzą się nawet poeci najznakomitsi, nie tracąc zresztą nic ze swej samodzielności. Otóż oryginalność i „samorodność“ Reja z wszelką pewnością nicby na tem nie była straciła, gdyby był miał prawdziwą kulturę literacko-artystyczną, a zyskałyby na tem jego utwory, zyskałyby jego obrazy przyrody i zyskałoby piśmiennictwo polskie.

To ostatnie mianowicie nietylko tym sposobem, że miałyby teraz pewną ilość dobrych obrazów u Reja, ale także i przez to, że takie obrazy miałyby zdolność wpływu, wywoływania innych obrazów podobnych. Wytworzyć mogły tradycję literacką w zakresie naszego motywu. I jak zobaczymy później, sprawiły to obrazy Kochanowskiego. Obrazy Reja, jako niezupełne, wpływu tego mieć nie mogły. Co najwyżej mogły być wywołać obrazy takie, jakimi były same, fragmentaryczne. Czyli ciągłości, tradycji znowuby nie było, gdyż urywałaby się na każdym poecie.

Skutkiem tego wszystkiego Rej był pierwszym, który w literaturze polskiej traktował obszerniej motyw przyrody — ale nie on go wprowadził do tej literatury, nie od niego rozpoczyna się rozwój tego motywu. Zrobił to jego następca i współzawodnik, większy od niego, Kochanowski <sup>1)</sup>.

Rozpatrując się w materyale, którym w tej chwili są dla naszego motywu odpowiednie miejsca w poezji Kochanowskiego, dostrzec łatwo, że jedne obrazy (względnie ustępy) są czysto konwencyjonalne, albo tradycyjne, albo nic nie mówią

---

<sup>1)</sup> Ustęp o Kochanowskim opiera się o odpowiedni ustęp w studjum o Pieśniach Kochanowskiego (Kraków, 1906, str. 110—134).

wiące o poecie przekłady; drugie (choćby nawet tu i ówdzie opierały się o wzór obcy) świadczą o tem, że poeta naprawdę odczuwa piękności przyrody. Znaczenie mają dla nas obecnie tylko te drugie, bo tylko one są prawdziwemi dziełmi poezji Kochanowskiego, tamte zaś tylko przybranemi. Nie zastanawiając się nad niemi zbyt szczegółowo, musimy jednak te naleciałości po krótkce przejrzeć, choćby tylko dlatego, aby wiedzieć, które mamy odrzucić.

W pieśni pierwszej Fragmentów poeta mówi o morzu. Jest to jednakże tylko allegorya: morze życia naszego na tym świecie, wpływ tradycyi literackiej, jeden z jej powtarzających się sposobów technicznych. Wisłę spotykamy w trzech fraszkach „Na most Warszawski“ (II, 103, 104, 105). Zwłaszcza ciekawe są dwa wiersze fraszki II, 103:

Nieubłagana Wisło, prózno wstrząsasz rogi,  
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi.

Zdawałoby się, że z takich określeń może się rozwinąć jakiś obraz rzeki — niema tu jednak nastroju, który jest konieczny w obrazie przyrody. Nadto: nie chodzi tu o rzekę, jako rzekę, tylko jako przeszkodę w komunikacyi. Stanowisko wyłącznie utylitarne. Wisłę spotykamy dalej w Proporcju (w. 169—176):

Środkiem tego wszystkiego srebrna rzeka płynie,  
Którą, leżąc pod skałą przy powiewnej trzcinie,  
Rozciągnęła Wisła leje krużem marmurowym,  
Głowę mając odzianą wieńcem rokitowym.  
A do morza przychodząc drze się na trzy części:  
Tam okręty, a przy nich delfinowie gęści  
Po wierzchu wody grają, połyskując złotem,  
Brzegi burstynem świecą.

Obraz to niewątpliwie piękny, ale jeżeli chodzi o bezpośredniość wrażenia, to wolę Wisłę Klonowicza we Flisie. Bo ten obraz Kochanowskiego nie pochodzi z obserwacyi przyrody. Złożyły się nań: klasyczna jakaś rzeźba, przedsta-

wiająca nimfę rzeczną, i — mapa (delta Wisły!); z takiej obserwacji on pochodzi, ale nie wprost z natury.

Należą tutaj także te ustępy, w których wprawdzie jest jakiś opis zjawiska przyrody, jakiś obraz, ale widoczną jest rzeczą, że poeta nie zwraca na niego uwagi. Potrzebny mu on był do zaznaczenia sytuacji, ale sama sytuacja tak silnie pochłania jego uwagę, że o odczuwaniu, o wżyciu się w przyrodę nie ma mowy. Takim jest wschód słońca we Fragm. 8:

Kiedy się rano zapalają zorza,  
A dzień z wielkiego występuje morza.

Takim zachód w Pieśni I, 17:

Słońce już padło, ciemna noc nadchodzi.

Takim deszcz w Pieśni I, 21:

Słuchaj, jako bije w ściany  
Z gwałtownym dżdżem grad zmieszany.

W tych ustępach zmysły spełniają swoje zadanie dobrze, ale dusza jest nieobecna. Poeta te zjawiska widzi, ale się im nie przypatruje, one go nie zajmują.

Na wyższym już stopniu znajdują się te ustępy, w których poeta określa piękność kochanki za pomocą porównania, zaczerpniętego z przyrody, albo też w jakikolwiek sposób przyrodę łączy ze swą miłością. I tutaj przyroda nie stanowi sama dla siebie całości, którąby warto obserwować, poeta dłużej nad nią się nie zastanawia, ale już sam ten fakt, że służy mu ona do porównania, świadczy, że widzi w niej pewną zasadniczą cechę: piękność. Te porównania spotykamy we Fragm. X, w. 11—12:

Równie taka rano wschodzi  
Jutrzenka, gdy dzień nadchodzi —

i w Pieśni I, 7, w. 8—12:

Twoje nadobne lice jest podobne zarzy,  
Która nad wielkim morzem rano się czerwieni,

A z nienagła ciemności nocne w światłość mieni;  
Przed nią gwiazdy drobniejsze po jednej znikają,  
I tak już przyszej nocy nieznacznie czekają.

Są one wzięte z Petrarcki, nie stworzone przez samego Kochanowskiego. To obniża nieco ich wartość jako świadectwa o Kochanowskim: nie on sam zauważył piękność zorzy lub jutrzeńki, tylko wyczytał to u poety włoskiego. Nie sięgnął tedy wprost do natury, tylko do książki. Ale znowu sam ten fakt, że je z książki wziął, świadczy, że się mu one podobały; podobały mu się, ponieważ mu przypominały zjawiska piękne; tę piękność zauważył on już poprzednio, ale nie uświadomił sobie tego, wrażenie zostało w jego duszy nieczynne; pod wpływem lektury to wrażenie się mu przypomniało i teraz sobie z niego zdał sprawę. Tym sposobem Petrarca był pierwszym motorem, który Kochanowskiego zwrócił ku przyrodzie. Ale działanie jego nie było zbyt silne, wkrótce ustało; aby poeta nasz wykształcił się na takiego obserwatora przyrody i odczuwającego ją, jakim jest później, na to potrzeba było jeszcze czynników innych.

W dwóch innych miejscach określony jest stosunek przyrody do kochanki poety:

Raj tam, gdzie ona siedzi: a którądy mija,  
Za jej stopami róża wstawa i lelija:  
Jej gwoli piękne drzewa dają cień sowity,  
Nie chcąc, aby ją letni żegł ogień obfity.

(*Fragm., IX, w. 5—8*).

Zajrzę wam gęste lasy i wysokie skały,  
Że przedemną będziecie taką rozkosz miały:  
Usłyszycie wdzięczny głos i przyjemne słowa,  
Po których sobie tęskni biedna moja głowa.

(*Pieśni, I, 7, w. 15—18*).

Ta przesada, również włoskiego pochodzenia, jest świadectwem, że poeta łączy miłość z przyrodą; motyw bardzo wdzięczny, ale rozwinie się on pięknie dopiero później (*Pieśni, II, 2*): tam przyroda nie traci swej samoistności, a ró-

wnocześnie służy także i temu celowi. Tutaj motyw ten jeszcze jest zbytnio naśladowniczy; daje tylko świadectwo, że łączyć przyrodę z miłością nauczył Kochanowskiego znowu Petrarka.

Wszystkie rozważane dotąd ustępy nie dają jeszcze świadectwa o prawdziwym odczuwaniu przyrody przez poetę — a to jest rzecz najważniejsza — (co najwyżej możemy obserwować w nich sporadycznie występujące początki takiego odczuwania), ani też żaden z nich nie daje większego osobnego obrazu lub opisu. Natomiast zanotować w nich trzeba ten szczegół, że poeta za pomocą epitetów określa kształty i barwy przedmiotów: gęste lasy, wysokie skały, powiewna trzcina, srebrna rzeka. Świadczy to o pewnej wrażliwości oka; o ile, w jakim stopniu, to zobaczymy później.

W inny świat przenosi nas reszta obrazów przyrody w poezji Kochanowskiego: są tu już obrazy całkowite, wykończone, które (choć zwykle łączą się z człowiekiem) stanowią odrębną dla siebie jednostkę, albo też mniejsze jakieś ustępy, czasem dwa, trzy słowa, świadczące jednak bardzo silnie o wrażeniu, jakie przyroda wywarła na poetę.

Wydzieliłby z nich trzeba, jako osobną grupę, te ustępy, których przedmiotem jest nie tyle pewne zjawisko przyrody, ile raczej ich suma, całość świata, kosmos. Mamy je w Fenomenach, we Fragmentach (III i V) i w hymnie o dobrodziejstwach Bożych:

Kto miał rozumu, kto tak wiele mocy,  
 Że świat postawił krom żadnej pomocy?  
 Kto władnie niebem? kto gwiazdami rządzi,  
 Że sie z nich żadna nigdy nie obłądzi?

Za czyją sprawą we dnie słońce chodzi?  
 A miesiąc świeci, kiedy noc nadchodzi?  
 Każdy znać musi krom wszelakiej zwady,  
 Że sie to dzieje wszystko z Pańskiej rady.

Jego porządkiem Lato Wiosnę goni,  
 A czujna Jesień przed Zimą sie chroni.



Ten opatruje, że morze nie wzbierze,  
 Choć wszytki rzeki w swoje łono bierze.  
*(Fragm., III, w. 5—16).*

Od Boga poczynajmy, Bóg początkiem wszemu,  
 A początku zaś niemasz ani końca jemu.  
 On był jeszcze przed wieki, on dawnych ciemności  
 Nieporządek rozprawił, mocą swej mądrości.  
 On ziemię wszytkorodną, on morze żeglowne,  
 On utwierdził na wieki niebo niestanowne.  
 Dzień i noc jego sprawa, i to światło wdzięczne  
 Niezgaszonego słońca, i koło miesięczne.  
 Tenże i niebo natknął gwiazdami ślicznymi,  
 Aby ludziom znaczyły czasy biegi swemi.  
*(Fenomena, w. 1—10).*

Motyw jest wszędzie ten sam: piękność, porządek, wielkość świata jest świadectwem wielkości Boga. W hymnie „Czego chcesz od nas Panie“, motyw ten rozwinięty jest najpiękniej, jak wogóle hymn ten należy do najświetniejszych utworów Kochanowskiego:

Tyś pan wszytkiego świata, tyś niebo zbudował,  
 I złotymi gwiazdami ślicznieś uhaftował.  
 Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,  
 I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznymi.  
 Za twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,  
 A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.  
 Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,  
 Białe dzień, a noc ciemna, swoje czasy znają.  
 Tobie kwoli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi,  
 Tobie kwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi.  
 Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa,  
 Potym do gotowego gnuśna Zima wstawa.  
 Z twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,  
 A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.  
 Z twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,  
 A ty każdego żywisz z twej szczodroblivosti.  
*(w. 9—24).*

Zapatrywanie się na przyrodę, które w tych ustępach spotykamy, jest teologiczne: nie o przyrodę w nich chodzi,

ale o pokazanie w niej wielkości i mądrości Boga. Z tego zaś stanowiska wynikają pewne właściwości samychże obrazów przyrody: obejmują one nie części, ale całość, bo tak najlepiej się spełnia główny postulat; wielką rolę w tym obrazie mają ciała niebieskie, słońce, księżyc, gwiazdy, jakote, które silniej wznoszą myśl ku niebu, aniżeli ziemia; jeżeli zaś zwrócimy wzrok ku ziemi, to tam poetę uderzają znów zjawiska, obejmujące całą masę objawów, więc n. p. zmiana pór roku. To, że obrazy przyrody oparte są tutaj o myśl inną, piękności im wcale nie ujmuje. Owszem, oparcie się o ideę wielką, jakby i im wielkości dodawało. Ale nie jest to nowożytnie rozważanie przyrody dla niej samej wyłącznie. Gdzieindziej z pism Kochanowskiego można niejako wykroić obrazki przyrody, które są tylko obrazkami, niczem więcej; tutaj tego zrobić nie można. I wogóle w nowożytnej poezji europejskiej motyw ten, tak wykonany, nie jest częsty. Jest to wytwór duszy hebrajskiej. Czytając wymienione ustępy, w tej chwili zwracamy się do Psalterza. Tam są najświetniejsze, niedoścignione dotąd obrazy tego właśnie rodzaju <sup>1)</sup>). Psalterz wywołał podobne objawy u Kochanowskiego. Wywołał w różnych epokach jego życia, bo hymn i początek Fenomenów pochodzą z przed roku 1564,

<sup>1)</sup> Przypomnę tu słowa Aleksandra Humboldta (Kosmos, t. II, Stuttgart u. Tübingen, 1847, str. 45): *Es ist ein charakteristisches Kennzeichen der Naturpoesie der Hebräer, dass, als Reflex des Monotheismus, sie stets das Ganze des Weltalls in seiner Einheit umfasst, sowohl das Erdenleben als die leuchtenden Himmelsräume. Sie weilt seltener bei dem Einzelnen der Erscheinung, sondern erfreut sich der Anschauung grosser Massen. Die Natur wird nicht geschildert als ein für sich Bestehendes, durch eigene Schönheit Verherrlichtes; dem hebräischen Sänger erscheint sie immer in Beziehung auf eine höher waltende geistige Macht. Die Natur ist ihm ein Geschaffenes, Angeordnetes, der lebendige Ausdruck der Allgegenwart Gottes in den Werken der Sinnenwelt.* Humboldt jako przykład podaje między innymi psalm 104. Zwracam uwagę, jak wprost genialnie Kochanowski ten psalm przetłumaczył.

Fragmety zaś (III i V) niewątpliwie z końcowych lat życia poety. Tamte wyprzedzają psalterz polski, ale opierają się już o lekturę psalterza łacińskiego, te są wyływem długoletniego zajęcia się przekładem psalmów.

Te biblijne obrazy przyrody, przy całej swej wielkości, nie miały danych do dalszego rozwoju, wskutek swej rozległości i wskutek charakteru religijnego. W szczegóły zanadto wchodzić nie mogły bez niebezpieczeństwa zatraty swych linii monumentalnych, całości zaś inaczej już przedstawiać nie mogły, bo wyczerpały wszystkie jej rysy zasadnicze, typowe. Przez połączenie zaś z ideą wielkości Boga przygniatały człowieka, nie dozwalały rozwinąć się jego indywidualności; czyli niszczyły tę właściwość umysłu, od której zależy urozmaicenie i postęp w zapatrywaniu się na przyrodę. To też gdy mówimy o wpływie na Kochanowskiego, to „wpływ“ rozumieć należy nie jako danie inicjatywy, jako stworzenie podstaw do dalszego, samoistnego rozwoju. Wpływ ten działa za każdym razem sporadycznie i wywołuje podobne obrazy — bez dalszego ciągu. Przedstawiając przyrodę w jej cechach najogólniejszych i najbardziej typowych, dając niejako ostateczną jej syntezę, zamykały te obrazy biblijne drogę do zajęcia się rysami, zależnymi od czasu i miejsca; więc n. p. nie można sobie wyobrazić przejścia od nich do przyrody specyficznie polskiej. Na to, żeby Kochanowski do niej doszedł, trzeba już było dróg i wpływów innych. Nie wywarły tedy nań wpływu wychowawczego. Dlatego to wydzielamy je z całego materiału naszego i tworzymy grupę osobną, nie łączącą się genetycznie z innymi. Co oczywiście nie przeszkadza podkreśleniu ich bardzo wielkiej piękności.

Docieramy wreszcie do rzeczy więcej już szczegółowych i więcej indywidualnych.

Szukając w biografii Kochanowskiego podkładu dla jego obrazów przyrody, spotykamy się najpierw z jego podróżami. Ale wiemy już, że nie podróże nauczyły poetę naszego zapatrywać się przyrodzie. Nieliczne tylko ślady znajdujemy

w cytowanych poprzednio dwóch fraszkach (II, 26, III, 1), a i tam obrazów przyrody prawdziwych niema. Podróżna teka poety pozostała niezapisaną. Z jednym, ale za to uderzającym wyjątkiem. Kochanowski opisuje morze. Widocznie wrażenie było zbyt silne; najprawdopodobniej zresztą wrażenie to wywarła burza morską. Albowiem burzę poeta nasz opisuje trzy razy. W pieśni „Acz mię twa droga“ (I, 6) mamy wprawdzie do czynienia z przekładem Horacego, ale przekład jest bądź co bądź żywszy i plastyczniejszy od oryginału, co zdaje się świadczyć o udziale samego Kochanowskiego w tym opisie:

Lecz sama widzisz, jakie wiatry wstają,  
Jakie po niebie chmury się mieszają.  
Ja wiem, co umie morze i szalony  
Wicher na wody słone uniesiony.

Niech żony srogich pohańców i dzieci  
Doświadczą, jakim pędem wicher leci,  
Morze mieszając: huczą srogie wały,  
A brzeżne w gruncie wzdrygają się skały.

(w. 5—12).

Nadto, opis ten nie jest odosobniony. W pieśni II, 17, jest schematyczny opis burzy:

Morze nie stoi nigdy, zawždy płynie:  
Teraz kędzierze nastrzępi, w godzinie  
Dnem wzgórz stanie, a ogromne wały  
Wysokich będą obłoków sięgały.

(w. 9—12).

Wreszcie w Pamiętce Tęczyńskiemu:

Jeszcze były wieczorne nie zagasty zorze,  
Kiedy nieuśmierzony wicher wpał na morze.  
Szum powstał i gwałtowna z wierzchu niepogoda,  
Wały za wałmi pędzi poruszona woda:  
Krzyk w okręcie, a chmury nocy przydawają,  
Świata nie znać, wiatry się sobie sprzeciwiają,  
Usiłuje zachodny przeciwko wschodnemu,  
Usiłuje południ przeciw północnemu.

Morze huczy: a nawę miecą nawałności.  
 Raz się zda, jako w przepaść, spojrzeć z wysokości:  
 A kiedy się zaś wały rozstępują, ani  
 Miasta widać wielkiego, z głębokiej otchłani.  
 Piasek z wodą się miesza: a w poboczne ławy  
 Bije szturm niebezpieczny: nawa żadnej sprawy  
 Nie słucha, ale w morskim rozgniewaniu pływa  
 Samopas, a mokra śmierć zewsząd się dobywa.  
 (w. 173—188).

Opis ten jest chronologicznie zapewne ze wszystkich trzech najwcześniejszy. Znać w nim wielki brak wprawy technicznej, ale równocześnie i to, że poeta ma przed wzrokiem duszy obraz burzy prawdziwej, na którą był patrzył, i że ją wiernie oddać usiłuje.

Nazwaliśmy obrazy morskie u Kochanowskiego wyjątkiem uderzającym. Są one nim dlatego, że w owej epoce zrozumienie dla morza jest jeszcze bardzo nikłe<sup>1)</sup>. Tem więcej naturalnie u Polaka. To też morze u Kochanowskiego, morze prawdziwe a nie literackie, tradycyjne, allegoryczne, zastanawia i każe wnioskować o wielkiej na swoje czasy wrażliwości naszego poety. Prawda, że nie ma tu jeszcze piękności morza, ale nie wymagajmy za wiele; i to, co jest, jest już wprowadzeniem nowego motywu do poezji polskiej, motywu, który kiedyś podejmie na nowo Mickiewicz w Sonetach Krymskich.

Po powrocie do kraju zaczyna się ściślejsze zespolenie Kochanowskiego z przyrodą i wykształca się jego wrażliwość. Ale uświadomi on to sobie i da nam obrazy polskiej przyrody znacznie później. Pierwszych dziesięć lat schodzi mu na ruchliwym życiu towarzyskim, dworskim, Muza jego wprzęgnięta jest do prac więcej oficjalnych i „ważnych“: poeta jakby nie miał czasu skupić się. To dzieje się po przeniesieniu się na wieś. Tam wrażenie przyrody jest i bez-

<sup>1)</sup> Voigt, Das Naturgefühl in der Litteratur der französischen Renaissance. Berlin, 1897, str. 17.

pośrednie i ciągłe, nieprzerywane zdarzeniami zewnętrznymi, jak poprzednio, a równocześnie poeta odzyskuje w całej pełni swoją swobodę artystyczną. Te czynniki sprawiły, że teraz w jego pieśniach zjawiają się obrazy przyrody.

Po największej części są to obrazy pór roku, zjawisko naturalne u poety, który niemal u wstępu do swego zawodu dał taki szkic:

Tobie kwoli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi:  
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi.  
Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa,  
Potym do gotowego gnuśna Zima wstawa.

Z tego szkicu rozwinęły się później pojedyncze obrazy; znikła tylko jesień — widocznie w czasach późniejszych poeta nie wrócił uwagi na piękność jesieni, a jej smutku, jej szarości przedstawiać nie chciał. Wychowanek renesansu reaguje tylko na rzeczy jasne i pogodne. Dał nam tedy Kochanowski aż trzy obrazy wiosny (Pieśni, I, 2, II, 2, II, 9), dwa lata (Pieśni, II, 7, Sobótka, 6), dwa zimy (Pieśni I, 14, II, 9).

Dalej znajduje się obraz burzy i powodzi w pieśni o potopie, nie ma jednak ani w przybliżeniu tej wartości, co wymienione poprzednio.

Jak widzimy, mamy dotąd ciągle do czynienia z przyrodą w ruchu; naturalnie znajdują się tu i obrazy statyczne, ale całość jest dynamiczną. Naturę w stanie spokoju Kochanowski przedstawia nie tak często, jak ruch. Krajobraz występuje u niego w ósmym i dwunastym śpiewie Sobótki, we fraszce „O Hannie“ (I, 57) i we Fragmentach (nr. 35). Jako przygotowanie do krajobrazów możnaby uważać opis ogrodu w Zuzannie (w. 23—26), t. zn. opis przyrody sztucznej, przyrody, której ręka ludzka nadała pewne dowolne kształty. Tak samo, jak w grupie poprzedniej nie ma wyłącznego panowania momentów ruchowych, tak i tutaj nie są wyłącznymi momenty statyczne; te krajobrazy nie są *ut pictura*, bo i w nich ruch się znajdzie, ale ostateczne wrażenie jest statyczne.

Wszystkie te obrazy malowane są przy świetle słonecznym, w dzień. Krajobrazu nocnego nie ma wcale; nie ma go nawet w Sobótce, chociaż jej „akcja“ rozgrywa się od wieczora do rana. Noc poeta wspomina, ale nie opisuje jej nigdy. Jest to w związku z epoką, która lubiła przedstawiać to, co jasne i wyraźne, nie znosząc mroku i półtonów; noc w poezji pojawia się znacznie później<sup>1)</sup>. Że jednak Kochanowski na piękność nocy nie był w zupełności nieczuły, o tem świadczy początek pieśni I, 13:

O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów,  
Patrz na nas jasno z pośród tych tu lasów,  
Gdzie, jako pszczoły, w koło swego pana  
Straż dzierżym, niecąc ognie aż do rana.

Podobnie w Sobótce:

Piękna nocy, życz pogody,  
Broń wiatrów i nagłej wody:  
Dziś przyszedł czas, że na dworze  
Mamy czekać ranej zorze.

W pierwszym z tych ustępów zaznaczony obóz w nocy — ale obrazu nocy niema ani w pierwszym ani w drugim. Za to jest w nich świadectwo, że Kochanowski umiał odczuć piękno nocy. Mowa jest jednak tylko o nocy pogodnej<sup>2)</sup>; do nocy Ossyanowej jeszcze daleko. W każdym razie mamy tu interesujący przyczynek do poznania, jak dusza poety jest już subtelna i wrażliwa w wyższym stopniu, aniżeli to ma miejsce w ówczesnej literaturze polskiej.

---

<sup>1)</sup> Tęsknota, marzenie, uczucia na pół nieświadome, niewyraźne: ten produkt nocy nie jest rozpowszechniony w Renesansie. Stąd też tak mało w nim krajobrazów nocnych z takim właśnie nastrojem. Wyjątkiem jest noc księżycowa w Kupcu Weneckim, jak wyjątkiem jest Szekspir.

<sup>2)</sup> Pieśń I, 13, jest pisaną w jesieni. Otóż poeta chwali noc za to, że jest piękną „nad zwyczaj tych czasów“. W Sobótce jest noc czerwcową.

Kreśląc swoje obrazy, Kochanowski obejmuje nimi najczęściej duże obszary: nie zatrzymuje się na drobiazgach, nie wykrawa cząstki małej z tego widoku, który ma przed sobą, ale stara się go dać możliwie w całości. Horyzont jego widoków jest bardzo rozległy. I tu znowu mamy cechę epoki. Dopiero czasy nowsze dają pejzaże, które obejmują obszar niewielki, a za to w tych niewielkich ramach szczególnie wykonane są dokładnie. Taką drogę od ogółu do szczegółów zrobiło i malarstwo — przypomnijmy, jak wygląda pejzaż u malarzy Renesansu, a jak dzisiaj — i poezja: inne są obrazy Mickiewicza aniżeli Kochanowskiego. Kiedy więc poeta nasz opisuje pory roku, to notuje tylko zjawiska najogólniejsze i najbardziej bijące w oczy:

Słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie,  
 Świata nie znać w kurzawie:  
 Rzeki dnem uciekają,  
 A zagorzałe zioła dżdżu z nieba wołają.  
*(Pieśni, II, 7).*

Patrzaj, jako śnieg po górach się bieli,  
 Wiatry z północy wstają,  
 Jeziora się ścinają,  
 Żórawie, czując zimę, precz lecieli.  
*(Pieśni, I, 14).*

Opisując krajobraz, kreśli również rysy najogólniejsze:

Pracowite woły moje:  
 Przy tym lesie chłodne zdroje,  
 I łąka nieprzepasiona,  
 Kosą nigdy nie sieczona.  
*(Sobótka, 6).*

Więc zaznaczony jest tylko las, rzeka, łąka — bliżej nie są przedstawione. Tak samo w fraszce „O Hannie“:

Tu góra drzewy natkciona,  
 A pod nią łąka zielona.  
 Tu źródło przezręczystej wody,  
 Podróżnemu dla ochłody.



Wskutek takiego sposobu przedstawienia widoki te i obrazy są typowe; nie jest to pewna zima, ale zima wogóle, nie pewien widok, ale widok wogóle. Nie są odtworzeniem jednego modelu (jak n. p. raj Milтона jest odtworzeniem jednego z widoków włoskich), ale niejako złożone z kilku. Często poeta przypatrywał się zjawiskom przyrody, często różnym widokom, aż wreszcie w umyśle jego wytworzył się obraz typowy, zasadniczy, i ten przeszedł do poezyi.

Dotąd odpowiadaliśmy na pytanie, c o Kochanowski widział w przyrodzie. Nasuwa się teraz drugie: jak widział i jak skutkiem tego przedstawiał. Widział kształty i barwy: malarska strona; widział ruch i czynności: strona ściślej poetycka, dramatyczna.

Więc najpierw strona malarska. Co do barw: zaznaczymy odrazu, że Kochanowski kolorystą pierwszorzędny nie jest. Barwy w przyrodzie zaznacza on chętnie w sposób ogólny: „Polne łąki pięknie zakwitnęły“ (Pieśni, I, 2); „Łąki kwitną rozmaicie“ (tamże, II, 2); „A ziemia, skoro słońce jej zagrzeje, W rozliczne barwy znowu się odzieje“ (II, 9); „Kwiatki barwy rozmaitej“ (Sobótka, 8). Gdy zaś zwraca na barwy większą uwagę, to widzi tylko barwy lokalne; o dalszem rozwinięciu malarskiem nie ma mowy, o wzajemnym stosunku kolorów, o różnych stopniach natężenia światła. Wogóle co do zjawisk światła Kochanowski ustępuje Rejowi, który je zaobserwował lepiej, a z późniejszych Grabowieckiemu. Określając barwę, Kochanowski używa czasownika, co jest piękniejsze ale i rzadsze: „Patrzaj, jako śnieg po górach się bieli“ (Pieśni, I, 14); „Zielenią się pięknie lasy“ (Tamże, II, 2); „Kiedy się rane zapalają zorza“ (Fragm. 8); „Po wierzchu wody grają (delfinowie), połyskując złotem“ (Proporzec, w. 175); — albo też za pomocą epitetów: łąka zielona, chmury czarne, słońce złote, miesiąca jasne rogi, jasne zorze, srebrna rzeka, złote gwiazdy, biały dzień, noc ciemna. Ale ostatecznie i tych jest niewiele, a co szczególna: właśnie w najpiękniejszych obrazach brak epitetów, określają-

cych barwę. Za to są inne, określające ruch i czynność, i te należą do najlepszych. Na barwy Kochanowski jest jeszcze wogóle mało wrażliwy <sup>1)</sup>).

Daleko lepiej już określa kształty, rysunek rzeczy. Używa ku temu sposobów różnych, jak epitetów: łąka pochodzista, kręty bluszcz, wysokie góry; albo powie: „lipa stojąc w pośród dworu“ — „którą zewsząd rozliczne drzewa otoczyły“ — „śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał“. Najlepiej jednak wypada obraz wtedy, gdy poeta kreśli nie stan ale ruch, czynność. Stąd też obrazy pór roku są na ogół daleko piękniejsze od krajobrazów; z tych zaś najpiękniejsze są właśnie te, w których momenty ruchu są liczniejsze (Pieśni, II, 2, Sobótka, 12).

Wprowadzając do swych obrazów ruch, Kochanowski przyrodę niezmiernie ożywia. Były w literaturze Renesansu dwa sposoby ożywiania przyrody. Jeden był sztuczny, z tradycji literackiej łacińskiej lub greckiej zapożyczony: to były personifikacje, upatrywanie w drzewach nimf i t. p.<sup>2)</sup>. Sposób to był niebezpieczny, bo nadzwyczaj łatwo prowadził do konwencyonalnej frazeologii, do popisywania się erudycją, która zbyt często zabijała poezję. Tego sposobu nie ma u Kochanowskiego (faunowie leśni z Sobótki, skaczący w lasach polskich, nie należą tutaj!). Jedyny chyba przykład znajduję w Dryadzie Zamechskiej. Dryas opowiada królowi o zabawach nimf leśnych i tak kończy:

To są nasze zabawy, póki topór ostry  
W modrzewiu nie namaca dusze której siostry <sup>3)</sup>.

(w. 83—84).

<sup>1)</sup> Niewątpliwie w związku z tem będzie zupełny u Kochanowskiego brak zrozumienia dla sztuki, w szczególności dla malarstwa, dziwny u człowieka, który spędził kilka lat we Włoszech, w połowie XVI wieku.

<sup>2)</sup> Voigt, str. 26, 59 i inne (przykłady).

<sup>3)</sup> Zupełnie tę samą myśl zob. u Ronsarda (Voigt, str. 26).

Drugi sposób, i pewniejszy, nie zawodzący jak tamten, i wdzięczniejszy (tylko, co prawda, trzeba do niego jednej rzeczy: talentu), to kazać przyrodzie żyć, tak, jak żyje naprawdę, poruszać się, działać, a wtedy ożywi się ona i upersonifikuje bez pomocy mitologii lub astronomii. Tak robi Kochanowski. Stąd jego obrazy takie ożywione i takie prawdziwe. Stąd też nie ogranicza się on wyłącznie do wrażeń wzrokowych: u niego ptacy śpiewają, pasterz gra proste pieśni na piszczałce, stada igrają przy wodzie, wiatry wieją przyjemnie. Przyroda martwa, świat roślinny, zwierzęcy, ludzie: wszystko to składa on w obrazki, drobne rozmiarami, a pełne ruchu i życia. Niech one zresztą mówią same za siebie:

Serce roście patrząc na te czasy:  
Mało przedtym gołe były lasy,  
Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał,  
A po rzekach wóz nacięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły,  
Polne łąki pięknie zakwitnęły,  
Lody zeszyły, a po czystej wodzie  
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje,  
Zboża wstały, wiatr zachodny wieje,  
Ptacy sobie gniazda omyślają,  
A przededniem śpiewać poczynają.

*(Pieśni, I, 2).*

To są pierwsze dni wiosny.

Maj:

Teraz naweselsze czasy,  
Zielenią się pięknie lasy.

Łąki kwitną rozmaicie,  
Zająca już nie znać w życie,  
Przy nadziei oracz ścisły,  
Że będzie miał z czym do Wisły.

Stada igrają przy wodzie,  
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,

Gra w pieszczatkę proste pieśni,  
A Faunowie skaczą leśni.  
(*Pieśni, II, 2*).

Lato :

Gorące dni nastawają,  
Suche role się padają:  
Polny świercz co głosu staje  
Gwałtownemu słońcu łaje.

Już mdłe bydło szuka cienia  
I ciekącego strumienia,  
A pasterze, chodząc za niem,  
Budzą lasy swoim graniem.

Żyto się w polu dostawa,  
I swoją barwą znać dawa,  
Iż już niedaleko żniwo:  
Miej się do sierpa co żywo.  
(*Sobótka, 6*).

Inne obrazy przytoczone były poprzednio. A jak oży-  
wioną jest lipa czarnoleska, gdy oczekuje Hanny; jak oży-  
wiony jest cały dom :

Samy cię ściany wołają,  
I z dobrą myślą czekają:  
Lipa stojąc w pośród dworu  
Wygląda cię co raz z boru.  
(*Pieśni, II, 2*).

Ta lipa, która „na głos Jana czuła, tyle rymów na-  
tchnęła“, uwiecznioną została w jednej z najpiękniejszych  
fraszek (II, 6):

Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają,  
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.  
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły  
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.  
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,  
Że człowiekowi łącno słodki sen przypadnie.

Tymi sposobami Kochanowski osiąga skutek podwójny:  
że obraz widzimy, tak jak on widział, że robi na nas wra-

zenie prawdy, — i że razem z poetą piękność tego obrazu odczuwamy. Czyli: spełnia wszystko, co jest zadaniem pejzazysty, sprawiając, że widzimy i czujemy.

Obrazki Kochanowskiego są prymitywne; jest to rysunek nie malowanie, i to rysunek zrobiony prostymi kreskami. Inaczej być nie mogło, gdy się zważy, że nikt Kochanowskiemu drogi nie utorował. Ale przez prymitywną robotę przebija wielkie piękno. Dzieje się to (obok innych przyczyn) dlatego, że w obrazkach tych czujemy duszę poety. Widać z nich, że na piękności natury jest on ogromnie wrażliwy. Zachwył swój Kochanowski wyraża często wprost: Serce roście, patrząc na te czasy; Wysokie góry i odziane lasy, Jako rad na was patrzę!; O piękna nocy!; Miło patrzeć na łąki, kiedy się odzieją. Albo daje go odczuć przez zestawienie: Krajobraz jest śliczny, ale bez Hanny nie ma dla mnie wartości. Tu widok jest nibyto zepchnięty na plan drugi wobec miłości, w rzeczywistości jednak widać, że poeta piękność jego silnie odczuwa. Albo rozpocznie swój opis suggestywnym słówkiem: Patrzaj jako śnieg po górach się bieli. Albo wreszcie — najczęściej — nie dodaje od siebie żadnej uwagi, pokazuje tylko obraz, a z tego łatwo wyczuć wrażenie, jakiego poeta doznał od przyrody.

W tej wrażliwości nie ma wcale tęsknoty. Objaw to, który widzieliśmy u Reja i zobaczymy u innych poetów, a tak naturalny, że go bliżej wyjaśniać nie trzeba. Kochanowski żył z przyrodą i w przyrodzie, więc tęsknić za nią nie potrzebował i nie mógł. Tutaj mamy wielką, niemal zasadniczą różnicę między traktowaniem przyrody przez poetę n. p. XIX wieku, a przez poetę z epoki Renesansu w Polsce.

Jeszcze na jeden szczegół w tem odczuwaniu należy zwrócić uwagę. Chwaląc (w Sobótce, śpiew dwunasty) wieś, Kochanowski chwalił jej wczasy i pożytki; więc zajmował stanowisko bądź co bądź użyteczne, choć nie wyrażał tego w sposób tak jawny, jak n. p. Rej. Kiedy podziwiał i wychwalał przyrodę, wznosi się na wyższy stopień i opiewa jej

piękności i przyjemności. W tej drugiej jest zaledwie cień pożytku: źródł przeźroczystej wody daje podróżnemu ochłodę, lipa chroni gospodarza od spiekoty. Nie jest to pożytek w ścisłym znaczeniu, ale przyjemność. Ale i ta pojawia się niezbyt często, zresztą poeta prawie zawsze podziwia przyrodę zupełnie bezinteresownie, dla jej piękności. Jest to w rozkoszowaniu się naturą stopień najwyższy.

Obrazy przyrody u Kochanowskiego nie stanowią, jak wiemy, osobnych utworów; każdy z nich połączony jest z jakąś inną myślą, z innym obrazem. To znaczy, że poeta nasz nie zna jeszcze pejzażu, jako utworu istniejącego wyłącznie tylko dla siebie. Stanowi on zawsze tło, na którym namalowany jest człowiek. Tu przypomnijmy, że tak samo postępuje malarstwo. Pejzaż sam dla siebie jest w niem wytworem późnym. Jako tło pojawia się bardzo wcześnie; kreśli ją na południu Prerafaelici, na północy van Eyck. Ciekawy jest stosunek wielkości między tematem, którym jest, najogólniej mówiąc, człowiek, a tłem. Z początku człowiek zajmuje całość obrazu, a tło zaledwie jest zaznaczone. Z czasem człowiek się stosunkowo zmniejsza — w malarstwie XVI wieku (n. p. u Tycyana) jest mniej więcej równowaga między obu pierwiastkami. Późem krajobraz zaczyna się powiększać kosztem człowieka (Salvator Rosa, Poussin), aż wreszcie człowiek staje się tylko dodatkiem do pejzażu (Claude Lorrain), a na koniec (w malarstwie holenderskim, Ruysdael) staje się tak małym, że go prawie nie znać, lub też zupełnie znika. Każda następna epoka może malować także tak, jak poprzednia, ale ogólny rozwój i postęp pejzażu jako obrazu samodzielnego jest taki. Zupełnie analogiczną jest rola i historia pejzażu w poezyi. Otóż i u Kochanowskiego pejzaż jest w służbie człowieka; a tak samo, jak w malarstwie włoskim XVI wieku, jest między obu motywami równowaga, tak że oba występują z równą siłą.

Kochanowski łączy przyrodę z miłością, z zajęciami człowieka, z refleksją. Połączenie jest prawie wszędzie wy-

konane po mistrzowsku. W pierwszym razie, tam, gdzie idzie za Petrarą, tam przesadza; gdzie jest sobą, daje połączenie prześliczne, jak w wezwaniu Hanny do Czarnolasu (Pieśni, II, 2). Łączy z zajęciami człowieka: na tle lata (w Sobótce) obraz żniwa; gdzieindziej znów (Pieśni, II, 7) przedstawia siebie, siedzącego pod lipą i lutnią płoszącego troski nieuśpione. Zmiana zimy w wiosnę (Pieśni, II, 9) daje poecie sposobność do uwag na temat „nie porzucaj nadzieje“. Śnieg bieli się po górach i zórawie odlatują (Pieśni, I, 14) — nastroj nie jest tak wesoły, jak poprzednio, więc i myśl raczej melancholijna: niechaj dREW do komina, na stół przynoszą wina, ostatek niechaj Bóg ma na swej pieczy; i na nas przyjdzie zima życia — korzystajmy więc z czasów dobrych. Wiosna (Pieśni, I, 2), radość w przyrodzie, radość w duszy: ale najlepsze wesele wtedy, kiedy człowiek ma sumienie spokojne. Z wyjątkiem ostatniej pieśni, połączenia te wszędzie są wprost świetne; wszędzie oba motywy łączą się nadzwyczaj ściśle i naturalnie. Jak n. p. znakomity jest pod względem psychologicznym autoportret poety podczas lata: pewna ocieężałość, którą upały wywołują, umysł jest jakby znieczulony, pragnie *dolce far niente* — stan człowieka w lecie świetnie przedstawiony:

Dzieci, z flaszą do studniej, a stół w cień lipowy,  
 Gdzie gospodarskiej głowy  
 Od gorącego lata  
 Chroni list, za wsadzenie przyjemna zapłata.  
 Lutni moja, ty ze mną: bo twe wdzięczne strony  
 Cieszą umysł strapiony:  
 A troski nieuśpione  
 Prędkim wiatrom podają za morze czerwone.

I refleksja połączona jest doskonale: nadzieja łączy się z wiosną, melancholia z zimą. W tych połączeniach jest jeszcze jedno świadectwo, jak głęboko Kochanowski przyrodę odczuwał i rozumiał. Dziś wydają się nam one całkiem naturalne, a o poecie, któryby je zastosował, powiedzieli-

byśmy, że zbyt fantazyi nie wysilił. W XVI wieku było to wszystko w naszej poezyi rewelacją.

A teraz nasuwa się pytanie, kto nauczył Kochanowskiego układać obrazy z wrażeń, dostarczonych mu przez przyrodę. Warunki są dane: wyższy stopień kultury umysłowej, stworzony przez Renesans; usposobienie poety, delikatne, wrażliwe, kobiece niemal, usposobienie, z którym nieodzownie musiał wdziękom przyrody ulegać bardziej, aniżeli inni ówczesni pisarze; wreszcie spokojne a szczęśliwe życie na wsi, wśród przyrody. W tych warunkach musiały w duszy poety powstawać obrazy przyrody. Chodzi teraz o wyraz, o sposób uzewnętrznienia tych obrazów, o pokazanie ich innym. Otóż tutaj, na terenie dotąd u nas prawie wcale nieuprawianym, Kochanowski musiał u kogoś przedtem uczyć się, jakim sposobem takie rzeczy ma malować. Rej, wiemy już, że takiego wzoru dać był nie mógł, musiał więc nasz poeta uczyć się u kogo innego. Wzory miał rozmaite. O dwóch była już mowa: Petrarca i Psalterz. Ale Petrarca był zmanierowany <sup>1)</sup>, wpływ jego zresztą trwał za krótko. Psalterza wpływ był bardzo silny, ale co do obrazów przyrody nie miał — jak to widzieliśmy — warunków rozwoju. Zostaje tylko poezya klasyczna, i jej to głównie Kochanowski zawdzięcza pomoc w wydoskonaleniu formy swych obrazów natury. W szczególności zaś Horacemu. Mógł — w elegiach — wpłynąć nań cokolwiek Tybullus, mógł Lukrecyusz poematem *de rerum natura* zwrócić jego uwagę na filozofię przyrody, a częściowo i na jej piękności. Ale wobec wpływu Horacego są to raczej drobiazgi. Ten wpływ zaś objawia się tak samo, jak wszędzie, gdzie myśli i uczucia Kochanowskiego są jego własne, gdzie poeta nasz sam od siebie ma coś do powiedzenia. Nie znajdziemy tedy ani jednego przekładu,

---

<sup>1)</sup> Petrarca był pierwszym, który na przyrodę zapatrywał się w sposób już renesansowy (Burckhardt, II, 18 i nast.) — ale działało się to w pismach prozaicznych i w listach; w poezyi swej włoskiej jest pod tym względem jeszcze truverem.



nie znajdziemy ani jednej bezmyślnej kompilacji z motywów Horacyańskich. Jako przykład wystarczy zestawić obraz zimy (Pieśni, I, 4) z odpowiednim obrazem u Horacego (Carmina, I, 9)<sup>1)</sup>. Wybieram ten przykład, bo tu zbliżenie jest ze wszystkich największe:

Patrzaj, jako śnieg po górach się bieli,  
Wiatry z północy wstają,  
Jeziora się ścinają,  
Żórawie, czując zimę, precz lecili.

U Horacego :

Vides ut alta stet nive candidum  
Soracte, nec iam sustineant onus  
silvae laborantes geluque  
flumina constiterint acuto.

Więc z tego obrazu Kochanowski podpatrzył: Soracte, pokryte śniegiem, i rzeki, ścięte lodem; te obrazy podał w swój sposób: góry zamiast Soracte i jeziora. Dodał do siebie dwa motywy — śliczne: „Wiatry z północy wstają“ — i ożywił obraz, pokazując żórawie odlatujące. Ożywił, dodając mu równocześnie cechy rodzimej.

W innych nawet takiego zbliżenia nie ma. Obraz wiosny (Pieśni, I, 2) porównywano z analogicznymi obrazami u Horacego (Carm., IV, 7 i 12). Ale zestawienie wykaże mało szczegółów identycznych, któreby wynikały nie z tożsamości tematu lecz z literackiego kopiowania. Kochanowski opisuje wiosnę swoim sposobem — są też u niego zwroty tak piękne: „Serce roście, patrząc na te czasy“, albo: „Teraz prawie świat się wszystek śmieje“, nie znajdujące się u Horacego. Jest u Kochanowskiego taki obrazek: „Ptacy

<sup>1)</sup> Reminiscencje z poetów starożytnych w Pieśniach Kochanowskiego i w Sobótce wykazywali: Parylak (O Pieśniach Jana Kochanowskiego, Lwów, 1879), Brückner (w Archiv für slavische Philologie, VIII, 491 i nast.) i Chmielowski („Sobótka“, w Studiach i Szkicach, I, str. 82 i nast.).

sobie gniazda omyślają, A przededniem śpiewać poczynają“ — o ileż słabszym, prozajczniejszym jest obraz Horacego (Carm., IV, 12): *nidum ponit Ityn flebiliter gemens | infelix avis et Cecropiae domus | aeternum opprobrium, quod male barbaras | regum est ulta libidines*. Kochanowski daje obrazek przyrody prawdziwej, szczery i odczuty, Horacy daje mit i mitologię. Albo: „Już mdłe bydło szuka cienia I ciekącego strumienia, A pasterze, chodząc za niem, Budzą lasy swoim graniem“ — u Horacego (Carm., III, 29): *iam pastor umbras cum grege languido | vivumque fessus quaerit, et horridi | dumeta Silvani...* Nie pragnę wywyższać Kochanowskiego kosztem Horacego — należy tylko te podobieństwa sprowadzić do właściwej miary. Stosunek między poetą łacińskim a polskim jest taki, jak między świetnym mistrzem a świetnym uczniem. Od nauczyciela uczeń skorzystał wiele, Horacy przecież pokazał Kochanowskiemu, że przyrodę i wrażenia z niej można zamknąć w małe obrazki, skoncentrowane w sobie, i mimo że połączone z innymi, stanowiące dla siebie całość. To zaś znaczy, że pomógł mu skupić wrażenia, odebrane z przyrody, i uświadomić sobie myśl, bez której wrażenia pozostałyby rozprószone w umyśle poety — jak to było n. p. z Rejem — a nie ujawniłyby się w poezji przebrane, wystylizowane i skupione. Była to nauka bardzo ważna i błoga w skutkach, i to trzeba silnie zaznaczyć. Ale taka nauka nie neguje równocześnie zupełnej samodzielności ucznia. Po za nią zdarzy się tu i ówdzie jakiś motyw, który Kochanowski przejmie od Horacego, ale zawsze ze zmianami, sięgającymi daleko, i mającymi za skutek najczęściej większą rodzimość obrazu. Samodzielnym i oryginalnym jest Kochanowski w swoich obrazach przyrody więcej, aniżeli w wielu innych ustępach swych dzieł. Jego własną jest ich treść, własnem życie duchowe, a tylko w formie poeta nasz zapamiętuje się niekiedy na wzór i przykład Horacego.

Podobnym jest też stosunek pomiędzy Kochanowskim a jego następcami. Jak jego Horacy, tak on następców swych

nauczył poetyckiego na przyrodę patrzenia. Talentem od Kochanowskiego niżsi, nie dali oni nam tak pięknych obrazów, ale i to, co dali, jest bardzo interesujące, a przede wszystkim świadczy o tem, że i oni przyrody piękno odczuwali, że te ich obrazy wyszły z ich duszy. Ale to znowu jest do pewnego stopnia zasługą Kochanowskiego: stwarzając poezję polską, stworzył on kulturę myśli i odczucia, wyższą i delikatniejszą, aniżeli była przed nim — a w tych warunkach wrażliwość na piękno przyrody stawała się silniejszą; stworzywszy język poetycki, pokazał następcom sposoby, jakimi swe myśli i odczucia mogą wyrażać.

Z tych następców Kochanowskiego pierwszym chronologicznie będzie Szarzyński. Z usposobieniem, skierowaniem raczej na wewnątrz duszy, aniżeli na zewnątrz, nie mógł on na zjawiska przyrody zwracać baczniejszej uwagi. Niewiele też znajdziemy u niego obrazów z przyrody zaczerpniętych, jak n. p. w zakończeniu sonetu III do Najświętszej Panny:

gdy na nas grzech straszliwy  
Przywodzi smutnej nocy ciężkie cienie,  
Ale zarzą już nam nastań rana,  
Pokaż twego słońca światłość żadaną.

Albo porównanie zmarłego dziecka do świętego kwiatka („Nagrobek dziecku“):

Równie tak kosą ostrą pracowity  
Oracz kwiateczek wonią znamienity  
Nowo rozkwitły ścina niebaczliwie,  
Którego długo czekały tęskliwie  
Śliczne Dryady, żądając go sobie  
I dla wonności, i czołu k ozdobie;  
A on z drugimi na pokosie kwiatki  
Leży już zwiedły gwałtem a nie latki.

Porównanie zresztą nieco konwencyjonalne, a zapewne natchnione porównaniem z Trenów Kochanowskiego.

Liczniesze są u Szarzyńskiego obrazy całości świata, kosmosu (Pieśń I, II i III), co jest w związku z religijnym

nastrojem jego poezji; pieśń pierwsza zresztą jest parafrazą psalmu 19, i obraz, w niej pomieszczony, jest może z tych trzech najpiękniejszy.

Zbylitowski Jędrzej ulega wpływowi Kochanowskiego z nich wszystkich najbardziej, tak że jego obrazy w słowach nawet są od tamtych zależne:

Ledwie tak wdzięcznej barwy bywa rana zorza,  
Gdy przed słońcem wypada z głębokiego morza.  
(*Epitalamium*, w. 57—58).

Albo:

Jako więc miło pojrzyć na ogród zielony,  
Czasu wiosny różnemi kwiaty ozdobiony:  
Ówdzie kwiat lelijowy a ówdzie różany,  
Tu hiacynt a tam zaś gwoździk nakrapiany —  
(*Epitalamium*, w. 287—290).

Mniej już zależności czysto zewnętrznej widzimy w takim obrazie:

Wdzięczna wiosna raz odchodzi,  
Zaś znowu potym przychodzi:  
Gdy zima przykra ustaje,  
I śnieg biały z lodem taje,  
Znowu się kwiatki wracają,  
I zielone trawy wstają,  
I list drzewa biorą na się,  
I ptastwo się wraca zasię.  
(*Epitalamium*, w. 257—264).

Pobyt Zbylitowskiego na wsi upamiętnił się w literaturze dwoma poematami: „Żywotem szlachcica na wsi“ i „Wiesniakiem“. W pierwszym obrazów przyrody w ściślejszym znaczeniu wyrazu nie spotykamy. Zupełnie wyjątkowy jest taki n. p. ustęp:

Usłyszę jeszcze wespół z nim w ogrodzie mojem,  
Jako piękny słowiczek nad ciekącym zdrojem  
Gardłkiem swym wyprawuje, i gzęgżołka w sadu  
Miasto lutnie i fletu śpiewa do obiadu.

A i tutaj, jak widzimy, nietylko chodzi o przyrodę, ile o przyjemności, których wieś dostarcza. Niemniej jednak po przez cały poemat przebijają wyraźnie odczuwanie piękna natury; Żywot pod tym względem przypomina silnie Żywot Reja. „Wieśniak“ jest parafrazą dwunastego śpiewu Sobótki; ale ta parafraza jest chyba ze wszystkich naśladowań tego utworu najsamodzielniejsza i najpiękniejsza. Równocześnie zaś najobszerniejsza. Treścią jej jest to samo, co ostatniej pieśni Sobótki, pochwała wieśnych czasów i pożytków; ale właśnie skutkiem obszerności jest w niej miejsce także i na obrazy przyrody. Stapiają się one nieustannie z tematem głównym, celem ich jest wyłącznie jego podkreślenie, ale równocześnie mogą one stanowić obrazki odrębne:

Siedząc na wysokim brzegu,  
 Kędy rzeka w bystrym biegu  
 Po twardym płynie kamieniu,  
 Rozmyślałem w chłodnym cieniu  
 Twe rozkoszy...  
 Czasem leżę nad potokiem,  
 Pod klonem czasem szerokim,  
 Gdy gorące słońce grzeje,  
 Wietrzyk w cieniu chłodny wieje...  
 Kiedy zima jasne wody  
 Odmieni w nietrwałe lody,  
 A śnieg spuści z nieba biały  
 Na lasy, góry i skały...

W zakończeniu poematu czytamy:

Już cmy gęste nocy wstają,  
 Konie się bystre wpuszczają  
 Słoneczne w głębokie morze:  
 Już wieczorne widać zorze.

W tym obrazie, niewątpliwie pięknym i przez poetę odczuty szczerze, mamy już moment mitologiczny: słoneczne konie. Jest to ożywienie przyrody literackie. Mówiliśmy o niem przy Kochanowskim; widzieliśmy, że ten sposób występuje u Kochanowskiego zupełnie wyjątkowo.

Otóż Zbylitowski należy już do tych poetów późnego Renesansu, którzy mitologią przepełniają swoje utwory. Tak dzieje się w „Drodze do Szwecyi“. Dzieło „poważne“, oficjalne, musiało też być pisane uroczyście, według wszelkich przepisów i kanonów. To też znajdziemy w niej takie obrazy:

Aż potem, gdy z wód Tetys nadobna wyźrzała,  
Ucichły zaraz szturmy i też nawałności,  
Prawie wtenczas, gdy Febus z morskich głębokości  
Wychodził, roztoczywszy swe jasne promienie,  
Pod ziemię zapędziwszy noc i straszne cienie

*(Księga II).*

Udatny Hipperion jasnym z góry okiem  
Wdzięcznie poglądał, kiedy po morzu szerokiem  
Okręty cichym wiatrem od brzegu bieżały,  
A śliczne Nimfy co raz z wody wyglądały:  
Nadobna Cimodoce, i pięknej urody  
Galatea, i Neptun patrzył siwobrody.

*(Tamże).*

Dalecy jesteśmy od odmawiania tym i podobnym obrazom wdzięku i piękna, których ozdoby mitologiczne wcale nie wyłączają — pamiętajmy zresztą, że ludziom wieku XVI mitologia była wogóle czemś bliższem, więcej żywem, aniżeli dla nas. Niemniej jednak nie można nie zauważyć, że gdzie poeta pisze więcej od serca, szczerze, tam mitologii znajdziemy niewiele — gdzie pisze na urząd, tam obficie utwór swój nią ozdabia. Tak jest ze wszystkimi wybitniejszymi poetami polskiego Renesansu, od Kochanowskiego począwszy, skończywszy na Szymonowiczu. Tak też jest i ze Zbylitowskim: Wieśniaka i Żywot pisał dla siebie, więc choć w zupełności mitologii nie mógł się pozbyć, używa jej tu jednak bardzo umiarkowanie i dyskretnie; Drogę do Szwecyi i Epitalamium pisał dla innych, to też obficie ozdabiał je nimfami, bóstwami i t. p.

Grabowieckiego działalność literacka obraca się wyłącznie w zakresie poezji religijnej — nie ma innego motywu w jego „Rymach duchownych“. Pomimo jednak tej jedno-

stronności, jest to poeta jeden ze znakomitszych swego czasu, dzięki niezwykłej sile i potędze uczucia. Jest w jego rymach jakby zapamiętanie się, jakby ekstaza religijna; przytem zaś pod względem technicznym jest jakaś odmienność od innych: tak że wizerunek tego poety staje przed nami w rysach wybitnych i indywidualnych. Głębokie jego odczucie sprawia, że i obok piękności przyrody nie przechodzi obojętnie; religijność zaś jest przyczyną, że wszystkie jego obrazy przyrody są tej myśli podporządkowane. Stąd znajdziemy u niego owe biblijne obrazy kosmosu, obok Kochanowskiego najpiękniejsze w ówczesnej poezji. Oto dwa z tych obrazów dla przykładu.

... Sławiąc, jak przez cię nieba są stworzone,  
 Ich ubiór z gwiazd błyszczących,  
 Że równe łąkom, gdy kwiat zdobi one,  
 A wśród światłem cieszących  
 Z księżycem liczbę żywiołów chodzących,

Jakoś dał słońcu ciepła moc niezmierną,  
 Co żrenicą władnącą,  
 Ojcowską chęcią napełnione, wierną  
 Czyni ziemię rodzącą,  
 Óbfitą i wszech skarbów dającą,  
 Które z twych wiernych wyroków w krąg chodzi  
 Koło ziemskich nizkości,  
 Dzień krótki z zimnem, z ciepłem długi wodzi,  
 Pełne wszelkiej czułości,  
 Warkocze mając z promieńmi jasności, —

I insze chwały, których ty masz więcej,  
 Niż kropł deszcze puszczone,  
 Kwiaty, chwil wdzięcznych dary, zliczy pręcej  
 Od ciebie rozsadzone,  
 Gdy kwiecień w perły strojąc złoci one.

*(Rymy, nr XXXVII).*

Jasne dzienne światłości  
 I chłodne nocne cienie,  
 Imię wszechmocne w pieśniach wystawiajcie!

Równia, pełna wdzięczności,  
 Pagórki, gór wzniesienie,  
 Pola i lasy, chwałę Panu dajcie!  
 Wy, co ziemi dawacie  
 Moc, że kwiat na się biera,  
 Źródła kryształne, czyste,  
 Wody wdzięcznie przeźryste,  
 Chwalcie, co niebo otwarza, zawiera...  
*(Rymy, nr CXC).*

Z obrazów cząstkowych zanotujmy taki n. p. obrazek lata:

...tak, jak w letniej suchości  
 Gdy w kanikule nieba ogień dają,  
 Łąki, role spalone,  
 Że pola swych traw, rzeki wód zbywają.  
*(Rymy, nr LI, w. 25—28).*

Ulubionem jest Grabowieckiemu porównanie duszy tęskniącej i żalostnej do ptaszka:

Tam dusza... do ciebie za tem  
 Stęskni się, jak ptak do gniazda swojego.  
*(Nr XXV ).*

Obacz me serce i żalostci związek  
 Prze grzech często pełniony,  
 Co jak ptak wśród gałązek  
 Narzeka utrapiony,  
 Gdy towarzysza utraci troskliwy.  
 Którego z sobą niesie człek myśliwy.  
*(Nr. CXI, w. 19—24).*

Jak ptaszek rozrzuwniony,  
 Co swoje doległości  
 W krzu, na gałązce, listkiem zastłoniiony  
 Od słonecznej przykrości,  
 Śpiewaniem ciesząc nie chce odmienności.  
*(Nr LVIII, w. 1—5; por. także nr CLVIII,  
 w. 1—5, nr CLXII, w. 26—30).*

Wspomina też (w Epilogu Rymów, zwróconym do Piotra Myszkowskiego) mrówki pracowite i jaskółki:



I jaskółki tak: póki niebo grzeje,  
Póki wesoła ziemia rozkosz dawa,  
Szczebieć w domiach — giną, gdy mróz wieje.

I na roślinność zwraca uwagę:

Jak wdzięcznie kwiat różany wschód słońca rozбивa,  
I, gdy w Ocean wchodzi, listeczki zawija.  
(*Nr XXXV, w. 21—22*).

Tak gdy Skop słońcem bywa ozdobiony,  
Zioła kwiat, drzewa owoc światu dają.  
(*Epilog, w. 49—51*).

Zjawiska światła wogóle Grabowiecki obserwuje i pokazuje stosunkowo bardzo często; fakt ten chciałoby się połączyć z religijnym nastrojem jego poezji, tak samo, jak są z nim w związku owe obrazy całości świata.

Kilka przykładów:

Widzisz, gdy słońce wstawa  
Świat oświecając: noc wilgotne cienie  
Po wszystkich stronach żenie.  
(*Nr XXIV*).

Oświeć, Boże, ciemności,  
Jak słoneczne promienie  
Zganiają przykre cienie,  
Gdy obłoczne czystości  
Przez zachodzący chmur mienią własności.  
(*Nr XXXI*).

Zaczem promień słoneczny, gdy pędzi świtanie.  
(*Nr XCIII, w. 9*).

Gdy uzdy kładą na słoneczne konie  
Godziny, noc skraca  
Świtanie, a po stronie  
Wszelkiej światłem pozłaca  
Niebo i łąkom hojność ozdób wraca.  
(*Nr XCVI, w. 1—5*).

Ogólne wrażenie, jakie odnosimy z poezji Grabowieckiego, będzie takie, że umie on patrzeć na przyrodę i ob-

serwuje ją dobrze, że ją równocześnie żywo odczuwa, ale tak jest cały pochłonięty główną ideą swych rymów, że jakby nie miał czasu zatrzymywać się dłużej przy obrazach przyrody. Stąd najczęściej nakreśli tylko jedno zjawisko, jeden rys, jeden szczegół — bardzo pięknie zresztą i oryginalnie — zaprzagnie je w służbę zasadniczej swojej myśli; nad przyrodą dla niej samej zastanawiać się nie ma zamiaru ani czasu.

U Klonowicza erudycya przygniata poezyę zbyt często; i to ma on na swe usługi nietylko erudycyę filologiczną, mitologiczną (Flis, Żale), ale i prawniczą (Worek Judaszów). Razem siła złego na talent nie pierwszorzędny. Nie ma on też wogóle daru pięknego obrazowania. Ale odczuwanie piękności przyrody było u niego silne i wydobywało się na jaw, możnaby powiedzieć, niemal wbrew jego woli. W Żalach nagrobnych n. p., kiedy w Żalu 1. wzywa całą przyrodę do płaczu, to chociaż gromadzi naraz zbyt wielką ilość motywów, widoczną jest rzeczą, że ich piękno widzi i czuje:

Przeżoż przy niskiej ziemi wznikające ziółka,  
Pisane kwiatki, z których skąpa bierze pszczołka  
Soki wdzięczne na łąkach sarmackich, gdzie przysła  
Biaława, przeciw gruntom Sieciechowym, Wisła,

Płaczcie przebóg i trawy, płaczcie ziemnorodne,  
Płaczcie górne i polne, płaczcie zioła wodne.  
Hyacinthe, żałośniej niż pierwej zakwitaj,  
A płaczliwe litery nam na sobie czytaj.

Lasy czarne i w polach nowo zapuszczone  
Gaje, i wy bezludne i nieosadzone  
Puszcze...

Płaczcie przezroczystych pól łąwate wzory,  
Wiekopamiętne dęby, choinowe bory.  
Płaczcie sosny rzewniwe, miasto łez żywicę  
Lejcie proszę obficie przez martwą żrenicę.

Jeszcze wyraźniej i piękniej objaw ten występuje w Żalu 11, który jest cały rodzajem pejzażu, tła dla grobowca Kochanowskiego:

Bluszczu przebuduj, tu przy tej mogile  
 Cicho wyrastaj, popinaj się mile,  
 Rozkładaj piękne liście, lubuj sobie  
 Przy tym tu grobie.

Powijaj sobą mięśce na wsze strony,  
 Na którym leży mąż nienaganiony.  
 Uwij tu proszę chłodnik samorosły,  
 Wzgórę wyniosły.

A gdy dorosisz, gdy będziesz na dobie,  
 Nie stój jałowo, zawieszaj po sobie  
 Wdzięczne bluszczówki, a niechaj gron wszędzie  
 Obfitość będzie...

Niechże łagodny Zefirus powiewa,  
 A list od słońca niechaj nie omdlewa,  
 Niechaj poszeptem wieje wiatr po nowym  
 Gaju dębowym.

We Flisie nie ma obrazów przyrody we właściwym znaczeniu tego słowa. Dość wyjątkowy jest ustęp, obrazujący życie świata zwierzęcego nad Wisłą:

Skrzydłami płaszą po podniebiu ptacy,  
 Tam bez frasunku i bez wielkiej pracy  
 Już sobie górą, już bujają nisko,  
 Wiatrom igrzysko.

W miękkiej pływają wodzie bez pochyby  
 Morskie potwory i rozliczne ryby,  
 Które na głębi od początku świata  
 Wiodą swe lata.

Tam wodne ptastwo ma swoje noclegi,  
 Przy rogozinie okrywa więc brzegi,  
 A przy sitowiu i przy gęstej trzcinie  
 Ni się przeminie.

Cyranek, łysek, niezliczona tłuszcza  
 Co raz się nurkiem po płocie puszcza,  
 Dłoniatonogie gąski każdą tonią  
 Rybę ugonią.

I czapla chocia nie stawia więcierzy,  
 Kiedy swą brodnią na brzegu rozszerzy

Wyciąga mnóstwo ryb do swojej kuchni,  
Aż niemi cuchnie.

Łakoma kaczka też nieprzyjacielem  
Wielkim jest rybom, z przestronnym gardzielem,  
Bo je więc smyka, nie patrząc i smaku,  
Jako do saku.

Krajobrazów, roztoczonych po obu brzegach Wisły, poeta nasz opisać pięknie nie umie. Ale już zwraca na nie uwagę. Jak wspomniano poprzednio, ze wszystkich ówczesnych relacji podróżniczych Flis jest bądź co bądź najwyższy i najciekawszy — z pewnością więcej, aniżeli opis podróży Radziwiłła do Ziemi świętej, lub Anonima-protestanta i Zbylitowskiego do Szwecyi. Poeta-flisak przypatruje się wszystkiemu, co spotyka po drodze, przypatruje się rzecę, jej brzegom, kępom, wyspom, miastom, wznoszącym się nad Wisłą, przypatruje się oryloom i ich życiu i t. d. Stąd poemat, nieświetnie napisany, staje się dla nas żywym i interesującym; uczone dygresye mitologiczne szybko przechodzimy, a interesujemy się tem, co żywe i prawdziwe. Z tą zaletą Flis był już bliskim tego, żeby nam dać obrazy przyrody — niestety, poeta jego nie był na tyle artystą. Ale jedna rzecz z tego wszystkiego pozostała bardzo widoczną, i stanowi ona (w zakresie naszego tematu) może największy powab poematu. Jest to jakieś bardzo wielkie ożywienie i ukochanie Wisły. Jest to motyw nowy, którego dotąd poezya polska nie miała. To ukochanie i przywiązanie do Wisły jest u Klonowicza tak silne, że usuwa w głąb nawet mitologię i erudycję. Oczywiście w zupełności manieri tej poeta nasz pozbyć się nie mógł, ale nie ma jej właśnie tam, gdzie mówi o Wiśle. Stosunek poety do rzeki jest tu równoznaczny ze stosunkiem do niej prawdziwego, prostego flisaka, oryła. Więc nie ożywia Wisły na sposób klasyczny, nie wprowadza Neptunów z nimfami, któremi tak rzekę naszą zaludnił Zbylitowski, nie personifikuje jej na modłę jakiej klasycznej rzeźby. Personifikacja jest tu szczerą i prawdziwą: rzeka „ostrym pyskiem“

wyryła sobie nowe łożysko; kiedy przestrzega przed niebezpieczeństwami jej, mówi o niej, jak o groźnej jakiej postaci; kiedy mówi o dopływach, to powiada, że Wisła „wypija“ je, n. p.

Na lewo zasię ujrzysz w brzegu dziurę,  
Co nią wypija Wisła gnuśną Bzurę,  
Jak więc wielki smok małego wężyka  
Mknie do piwnika.

Jest to podobne życie się z rzeką, jak u Reja ze światem zwierzęcym, nie ma tylko owej świetnej obserwacji Rejowskiej. Jest to życie się prawdziwe a nie literackie.

Klonowicz jest mieszczaninem, nie szlachcicem. Ale życie jego upływało w dość podobny sposób, jak i ówczesnej szlachty, i jego stosunek do przyrody jest taki sam. Natomiast Szymonowicz, choć uszlachcony i nazwiskiem Bendoński „ozdobiony“, jest mieszczaninem zupełnym. Jest to uczony profesor, w mieście urodzony, wychowany i w mieście działający. Mieszka stale w wielkim mieście; z wsią poznaje się lepiej dopiero podczas wypoczynku wakacyjnego. Otóż jego stosunek do przyrody będzie cokolwiek inny, aniżeli tamtych poetów, przebywających stale na wsi. Szymonowicz pisze, rzecz to charakterystyczna, sielanki. Naturalnie, że gdyby nie było sielank klasycznych, to zapewne i Szymonowicz nie byłby ich pisał; ale nie pisał ich Kochanowski, choć nie gorzej od Szymonowicza znał świat starożytny, nie pisał Zbylitowski ani Klonowicz. Sielanka (o ile jest dziełem poety szczerego, a takim był Szymonowicz) jest objawem pewnego oddalenia się od przyrody i tęsknoty za nią.

Otóż tęsknoty za naturą nie znaleźliśmy dotąd w poezji polskiej XVI wieku — nie było na nią miejsca, skoro ci wszyscy poeci z przyrodą i w przyrodzie żyli. U Szymonowicza natomiast pewien jej odcień jest, co go po trosze zbliża do poetów późniejszych. Nie jest to jeszcze tęsknota uświadomiona (z czym zapewne i lepiej), nie wyraża się nigdy wprost, ale odczuć ją można. Z oddalenia od przyrody wynikają u Szymonowicza także pewne właściwości obrazo-

wania. Więc najpierw ta, że w Sielankach znajdziemy stosunkowo znaczną liczbę pejzaży. Człowiek, który się mniej zżył z przyrodą, zapamięta lepiej jej rysy stałe, aniżeli ruchome. Dalej: w traktowaniu świata zwierzęcego na przykład nie znajdziemy takiej dokładności obserwacji, jak u Reja (a Szymonowicz wogóle obserwować umiał), za to jest pewien rys „sielankowy“, trochę upiększający rzeczywistość, trochę pieszczący możnaby powiedzieć.

Dając dość znaczną ilość pejzaży, Szymonowicz uzupełnia malowanie przyrody przez naszą poezję renesansową. Widzieliśmy, że pejzaż był w niej dotąd prawie rzadkością; nie umiał go pięknie namalować Rej, rzadko malował go Kochanowski. Szymonowicz nie wprowadza rzeczy zupełnie nowej i dotąd nieznannej, ale mało rozwiniętą rozwija na większą skalę, a przez to zasoby poezji polskiej pomnaża.

Cechy pejzażu Szymonowicza zawarunkowane są treścią Sielanek: jest to przedewszystkiem pejzaż „pasterski“.

Spojrzymy najpierw na przykłady.

Kozy, uciесzne kozy! ma trzodo jedyna!  
 Tu kędy to zarosła poziema leszczyna,  
 Tu gryźcie list zielony, gryźcie chróścik młody  
*(Sielanka I, Dafnis).*

Tu lasy, tu po lesiech ptaszkwie śpiewają,  
 Tu łąki, a po łąkach piękne stada grają...  
 Tu jamy mchem odziane, tu deprze, tu cienie,  
 Tu strugi uciekają szemrząc przez kamienie,  
 Tu wyniosłe topole, lipy rozłożyste,  
 Tu jawory, tu dęby stoją wiekuiste.  
*(Tamże).*

Tu wdzięczny cień, tu chłód pod bukami,  
 Tu łąki nieprzezorne okiem, tu wesoły  
 Pozór, tu z pasz do rzeki same idą woły,  
 Tu Pur w brzegach zieloną trzcina otoczonych  
 Dostarcza wód, nawiętszym mrozem niedotkniętych.  
*(VI, Mopsus).*

Pięknie się odziały  
 Drzewa w liście, i góry w koło się rozśmiały,

Po łąkach trawa buja, strugi bieżą żywe,  
 Między bydłem pasą się łanie nieleżliwe.  
 (XIX, *Rocznica*).

Widzimy na tych przykładach, z jakich elementów składa się pejzaż Szymonowicza: las, łąka, rzeka, drzewa — w rozmaitych kombinacjach, ale zawsze tak, że na jego tle musimy sobie wyobrazić pasterzy ze stadami. Jest to oczywiście pewne znów zacieśnienie tematu — u Kochanowskiego tego nie było — ale musiało ono wynikać z treści Sielanek. Że zaś obrazy te tak ściśle z treścią ich się łączą, to znów świadczy o szczerości i naturalności Szymonowicza jako poety i artysty.

Obok pejzażu znajdziemy naturalnie także i obrazy z przeważającymi momentami ruchu. Między nimi jeden z piękniejszych:

Wtem zaczynał (Sylen śpiewać), a Nimfy zewsząd się zbiegały,  
 A niektóre z Faunami taniec gotowały.  
 Zwierz dziki z gór się sypał; las i wielkie sośnie,  
 I cokolwiek bujnego drzewa w boru rośnie,  
 Wierzchami potrząsały, właśnie by rozumne;  
 I wiatrowie ciszyli swoje wiania szumne.

(III, *Selenus*).

Ten obraz zwraca między innymi uwagę i tem, że okraszony jest mitologią. Mitologii Szymonowicz, taki klasyk, używa wogóle hojnie, ale znowu, rzecz ciekawa, kiedy mówi o przyrodzie, kiedy maluje jaki jej obraz, tam nimfy, fauny i t. p. występują w ogóle wyjątkowo. W tem Szymonowicz podobny jest do Kochanowskiego i do całej naszej poezji renesansowej.

Zjawiska światła na niebie w Sielankach przedstawione są kilka razy; n. p.:

Już miesiąc zachodzi,  
 Już pół nocy minęło, już się niebo młodzi  
 Na zorzą.

(VI, *Mopsus*).

Wieczorna gwiazdo! jasnej nocy napiękniesz  
 Ozdobo! cnej Wenery świeco naśliczniesz!  
 Ciemniejszaś ty księżycu, a ile ciemniejsza,  
 Tyle nad insze gwiazdy niebieskie jaśniejsza.

(*Tamże*).

Tutaj należą także apostrofy do słońca w sielance XVIII (Żeńcy), zauważyć tylko można, że z nich obraz właściwie trudno złożyć: poeta słońcem samem się nie zajmuje, przeprowadza nieustannie paralele między niem a starostą, tak, że ostatecznie odnosimy wrażenie raczej jakiegoś gospodarskiego słońca. Co oczywiście nie przeszkadza ustępom i rysem bardzo pięknym:

Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi  
 Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi...  
 Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,  
 Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią...  
 Ty rosę hojną dajesz po rano wstawając,  
 I drugą także dajesz, wieczór zapadając...  
 Ty piękny dzień promieniami swoimi oświecasz,  
 I wzajem księżycowi noc ciemną polecasz.

Przed wschodem słońca:

Kiedy zorza wstawała rano nad górami,  
 A kwiatki perłowemi oblała kroplami...

(*VI, Mopsus*).

Świat zwierzęcy występuje przedewszystkiem w sielance VI i XVII, w obu razach w piosenkach, śpiewanych przez pasterzy, Tytyrusa i Dametasa w pierwszej, Symicha i Sobona w drugiej z tych sielanek. W drugiej (XVII, Pastuszy) znajdujemy dwa najwdzięczniejsze obrazki tego rodzaju, tem wdzięczniejsze, że połączone z wrażeniami wiosny:

Sobon:

Skowroneczku! już śniegi na polach nie leżą,  
 Już do morza rzekami pienistemi bieżą.  
 A tyś rad, i ku niebu wzgóre polatujesz,  
 I gąłeczkiem krzykliwym wdzięcznie przepierujesz,



Bo skoro wiosna role rozległe ogrzeje,  
 Skoro łąki kwiatkami pięknymi odzieje,  
 Wynikną i robaczki z ziemi rozmaite,  
 A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.

Symich:

Jaskółeczko! jużes się na świat ukazała?  
 Jużes ożyła! jużes z wody wyleciała?  
 Za tobą dni wesołe i wietrzyk powiewa,  
 Za tobą i słońeczko cieplejsze dogrzewa.  
 Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,  
 Ty ich będziesz łapała po polach przestronych;  
 Będziesz łapała i do gniazdeczka nosiła,  
 Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Ale przy całym wdzięku tych obrazków widać, że są one już cokolwiek afektowane, już cokolwiek wpadają w nastrój sielanki późniejszej. U Kochanowskiego, a cóż dopiero u Reja, z takim objawem się nie spotkamy. Objaw ten musimy położyć na karb oddalenia się Szymonowicza od przyrody, nie zżycia się z nią tak ściśle, jak u jego poprzedników. Tłumaczenie takie poparte jest faktem, że Szymonowicz wogóle jest bardzo prosty i bardzo naturalny — jedna sielanka za drugą, nawet gdy są pełne mitologii, świadczą o tem. A tylko w tych właśnie obrazkach, o których mówimy, jest pewien pociąg do afektacji.

I w innych jest tak samo.

Przykłady:

Cieliczka mi do sadu przez płot przeskakuje,  
 I kwiateczki mi depce i szczepie mi psuje.  
 (*XVII, Pastuszy*).

Słowiku, mój słowiku! co w tym krzu różanym  
 Od północy mię budzisz swoim głosem ranym,  
 I ty nie z serca śpiewasz, i ciebie coś boli —  
 I ja śpiewam, a rym mój idzie po niewoli.  
 (*Tamże*).

Gąsięta mi po trawie matka paść kazała,  
 Wrona mi niecnotliwa dwoje z nich porwała.

O wrono niecnotliwa! ty masz teraz gody,  
 A ja grzbietem nieboga przypłacę tej szkody.  
 (VI, *Mopsus*).

Kwoczka po brzegu chodzi, kacząta pływają;  
 Kwoczka gdacze, kacząta namniej nie słuchają;  
 A kania co raz z jednym do góry odleci:  
 Tak się i u macochy mają cudze dzieci.  
 (*Tamże*).

Te obrazki (o ile je jeszcze można nazwać obrazkami) służą wszystkim jakiemś celowi, leżącemu po za pięknnością przyrody. Podobnie ma się rzecz z obrazkami ze świata roślinnego:

Piękna jodła na górach, jawor w gęstym boru,  
 Sosna między ogrody, lipa pośród dworu;  
 Ale gdy krasny Dafnis stanie między nami,  
 Wyższy głową nad wszystkie, wyższy ramionami.  
 (VI, *Mopsus*).

Leszczyna bujna w debrze, winograd przy górze,  
 Chmiel przy płocie, sad w równi szczepiony po sznurze;  
 Ale kiedy nadobna Halenka tańczy,  
 Między rówieśnicami wszystkimi przodkuje.  
 (*Tamże*).

Fijołeczek na wiosnę, a gwoździk w jesieni,  
 Róża lecie, ruta się i zimie zieleni;  
 A kiedy się zapalą jagody u Basi,  
 I różę i gwoździki kwiatem swym zagasi.  
 (*Tamże*).

Z objawem podobnym spotkaliśmy się i u Kochanowskiego. Tam jednak są one względnie bardzo rzadkie i łączą się z osobistością samego poety (miłość jego na tle przyrody i t. p.). Większa część obrazów łączy się u niego z faktami, leżącymi po za zakresem właściwej przyrody, ale łączą się równorzędnie, samodzielności swej nie tracąc. Tutaj u Szymonowicza są one nierównorzędne, ale podległe, w stosunku zależności. Pod tym względem znowu Szymonowicz bliżki jest Grabowieckiemu. Tworzą też obydwaj jakby

przejście do epoki następnej, do baroku. Ich stosunek do przyrody nie jest taki prosty i taki naturalny, jak Reja, Kochanowskiego, Klonowicza, już się od niej obydwa nieco oddalają, chociaż jej piękności widzą i czują.

\* \* \*

Na Szymonowiczu kończymy nasz przegląd. Na kilku poetach mogliśmy zaobserwować i studyować bardzo ważny i interesujący objaw ówczesnej kultury polskiej. Zrekapitulujmy sobie w krótkości, co który z tych poetów wniósł do tego prądu i jakie w nim zajął stanowisko.

Rej jest „poprzednikiem“, bez dalszego genetycznego ciągu; ma wszystkie pierwiastki, składające się na malarza przyrody (z tych jeden, zdolność obserwacyjna, rozwinięty bardzo silnie), ale ma jeszcze za mało artyzmu, żeby stworzyć obraz zupełny. To robi Kochanowski, wprowadza przyrodę do poezji polskiej, przedstawia ją pod każdym względem doskonale, i stwarza wzór, wprowadza ciągłość motywu. Szarzyński i Zbylitowski nowych pierwiastków nie przynoszą z sobą, ale raz dany motyw pielęgnują w dalszym ciągu. Grabowiecki jako nowość daje obrazy świetne, Klonowicz wprowadza do poezji rzekę Wisłę. Szymonowicz kultywuje pejzaż i przynosi cokolwiek nowy sposób patrzenia na przyrodę. Wszyscy mają wspólną wrażliwość na piękności natury i zdolność do ich odczuwania. Wszyscy razem z bogacają umysłową kulturę polską ówczesną, wnosząc do niej rys bardzo piękny i bardzo ważny. Świadczą, że ówczesna dusza polska zdolną już jest uczuć więcej złożonych i więcej artystycznych, samo piękno tylko mających na celu. Braki oczywiście tutaj będą. Albo ściślej mówiąc nie braki, skoro nie możemy tu robić porównania z epoką poprzedzającą, ale pewna prymitywność, a w związku z tem pewne ubóstwo; więc n. p. zacieśnienie się do fenomenów, a stosunkowo małe kultywowanie tła, pejzażu; brak rysów więcej indywidualnych w pojedynczych obrazach; nie można też powie-

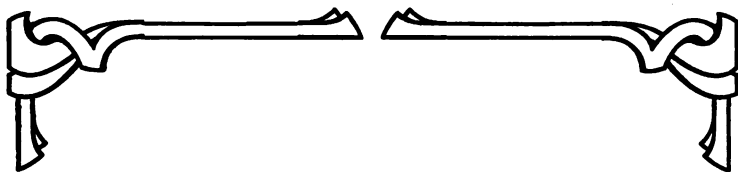
dzieć, żeby poezja polska renesansowa dała zupełne odbicie ówczesnej przyrody polskiej — brak n. p. krajobrazów nizinnych, brak jezior, które w owej epoce stanowiły bardzo wybitną cechę pejzażu polskiego. Ale rzeczą jest jasną, że nie będziemy tej poezji stawiali takich wymagań, które spełniła dopiero poezja XIX wieku. A przeciwnie, z największym naciskiem podkreślimy fakt, że ta poezja, zaledwie się rozpoczynająca, tak wysoko wznieść się potrafiła; że zainicjowała motyw i temat bardzo piękny, który epoki następne dzięki temu dalej mogły rozwijać; że motyw ten wyniosła nie z lektury, nie z książek, ale oryginalnie i samodzielnie z własnej duszy poetów.

To też przyszły historyk kultury polskiej w epoce Odrodzenia faktu tego nie będzie mógł pominąć, ale wyznaczy mu miejsce w rozwoju tej kultury bardzo wysokie.



Krzysztof Opaliński jako statysta





**S**ąd o Opalińskim, autorze satyr, a bohaterze z Ujścia i Beresteczka, skryształizował się dawno w słowach współczesnego wiersza: „może, że źli są wszyscy, aleś ty najgorszy“. Sąd to niewątpliwie słuszny w przeważnej części. To jednakże wcale nie przeszkadza nam przypatrzeć się Satyrom spokojnym i bezstronnym okiem. Odsuńmy na bok osobę autora, zapomnijmy, że wiemy cokolwiek o jego życiu i charakterze, a tem lepiej przypatrzmy się samemu pismu — może ono nam odkryje rzeczy ciekawe i godne uwagi.

Przy tem badaniu pierwszym wrażeniem będzie poczucie pewnej dwoistości. Na pierwszy rzut oka widać w satyrach dwie wybitnie różne od siebie grupy. Pierwszą stanowią satyry, których przedmiotem są stosunki obyczajowe, drugą — materje polityczno-społeczne.

Pierwsza nie wchodzi w zakres naszej pracy, jest zresztą — chociaż ciekawą — mniej ważną i gorszą częścią całego dzieła. Ciekawa, bo mogłaby być cennym świadectwem o stanie obyczajowym ówczesnej Polski, ale tej ceny pozbawił ją sam autor, więc jest mniej ważną. W niej-to Opaliński maluje karykaturę swego wieku, generalizuje pojedyncze wypadki i rozciąga je na cały ogół, wskutek czego z pod jego ręki wychodzi obraz jakiś ohydny, wstrętny a nieprawdziwy. Daleko ciekawsze, a przytem stosunkowo lepiej pisane, rzetelniejsze i prawdziwsze są satyry grupy drugiej, w których Opaliński występuje jako polityk, wykazujący różne braki w ustroju społeczeństwa i państwa polskiego. Grupa pierwsza zawiera wiele „literatury“, t. zn. często kopiuje

i powtarza satyryków starożytnych, nie pytając, czy to odpowiada życiu polskiemu XVII wieku. Grupa druga natomiast wypłynęła w daleko większej mierze z życia, z obserwacji. Te satyry drugiej grupy pokazują, że Opaliński przy innym charakterze, mógłby należeć do bardzo pięknych postaci naszej literatury i historii, te satyry autora swego stawiają w rzędzie lepszych statystów pierwszej połowy XVII wieku.

Oczywiście, aby tego zdania dowieść, należy się satyrom szczegółowo przypatrzeć. Kwestya, jak Opaliński pisze, ma tu mniejszą wagę. Prawda, że satyry są pisane strasznie, aż trudno pojąć, jak w pół wieku po Skardze z takim piśmem można było wystąpić. Wiersz bez rymu (choć Opaliński się chwali, że mógłby rymowi podołać, gdyby chciał), bez rytmu, a raczej z rytmem ciągle kulawym, bez szczypty dowcipu lub humoru, bez prawdziwego i potężnego oburzenia lub gniewu, suchy, prozaiczny nie do zniesienia, — to dowody poetyckiego uzdolnienia naszego satyryka! Wielka szkoda, że „Ikonu“ nie napisał prozą. Niemniej jednak pod chropawą, twardą i nędzną formą mogą się znajdować i w istocie znajdują się myśli bardzo rozumne i bardzo trafne spostrzeżenia.

## I.

Jest tych satyr politycznych kilkanaście; nie ugrupowane według jakiejś myśli przewodniej, w jakimś stałym porządku, jednakże razem obejmują bardzo rozległy zakres. Jest w nich mowa o stosunku wzajemnym szlachty, mieszczaństwa i chłopów; o wychowaniu młodzieży; o skarbie, o wojsku, o wymiarze sprawiedliwości, o formie rządu i t. d. Jednym słowem, poruszonych jest bardzo wiele z tych kwestyi, które razem tworzą fundament i podstawę, a zarazem budowę Rzeczypospolitej.

Wyłączając autora, musimy w naszym przeglądzie ugrupować satyry wedle materyi i w ten sposób rozpatrywać.



Oczywiście w pojedynczych satyrach znajdują się tu i owdzie rzeczy, nie wiążące się ściśle z tym tytułem, które też należałoby może rozpatrywać osobno; ale ostatecznie niema ich tak wiele i tak ważnych, będziemy więc rozpatrywać każdą satyrę z osobna.

„Kto jest prawdziwie wolnym szlachcicem“ (satyra 2 księgi I). Aż do znudzenia powtarzane od stu lub więcej lat frazesy i ogólniki, wyrażone już lepiej przez pisarzy szesnastego wieku; myśli Opalińskiego podajemy tylko dla pełności obrazu. Tedy prawdziwie wolnym szlachcicem jest nie ten, który się urodził z ojca i z matki szlachty starożytnej, który nie mierzy kwartą, ani łokciem, ani zakazanym handlem się nie para; ale ten, który nie podlega żadnym namiętnościom. Namiętności te, które nie pozwalają być prawdziwym szlachcicem, są: chciwość zbioru, delicye i wczasy, miłość i płonna rozkosz, ambicya i łapanie honorów. Wszystko to rzeczy bardzo słuszne, ale nie nowe i nieciekawe. Uderza w nich obok ogólnikowości, filozoficzno-starożytny sposób traktowania sprawy, więcej uwaga jest zwrócona na wolność, aniżeli na szlachectwo. Stąd też mamy pewne prawo przypuszczać tu wpływ starożytny. I rzeczywiście prof. Mandybur wykazał, że satyra ta jest naśladowaniem podobnej treści satyry Persyusza (dr. Tadeusz Mandybur. „Ślady wpływu satyryków rzymskich na polskich“. Sprawozdanie gimn. w Jarosławiu za rok 1888).

Satyra 1, księga V, traktat „O sposobach pomnożenia miast i na nierząd w nich“. Nawiasem mówiąc, bardzo to od satyry dalekie, ale mniejsza o to, skoro jest bardzo ciekawe i pouczające. Wszyscy dziś wiemy i ubolewamy nad tem, że mała ilość miast i upadek tych, które były, były dla nas wielką klęską. Naród rozrzucony po wsiach wielkiej i silnej kultury wytworzyć nie może. Wiek XVI w Polsce na pozór temu zdaniu zaprzecza, ale tylko na pozór. Przedewszystkiem kultura polska wieku XVI nie jest wyłącznie jego własnem dziełem, bo złożyły się na nią wieki

średnie, zwłaszcza wiek XV, i złożyły Włochy; a te ostatnie całą swoją świetność zawdzięczają miastom. Prąd cywilizacyjny, który zapanował w Polsce w epoce Odrodzenia, skupia się głównie w miastach, około dworów biskupich, magnackich i stolicy. Dopiero później życie umysłowe przenosi się na wieś w związku z ogólnym namiętnym zamiłowaniem do pracy na roli, ale też skutkiem tego jałowiej, marniej. Wiele powodów składa się na nasz upadek w wieku XVII i XVIII, ale między nimi jednym z ważniejszych jest upadek miast.

Opaliński zapatruje się na tę sprawę bardzo rozumnie. Uważa on, że Polska przy całej żyzności cierpi przecież niedostatek i ubóstwo, a przyczynę tego widzi w braku i niedostatku miast. Jak temu zaradzić — podaje kilka sposobów.

Jeśli miasto jest w dogodnym położeniu, gdy jest w pobliżu rzeki, portu, gościńca, żyznego kraju, albo gdy miasto jest wesołe i tem ludzi do siebie ściąga, albo jeśli się tam odbywają liczne zgromadzenia, jak jarmarki, trybunały, sejmy — jeśli tam się znajduje dwór królewski: to niechaj pan poda sposobnemu położeniu rękę. Naprzykład jest rzeka: założyć port, budować spichlerze, sposobić dobre i wygodne stanowiska; są jarmarki: naprawiać drogi, jadącym obmyślić obronę i bezpieczeństwo, a w samem mieście wygodę. To jeden sposób pomożenia miastom — jak widzimy, sprawa wyłącznie natury ekonomicznej.

Drugi sposób: pozostawiać miasta przy ich prawach i przywilejach. Tutaj autor wkracza w kwestye społeczne i dotyka punktu, kto wie, czy w tej całej sprawie nie najważniejszego. Albowiem skoro mieszczaństwo zaczęło tracić dawne znaczenie, a za to wzrastało coraz bardziej znaczenie i splendor stanu szlacheckiego, skoro być mieszczaninem nie było już, jak dawniej, zaszczytem, ale owszem do pewnego stopnia poniżeniem, skoro mieszczan odsunięto od pracy około Rzeczypospolitej — nic dziwnego, że miasta zaczęły upadać i pod względem ekonomicznym. Pocóż się trudzić,

robić zachody, pracować, skoro się ciągle będzie w poniżeniu? Więc albo opuszczono ręce i poddawano się losowi, który wiódł do ruiny, albo starano się wcisnąć pomiędzy szlachtę. To drugie było dla miast równie szkodliwe, jak pierwsze, bo nowy szlachcic wszelką łączność z miastem i ze stanem, z którego był wyszedł, zrywał. Tak, czy owak, miasta na tem źle wychodziły.

Opaliński to zło spostrzegł. „Gdyby“ — powiada — „od oppressyjej wolny był stan miejski i od wzgardy, upewniam, nie cisnąby się do tej preeminencyjej szlacheckiej, jak teraz rad nie rad musi. Czemu? uchodząc kontemptów stanu swego-miejskiego“. Żąda tedy, aby prawa i przywileje, miastom nadane, były ściśle zachowywane i szanowane, „aby miasta swój honor, miejsce i poszanowanie miały, aby stan miejski nie był tak wzgardzony“. Miasta powinny mieć prawa szlacheckie, ale nie szczególni obywatele, tylko gminy, korporacje zbiorowe; te powinny „szlachcica *personam* nosić w sobie i reprezentować“, mieć *ius suffragii* i prawo trzymania dóbr ziemskich.

Te dwa sposoby są natury więcej ogólnej, teraz idą szczegółowe.

Pierwszą przyczyną pomnożenia miast jest „*labor cum industria* — rzemiosło z kupiectwem“, czyli w dzisiejszym języku — przemysł i handel. Opaliński podaje środki, które można było podnieść i rozwinąć przemysł i handel; środki te cokolwiek naiwnie obmyślane, mało-gospodarskie, ostatecznie jednak w pewnych warunkach nie najgorsze i mogły się na coś przydać. A naprzód „rzemiosło“ trzeba *promovere* takowym sposobem: Z tych rzeczy, które się rodzą w Polsce, robić rozmaite materye, sprowadziwszy naprzód rzemieślników z obcych krajów. „Naprzykład: wełnę mamy, to z niej robić sukna. Mamy len, to też miejmy w domu wszelkie płótna, nie szukając od obcych. Mamy i żelazo, to też wszystko miejmy, co z żelaza robią. A cudzoziemcom brośmy przywozić tych rzeczy“. Rzemieślników, sprowadzo-

nych z za granicy, osadzić w różnych miejscowościach, a na ćwiczenia do nich oddać swoich Polaków. Wreszcie na towary, które się w domu rodzą, powinna być nałożona cena niższa od zagranicznych, tym sposobem wyrobom obcym zamknie się droga do Polski. To tylko nieszczęście, że rzemieślnik w Polsce nędzny, bo niedbały i wszystek pijaństwu oddany.

„Kupiectwo“ trzeba promować tym kształtem: po pierwsze, cudzoziemcom, którzyby chcieli osiąść w Polsce, nie dać w handlach żadnej wolności, „bo oni *nil patriae conferunt*; zbiorą tu, to w niwecz“; po wtóre, rzeki tak uregulować, aby wszelki towar mógł być wodą spuszczały, co jest łatwiejsze i korzystniejsze, niż ziemią — świadkiem Hollandy. Ta druga rada dobra, ale pierwsza dziwna: Opaliński chciałby do Polski ściągnąć obcych rzemieślników, aleby im nie dozwolił handlować; można powątpiewać, czyby wobec takich widoków znaleźli się ludzie do osiedlenia się w Polsce.

Drugą przyczyną pomnożenia miast jest „*parsimonia*, to jest szczupłe i okrągłe życie“. Następuje traktat o oszczędności, niby filozoficzny; poczem zdania o mieszczanach polskich, że zamożniejsi niszczą się wszelaką wyniosłością, a popólstwo pijaństwem. Otóż przeciw wyniosłości i zbytowi Opaliński radzi ustanowić *leges sumptuarias* — lekarstwo, które jak wiemy, polecają wszyscy statyści, począwszy od starożytnych, aż do naszych w XVII wieku, lekarstwo, które nawet gdyby było zastosowane, nie przyniosłoby uzdrowienia; — przeciw pijaństwu: bronić schadzek i szynków w dni powszednie, tak pijących, jak i szynkujących karząc, a gdyby kto w takie dni ukazał się na ulicy pijany, karać surowo ignominia, w święta zaś wyznaczać na zebrania w gospodach pewne godziny, po których upływie wszyscy mają iść spać i ogień gasić „zwyczajem niemieckim“.

Trzecią przyczyną pomnożenia miast jest dobry i rozumny urząd. W naszych miastach tego nie szukaj: tu niezyczliwość i zdrada i przewrotność, niezgoda, zazdrość, pry-

wata niecnotliwa i brzydkie szarpanie *publici peculii*, stąd też nierząd powszechny i niedostatek, stąd złe mury i złe bruki, złe mosty i złe ratusze, stąd żadna do obrony miasta prowizya, stąd niesposobność do dźwigania ciężarów. Wszystko toby ustało, gdyby radzono o dobru publicznem, razem, mądrze i zgodnie. Prawda, że przeszkadzają temu przeróżne jurysdykcye, którym miasta podlegają: starościńskie, duchowne, szlacheckie; otóż niechby król bronił urzędów miejskich, a potem powagą swą skłonił je do należytego prowadzenia spraw miejskich. Jest też druga klęska nadzwyczaj szkodliwa — to żydzi <sup>1)</sup>; tychby należało z miast chrześcijańskich pousuwać.

Po tych wszystkich radach znajdujemy wyliczenie korzyści, które płyną na Rzpltą z miast dobrych i porządných: ozdoba kraju z miast pięknych i budownych i ludzi tam zrodzonych, którzy przechodzą grube chłopstwo dowcipem i rządem; obrona kraju; wygoda i korzyść dla rolników, którzy łatwo mogą spieniężyć swoje płody rolnicze; znaczne podatki, które z jednego ludnego miasta więcej przynoszą dochodu, niż ze stu wsi lub całego powiatu.

---

<sup>1)</sup> „Antysemitą“ Opaliński jest w wysokim stopniu, tak, że nawet Kazimierza wielkiego nazywa Małym za sprowadzenie żydów do Polski. Oto jego słowa o żydach:

Mogę *per appendicem* przydać tu o żydach, którzy są prawym mólem, nieznacznie niszczącym Miasta, tak we wszelakich towarach, jako i Rzemieślach, w oszukiwaniu, zdradach i wymyślnych Figlach, któż je wypowie albo wypisze? Nieznacznie to łotrostwo chrześcijański naród I tępi, i wyniszcza, oraz do ubóstwa Przywodzi; przez pieniądze przystęp wszędzie mają, Tymi i sprawiedliwość i prawa, i wolność Nas chrześcijanów znoszą. Tymi i sędziogo Przerobią i wszystek świat oraz spraktykują, Tymi i jawną zdradę okryją i ujdą. Zgoła nic po tych molach w chrześcijańskich miastach, Zwłaszcza za tymi, jakie mają wolnościami, od Kazimierza *quondam* Wielkiego tytułem, Małego w samej rzeczy nadane, które im Esterka, położnica królewska, narodu Żydowskiego, zjednała u tegoż to króla.

Jeszcze prośba do króla i do szlachty, aby we własnym interesie starali się o rozwój miast — i na tem kończy się ta satyra, właściwie satyrą wcale nie będąca, tylko „dyskursem“, traktatem o upadku miast i o sposobach ich ratowania.

Do tego samego zakresu należy także satyra 5, księgi I, „na szpitale w Polsce i rzadkie i nieporządne“. Nie potrzeba się tu rozwodzić, jak wielkiej wagi są tego rodzaju zakłady i jak one świadczą o kulturze danego kraju. Na brak szpitali przy wielkiej równocześnie liczbie chorych, kalek i ubogich, skarżą się nasi pisarze już w XVI wieku; w wieku XVII skarży się Starowolski, widzi także ten stan Opaliński. Szpital u niego nie jest jednak przeznaczony wyłącznie dla chorych: zakład taki ma służyć pielgrzymom, więźniom, żołnierzom zranionym na wojnach, nakoniec wszystkim ułomnym i upadłym. Trzeba szpitale zakładać, bo inaczej cóż mają ubodzy począć? muszą radzi nie radzi zbijać, czasem ukraść. Są wprawdzie fałszerze, oszuści, którzy udają kaleki, zwłaszcza po wsiach, opętane od dyabła, bo im się robić nie chce — ale te oszustwa urząd może wykrywać i karać. Z oburzeniem powstaje satyryk na to, że „ubodzy zdychają od nędzy, niedostatku“, a bogaci wolą koszta obracać na zbytki niż na szpitale. „Ubodzy w gnojach leżą, leżą po ulicach, patrzycie na to wszystko i głosy słyszycie, nieba przenikające, a przecię jako on Lewita minął kiedyś człeka zranionego, tak i wy też mijacie tych, co w gnojach leżą“. Podaje przykłady zagranicy: „O jako dobrze, w Niemczech albo Francyi, we Włoszech, w Niderlandzie, gdzie szpitale takie i tak są opatrzone, że lepiej nie mogą. Jeśli wszystek ułomny, ma jeść i pić z gębę. Jeśli ma ręce zdrowe, znajdują mu robotę. Jeśli więc nogi, i te mają swą zabawę. A dostatek wszelaki takim opatrzony“.

Położenie chłopów, w wieku XV pomyślne, później coraz gorsze, w wieku XVII, w czasie, kiedy Opaliński pisał satyry, było już bardzo ciężkie. Na pochwałę naszej litera-

tury politycznej trzeba powiedzieć, że ona już dawno wzięła lud wiejski w obronę, broniła go wytrwale i gorąco, chociaż niestety bezskutecznie.

U Opalińskiego satyra 3, księgi I, „na ciężary i opressyą chłopską w Polsce“, należy do lepszych, znać w niej oburzenie autora na ciężkie krzywdy, które chłopstwo w Polsce musi znosić. Zaczyna się (i kończy) uwagą, że Bóg Polski za nic nie karze więcej, jak za ciężką niewolę i ucisk poddanych — myśl ta sama, która się odzywa w słubach Jana Kazimierza. „Serce się oraz lęka, skóra drży, wspomniawszy na tę niewolę, która cięższa niż pogańska“. Następuje wyliczenie krzywd, które poddani muszą znosić. Naprzód ciężary nieznośne w robocznach: gdzie dawniej bywało dwudziestu kmieci albo więcej, tam teraz ośmiu lub dziesięciu, a muszą zrobić tyle, co dwudziestu przedtem; dawniej z jednego domu wychodził na robotę jeden, potem dwóch, trzech, czterech; dawniej robocznia trwała dwa lub trzy dni w tygodniu, teraz cały tydzień. Następnie wszelakie zdzierstwa: najdzie się chłop bogaty, który ma bydła, owiec i wogóle dobytku niemało, który zebrał grosz jeden i drugi, zaraz go zedrą w ten sposób, że wymyślą jakąś winę i skażą go na karę stu i więcej grzywien, bydło zabiorą do kuchni; jeśli ma rolę lepszą, wyrzuca się go, a w tem miejscu zakłada folwark. Dalej oburzające postępowanie z rzekomymi czarownicami: „Kiedy wiosna nastąpi, a deszcz ustał w maju, czarownice przyczyną. Zdechł wół jeden drugi, albo tam co z przychówków, czarownice winą. Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć, aż ich z piętnaście wyda. Ciągnie kat i pali, aż powie i powoła wszystkie, co ich we wsi. A baba dziw, że pana z panią nie powoła, którychby raczej spalić za to, że niewinnie męczyć i tracić każą swoich bez przyczyny. I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka, a piętnaście pogłowa spala“. Nie trzeba mówić, jacy to sędziowie w takim sądzie zasiadają: ciemni i głupi chłopci, albo też nieraz tacy, którzy mają złość do chłopów; nie trudno więc i o to, że

urzędnik bez śledztwa, bez inkwizycji, każe chłopą obwieścić, o czym nawet pan nie wie. Inny znowu znęca się nad poddanymi: piętnuje, bije do umoru, wtrąca do lochów, różgami każe sieć sędziwych starców. Chłop musi ustawicznie dawać wszystkim: księdzu, rzeczypospolitej, panu, żołnierzowi, urzędnikom, pisarzom, klechom, sługom pańskim, hajdukom i kozakom, dzieciom swym i żonie — „dawać musi ustawnie z ubogiego płachcia“. Te opresye chłopstwa były przyczyną dawniejszych buntów i one też sprowadziły straszne niedawne bunty kozackie i hańbę i zniszczenie.

Satyra na ucisk chłopów jest naprawdę satyrą w rodzaju satyry gniewnej, grzmiącej, satyry Juwenala. Od poprzedniej, dotyczącej losu miast, różni się tem, że rady żadnej nie podaje, nie podaje sposobów, którymiby można uciemiężonemu chłopstwu przyjść w pomoc i ulżyć w złej jego doli. Dopiero w satyrze 8, księgi V, traktującej o zakładaniu swobód na Ukrainie, wyrażone jest życzenie, ale tylko życzenie, jakby być powinno i jakby było lepiej. Powiada tam Opaliński, że starzy Polacy kontentowali się czynszem a spem od poddanych swoich i dodaje: „o jakoby lepiej ten proporcjonalny wybierać od nich, niż mieć intratę podległą *tot casibus*, takiemu staraniu i pracy, niżli lud przymuszoną trapić robocizną i do nędzy przywodzić“.

Teraz idzie sprawa władzy i rządu. Rządem w Polsce był niby król, senat i sejm, w rzeczywistości sejm, kierowany wpływami i sprytem pojedynczych senatorów. Króla władza była bardzo mała, chociaż powaga znaczna. A tych królów drogi nie były zasłane różami. „W historii polskiej“ — mówi ks. Kalinka w przedmowie do drugiego tomu Sejmu czteroletniego — „trudno się obronić od głębokiego współczucia dla naszych królów. Św. Paweł przestrzega narody, aby nie utrudniały rządów swym królom; nie wyjdzie to bowiem wam na korzyść (mówi on), jeśli jęcząc będą wami rządzili. Tymczasem, z małym wyjątkiem, przez trzy wieki



z górą, z piersi naszych królów słysząc przeciągły jęk boleści na widok przeszkód, których przełamać nie byli w stanie, a które im własni stawiali poddani. Nie wyszło to nam na korzyść. Bóg długo cierpliwy, w końcu zesłał nas do twardej szkoły, w której musiały zmienić się role rządzących i rządzonych. Już nie rządzący nami mieli odtąd jęczeć“.

Mało się znajdzie rzeczy w naszej literaturze politycznej, nietylko w wieku XVII, któreby tak mądrze, z takim zrozumieniem, o tej sprawie mówiły, jak Opalińskiego satyra 2, ks. III, „że żaden król Polakom nigdy nie wygodzi“. Przyznaje ona, że w panujących znajdzie się siła defektów, naganie podległych, ale choćby król był najlepszy, choćby z nieba zstąpił, przecież Polakom dogodzić nie potrafi. Polacy źle pojmują wolność, jako możliwość czynienia tego, co się chce; stąd wolność nazywa się: „króla opprimować, szczypać jego postęпки niewinne, szpecić stateczny ku ojczyźnie affekt“. Jakiemiż pobudkami kierują się ci, co tak robią? Odmówi król komu jakiejś rzeczy — zaraz mu trzeba szyć buty, zaraz szlachtę buntować i wzniecać rokosz, choćby się było pominiętym słusznie i choćby się już miało dosyć. Inni jeszcze gorsi, bo obsypani przez króla dobrodziejstwami, odpłacają mu niewdzięcznością; świadkiem przeszły rokosz (Zebrzydowskiego?), w którym najwięcej bili na majestat ci, którzy doznali od niego łaski. Na sejmie stan rycerski stale a bez powodu występuje wrogo przeciw senatowi i przeciw królowi, szkalując ich, ich rady i zamysły; na sejmie „suspicye, przymówki, huki i hałasy“, które zrażają serca królów, jak zraża wogóle taka niewdzięczność za ich koszta, i trudy, i starania. Trzeba postępować inaczej: „zawczasu i przestrzegam, i radzę, inaczej idźmy z naszymi pany, raczej miłość u nich, niż nienawiść jednajmy i kupujmy sobie wzajemną ku nim także miłością“. Inaczej bowiem łatwo się może zdarzyć, że król zbyt przyciśnięty i zniecierpliwiony, zerwie się i wszystkie nasze wolności zniszczy.

Jest inna satyra (s. 3, ks. III), z tą będąca w związku, „na nieporządną *justitiam distributivam*“. Przez dystybutywę rozumie się tu królewskie prawo rozdawania dóbr. Treść satyry jest ta, że dobra koronne dostają się bardzo często nie najgodniejszym, ale tym, którzy mają fawor u dworu; że król w tem rozdawnictwie powinien być bardzo ostrożnym i nagradzać tylko prawdziwie zasłużonych. Innemi słowy: tam mieliśmy satyrę na poddanych, tu na królów, a obydwie słuszne. Bo i królowie u nas wiele się przyczynili do zepsucia narodu przez pobłażanie, przez niekarcenie wad, a przedewszystkiem przez miękkość, przez uleganie złym i zuchwałym. Jednym z objawów tego było niestosowne rozdawanie dóbr koronnych — i Opaliński ma słuszność.

W satyrze 1, księgi III „na *interregnum* i nierząd jego“, wskazuje na straszliwe zamieszanie panujące podczas bezkrólewia. „Chaos czy piekło jakie? *ubi nullus ordo*, a sroga konfuzya; bo Polacy w niczem nie są porządni, tylko w samym nieporządku; ten statecznie trzymają, w nim się kochają“. Kiedy król umrze, jedności trzeba najbardziej, a my wtedy najbardziej się z sobą różnimy, wywlekając na plac prywaty. Sąsiedzi czyhają tylko na nas „w srogiej gotowości“, a my o obronie nie myślimy. Wojsko kwarciane, któreby miało stanowić obronę, powiększa jeszcze niebezpieczeństwo, bo je hetman sprowadza pod Warszawę, aby elekcyę po swej myśli przeprowadzić i od króla, co się da, wytargować. Tak więc królem zostaje ten, którego chce wojsko i kilku magnatów. Ci ostatni prowadzą układy, targują się z kandydatami, a tymczasem szlachetka dyskuruje, rozprawia w Kole, ba i łaje. „A mili chałagowie śmieją się z tych gadek daremnych i pijanych często oracyjej, czyniąc, co sami zechcą“. Jeszcze jeden powód zamieszek: żądania dyssydentów, i te muszą ustać, bo inaczej jedność królestwa może być narażona. Tutaj trafne spostrzeżenie: „niezbędne religie i ich różność w każdym państwie niezgodę

mnoży, bo ten jest geniusz herezyjnej, że nigdy pokoju nie lubi, wojnami a rozruchy karmiąc się i żywiąc“, poczem życzenie, aby w Polsce zapanowała jedność wiary, która będzie podstawą jedności państwa.

O sprawiedliwości i jej wymiarze traktują dwie satyry (7 i 8, ks. III), „o trybunałach i sądach“ i „na chramą albo raczej na martwą praw naszych exekucją“.

Nie masz już na świecie sprawiedliwości, cnoty, poczciwości — skarży się satyra na samym początku — „wstyd, szczerłość, łaskawość odleciały, nakoniec i sama Astraea, którą sprawiedliwością po naszymu zowią“. Jest wprawdzie aż nazbyt grodów, trybunałów, sądów sejmowych i ziemskich, ale sprawiedliwości niema. Bo sprawiedliwość stoi dobrem sumieniem i umiejętnością prawa pospolitego, a tego obojga w naszych sądach brak.

I tak, co się tycze umiejętności: wybiera się na deputatów ludzi, którzy jako żywo nie wiedzą, co prawo; nie patrzy się, czy pan brat bywał gdzie przy sądach, czy w kancelaryi kiedy pisał, czy proces rozumie. Powiadają, że trybunał to szkoła, gdzieby się młodemu ćwiczyć należało, i wysyłają nieumiejętnych tam, gdzie trzeba ludzi starszych, doświadczonych. Wybiera się deputata dlatego, że krewny biskupa albo wojewody, wybiera się go partyjnie, stronniczo.

Starsi — mądrzejsi, ale gorsi; starsi w złość, w zdradę i fałsz. Przekupni — niejednemu jedna kadencya trybunału opłaca się tak, że stanie mu za wioskę, chociaż przysięgał nie brać darów. Tylko rozumu zażyć a worek rozwiązać, to się pewnie sprawę wygra. Gorsze jeszcze dzieją się rzeczy, na co satyryk daje przykład. Miałem raz — powiada — w trybunale sprawę, nie ze wszystkim czystą. Ludzie świadomi praktyk trybunalskich poradzili mi, abym wielom „ręce nasłał“. Uczyniłem, jak mi poradzili. Wtedy oni rzekną: „Mości panie, masz tu panią z sobą, jako baczym nadobną; wiemy tu o takich deputatach, co lubią białą płeć“. Zapro-

siłem deputatów, upoiłem do woli, a żonie kazałem się ustroić. Sprawa przyszła po obiedzie. Zastałem panów jednych pijanych, starszych, drugich młodzików. Starsi sprzyjali mej sprawie, młodzi szli za nimi, i tak wygrałem proces niezupełnie sprawiedliwy. Bez złota, bez gładkiej żony, bez konia, bez dwu kop drzewa, danego jednemu z deputatów, który gdzieś budował dwór dla siebie, pewniebym był tę sprawę przegrał. Takich wypadków — dodaje — jest bardzo wiele, tylko trzeba być hojnym i umieć koło swej rzeczy chodzić. Tak jest w trybunale, podobnie też i w sądach ziemskich i grodzkich.

Ale choć trybunał wyda wyrok słuszny, cóż po tem, skoro nie znajdzie wykonania. Kto mocniejszy, ten lepszy i ten zawsze wygra. Kto bogaty i możny, ten rozkazuje prawu. Na sejmie popiszą praw i konstytucyi, żeby je wozami wozić można, a co z tego? nic. Dobrze jeszcze, jeśli się prawa jedynie nie wykonywa. Ale czasem, ledwo prawo na papierze oschnie, a już czynią wbrew niemu, bez winy i bez kary. To też wolnością nazywa się w Polsce czynić, co się komu podoba, „*licentiam* zowiemy *libertatem*“, gdy tymczasem prawdziwa wolność jest to: „słuchać prawa, słuchać zwyczajów, i chwalebnych, i dawno chowanych, żyć wedle cnoty, Boga we wszem naśladować, każdemu prawo trzymać, nikogo nie krzywdzić, rządowi dobrego słuchać, sobie rozkazywać i swej chciwości, żądom, nałogom i woli; tę pod rozum podbijać i prawo: to wolność prawdziwa“. Taką wolność mają sławni Wenetowie<sup>1)</sup>, my opak, stąd nie mamy prawa i rządu.

Podobną treść, co satyra o trybunałach, tylko na szerszy zakres, ma satyra 3 księgi IV, „na wszechmocne podarki u nas i że tu w Polsce *omnia venalia*“. Wszystko

---

<sup>1)</sup> Charakterystyczna rzecz, że nasi statyści XVII wieku patrzą na Rzeczpospolitą wenecką z pewnego rodzaju podziwem; Starowski nawet widzi w niej niemal ideał państwa i społeczeństwa.

w Polsce jest na sprzedaż, wszystko można kupić: „swobody, honory, dygnitarstwa sprzedajne, sprzedajna i cnota, i wiara, i ojczyzna, i wszystko sprzedajne“. Na dworze: dadzą wakancyą za pieniądze jednemu dzisiaj, dadzą ją nazajutrz drugiemu, jeżeli da więcej czerwonych złotych. Pieniądze mogą więcej, niż marszałkowie, niż pieczętarze. Co robi złoto w trybunałach i wszelakich sądach, pytać tych, którzy wygrywają; jeżeli przyjedziesz z próżnymi rękoma, przegrałeś chudzino! wygrałeś, gdy za ciebie mówi złoto, a jurysta milczy. (Resztę satyry pomijamy, jako dotyczącą już kwestyi wyłącznie obyczajowych).

Satyra „na skarb i nieporządek w nim“ (s. 5, ks. III), jest szczególna przez swą konkluzyę. Narzeka w niej autor, że podskarbiowie okradają skarb, a posłowie przekupieni zatwierdzają na sejmach ich rachunki. Z tego jednak wniosek: zostawić wszystko, jak jest, bo wszelka zmiana będzie jedynie zmianą na gorsze. Konkluzya dosyć dziwna, bo przecież Opaliński mógł wiedzieć, że każda rzecz da się ulepszyć i poprawić, byle się do niej wziąć rozumnie, a desperacya nic nie pomoże i nie wykona. Jest też skarb za mało opracowany w porównaniu z innymi działami. A rzecz nie była zbyt trudną. Miał przecież Opaliński poprzedników na tem polu; każdy statysta poświęcał skarbowi wiele uwagi i rozwagi. Zresztą i samemu Opalińskiemu sprawy te nie były obce: wszak to on na sejmie w r. 1638 „cła ugruntować radził, arendując one *plus offerenti*, sądził też monetę przywieść do dawnej ceny“ (jak świadczy dyaryusz kanclerza Radziwiłła, cytowany u Szajnochy, „Krzysztof Opaliński“, Szkice III).

Wojsku i obronie kraju nasz autor poświęca najwięcej uwagi (ks. III, sat. 4, 6, 9; ks. V, sat. 7, 8). Może zagrała w nim krew ojcowska; może się w synu, który na wojny mało chodził, a gdy chodził, to nie jak żołnierz, odezwał animusz rycerskiego ojca, który jeszcze w starości odbywał wyprawy wojenne. Zresztą w umysłach polskich jest jakiś

silny pociąg, jakieś wrodzone zamiłowanie do żołnierki. Ten popęd pchał wielu na kresy, gdzie mogli wojny zażyć do syta; to zamiłowanie, które jest we wszystkich warstwach, nie tylko w szlachcie, sprawia, że jesteśmy materiałem na żołnierza bardzo dobrym, i tylko fatalność jakaś, jakieś nieszczęście sprawiło, że w przeszłości nie wytworzyliśmy wojska w tej ilości i takiego, jakiego było potrzeba. Że w narodzie był animusz rycerski i była tego świadomość, dowodzą te wspaniałe zwycięstwa XVII wieku, dowodzi literatura, w której o wojsku ciągle się marzy, myśli i mówi, i która nawet maluje ideał prawego rycerza, jakim być powinien.

Ale były też i chwile, w których ten duch widocznie upadał, a zwłaszcza było to w latach, poprzedzających wybuch rebelii kozackiej. Ogarnęła wtedy całą szlachtę powszechna i niezmiernie silna żądza pokoju, żądza używania jego plonów i wczasu, tak, że o nią musiały się rozbić wojownicze zamiary Władysława IV. W ślad zaś za żądzą pokoju musiało przyjść rozluźnienie porządku i karności w tej garstce wojska, które Rzplta posiadała, i na ten objaw zgodnie się uskarżają ówcześni pisarze.

Na zepsowaną militarem disipliną i nierząd wojskowy skarży się też Opaliński. Zastrzega się naprzód, że nie gani dobrych żołnierzy, ani cnego rycerstwa, które jest godne tego tytułu, ale ubolewa, że takich w Polsce niewiele, „pomarli wiadomi wojny i boju ludzie, odważni przywódcy, sprawni regimentarze“. Narzeka na trzy wady, które się w wojsku polskim zakorzeniły: tchórzostwo, połączone z pychą, zdzierstwo i zbytek; zdaleka, w gębie, bardzo mężni, nahajkami Szweda wygnali, przy stole, przy bankiecie wojują nawet Aleksandra; „a gdy trzeba najlepiej za łeb, alic w nogi“. Nie tacy byli dawniej Strusowie, Mieleccy, Gliński, albo Władysław Warneńczyk, Bolesław Krzywousty. „Widzicie co to zacz królowie i mężni; a wy co? Tchórzemście podszyci, uciec, widzę, umiecie, dalej nic“. Nie tak nasi przodkowie: nie pytali się, jaki jest nieprzyja-

ciel, i jak jest silny, ale gdzie, i rwali się nań. „Teraz serca nie pytaj, ani gotowości“. Konie dobre znajdują się, ale tylko dla popisu, ryszunek cały złoty a srebrny, żelaza w nim mało, jakoby strojem, a nie szablą straszyć się dał nieprzyjaciel.

Drugi występek, grasujący w wojsku, to zbytek w stroju, ryszunku, jedzeniu i picciu, zbytek tem gorszy, że pieniądze nań pochodzą ze zdzierstwa. Łupi żołnierz wsi królewskie i księżę, tak, że Tatarzyn więcejby nie splądrował; zniszczą i złupią chłopków do ostatniego, że „krwawe łyżeczą do Boga i wzdychania ubogich chłopków: Boże, nie daj im się zdrowo powrócić, Boże, podaj pohańcowi w ręce dostatki ich, które złupili z nas ubogich, napój krwią ich pola tatarskie, którą w domu przelali niewinnie, okrutnie“. Takie głosy ludzkie przenikają niebiosą i uproszą klęskę i hańbę, stąd przegrana, stąd strach, stąd konfuzya i jakies zapamiętanie, a nakoniec niewola pogańska; bo nie może Pan Bóg błogosławić w wyprawie tym, którzy, idąc na nią, ciężko Go obrażają.

W nieszczęsnych latach, w których Opaliński pisał swoje satyry, niemal wszystko to było prawdą. Potwierdza to cały szereg pism i pisarzy ówczesnych, lepiej od wszystkich Starowolski. Straszną ilustracją do słów Opalińskiego są wojny kozackie, klęska Korsuńska i hańba Pilawiecka. Ale najgorsze jest to, że nikt nie umie zaradzić złemu; wszyscy dają żołnierzom ogólnikowe rady, np. z Pisma św.: *contenti estote stipendiis vestris* i t. p., ale rozwiązania kwestyi nikt podać nie umie. Rzecz nie była trudna: zaspokojenie potrzeb żołnierza i karność. Tylko że te dwie rzeczy, same przez się łatwe do osiągnięcia, płaczą się i łączą tak ściśle z wieloma innymi, że ich osobno załatwić nie było można; trzeba było reformy na większą skalę, a o tę było tak trudno!

Skąd hetmanów brać i jakich? Nie u dworów ich szukać, ale w obozach, a zważać u nich nie na dostatki, ale na cnotę, odwagę, rozum, męstwo i umiejętność, do-

świadczenie i miłość u rycerstwa; gdy się taki znajdzie, a będzie przychudszy pachołkiem, więc go król niech uczyni dostatnym i możnym. Godność hetmańską dawać takim, co lata na wyprawach przepędzili, co wystużyli w polu i na koniu, a nie tym, „co piętą tylko wiercą u dworu“. Dobrzeby też było, aby buława nie zostawała zawsze w jednych rękach, ale, aby ją dawano różnym i w różnych okazyach; jeśli ktoś lepiej zna wojować z Tatarami, zrobić go hetmanem na potrzebę tatarską; inny ze Szwedem: posłać go na Szweda; inny z Turkiem: wyprowadzić go na Turka. Będzie to z podwójną korzyścią, bo większa jest w takim razie możliwość zwycięstwa, a powtórę wszyscy będą się starali odznaczyć, aby tego zaszczytu dostąpić. Jeśli hetman podrwi w wojnie, stawić go pod sąd, niech przypłaci gardłem, albo substancją, tak jak się to dzieje gdzieindziej. Dlatego zaś urząd hetmański zwraca na siebie baczność pisarza, że jest nader ważny, i w wojnie, bo od hetmana w znacznej mierze zależy zwycięstwo, i w pokoju, bo hetman z tą potęgą, którą rozporządza, może zrobić wiele dobrego lub złego, skoro tylko zechce.

Reszta satyr, dotyczących spraw wojskowych, zajmuje się obroną granic. To także jedna z ran w naszym organizmie państwowym, to kwestya, którą się zajmowano od pierwszych lat literatury politycznej, aż do chwili, w której ta obrona (a rozumie się tu wyłącznie obronę od Turków i Tatarów) stała się zbyt ciężką; zajmowano się nią ciągle, nie załatwiono w zupełności nigdy. Usiłowania ku temu były i zupełnie bez obrony wschodnio-południowych krain Rzpltej nie zostawiano; tylko, jak tyle innych spraw, które należało załatwić stanowczo, raz na zawsze, tak i tę spychano, łatanano, załatwiano połowicznie, a nie zdobyto się na akt stanowczy, na jednorazowy większy wysiłek, po którymby za to nastąpił tem pewniejszy spokój.

Na ogołocone ściany w obronę (sat. 6, ks. III).  
Zaczyna się tem spostrzeżeniem, które zrobiło wielu przed



Opalińskim, i wielu po nim, że Polska chyba jakimś cudem stoi dotąd wcale. Widocznie Opatrzność Boża nad Polską, bo ileż to jest tej obrony na granicach? Kilkuset mil broni kilkaset ludzi, a na zjazdy, na sejmy jeden senator przywieździe z sobą czasem trzy tysiące ludzi i więcej. Gdy mowa o podatkach na obronę, to podnosi się krzyk, że wolność na tem cierpi; nie krzyczałby tak jeden i drugi, gdyby mu padło pójść w niewolę pogańską. „A my tam nie żałujemy, gdzie żałować nigdy nie trzeba. Dawno mówią: błogosławiona to kopa, która ochroni, albo też obroni tysiąca jednego. Zawsze my Polacy tej naszej oszczędności na obronę naszą przypłacamy, i miasto jednego tysiąca, dziesięć łożyc musimy“. — Porządku w cekhauzach i w armacie nie pytać; prochy kupuje się wtenczas, kiedy strzelać trzeba. „Jaki rząd dla Boga? Nierządem Polska stoi i nierządem zginie“.

W omawianej już satyrze na interregnum mówi Opaliński także i o obronie granic. Sąsiedzi czuwają na nasz nierząd „w srogiej gotowości“, a my o żadnej pogranicznej obronie nie myślimy. Zamki ledwie, że mamy, a i tak o nie starostowie nie dbają. Taki starosta wał rozrzuci, aby założyć w tem miejscu ogród; dachów zgniłych i innych budynków naprawić nie da; w sklepach prochów nie znajdziesz; w cekhauzie wiszą połcie, a zamiast dział, stoją w bramach wozy, któremi wozi z lasu drzewo; straż na blankach trzyma kilka świń, co wał ryją.

O rozmieszczeniu wojska traktuje satyra 7, księgi V: albo rada o zimowaniu żołnierza i stanowiskach jego, i jaki w tem nieporządek. Zwyczajem naszym polskim radzimy ciągle o sposobie zimowli żołnierskich, i jak dotąd, bez skutku; i nie zdołają nas poruszyć ani zniszczenie kraju, ani łyż ubogich, ani zgubiona przez taki nierząd karność wojska, stąd brak wszelkiej obrony. Niebezpieczna to rzecz, jeśli państwo nie umie utrzymać żołnierza ciężarem jak najmniejszym.

Podaje tedy satyryk sposoby, mające złemu zaradzić.

Wychodzi z tego założenia, że wojsko, przeznaczone na obronę, musi mieć stanowiska na granicach, i tam zimować. Tak bowiem radzi naprzód rozum, potem przykłady wszystkich narodów, nakoniec prawa.

Rozum tego żąda, bo obronę tam należy obracać, gdzie niebezpieczeństwo najbliższe, więc wojsko tam osadzać, gdzie nieprzyjaciel naprzód uderza. Rozum też radzi, by wojsko było na granicach i w pogotowiu, bo wtedy samem przebywaniem może odstraszyć nieprzyjaciela od najazdu: dobrze się on wprzód namyśli, nim na kraj obronny uderzy.

Przykłady wszystkich narodów pokazują, że zawsze na granicach są zamki, obroną opatrzone, i trzymane jest wojsko.

Prawo tego żąda: albo wprost, tak w konstytucjach dwóch poprzednich wieków wyraźnie wojsku nakazano zimować na Ukrainie; albo pośrednio, skoro starostom każe mieszkać na pogranicznych zamkach.

Powinno tedy wojsko zimować w dogodnych miejscach na Ukrainie, podzielone na oddziały. Ale jak to wojsko żywić, i jak tak małą garścią ludzi taki kraj osadzić? I na to znajdzie się rada.

Byłby jeden sposób, bardzo dobry: stacye znieść, a żołnierzowi podnieść żołd (poskromiwszy zarazem zbytek) i z żołdu kazać mu się utrzymać. Ale to się zawieść nie da. Rzplta już się raz na tem oszukała, więc drugi raz na szwank się narazić nie zechce. Trzeba się obejrzeć za czem innym. Oto niechaj żołnierz bierze żołd od Rzpltej, a chleb od tych krajów, gdzie zimuje. Dotąd dawały wojsku „chleb“ dobra koronne i kościelne, w nich to żołnierz wybierał stacye, omijając dobra szlacheckie „dziedziczne“. Opaliński projektuje, aby całe obywatelstwo Podola i Ukrainy dawało wojsku żywność, tak dobra królewskie, jak i prywatne. Obywatele tamtejsi nie powinni by nic mieć przeciwko temu, bo naprzód koszt na wojsko nie będzie tak wielki, jak wiele niszczą

najazdy pogańskie, mniej weźmie żołnierz, niż Tatarzyn, a powtóre, ukraińskie dziedzictwa siedzą na gruntach Rzpltej, więc się za to mogą odpłacić tą przysługą.

Także sposób wybierania stacyi powinien być inny, lepszy od dotychczasowego. Dotychczas żołnierz sam szedł do wsi i tam zapasy zabierał; ile w ten sposób mogło się dziać nadużyć, ile krzywd i swawoli, łatwo pomyśleć. Opałiński chce, aby hetman opisał, ile przypada żywności na konnego żołnierza, ile na pieszego, ile łanów wypada na chorągiew i poczet, ile z łanu, jakiej żywności i tak dalej. Ma to być urządzone tak, aby był i wilk syty, i koza cała, aby żołnierz miał, co mu się należy, a poddani obronę i ochronę. Po owe zapasy pośle hetman jednego towarzysza z drugim, z podpisaną hetmańską ordynacją; ci, albo żywność każą przywieźć, albo, zamiast żywności, mogą wziąć pieniądze, co jest wygodniejsze. Ten sposób wybierania stacyi jest bardzo skuteczny, a nie potrzeba na to nowych uchwał sejmowych i pozwolenia Rzpltej, wystarczy rozporządzenie hetmana.

Jest więc wojsko należycie żywione i utrzymywane. Jego liczba? Gdyby chcieć całą Ukrainę obsadzić żołnierzem, stosownie do jej rozległości, Polskiby nie stało. Trzeba się więc stosować do tych sił i zasobów, którymi Polska może rozporządzać, do zwykłych podatków, które, należycie wybierane, mogą starczyć na utrzymanie sześciu do siedmiu tysięcy ludzi; a taka siła, w połączeniu z milicjami tamtejszych panów, może być już groźną nieprzyjacielowi. To wojsko należy porządnie i odpowiednio porozmieszczać. A więc przedewszystkiem tam, gdzie niebezpieczeństwo największe: na szlakach tatarskich. Niech tylko się chorągwie zanadto nie rozdrabniają, bo lepiej część ściany zostawić nieobsadzoną, a za to w razie potrzeby łatwiej się zebrać w gromadę. Wojsko trzymać w ryzie, w karności, aby między sobą związków i konfederacyi nie czynili i chłopu by nie byli ciężkimi.

Z takowego rozmieszczenia i urządzenia wojska wszelkie spłyną *commoda*: obrona granic, ochrona chłopstwa od wszelkich opresyji, zbogacenie i rozkwit Ukrainy, dla samego żołnierza korzyść, gdy się nie będzie potrzebował ciągnąć za stacyami dziesiątki mil, a dla zarządu wojskowego wygoda, gdy wszystko będzie pod ręką. Największy zaś pożytek — to przywrócenie ducha wojennego, bo żołnierz będzie miał sposobność do dzieł rycerskich, wykorzeni się zbytek, powróci dawny rząd, dawna karność, a z nią też i ojczyzna skołatana przyjdzie do siebie. A potem, gdy się tego wszystkiego dokona, wojna z pogaństwem, wielka, stanowcza, zakończona wypędzeniem i zniesieniem zdradliwego sąsiada.

Niema się co nad tą satyrą rozwodzić, trzeba się na nią pisać aż do szczegółów. Ale jeszcze w wyższym stopniu na następną. Satyra 8, ks. V: albo zdanie i rozsądek o nowych osadach i slobodach ukraińskich jest ze wszystkich może najmądrzejszą, najlepiej świadczy o rozumie autora, i tylko każe ubolewać nad tem, że obok tego rozumu nie było takiej samej prawości, nie było szlachetnego charakteru!

Nowe osady i slobody, to pomnożenie i powiększenie Rzplitej bez przelewu krwi, bez zdobycia żelaza. Tę pożyteczną rzecz wielce dotąd kazyły: nieumiejętność, chciwość i ucisk. Przeto w zakładaniu tych osad musi być pewien porządek opisany i przestrzegany.

Pierwsza rzecz: nie wolno w dzikich polach budować osad ludziom prywatnym, bez danego na to przywileju. Przyczyny są te.

Pierwsza: Grunta tamtejsze albo niczyją są własnością, albo Rzpltej. W pierwszym razie nie godzi się jednemu zabierać tego, co nie jest niczyją własnością, bez zezwolenia wszystkich, bo tem samem zwała się na Rzpltą ciężar obrony i sprowadza zatargi z sąsiadami. W drugim razie, tembardziej bez zezwolenia Rzpltej kolonii zakładać nie wolno.

Druga: Przywilej człowieka prywatnego nie ma tyle mocy, aby zwabić mieszkańców godnych, słusznych, jeno zbieraninę różną, ani tyle potęgi, aby nową osadę obronić.

Trzecia: Z tak lichych osad nie masz dla Rzpltej ani obrony, ani ozdoby.

Wszystko jest inaczej, gdy król powagą swoją nowe osady wznosi i przywileje wystawia. Wtedy i słusność jest po jego stronie, i przywilej jego ma większe znaczenie i dla Rzpltej korzyść i ozdoba większa.

Pozostaje opisać sposoby fundowania i stanowienia nowych osad. Trzy są rzeczy, które tutaj uważać i obmyślić trzeba: miejsce sposobne, mieszkańcy, utrzymanie i rozwój osady.

Miejsce jest najlepsze przy rzekach portowych; więc zakładać kolonię brzegiem Dniepru, Bohu i Dniestru, a grunta w pośrodku leżące dać prywatnym.

Mieszkańców skąd brać? Nie z Ukrainy, bo to na nic jedne osady wyludniać, aby zaludniać drugie. Trzeba zaprowadzić zwyczaj taki, jak u Rzymian, którzy osadzali kolonie wysłużonym żołnierzem albo zbyteczną ludnością. Tęby i u nas można zaprowadzić. W osadach owych nadawać grunta żołnierzom, i to tak swoim, towarzyszą i ich pacholikom, jak i zaciężnym, Niemcom. Na Mazowszu zaś i na Podlasiu jest drobnej, ubogiej szlachty dość; ci ubóstwem albo próżnowaniem giną; tymby wydzielać grunta w nowych osadach.

Aby miasta mogły się rozwijać, potrzeba trzech rzeczy: bezpieczeństwa, swobody, możności wyżywienia się.

Co się tycze bezpieczeństwa: obmyślić w slobodach municyę, choćby małą, ale porządną, „nie tak, jako u nas bywa“, mieć gotowe prochy, kule, lud ćwiczyć, na przedniejszych zaś miejscach porozsadzać praesidia; w razie napadu slobody ostrzegają się płonąciami beczkami smolnemi i kagańcami.

Co do wolności: tę nietylko nadać, ale i statecznie dotrzymać. Bo „nie umie nasza Polska tej sztuki, która,

chcąc nagłego pożytku, zaraz niszczy ludzie ciężarami“. Ta immunitas niech będzie z początku, potem zaprowadzić mały podatek, bo później sam urośnie z dostatkiem mieszkańców; robocizny należy stanowczo zaniechać, a kontentować się, jak dawni Polacy, czynszem i spem.

Trzecia racja do zatrzymania osad i pomnożenia osad, to utrzymanie. To dają te trzy rzeczy: rolnictwo, rzemiosło (= przemysł) i kupiectwo (= handel). Te trzy rzeczy trzeba wszelkimi siłami popierać.

Ale obok uprawy ziemi, trzeba też pamiętać o uprawie dusz ludzkich — myśli, przynosząca zaszczyt Opalińskiemu: w jego czasach niewielu ludzi o tem myślało. Chodzi mu przedewszystkiem o to, aby lud był religijny, bo stąd nie tylko chwała Boża się pomnoży, co powinno być celem każdego pana, ale i obyczaje ludności złagodnieją; stanie się ta ludność spokojniejszą, posłuszniejszą, zatuskni za lepszą kulturą, za oświatą. Religia trzeba aby była jedna we wszystkiej Rusi, aby wykorzenione były znieawidzone nazwy Unitów, Nieunitów, a jedyna grecka wiara, oswobodzona od błędów wszelakich, „zawsze tam zostawała“, co właściwie przez te słowa Opaliński chce powiedzieć, trudno rozstrzygnąć. — Przedewszystkiem jednak trzeba podnieść religijność, uczyć ludność, która nawet sama nie wie w co wierzy. Wiarę katolicką również należy rozszerzać, ale bez sporów i gwałtów. Prócz religii potrzebna jest nauka. Aby tej potrzebie zadość uczynić, należy przy kościołach zakładać szkółki, w którychby uczono czytać, pisać i katechizmu. To mała rzecz, ale „do cnoty, rozsądku i baczenia wielką jest przyczyną“.

Po tym całym projekcie jest jeszcze porównanie tego, co Polska robi dla skolonizowania Ukrainy, z tem, co robią inne państwa dla swoich zamorskich posiadłości. Porównanie wypada na niekorzyść naszą. Hollendrów, Portugalczyków nie odstrasza ogromna odległość, choć tam jazdy cały rok — Polska dla Ukrainy, do której się jedzie dwie nie-

dziele, albo mało co więcej, prawie nic nie robi. To musi się zmienić. Mógłby też i król w tamte strony się wybrać, a z pewnością zachęciłby się do tych planów, i innychby swym przykładem pociągnął.

Do politycznych satyr należałyby jeszcze dwie, tyjące się wychowania młodzieży. Załatwimy się z niemi krótko. Pierwsza (sat. 1, ks. I: na złe ćwiczenie i rozpasaną edukację młodzi) gorszy się takim wychowaniem, które chłopca uczy gnuśności, próżniactwa i wszeteczności, radzi go trzymać krótko, przyzwyczajając do niewczasów, do posłuszeństwa, do bojaźni Bożej i rodziców, w niczem nie pobłażać, nie żałować na nauki. Gdy przyjdzie czas, aby go posłać zagranicę (ks. IV, sat. 9, na posyłanie synów do obcych krajów), wtedy wziąć mu towarzysza zacnego, statecznego i rozumnego, aby z zagranicy przywiózł nie francuskie mody, nie pogardę dla tego, co polskie, ale rozum, naukę i doświadczenie. Potem go posłać do dworu dobrego, albo do wojska. — Obie satyry mają elementu satyrycznego dużo, ironii dosyć, politycznie mniej ciekawe, że jednak wszyscy nasi statyści wychowanie młodzieży zaliczają do materyi politycznych, przeto musieliśmy tutaj i o nich także wspomnieć.

## II.

W szkicu o Opalińskim powiada Szajnocha:

„Psowanie się rzeczy publicznych za czasów Opalińskiego leżało tak jasno na dłoni, że nie potrzeba było osobliwszej przenikliwości, aby dostrzedz śladów zepsucia. Toż wszyscy ludzie światlejsi doskonale je znali i oceniali, i nie masz prawie poważniejszej książki z owego czasu, któraby nie podnosiła skargi w tej mierze. We wszystkich drukach i rękopisach, w pamiętnikach i dziełach moralnych, lub historycznych, wszędzie pełno uzaleń na nierząd w obradach sejmowych i w trybunale, na niedostateczną obronę kraju,

na bezkarną zuchwałość możnych, na wygórowaną wszędzie prywatę“.

Na podstawie tych faktów Szajnocha odmawia Opalińskiemu prawa do jakiegokolwiek większej mądrości, do jakiegokolwiek głębszego zapatrywania się na Rzeczpospolitą.

Czy w istocie tak jest?

Prawdą jest, że w ówczesnych pismach ciągle się spotyka uzalania na rząd, na słabość obrony, na prywatę i t. p. Prawdą jest również, że na to nie potrzeba było ani zbytecznego rozumu, ani zbytecznego serca. Ale niemniej prawdą jest naprzód to, że owe uzalania są bardzo ogólnej natury, odnoszą się do rzeczy najwidoczniejszych, najbardziej wpadających w oczy, a potem to, że one niejako weszły były wówczas w zwyczaj, że w pismach, różne zresztą materye poruszających, musiały się znaleźć, choćby nawet piszący nie zdawał z nich sobie dobrze sprawy. Objaw to nie rzadki u nas, i nie tylko wtedy.

Nie można więc żadną miarą opierać się na tym fakcie i stąd wysnuwać wnioski o Opalińskim. Trzeba się przypatrzeć jego satyrom, może porównać z innymi autorami, a wtedy sąd wypadnie z pewnością inaczej.

Zważmy, jak liczne, jak rozmaite materye Opaliński w satyrach traktuje. Stosunek wzajemny trzech warstw, składających naród: szlachty, mieszczaństwa i chłopstwa, — ściślej mówiąc: dwóch ostatnich do pierwszej; stosunek pomiędzy królem a poddanym; rozdawnictwo dóbr koronnych; bezkrólewie i elekcyja; wymiar sprawiedliwości; skarb; sprawy ekonomiczne: rozwój miast w całej Rzpltej, rozwój nowozakładanych osad na Ukrainie; sprawy wojskowe: dzielność i karność wojska, urząd hetmański, obrona wschodnich granic Rzpltej, rozmieszczenie wojska po leżach zimowych; wreszcie wychowanie młodzieży: — znaczny to poczet spraw, omawianych przez Opalińskiego, a pomiędzy nimi rzeczy pierwszorzędnej doniosłości. Więc i sama liczba kwestyi, które porusza, i niezwykajna ważność niektórych, świadczą



o autorze bardzo dobrze, świadczą, że on się nad sprawami publicznymi zastanawiał głębiej i szczegółowiej i widział lepiej i więcej, aniżeli ludzie zwyczajni.

Opaliński jest przede wszystkim satyrykiem. Jako taki, karci i gromi złe, gdziekolwiek się ono pojawia i pod jakąkolwiek postacią. Ale jakby zaradzić złemu, jakby je naprawić, na to sposobów nie podaje. Tak samo robi w satyrach, dotyczących spraw publicznych. Ukazuje, gdzie jest w budowie Rzpltej rysa; ale nie powiada, jakby ją usunąć. Tak jest w większej części satyr politycznych. Ale nie we wszystkich. Są też i satyry, w których plany naprawy rozwinięte są wcale szczegółowo.

We wzajemnym stosunku trzech warstw narodu Opaliński chce zmiany na lepsze. Miastom żąda przywrócenia ich praw (głosowania, nabywania dóbr ziemskich), ale jako korporacyi nie pojedynczym mieszczanom. Chłopów oczywiście uważa za stworzonych do poddaństwa, jak wogóle wszyscy ówcześni są tego zdania, że szlachta ma nad chłopem rząd i rozkazywanie nadane z nieba. Ale z tem wszystkim dolę jego radby poprawić, żąda ludzkiego i sprawiedliwego obchodzenia się pana z poddanym i zamiany robocizny na czynsz.

Na chlubę naszej literatury politycznej trzeba przyznać, że ona od najdawniejszych czasów gorąco broniła sprawy mieszczaństwa i chłopów; i na tem polu Opaliński staje w jednym rzędzie z tak pięknymi postaciami, jak Modrzewski i Starowolski. Daje dowód wielkiego rozumu, tłumacząc jakie korzyści spływają na państwo i naród z miast budownych i warownych; również bardzo pochlebne świadectwo wystawia sobie żądaniem czynszu zamiast robocizny: wszak upadek polskiego chłopstwa poczyna się z tą chwilą, w której dawny czynsz zamieniono na robociznę. Jednej anomalii nie widzi — przywiązania do gleby; Starowolski np. idzie dalej: żąda dla chłopów wolności przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Słabości władzy królewskiej nie widzi, i fatalnych skutków, wynikających stąd dla potęgi państwa. Zarzutu mu z tego zrobić nie można. Przez cały wiek XVII nie wiem czy się znajdzie u nas kilku ludzi, którzyby to widzieli; w literaturze może jeden autor „Rozmowy plebana z ziemianinem“. Za to z niepospolicie byстрыm darem spostrzegawczym widzi anormalny stosunek poddanych do króla, zasadzający się na tem, że poddani, zamiast miłości i zaufania, otaczają króla niechęcią i nieufnością, na każdym kroku czyniąc mu wstręty i przeszkody.

Mówiąc o elekcji, wskazuje na dwie rzeczy: na nierząd podczas bezkrólewia i na brak wolności w „wolnej“ elekcji. Sposobu naradzenia złemu nie podaje. O usunięciu elekcji prawdopodobnie nawet nigdy nie pomyślał, jako syn swego czasu, wskazuje tylko na jej niedostatki.

Z podobnym objawem spotykamy się w satyrach, mówiących o sprawiedliwości i o skarbie. Narzeka Opaliński na sprzedajność i nieuctwo sędziów, na niewykonywanie praw i wyroków, na sprzedajność w Polsce wogóle, wreszcie na nieporządek w skarbie, ale z tem wszystkim ogranicza się tylko do narzekania. Rzecz naturalna, że to satyrom politycznej wartości nie dodaje. Pisarz polityczny jest czemś na podobieństwo lekarza. Zadaniem jego jest wskazać i chorobę i lekarstwo. Opaliński robi tylko pierwsze, w pół drogi się zatrzymuje. Oczywiście dobre i to, że choć pierwszą część zadania spełnia, ale lepiejby było, gdyby spełniał i drugą.

Najszczegółowiej i najdokładniej Opaliński omawia sprawy ekonomiczne (rozwój miast wogóle, a w szczególności nowych osad na Ukrainie) i wojskowe.

Ekonomiczne poglądy naszego satyryka nie są genialne, ale, bądź co bądź, dobre. Chciałby on rozwinąć polski przemysł i podaje ku temu dwa sposoby; przedewszystkiem popierać wyrób z tych materyałów, które Polska wydaje, na towary zagraniczne nałożyć cła, tak, aby cena wyrobów domowych była niższą od sprowadzanych. W celu podniesienia

przemysłu krajowego należy sprowadzić rzemieślników zagranicznych, osadzić ich w różnych miejscowościach i oddać do nich swoich ludzi na naukę. Handel utrudniać cudzoziemcom, a wszelkimi sposobami ułatwiać swoim.

Uważmy, że Opaliński, jakkolwiek nie genialny, przecież od swych współczesnych stoi nieporównanie wyżej. Właśnie w wieku XVII rozpowszechniło się i ugruntowało takie zdanie, że przedewszystkiem szlachcic powinien swoje produkta jak najdrożej sprzedać, a to czego sam potrzebuje, jak najtaniej kupić. Zdanie, że względu na jednostki, całkiem naturalne, ale doprowadziło do najfatalniejszych i najszkodliwszych wniosków, bo do owej ustawy, znoszącej cło przywozowe, a zaprowadzającej cło na towary wywożone z kraju. Rzecz prosta, że taka ustawa w krótkim czasie zabiła zupełnie przemysł krajowy i zubożyła cały naród, zniszczyła miasta, a tem samem i szlachcie na korzyść nie wyszła, choć się może korzystną wydawała w pierwszej chwili. Opaliński wbrew mniemaniom całego ogółu, stawia zasadę inną, rozumniejszą; i można powiedzieć jedynie rozumną, i w tem jego wyższość nad współczesnymi.

Pomiędzy sprawami wojskowemi Opaliński porusza jedną nadzwyczaj doniosłą: władzy hetmańskiej. Wie on, jak ten urząd jest ważny w pokoju i w wojnie, dlatego chce, aby na hetmanów wybierano zawsze ludzi wojennych (co u nas nie zawsze było), i aby tę godność powierzano nie dożywotnio, lecz aby buława z rąk do rąk przechodziła, stosownie do potrzeby. Opaliński może nawet nie przeczuwał, jak ważną a jak korzystną zmianę chciał wprowadzić. Przez zniesienie dożywotniej władzy hetmańskiej byłaby potęga pojedynczych hetmanów złamaną, a ich sposobność wojenna nicby na tem nie ucierpiała. Łączy się zaś ta sprawa z ogólną dożywotnością urzędów. Gdyby tę zasadę przełamano przy jednym, poszłyby za nim i inne. Wiadomo zaś dzisiaj każdemu i niema w tym względzie dwóch zdań, że niemożność złożenia z urzędu stawała się pobudką do wielu złych czy-

nów przeciwko królowi i państwu, i wiele szkód zrobiła. Zniesienie dożywności byłoby wielkim krokiem naprzód w dążeniu do naprawy Rzpltej.

Wojsko powinno mieć leża na Ukrainie, tam, gdzie niebezpieczeństwo najbliższe. Utrzymanie tego wojska ciężyć ma w części na obywatelstwie tamtych krain, które powinny dawać żywność. Zmienia więc Opaliński dotychczasowy system wybierania stacyi, bardzo uciążliwy i dla wojska i dla ludności, a zaprowadza lepszy. Naprzód ciężar ten wkłada na barki całej ludności południowo-wschodnich krain Rzeczypospolitej, powtóre zaprowadza w wybieraniu stacyi ład i porządek, kładący kres samowoli, zdzierstwom żołnierzy.

Również ład i porządek wprowadza w zakładanie nowych osad i slobód na Ukrainie. Puste pola uważa za własność Rzpltej, która jedna ma prawo wydawać dokumenta i przywileje osadnicze. Mądre też rady podaje w celu założenia i utrzymania tych osad; między innymi jest jedna, niezwykle mądra i piękna: obok uprawy ziemi należy pamiętać i o uprawie dusz ludzkich, o podniesieniu religijności i oświaty ludu.

Pomysły osiedlenia i zaludnienia Ukrainy są w naszej literaturze bardzo częste w XVI i w XVII wieku, ale nie często zdarzy się plan, w tak szczupłych ramach tyle myśli i rad mądrych zawierający. Zwłaszcza zaś na podniesienie zasługuje troskliwość o dobro ludności poddanej: plan Opalińskiego dozwala jej żyć życiem prawdziwym, rozwijać się, nie wegetować tylko.

Widzimy więc, że Opaliński porusza znaczną liczbę kwestyi, że rozwiązuje niektóre w sposób bardzo rozumny, a na inne przynajmniej wskazuje, że w wielu razach stoi wyżej od panujących w jego czasie opinii, że niektóre jego pomysły są niezwykle mądre. Wszystko razem wzięwszy, dojdziemy do przekonania, że chociaż w XVII wieku psowanie się rzeczy publicznych było tak znaczne, iż nie potrzeba było szczególniejszej przenikliwości, aby je zobaczyć; to przecież

Opaliński widzi takie rzeczy, które uszły oku jego współczesnych, widzi bystrzej i przenikliwiej. Wskutek tego należy mu wyznaczyć miejsce pomiędzy mądrzejszymi statystami XVII wieku.

Zresztą możemy i inną drogą dojść do tego rezultatu. Czy Opaliński rozumniejszy jest od innych rozumnych, to pokazać może porównanie. Równocześnie z nim żyje i pisze o tych samych przedmiotach Starowolski. Ten uchodzi za naczelną postać literatury politycznej tego okresu. Czy Opaliński nie mógłby się z nim zmierzyć?

Nie mówię o charakterze: tutaj stają oni naprzeciw siebie, jak dzień i noc, jak światło i ciemność. Obrazą dla Starowolskiego byłoby zestawiać charakter człowieka, który po postępku beresteckim na dobitkę wpuszcza Szwedów do kraju, nie próbując się nawet bronić, z charakterem tego, który królowi tychże Szwedów, w chwili największej jego potęgi, przypomina, że fortuna kołem się toczy, a Bóg miłosierny. Prędzej możnaby porównywać ich sposób pisania, ale i tu Starowolski, choć sam nie pisze świetnie, o całe niebo przewyższa Opalińskiego — wiemy, jak nędznie są pisane satyry.

Co jednak zestawiać możemy, to wartość politycznych, społecznych i ekonomicznych poglądów obu autorów. A tu się pokaże, że Opaliński może stanąć obok Starowolskiego. Ten ostatni pisze daleko więcej, dokładniej, pisze dzieła, wyłącznie reformie Rzpltej poświęcone, więc rzecz naturalna, że poruszy więcej spraw, że pomysły swoje obmyśli lepiej i dokładniej omówi. Ale ostatecznie i Opaliński porusza spraw dosyć, a kilka razy zdarza się, że się zdobędzie na pomysł, którego u Starowolskiego niema.

Kiedy jest mowa o królu, to żaden z nich nie widzi, że królewska władza jest za słaba, że król nie jest rzeczywistym, ale raczej malowanym królem, i że to w ówczesnych warunkach musiało być szkodliwe. Ale Opaliński widzi przynajmniej to, że Polacy temu królowi stale zatruwają życie,

że żaden król Polakom nigdy nie dogodzi, że stają w poprzek jego zamysłom, że go oczerniają, że mu w oczy zuchwastwa mówią; Opalińskiego to gniewa i on przeciw temu występuje. Starowolski o tem nie wie, czy też wie, ale nie mówi. Opaliński ubolewa nad nierzędem, którego widownią jest Polska w czasie bezkrólewia, — Starowolski o tem milczy. Co więcej — Opaliński pisze satyrę i na królów za ich powolność i ustępowanie krzykaczom, za ich miękkość; nie trzeba tego lekceważyć, to świadczy o darze bystrego spostrzegania. Tego u Starowolskiego znowu brak.

Na niewolę chłopską obaj zwracają uwagę, Starowolski lepiej i goręcej, ale obaj dobrze. Obaj też powstają przeciw upośledzeniu stanu mieszczańskiego i chcą podniesienia, wzrostu miast; ale tutaj Opaliński góruje. Bo naprzód przypuszcza miasta do sejmów, czyli choć w części uznaje równorzędność trzeciego stanu z innymi, a nadto jego pomysły, rozwoju miast dotyczące, są skuteczniejsze i bardziej rozwinięte, niż u Starowolskiego.

W traktowaniu spraw skarbowych Starowolski ma niezaprzeczoną wyższość, pomysły bardzo dokładne i rozumne, a między nimi taki, jak żądanie podatku powszechnego od wszystkich; o czemś podobnem u Opalińskiego ani myśleć. Tak samo dokładniejsze i lepsze są rady Starowolskiego, dotyczące wojska i jego karności i fortyfikacyi. Ale za to niema u niego tak ważnej myśli, jak zniesienie dożywotniej władzy hetmańskiej, niewychodzącej z jednych rąk. Na skolonizowanie Ukrainy obaj w równej mierze dają baczenie, ale niema u Starowolskiego tak głębokiej myśli o uprawie dusz ludzkich, z którą się spotykamy w sat. 8, ks. V u Opalińskiego.

Jednem słowem, Opaliński jest od Starowolskiego w pewnych punktach mniej, w innych więcej rozumny. Zważywszy zaś wszystko po jednej i po drugiej stronie, możnaby, nie narażając się na zarzut zbytowego faworyzowania Opalińskiego, postawić obu na mniej więcej jednym poziomie rozumu

i przenikliwości. A w takim razie, przyznając Starowolskiemu rozum większy od współczesnego ogółu, musimy to samo przyznać i Opalińskiemu.

Zaliczają zwykle naszego satyryka do trzeciego okresu literatury polskiej, okresu, przypadającego na lata Jana Kazimierza i Sobieskiego (1648—1696). Takie jednak dzielenie historii umysłowości na okresy, ściśle datami określone, nie zdaje się być słusznym. Opalińskiego satyry wskutek tego liczą się do drugiej połowy XVII wieku, i chronologicznie, kalendarzowo, jest to słuszne. Jednakże wyrosły one na gruncie tych pojęć, przekonań i poglądów, które panują w pierwszej połowie tego wieku. Zwłaszcza widać to na satyrach politycznych, które w zupełności należą do okresu poprzedniego. Literatura polityczna XVII wieku dzieli się na dwa odłamy, zupełnie od siebie różne. W drugiej połowie tego wieku reprezentują ją Fredro i Lubomirski, obrońcy i *liberum veto*, i elekcyi, i nierządu, i słabości Rzpltej; w pierwszej żyją jeszcze tradycje dawne, jeszcze się chce naprawiać, co zepsute, podpierać, co chyli się ku upadkowi. Opaliński, życiem swoim jeden z najgorszych ludzi swego czasu, treścią swych pism należy do lepszych, a satyrami politycznymi do tej grupy statystów, którzy, choć w mądrości ustępują pisarzom XVI wieku, za to idą z nimi w parze co do dobrych zamiarów i miłości ojczyzny. Ta grupa żyje i działa w pierwszej połowie wieku XVII, a tworzą ją Starowolski, Opaliński i najmądrzejszy z nich, autor „Rozmowy plebana z ziemianinem“.

Z tem wszystkim nie możemy pominąć jednej rzeczy — odpowiedzi na pytanie: jak pogodzić satyry z życiem Opalińskiego?

W istocie mamy tu do czynienia z jednym z najdziwniejszych objawów. Bo rozumiem, jeżeli ktoś wypowie jedno, dwa zdania piękne, a sam postępuje inaczej. To się zdarza każdemu. Ale napisać kilkadziesiąt satyr i gromić w nich przywary i błędy społeczeństwa, gromić bardzo su-

rowo i bardzo mądrze, a samemu całym życiem, ale to absolutnie całym, zadawać tym satyrom kłam, zdanie po zdaniu, słowo po słowie, to normalnemu mózgowi wydaje się niepojętem. Co Opaliński sobie myślał, co czuł, pisząc te satyry? Czy jego sumienie było tak przygłuszone, tak zabite, że przeciw temu postępowaniu buntu nie podnosiło? czy można choćby na chwilę przypuścić tutaj dobrą wolę i wiarę? A może właśnie wyrzuty sumienia skłoniły go do napisania satyr? Może, nie chcąc się przyznać do winy i poprawić, wolał rzucić błotem na wszystkich i pocieszać się tem, że i inni są źli, nikczemni, głupi? Problem ten niemożliwy do rozwiązania — gdzie jest prawda, trudno zgadnąć.

Równocześnie zwróćmy uwagę na taki fakt. Życie Opalińskiego było inne, niż jego satyry. Ale stworzenie tych satyr nie było podyktowane bezpośrednim interesem czy powodem osobistym. Znać w nich wprowadzie magnata, który się oddziela od warstwy szlacheckiej, który na nią patrzy nieco z góry. Ale nie można twierdzić, jakoby Opaliński w satyrach bronił interesów magnackich: zgoła nie, przecież są tam i satyry na wielmożów, sprzeciwiających się królom, na magnatów, którzy się bogacili dobrami koronnymi. Jest satyra na królów, więc możnaby mniemać, że tu Opaliński załatwia własne rachunki z Janem Kazimierzem: ale ta satyra należy do najłagodniejszych, nie uderza zresztą wprost w Jana Kazimierza, ani (cokolwiekby sobie satyryk w duszy myślał) ubocznie na niego specjalnie nie wskazuje, jest ogólną. Nie widać po prostu w całym „Ikonie“ animozji czysto osobistych, prywatnych. Sąd jest wymierzony słuszny choć surowy, na wszystkich. Nie można mu podsuwać bezpośrednich powodów niepięknych. Ale wobec tego kontrast słów z całym życiem staje się tem jaskrawszy, i tem trudniejszy do zrozumienia.

Jedna rzecz pozwala nam dziwny ten objaw tłumaczyć nie usprawiedliwiać).



Wiek XVII w historii polskiej to jedno ciągle pasmo sprzeczności. Obok wielkich niezwykłych cnót, występują wtedy u nas i szerzą swą zgubną działalność także wielkie zbrodnie i występki. Obok czynów heroicznych i szlache-tnych — nikczemne. Obok świetnych, niezwykłych zwycięstw — straszne klęski. Obok uszanowania majestatu królewskiego — lekceważenie króla i krzyżowanie jego dobrych zamiarów. Długo dałby się prowadzić podobny przegląd. Do tej samej kategorii należy też objaw sprzeczności między życiem a pismami Opalińskiego. Tym sposobem Opaliński jest dzieckiem swego czasu, ma te same przymioty i właściwości, co jego otoczenie, i może nawet być uważany za typ, za reprezentanta wieku XVII. Tylko że zasadnicze rysy przeszły w przesadę, obraz stał się potwornym, wykrzywioną karykaturą zamiast podobizny, a Opaliński typowym przedstawicielem, ale raczej w kierunku złym, niż dobrym. Nie można całemu wiekowi XVII robić tej krzywdy, aby go utożsamiać z Opalińskim, ale przecież pewne podobieństwo jest, są pewne rysy wspólne, świadczące o pokrewieństwie. Teorya o wpływie środowiska, w którem jednostka żyje, może tu znaleźć pełne zastosowanie.

Tym sposobem tłumaczę sobie niepojęty skądinąd fakt niezwykłej sprzeczności pomiędzy czynami a słowami.





**Program naprawy  
Rzeczypospolitej w XVII wieku**

(Rozmowa plebana z ziemianinem 1641 roku).





roku 1641 wyszła z druku niewielka broszura p. n. „Rozmowa plebana z ziemianinem albo Dyskurs o postanowieniu terażniejszym Rzeczypospolitej y o sposobie zawierania Seymow“, bez podania miejsca lub drukarni. Warto się nad nią zastanowić z dwóch powodów. Naprzód dla niej samej, bo jest to pismo najlepsze w całej polskiej literaturze politycznej XVII wieku; po wtóre dlatego, że za jej autora uchodził dosyć długo Szymon Starowolski. Kto pierwszy wpadł na tę myśl, nie umiem wskazać; zdaje się, że któryś z historyków literatury, znalazłszy u Bentkowskiego tytuł tej broszury, podany (z bardzo zwięzłym i bardzo mylnym sądem: „wiele słów, mało treści“) tuż obok dzieł Starowolskiego, w pośpiechu i to dzieło wziął za utwór naszego polihistora. Mniemanie to przeszło następnie do podręczników i przetrwało do najnowszych czasów. Dawniejsi pisarze, mówiąc o Starowolskim, „Rozmowy“ między jego pracami nie wymieniają; ani Załuski, w „Bibliotece pisarzów polskich“, ani Pruszczyński w „Fortecy duchownej“, ani Niesiecki w „Herbarzu“, chociaż ten ostatni wylicza pism Starowolskiego kilkadziesiąt. Autor „Reformacyi“ zdaniem naszym nie napisał „Rozmowy“, wyszła ona z głowy kogo innego, głębszego i mędrszego.

Dzieli się „Rozmowa“ na dwie części, na dwa dni; w pierwszym — jak to sam tytuł zapowiedział — jest mowa o postanowieniu, to znaczy o urządzeniu Rzeczypospolitej, o konstytucyi; w drugim — o sposobie sejmowania.

Opowiada więc autor, ziemianin, że, wróciwszy z Warszawy, odpoczywał sobie po niewczasach podróży w cieniu drzew („czas był poobiedny, dzień jako to w lipcu gorący“), gdy nawiedził go ksiądz pleban i po przywitaniu się, po powinszowaniu szczęśliwego powrotu, wszedł z nim w rozmowę („jako ja rozumiem rozsądną i baczną“), która warta tego, aby ją spisać i podać uwadze ludzkiej. „Zdarzył Pan Bóg, że cośmy z sobą natenczas mówili, w poczciwym sercu, w życzliwym dobra pospolitego umyśle, w zdrowym a bacznym rozsądku miejsce swoje mieć będzie, i w uwagę pójdzie, i na dobro się ojczyzny obróci“.

Narzekają naprzód obaj rozmawiający na zły sposób sejmowania, ubolewają, że jest to powodem wiela złego, że grozi zgubą polskiej wolności. Ziemianin prosi księdza, aby jako człowiek rozumny podał jakieś na to sposoby. Po pewnym wahaniu się i wymawianiu, pleban zgadza się i obiecuje wykazać, w czym należy sejmowanie poprawić. Ale nie zaczyna od sejmu. Sięga dalej, do przyczyn złego:

„A nie stąd-by też to trzeba zacząć. Boć to złe sejmowanie jest tylko skutek złej przyczyny, której początek stąd, żeście daleko od pierwszego tej Rzeczy Pospolitej postanowienia odstąpili“.

Przodkowie nasi żyli pod królami, których rozkazy były zarazem prawem. Potem z łaskawości królów, czy z nieobaczenia, zyskał stan rycerski pewne swobody, zrazu małe, z czasem coraz większe, aż w końcu doszło do tego, że coby miały trzy stany być równorzędne, albo zgoła stan rycerski niższy, to teraz król i senat mogą tylko potwierdzać uchwały, wydawane przez izbę sejmową, to jest przez stan rycerski. Słowem, doszli posłowie do takiej władzy, jaką mieli w Rzymie trybunowie, którzy zrazu ustanowieni byli jedynie dla ochrony ludu przed krzywdami i nadużyciami, i mieli tylko *ius intercedendi*, potem zaś taką osiągnęli potęgę, że prawa ustanawiali i całą Rzeczpospolitą rządzą. Tak i z naszymi posłami, których władza jest tak wielka, jak

niegdyś trybunów. A ta władza, dawniej może pożyteczna, dziś jest dla Rzeczypospolitej nad wyraz szkodliwa, bo ludzie są stokroć gorsi niż dawniej. Skoro więc Rzplta przez to właśnie została zepsowana, że od dawnego rządu odstąpiła, tak naprawa może być tylko wtedy, gdy do niego powróci:

„Jako zepsowania jej jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, tylko gdy się do niego powróci, to jest pod władzą większą i panowanie królów, którego teraz cień i godność władzy próżna“.

To miejsce jest bardzo ważne, najważniejsze w całej rozmowie. Należałoby się więc zatrzymać przy niem i obszerniej je omówić. Aby jednak toku opowiadania nie przerywać, odłóżmy to sobie do chwili, w której się skończy rozmowa dnia pierwszego.

Na radę plebana odpowiada ziemianin, że lekarstwo gorsze choroby, że to, co pleban zowie naprawą Rzpltej, będzie zgubą jej wolności i swobody. „Nie chcę — woła — nie chcę tej poprawy, wolę zwyczajny nasz nierząd, byle przy wolności“. Rada taka, zdaniem ziemianina, ani postać nie może wśród szlachty, która jarzma i „jugów“ ciężkiego panowania nieświadoma, która skosztowała, jako jest miła i słodka wolność; nie może być mowy o powrocie takiej władzy królewskiej, jak była dawniej; „insze ich (królów) natenczas były *ingenia*, a inszych by się teraz obawiać, gdyby nas osiodłać mieli“.

Na to pleban robi uwagę, że bądź co bądź do takiego wzmocnienia władzy królewskiej przyjść w Polsce powinno, a to dla kilku przyczyn, które rozwija i uzasadnia.

1. Zepsucie powszechne starożytnych dobrych obyczajów. „Co lubo w każdym państwie upadek obiecuje, jednak tam najbardziej szkodzi, gdzie bojaźń i karność miejsca mieć nie może; która przy takiej wolności, gdzie każdy szlachcic na sejmiku, każdy poseł na sejmie ma swoje „Nie pozwa-

lam“, trudno się ma znajdować. Gdyż tam osłabiałe musi być posłuszeństwo, a zatem żadna (zwłaszcza przeciwko potędze prywatnej) praw egzekucya“. A Polska od dawnych obyczajów daleko odstąpiła; zamiast nich panuje teraz pycha i łakomstwo, chciwość, marnotrawstwo i zbytek. Zwłaszcza groźną jest chciwość i zbytek, „bo to oboje gubi państwa i ich upadku nieomylnym jest znakiem“.

2. Aby złe obyczaje poprawić, nie mają wolne państwa innego sposobu, tylko ostrych i surowych praw stanowienie, „które choćby dobrze i krwią pisane były, jednak bez egzekucyj martwe są“. A egzekucja być nie może, tylko w tem państwie, gdzie cnota górę trzyma, gdzie dobrzy tylko rządzą, a źli pod władzą ich być muszą. Gdzie zaś w całej Rzpltej zepsucie, tam próżno wydawać prawa; prawa będą, a bez wykonania, bez posłuchu. Tak w Polsce jest praw dosyć, i nieraz surowe, a trudno o ukaranie występnego, jak prawo żąda. Otóż w tem się Rzplta sama ratować nie może. „Bo jako chory lekarstw nie przyjmuje, że mu się smakiem sprzeciwiają, i raczej tego pragnie, co mu szkodzi, tak R. P. w zepsowaniu swoim egzekucyj praw nie może przyjąć, gdyż zawziętym zwyczajom jest przeciwna. Zaczyn wszystka nadzieja jest w panu. Ten prawa utwierdzić, ten przeciwko nim występnych karać i trzymać złych na wodzy może, byle tylko miał więcej władzy i potęgi, niż mu jej pozwala wolność wasza“.

3. Równość w Polsce nie jest zachowana, bo są ludzie, potęgą swoją innych przewyższający, a to dla wolności niemałym jest niebezpieczeństwem. W innych Rzpltych były ustawy, tej równości przestrzegające; tak było u Lakonów, u Ateńczyków, tak jest u Wenetów. A u nas jest coś podobnego?

„O gdyby przyszło zamierzać kres prywatnej potęgi i tym samym obcinać okazy do fakcji różnych, gdyby *clientium turbam* zniesiono, gdyby *sumptuariae leges* zbytek w nas miarkowały i *modum familiae* naznaczały, gdyby kup



tak wielkich i prawie wojsk chować, fortec i zamków budować nie wolno było, gdyby przyjaźni z panami postronnymi, z posłami ich prywatne porozumienia, karane ostro były, jakoby trwalej i mocniej stać mogła wolność wasza! Ale gdy tego nie masz, obawiać się, aby nie był kto mocniejszy ten lepszy“.

Zwłaszcza w czasie bezkrólewia należy się obawiać jakiego zamachu ze strony kogoś potężnego. Elekcyja niby to wolna, szlachta nazywa się elektorami, a najwięcej podobno jest takich, jak w opactwach mnisi, albo kanonicy w kapitule, którym przepisują, kogo mają wybrać. Tak nie głosy wolnej szlachty, ale fawory możniejszych pana nam podają. „Niechby kto przeczył kreskom potężniejszych, wszak obaczą, jeżeliby *aequalitas* wolnego głosu co pomogła, gdyby przy niej nie była *aequalitas* sił zarównych i potęgi“.

Ażeby więc wolność nie doznała kiedy gwałtownego wstrząśnienia, któreby musiało być bardzo szkodliwe, lepiej ją zawczasu nieco ograniczyć.

4. Rada dobra i rząd mogą być w Rzpltej tylko za uchwałą sejmową. A tem się znosi dwie rzeczy, do rady dobrej i bezpieczeństwa Rzpltej konieczne: szybkość i tajność. Jeżeli nieprzyjaciel wtargnie do kraju, co za sposób ratunku? Jeżeli król i hetman zbiorą co prędzej wojsko i pójdą na nieprzyjaciela, to wykroczą przeciwko wyraźnemu prawu; jeżeli czekać będą uchwały sejmowej, podadzą Rzpltą w niebezpieczeństwo. Na to nie ma innej rady, jak pozwolenie królowi i radzie, przy nim będącej, większej władzy. Co innego w innych państwach wolnych, bo tam zawsze sejm i rada, jak u Rzymian, u Wenetów i Holendrów. W Polsce szerokość państwa i nie tak rychłe sejmowanie nie pozwoli tej prędkości. A co się tajności obrad tyczy, tej także u nas nie masz, skoro poselska i senatorska izba wszystkim są otwarte i nic utaić nie mogą.

5. Wolność głosu, na której się zasadzają wszystkie swobody, tem samem trwać nie może, że się sama znosi,

bo dla jednego wolność, a dla stu innych niewola. „Wolność jest w niewoli u siebie i sama sobie gwałt czyni, gdy dla jednego przeczącego zgoda wszystkich rozrywać się musi... A gdy w rozróżnieniu sentencyj (o co między wami łącniej niż o zgodę) przystąpi albo głupi albo zły i przewrotny upór, który żadnym racyom ustąpić nie będzie chciał, przyznać mi to każdy musi, że albo dobro R. P. szwankować będzie, albo ta, którą się szczycicie, głosu wolność“.

To są racye, które przytacza pleban na poparcie swego zdania. Ale nie jest on wcale zwolennikiem absolutyzmu; nie uwielbia tego zdania, że wola panującego jest prawem, albo że panującego prawa nie obowiązują. Przestrzega tylko, że tłumaczenie praw poddanym samym nie należy, a ludzie dobry poddaństwa sobie nie przykrzą, bo sami dobrowolnie czynią, co po nich powinność wyciąga.

Ale na pomysły i racye plebana ma też i ziemianin swoje. On wprowadzie sam tę rozmowę zaczął, sam ją skierował na tory dyskursu politycznego, i sam nakłonił plebana aby wypowiedział swoje zdanie co do postanowienia Rzpltej i jakichby trzeba środków ratunku. Ale kiedy mu pleban te środki wyłożył, nie chce ich przyjąć, broni się przeciwko nim bardzo gwałtownie. W tem podobny jest do całej masy ówczesnej szlachty. Z małymi wyjątkami są to ludzie bardzo dobrzy i zacni, o dobro pospolite troskliwi, nawet nieraz trafnie spostrzegający, w czem Rzplta szwankuje; ale tak się w swoich mniemaniach uparli, tak nie mają siły wyjść z tego ciasnego koła, które sobie sami zakreślili, tak przytem naiwnie egoistyczni, że stanowczo odrzucają myśl jakiegokolwiek poprawy, złączonej z najdrobniejszym uszczupleniem ich mniemanych wolności. Tak i nasz ziemianin. Ksiądz go zastaje smutnym, a smutek ten nie skądinąd pochodzi, jak z troski o pospolite dobro; widzi on złe w Rzpltej i niebezpieczeństwa, które jej z tego powodu grożą, chce naprawy. Ale skoro tylko posłyszał, że zbytńia wolność musi być ukrócona, broni się przeciwko temu wszystkimi siłami.

Ziemiańin widzi bardzo dobrze „w ojczyźnie naszej starożytnych a świątobliwych obyczajów odmianę, dobrych praw osłabiają albo żadną egzekucją, rząd zły, radę zepsowaną, co wszystko *corruptissimam Rempublicam* pokazuje i niezbyt daleką od upadku swego“, jednak sądzi, że naprawa może się obejść bez tak wielkiej przemiany. Robi plebanowi wymówkę, że jego dyskurs był raczej utopijny i akademiczny, a nie przystosowany do tego, co być może, do stosunków rzeczywistych. Stawia zaś inną zasadę:

„To baczna, to rozsądna rada, kontentować się takim postanowieniem ojczyzny, jakies zastał, a o to się starać wszystkimi siłami, abys także podał potomności“.

Taką postawiwszy zasadę (która byłaby dobrą, gdyby postanowienie, jakie się zastaje, było dobre), tłumaczy, że odmiana Rzpltej ani jest podobna ani potrzebna. Że niepodobna, to tłumaczy dwoma powodami: naturą wolności, która munsztuku nie znosi, a gdy się go jej chce nałożyć, wtedy rośnie w niej upór, i usposobieniem królów, którzy, mając cokolwiek silniejszą władzę, zaraz by dążyli i doszli do *absolutum dominium*. Jest też ta odmiana niepotrzebna, bo królowie polscy mają na tyle władzy i powagi, że byleby chcieli, to dobry rząd zaprowadzić mogą bez naruszenia wolności.

W ten sposób plebana zbiwszy z toru, prosi go, aby wrócił do zaczętej materyi, to jest do rozważania, jakby należało poprawić sejmowanie. I tę rozmowę odkładają do dnia następnego.

Mówiliśmy poprzednio, że miejsce, w którym pleban mówi o wzmocnieniu władzy królewskiej, jest w całym dziele najważniejsze. Najważniejsze dlatego, że myśl tam poruszona jest niesłychanie doniosła, dla dziejów Rzpltej nadzwyczaj ważna. Rozstrzyga też o wartości naszego pisma i stawia je na czele całej literatury politycznej od Skargi aż do Leszczyńskiego. Wzmocnienie władzy królewskiej byłoby może samo nie naprawiło wszystkiego złego, które już wówczas tkwiło w organizmie Rzpltej, ale w każdym razie byłoby ie-

dnym z najważniejszych i najskuteczniejszych środków poprawy. Była jedna rzecz szczególna w naszym organizmie politycznym, to mianowicie, że przy wielkich jego ułomnościach mała naprawa, mała reforma już bardzo wiele dobrego zrobić mogła; świadkiem choćby okres pomiędzy pierwszym a drugim rozbiorem, kiedy to pewne reformy, niezbyt znaczne, ogromnie wiele sprawiły dobrego. Jednym z takich niewielkich i łatwych, a w rzeczywistości nadzwyczaj skutecznych środków poprawy było wzmocnienie władzy królewskiej. Przy przeprowadzeniu przedsięwzięcie takie najmniej przedstawiało trudności; o jego skuteczności dzisiaj nikt nie wątpi. Ale i dawniej byli ludzie, którzy o tem wiedzieli. Skarga przestrzegał przed robieniem w Polsce rządów weneckich, jeśli się nie ma weneckich rozumów; w wieku XVIII Staszic i Kołłątaj, chociaż obydwaj raczej republikanie, przecież dla Polski chcieli silniejszej władzy królewskiej. Więc czemuż ta myśl nie weszła w życie?

Opinia szlachecka i w wieku XVII i przedtem i potem była nadzwyczaj surowa dla tych, którzy ważyli się w jakikolwiek sposób występować przeciwko panującym teoryom o wolności. Górnicki bał się wydać swoją „Rozmowę o elekcyi“, choć to było jeszcze w wieku XVI, gdzie rzecz taka łatwiej mogła ująć bezkarnie; za książki nienawistne szlachcie drukarze i księgarze dostawali się do więzień; w wieku XVIII Jabłonowski gorzko pokutuje za to, że szlachcie powiedział parę słów prawdy. A ta opinia szlachecka, zupełnie tak samo jak dzisiaj tak zwana opinia publiczna, mądrością nie grzeszy; jeśli szlachta raz sobie powiedziała, że jakikolwiek wzmocnienie władzy królewskiej będzie zgubą wolności, doprowadzi do *absolutum dominium*, to już tej myśli nie poddaje krytyce, już się ona stała dogmatem, przeciw któremu występować jest zbrodnią.

Otóż kto w takich warunkach ma swoje własne zdanie, odmienne od mniemania ogółu, i z tem zdaniem występuje, daje dowód wielkiej odwagi.

Daje też dowód niemałego rozumu. Jeżeli w społeczeństwie jakimś panują zapatrywania, które niemal wszyscy podzielają, to jest niezmiernie trudną rzeczą wydostać się z pod wpływu tych pojęć. Autor „Rozmowy“ pobiera pierwsze nauki w domu, w kraju, i tu na wszystkie strony słyszy hymny pochwalne na cześć złotej wolności, widzi odrazę, jaką powszechnie wywołuje widmo władzy i rządu; pod tymi wpływami rozwija się jego umysł i kształci rozum. Z początku z pewnością ma on takie same zapatrywania. Dopiero później, przypadając się Rzpltej i jej sprawom, czytając wiele, myśląc i rozważając, dochodzi do przekonania innego. W XVI albo XVIII wieku do tego dojść łatwiej; w pierwszym razie tradycja dawnej potęgi i powagi króla jest świeższą, więcej żywotną; w drugim znowu osłabienie i nierząd w Rzpltej są tak wielkie, że trzeba na gwałt szukać lekarstwa. W wieku XVII niema ani jednego, ani drugiego, zwłaszcza w jego pierwszej połowie, świetnej i pełnej blasku. Aby więc ktoś mógł wpaść na pomysł wzmocnienia monarchii właśnie w tej epoce, musiał mieć niemały rozum i tęgą, myślącą głowę. Oczywiście nie trzeba od naszego autora wymagać, aby wyłącznie sam własnymi siłami do takiego rezultatu dochodził. Widać u niego wielki wpływ lektury. Z polskich autorów mógł go natchnąć chyba Skarga, zwłaszcza kazaniem o monarchii i królestwie, ale autor „Rozmowy“, chociaż cytuje bardzo wielu pisarzy, o Skardze nigdzie nie wspomina. Mamy za to inne źródło. Jest w tem dziele pomiędzy cytatami niemal wyłącznie z autorów łacińskich kilka zdań z Macchiavella, wyjętych i zastosowanych nadzwyczaj trafnie, co dowodzi, że nasz autor rozczytywał się w autorze „Księcia“, a chociaż go nazywa bezbożnym, jednak widać, że w gruncie rzeczy jest dla niego z ogromnym podziwem; to wskazuje, że od niego a nie skądinąd pochodzi główna myśl „Rozmowy“.

Uzasadnienie tej głównej myśli jest trochę bałamutne. Autor nasz pisarzem tegim nie jest; pod tym względem chwa-

lic go nie ma za co. Jest rozwlekły, sady się na porównania, i ciągle cytuje — prawie wyłącznie po łacinie; popiera swoją rzecz przykładami z historii w sposób wprost nużący; dodajmy, że czasem mówi szeroko i długo o niczem (tak cały wstęp do „Rozmowy“), że czasem rzecz z natury swojej jasną i zrozumiałą zaciemnia: a otrzymamy obraz pisarza nie najlepszej miary i jakości. I to z pewnością dzieło jego bardzo szkodzi; i Bentkowski miał słuszość, kiedy narzekał na wielość słów. Ale za to treść jest znakomita. Jest nasz autor politykiem niepospolitym. W tem uzasadnieniu głównej myśli — samej przez się już niezwyklej — widać umysł wytrawny, dobrze się zastanawiający, nadzwyczaj rozwinięty zmysł spostrzegawczy i znakomitą znajomość spraw rządu, społeczeństwa, natury ludzkiej w ogólności a w szczególności polskiej. Posiada nasz autor ten główny przymiot dobrego polityka: umie wskazać, jaka i gdzie jest przyczyna złego, jakich należy użyć środków i dlaczego w danym wypadku tych a nie innych. Jako pisarz nie zawsze dobrze wyrazi to, co chce powiedzieć jako polityk; ale odrzucić te zbędne dodatki, balast cytat i przykładów, odrzucić co rzecz całą gmatwa, a otrzyma się czyste złoto. Na każdej stronie pisma znajdują się głębokie myśli i uwagi, które świadczą o umyśle niepospolitym, i każą autora „Rozmowy“ uważać za pierwszego pisarza politycznego w tym okresie.

Ale na nasze nieszczęście, był on na swoje czasy za wielki. Już polska społeczność racji jego nie rozumiała, bo na oczach miała zasłony ze swoich formułek i doktryn, które jej zasłaniały prawdziwą postać rzeczy; zrozumieć nie mogła i nie chciała. Pleban ze swoimi pomysłami nie zrobi nic, musi ustąpić. W obu tych rzeczach, i w swej mądrości, i w losie, który go spotyka, jest on wyobrazicielem tego ruchu i tego kierunku, który w literaturze wydał Modrzewskiego, Skargę, Starowolskiego, Leszczyńskiego, a w historii Zygmunta Augusta, Batorego, Władysława IV, Ossolińskiego, Czartoryskich, i tylu innych; kierunku, który oddawna chce

naprawy Rzpltej i ile w jego siłach do tej naprawy dąży, ale niestety udaje się mu to rzadko. Przeciw kierunkowi dobremu staje zły, na chęć reformy odpowiada się warcholstwem i zrywaniem sejmów, przeciw Batoremu stają Zborowscy, przeciw Czartoryskim Radziwiłł, przeciw nielicznej garstce rozumnych i o dobro Rzpltej naprawdę troskliwych staje ogromna masa szlachecka, zacna niewątpliwie i z dobrimi chęciami, ale zaślepiona, ciemna, do złotych swobód wzwycajona, staje zastęp potężnych magnatów, kierowanych pychą, egoizmem i prywatą. Przeciw plebanowi staje ziemianin. A argumenta jego tak słabe, tak nie wytrzymują krytyki, że doprawdy dziwić się trzeba, czemu pleban na nie nie odpowiada, nie zbija ich, ale owszem uznaje się za pokonanego. Argumenta błahe, a czasem dla nas przykre. Przykre, kiedy ziemianin mówi:

„Rzeczpospolita nasza żadną miarą nie da się do tego przywieść (chyba strzeż Boże mocą i potęgą), aby w swobodach swych jakie ubliżenie, choćby dobrze dla jakiego *in publicum* pożytku ponosić miała“.

Więc choćby to było z pożytkiem pospolitym, my z wolności swoich nic nie ustąpimy; wolimy widzieć publiczny nierząd, niż w prywatnej wolności odmianę! Albo przykre jest, gdy o królach naszych powiada, że mają w rękach swych dosyć władzy, aby Rzpltą dobrze rządzić, byle tej władzy nie nadużywali, byle nie przestępowali prawa, byle występnych swą powagą nie ochraniali!

„Rzeczpospolita ma głowę i pana, a tam już bez zamieszania żadnego i odmiany poprawa skuteczna być może, ilekroć się do tego pan szczyrą dobra pospolitego życzością przyłoży... Ma potęgę dosyć do sprawowania państwa i czynienia rządu ta najwyższa godność królów panów naszych, byle tylko umieli *res dissociabiles* mieszać i łączyć z sobą, to jest *libertatem et principatum*; byle się kochali tak w Rzeczypospolitej jako w swoim własnym państwie i dobro jej jako swoje własne obmyślawali... Utwierdzić (król)

onę (R. P.) może, a to bez żadnego swej władze przyczynienia, ma jej i tak w tej mierze dosyć, byle jej chciał dobrze zażyć, byle pobożaniem i przebaczeniem *non patiatur hebescere aciem suae auctoritatis*, byle tylko egzekucyjej praw pozwolił, albo jej nie przeszkadzał, byle występnych przeciwko publicznym ustawom swą powagą nie okrywał ani bronił; ale raczej to pokazał, że ma dobro państwa powierzonego w sercu, i że na tych, którzy przeciwko niemu wykraczają, surowym okiem patrzy“.

Jeśli się przypomni, że pomiędzy naszymi królami wyjątkiem jest taki, któryby więcej dbał o swoje niż o pospolite dobro, że dał nam Bóg za panujących ludzi nieraz znacznych, rozumnych, o Rzpłtą troskliwych, a że tej troskliwości sami poddani kładli się tamą, że ich usiłowania paraliżowali, to słowa powyższe wydadzą się i niesprawiedliwością i przedewszystkiem wielką, brzydką niewdzięcznością.

Ale ci dwaj ludzie z naszej „Rozmowy“, pleban i ziemianin, wyobrażają jeszcze coś więcej, mianowicie dwa stulecia, dwie epoki. Pleban wyobraża wiek XVI, czas rozbuźzonego i bujnego ruchu umysłowego; ruch ten udziela się życiu ówczesnego społeczeństwa na wszystkich polach, we wszystkich kierunkach, więc i w polityce. Wiek XVI podnosi hasło naprawy Rzpłtej, gruntownej i całkowitej; hasło zjawia się równocześnie i w teorii, w literaturze, i w praktyce, na sejmach. Ale dążenie to, tak z początku silne i zdrowe, wskutek różnych wpływów schodzi nieco na manowce, zamiast silnego i zdrowego organizmu stwarza artykuły Henrycjańskie; dążenie nie urzeczywistniło się w zupełności, dzieła dokonano połowicznie. Tę połowiczność ludzie widzą, starają się ją usunąć, ale już zapóźno — konstytucya polska pozostaje bez zmiany. Wiek XVII, zastawszy ją, już jej w podstawach zmieniać nie może, i powiedzmy — nie chce, zwraca uwagę na rzeczy raczej dodatkowe, chociaż swoją drogą bardzo ważne. W wieku XVI rozprawia się o rzeczach zasadniczych, jaki ma być wzajemny stosunek różnych warstw



narodu, jaki między królem a poddanymi, kto ma mieć władzę prawodawczą, i t. p.; nie spuszcza się naturalnie z oka spraw mniejszej wagi. Wiek następny do podstaw nie sięga, rezygnuje z tego wysokiego stanowiska; horyzontów tak obszernych jak poprzedni nie obejmuje. Za to podejmuje te sprawy mniejsze, jak administrację, urządzenie wojska, porządek sejmowania, skarb, i inne. Rzeczy to bardzo ważne, to prawda, ale do ich ocenienia i uporządkowania nie trzeba już rozumu tak wielkiego, jak do tamtych. W naszej „Rozmowie“ pleban porusza myśli pierwszorzędnej wagi, ziemianin jednak nietylko za nim tam nie podąża, ale owszem jego do siebie ściąga. I w tej właśnie rezygnacji plebana jest podobieństwo do całego wieku XVII, który już musi ratować szczegóły, bo na radykalną, gruntowną zmianę nie ma już ani rozumu, ani sił, ani czasu.

Rozmowa drugiego dnia toczy się około sejmowania. Ziemianin prosi plebana, aby opowiedział, co o tem myśli, i jakieby podał sposoby do naprawy porządku sejmowego, ale z góry sobie zastrzega, ażeby zbytńich zmian nie robił, bo inaczej cały projekt na nic. Pleban wprawdzie czuje, że trzeba by całą rzecz zupełnie przeistoczyć, ale ustępuje ziemianinowi i dyskurs swój rozpoczyna.

Dwie widzi najważniejsze przyczyny, które zatrudniają konkluzye izby poselskiej. Pierwsza to brak prawem dostatecznie opisanego albo zwyczajem doskonale utwierdzonego porządku obrad, czyli w dzisiejszym języku — brak regulaminu; druga, złe afekta posłów, wchodzących do sejmu.

Początek pierwszego złego widzi pleban w historii polskiego sejmu. Albowiem posłowie stanu rycerskiego nie byli początkowo przypuszczeni do rady z takim znaczeniem, jakie mają dzisiaj; te prawa zdobywali sobie pomału, stopniowo, stąd dzisiaj, kiedy je posiadają w pełnej mierze, nie wiedzą, w jakim porządku je wykonywać! Wszystkie wolne narody miały dokładnie opisane, w jakim porządku i nad czem mają obradować; tak dawniej Ateńscy, Rzymianie,

dzisiaj Wenetowie. U nas wprawdzie jest marszałek, ale ten „nic więcej władzy nie ma z tego urzędu nad to, że głos rozdawa, woła: ciszej, a laską kołace“. Stąd sejm polski przedstawia obraz zupełnego zamieszania — następuje żywy opis takiego sejmu:

„Każdy czyni jaką chce propozycją i wszystkie rady wasze jako zwyczajną kwestją zaczyna: o czym pierwiej mówić, tak tąż onę też kończy. Albowiem od materyi przez marszałka proponowanej daleko odstąpiwszy, jeden czyta z instrukcyi punkt i artykuł, który mu *solemni verbo ante omnia* kazano proponować. Drugi woła, że pierwiej trzeba staremu prawu czynić zadosyć niż nowe stanowić, *ante omnia* tedy o rozdanie wakancyi. Drugi *ante omnia* podług prawa wyraźnego od *recessu* zacząć. Nuż inszy znowu: *pacta conventa, senatus consulta, oeconomiae*, to są publiczne materye, zaczym o nich *ante omnia*. Na co drugi: religia, z którą do Korony przyszedł, ta u mnie jest *ante omnia*. Usłyszysz zaraz: u mnie też poprzysiężona, zaczym gdy mi się w niej gwałt dzieje, idzie o wolność moję, która u mnie słusznie *ante omnia*. Aż też ktokolwiek z Ukrainy, właśnie jakoby Kochanowskiego rotmistrz:

Takci panowie, wy tu radzicie, a w polu Grekowie nas wojują.

Albo (że *tritum illud* powiem, co już jakoby *ex formula* każdy w tej materyi umie): Mości Panowie *dum Romae consultitur, Saguntum capitur*. Przyszły listy i nowe wiadomości, zaczym dla Boga o obronie *ante omnia*. Na koniec i groble i rewizye i libertacye i składy i jarmarki i tym podobne *quisquilliae* — tak wielkie, tak poważne R. P. sprawy trudnią i turbują. W których nie nowina słyszeć: do niczego nie przystąpię, aż to stanie. Albo tedy zastanowiony *ad haec verba* sejm i postąpić nie mogąc, nie dojdzie swej konkluzyi, i gdy każdy przeciwnie się ciągnie, rozerwać się musi, albo po długich i uprzykrzonych swarach sfatygowani już długą i daremną pracą w swojej izbie, a na górze zaś snem zmorzoni, wielką

jaką R. P. potrzebą albo niebezpieczeństwem przyciśnieni, do czytania konstytucyi przystąpią. Które marszałek nie słuchającym jako przeczyta, milczenie *pro assensu* biorąc, idzie coraz dalej, i jako pospolicie mówimy, żyda grzebie“.

Proponuje tedy pleban następujący porządek obrad.

Po przywitaniu króla posłowie, nie zatrzymani długą panów senatorów mową <sup>1)</sup>, ani szeroką propozycją od tronu <sup>2)</sup>, przyjdą do swej izby <sup>3)</sup> i zaczną swoje konsultacye.

Pierwszego dnia wszystkie instrukcye albo artykuły województw oddane będą marszałkowi, który przybrawszy sobie po dwóch deputatów z Korony i Litwy, spisze jak najprędzej nie same instrukcye, ale ich treść, uważając, aby w każdej materyi zdania województw, jak najlepiej można, do jednej sentencyi stosować. Gdzie znajdzie jawne przeciwieństwa, tego niech się zdania trzyma, w którym się więcej województw zgadza, i wymieni zaraz te, które są przeciwne, aby przy czytaniu posłowie ich „pierwsze miejsce mieli do mówienia i albo dali *rationem* braci doma pozostałej, albo też przystąpili do zgody powszechnej“. Innemi słowy, pleban ustanawia rodzaj parlamentarnej komisji, tylko zbyt szczupłej i zbyt małym zakresem działania opatrzonej. Jednego sejmiku instrukcya nie ma rozkazywać sejmowi, odkąd ma zaczynać konsultacye swoje, „bo to rzecz bardzo niesłuszna i powszechnej wszystkich wolności nieznośna“.

Porządek tych materyj niech będzie następujący:

---

<sup>1)</sup> *Vota* senatorskie trzeba znieść, bo pożytku z nich żadnego, tylko zguba czasu, tylko ostentacya wymowy, a co za tem idzie, pochwała lub śmiech.

<sup>2)</sup> Szeroka propozycya jest niepotrzebna, bo to wszystko, coby w niej było, posłowie już mieli w instrukcyach królewskich, rozsyłanych na sejmiki.

<sup>3)</sup> Wprawdzie lepiejby było, gdyby sejm obradował w jednej izbie z senatem, ale ponieważ przeciw temu urządzeniu jest u szlachty zbyt wielka niechęć, dla tego przy tej myśli pleban się nie upiera.

Rzeczy, które obchodzą wszystką Rzplłą, pójdą naprzód. A że należy wprzód starego prawa strzec niż nowe knować i pierwej naprawiać niż budować, dla tego początek niech będzie od exorbitancyj<sup>1)</sup>. Exorbitancye są dwojakie, króla i obywateli. Pierwszych rozpatrzenie powinno należeć do senatu. Drugie trudniejsze do załatwienia, i naprawdę nie ma na nie innej rady, tylko silna władza panującego.

Drugie miejsce zajmą konstytucye „do rządu i porządku publicznego należące“. Przez te sprawy rozumie się ordynacye nabytych prowincyj, confirmacye paktów z pany postronnymi, ustanowienie mennicy, ustawy około zwyczajnych podatków, opisanie porządku ludzi do służby wojennej należących, komisye na rozgraniczenie państwa, i tym podobne.

Trzecie i ostatnie miejsce mieć będzie obrona albo obmyślenie bezpieczeństwa R. P. od postronnego nieprzyjaciela; kwestya to niemiła (!), dlatego się ją odsuwa na koniec.

A co będzie z prywatnymi artykułami? — interpeluje ziemianin. „Wiedz to W. M. nieomylnie, że choćby ze wszystkiego nic stanąć nie miało, nie ustąpią ich nasi“. Pleban odpowiada, że wprawdzie sejm jest złożony dla publicznych spraw i potrzeb, ale ponieważ „miłość ojczyzny, którą się pospolicie chlubimy, nie na inszym jest zasadzona fundamencie, tylko na prywatnym każdego z nas pożytku“, dlatego prywatnych artykułów nie należy wyrzucać z sejmu; wyznaczyć im jeden dzień, na przykład sobotni, w który porządkiem województw niech będą czytane i uważane. Ale nikt niech się nie waży przeczyć publicznym konstytucyom, dlatego, że mu prywatnych artykułów nie pozwalają.

Które materye będą publiczne, a które prywatne, to powinnyby prawo określić „naprzykład taką albo podobną definicyą: publiczne artykuły są te, które *directe concernunt*

<sup>1)</sup> Exorbitancją nazywa się wszystko, co z dwóch kolei, prawa i zwyczajów, zda się wypadać.

potrzebę i dobro albo wszystkim ojczyzny, albo też chciwemu dnegu województwa obywatelów być względem oszczędzenia ich szlacheckiej wolności; prywatne zaś są te, które się zajmują na użytek prywatny albo województwa (jako to się stało na przykład), albo też szczególnych w nim osób\*. Do takich definicji stosując się marszałek i deputaci, rozsądzą i uważą, gdzie która rzecz należy. Aby zaś mieli więcej ufności i powagi, mają być związani przysięgą.

Tyle o porządku obrad sejmowych. Usunięta więc pierwsza przyczyna nieładu. Drugą są złe afekta posłów. Głównie chciwość, za którą idzie przekupstwo albo oporyczna na to, aby coś dostać, potem nienawiści prywatne, które się na sejmie wywleka i rozrywa przez to zgodę powszechną, gdy jeden drugiemu przeczy jedynie z prywatnej nienawiści. Na chciwość i złe z niej wynikające nie ma rady; na nienawiści prywatne pośrednictwo króla, któryby poważnionych godził.

Oprócz tych dwóch głównych zawad należy jeszcze usunąć parę mniejszych.

1. Posłowie powinni się zjeżdżać zawczasu, a nie dopiero na kilka dni przed konkluzją; a kto nie był, raz omówionej sprawy nie może wzruszać.

2. Wiele materij jest takich, które nie mogą być traktowane przez tak wielu posłów, do tego w wielkiej części nie rozumiejących się na tem; tak naprzykład sprawa monety. Otóż takie rzeczy „puścić na przysięgłe komisarze, którzyby mieli moc konkludować, coby *e re Reipublicae* być uznali\*.

3. Oddzielić od sejmu sprawy sądowe, bo po pierwsze błąhami rzeczami drogi czas się zajmuje, a powtóre pocóż trybunały, jeśli od nich ma być odwołanie?

4. Sami tylko posłowie powinni w izbie zasiadać, bez arbitrów, bo przez to i powaga większa i tajność obrad zachowana będzie.

5. Usunąć z sejmu relacye hetmańskie, jako po większej części niepotrzebne owacye i ceremonie.

6. Wogóle nie tracić czasu na słuchanie różnych petycji i suplik, albo na chodzenie na górę (t. j. do izby senatorskiej).

Na tem się zamyka rozmowa dnia drugiego; następują jeszcze górne apostrofy do króla, senatu i rycerstwa, i na tem pismo się kończy.

Mówiliśmy o rozmowie dnia pierwszego, że zawiera główną myśl niepospolicie rozumną, prawie w ówczesnych warunkach niezwykłą, w jej uzasadnianiu argumenta bardzo trafne i wiele głębokich, mądrych uwag. Rozmowie dnia drugiego tak wielkich zalet przyznawać nie można. Już sama zasadnicza myśl nie jest tak potężna. Tam chodziło o zmianę konstytucyi, tu tylko o porządne sejmowanie. Ale i w tym mniejszym zakresie autor „Rozmowy“ okazuje się człowiekiem niepospolicie rozumnym. Sejm polski — rzecz niezawodnie bardzo piękna: parlamentaryzm na prawdę. Ostatnie badania historyczne jednak (Pawińskiego i Rembowskiego głównie) wykazały dowodnie, że sejm nasz nie był niczem innym, jak średniowiecznym zgromadzeniem stanów, takim samem, jakie były w Europie w wiekach średnich, a nawet i później; tylko że w nowszych czasach oświecony absolutyzm zepchnął je do rzędu bardzo nieznaczących zgromadzeń prowincjonalnych, w Polsce zaś wskutek różnych wypadków ustrój stanowy zapanował nad monarchią. Ale gdyby w ten polski sejm było wprowadzić lepszy porządek, niezawodnie byłby się z czasem pozbył wielu rzeczy zbytecznych i złych, byłby się może wyrobił na prawdziwy parlament. Jak jednakże o ten porządek było trudno, to wskazuje choćby ten fakt, że dopiero w drugiej połowie XVIII wieku zdołali Czartoryscy jaki taki ład wprowadzić, a i to na nie tak wiele się przydało, skoro sejm czteroletni przedstawia w obradach swoich taki sam niemal chaos, jaki maluje autor „Rozmowy“.

Projekt, w omawianem piśmie podany, nie jest bez wad. Nie jest wszędzie zupełnie jasny, nie ma stanowczych odgraniczeń, gdzie która sprawa należy, robi po części ta-

kie wrażenie, jak gdyby jego twórca po omacku szukał drogi. Ale to nic dziwnego; jest to może pierwszy konkretny projekt ułożenia regulaminu, a to bez długiego doświadczenia, bez precedensów, nie było rzeczą łatwą. Mimo to są tu ogromne zalety. Projekt ten oszczędza bardzo dużo czasu, którego sejm w ogóle zbyt wiele nie miał, bo sześć niedziel zbiegnie bardzo prędko. Usuwa arbitrow, co sam autor uważa za rzecz drobną; w gruncie rzeczy jest to myśl bardzo ważna; jak źle mogli arbitrowie wpływać na sejm, to dowodem choćby znowu sejm czteroletni. Wprowadza porządek obrad. Zaprowadza sejmowe komisye do spraw, nie nadających się do traktowania w pełnej izbie. Jednym słowem, zaprowadza jakiś ład i możliwość wydawania dobrych ustaw.

Czego nie mówi, to jakie ma sejm prawa; zdaje się, że podziela ówczesne zapatrywanie, że właściwie sejm jest wyłącznie rządem, do którego należą wszystkie atrybucye władzy — pomimo że jest za pomnożeniem władzy królewskiej — nie widzi więc potrzeby tych atrybucyj określać. Ważną jest rzeczą oznaczyć jego stanowisko do *liberum veto*. O intercesyi w drugim dniu wyraźnie nie mówi; ale za to kwestyę tę porusza w pierwszej rozmowie, i stanowczo *veto* potępia, uważa je za wielkie złe, za nieszczęście, uważa za swawolę jednego, a niewolę wszystkich innych. Wydana jest „Rozmowa“ w r. 1641, na jedenaście lat przed Sicińskim; gdyby była pisana później, możeby wystąpiła jeszcze silniej, jeszcze goręcej. W każdym razie rozum autora okazuje się niepospolitym.

Przeszedłszy tym sposobem całą „Rozmowę“, wróćmy się do Starowolskiego i do sprawy jego autorstwa. Zaznaczmy tutaj dwa fakta. W największem swoim piśmie politycznem, w „Reformacyi obyczajów polskich“, Starowolski zebrał i powtórzył wszystkie pomysły, jakie kiedykolwiek w poprzednich pismach poruszał; nierzadko wspomina też i o samych pismach. Otóż w żadnym z tych dzieł, ani też i w „Reformacyi“, nie ma mowy o poprawie sejmowania.

Ogólnikowe uwagi się znajdują, jak na przykład to miejsce w „Prawym Rycerzu“, w którym narzeka, że co dobrzy na sejmie lub sejmiku uradzą, to źli potrafią udaremnić i zepsuć. Tak obmyślanego i wypracowanego projektu, jaki jest w „Rozmowie“, u Starowolskiego daremnie szukać.

Nierównie ważniejszy jest fakt drugi. To porównanie rozmowy pierwszego dnia z pracami Starowolskiego. Nic podobnego znaleźć w nich nie można. Z rzeczy podrzędnych i małej wagi, powszechnie znanych — znajdują się podobieństwa, co zresztą jest i u innych pisarzy tego okresu. Ale o takim projekcie, jak przywrócenie silnej władzy królewskiej, o tak głębokich myślach i spostrzeżeniach, o takiej znajomości natury ludzkiej — w szczególności polskiej — u Starowolskiego ani nie pytać. Nie mamy bynajmniej zamiaru ujmować autorowi „Reformacy“ i „Lamentu“ jego zasługi, albo obniżać jego rozumu, w każdym razie wielkiego, na korzyść „Rozmowy“. Ale bądź co bądź na taki stopień rozumu, jaki widzimy w „Rozmowie“, umysł Starowolskiego się nie wznosi.

Te dwa dowody zupełnie wystarczają, aby „Rozmowę“ przypisać komu innemu, nie Starowolskiemu. Są i inne, mniejszej prawda wagi, ale i one mogą mieć pewne znaczenie.

1. Forma. Sposób pisania Starowolskiego i autora „Rozmowy“ są na pozór do siebie podobne; obaj rozwlekli, gadatliwi, obaj cytują niezliczoną ilość zdań, przeważnie łacińskich. Ale poza tem podobieństwo znika: każdy z nich inaczej buduje swoje okresy, inaczej zdania układa, i ta różnica jest przy cokolwiek dokładniejszym czytaniu bardzo widoczna. Wogóle język naszych dawnych autorów robi z początku, zwłaszcza na ludziach nieobytych z nim, wrażenie jednostajności; na pierwszy rzut oka zdaje się nam, że oni wszyscy piszą jednakowo. Dobrze jednak się wpatrzeć — zobaczy się różnice ogromne. Jest też „Rozmowa“ pisana w formie dialogu, to jest w formie, nigdzie u Starowolskiego nie spotykanej.



2. Chociaż nie ma pewności, przecież odważylibyśmy się twierdzić, że autor naszego pisma był posłem na sejm. Opowiada całą rzecz ziemianin, który o sobie mówi, że przyjechał z Warszawy z sejmu. Wprawdzie można o sobie mówić, że się wróciło z sejmu, sejmu nawet nie widziawszy, ale z drugiej strony „Rozmowa“ wykazuje tak znaczną znajomość rzeczy sejmowych, w drobnych nawet szczegółach, że prawdopodobnie pisał ją poseł. A Starowolski posłem nigdy nie był, zresztą w roku 1641 był już księdzem.

3. W roku 1653 wyszło w Rzymie dzieło Starowolskiego „*Breviarium iuris pontificii*“. Na ostatniej karcie znajduje się spis wszystkich prac przez Starowolskiego do tego roku wydanych, i tych, które mają być wydane (*opera impressa et imprimenda*). W wykazie tym zajmują większą część pisma łacińskie, obok nich jest rubryka „*opuscula lingua polonica scripta*“. Jeśli są tam wymienione pisma tak drobne rozmiarami, jak „Pobudka“ (11 kart) i „Dyskurs o wojnie tureckiej“ (6 kart), albo tak mało ważne treścią, jak „Rok jubileuszowy“, to chyba nie opuszczanoby „Rozmowy“, rozmiarami znacznej (kart 48) i ważnej treścią. Można zaś przypuszczać, że ten wykaz pism pochodzi od samego Starowolskiego, gdyż jest bardzo dokładny i szczegółowy.

4. Wreszcie powtarzamy, że autorowie starsi (Niesiecki, Pruszczyński, Załuski) „Rozmowy“ pomiędzy dziełami Starowolskiego nie wymieniają; mniemanie to pojawiło się dopiero w wieku XIX, i to już po Bentkowskim. Tradycja w każdym razie bardzo późna i niepewna. Jedną z historii literatury dodała nawet do plebana i ziemianina jeszcze — rabina.

Tyle mielibyśmy do powiedzenia przeciw autorstwu Starowolskiego. Mniejsza zresztą o autora: mamy dzieło, a to możemy śmiało uważać za najlepsze w całej politycznej literaturze XVII wieku, po Skardze i na długie lata, aż dopiero w wieku XVIII zjawiają się oznaki nowego odrodzenia.

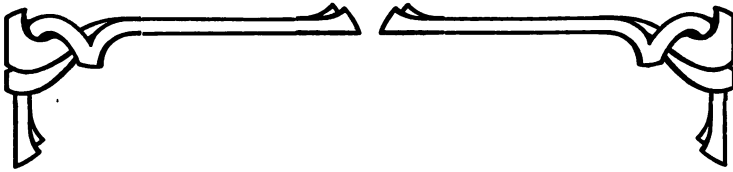
**(Dopisek w roku 1906).**

W „Pamiętniku literackim“ (r. 1902) prof. Brückner autorstwo „Rozmowy“ przypisał Łukaszowi Opalińskiemu, bratu Krzysztofa, autorowi, prócz niniejszej broszury, jeszcze bardzo ciekawej satyry polityczno-obyczajowej i najstarszej w Polsce poetyki. Tym sposobem obaj bracia Opalińscy przedstawiają się nam teraz jako ludzie niepospolicie rozumni; widzimy też jak w wieku XVII Wielkopolska, która dotąd bardzo mały brała udział w rozwoju umysłowości polskiej, zaczyna dościgać dalej od niej posunięte dzielnice.



Tragiczny wiek literatury polskiej.





**P**ostępujące nad piśmiennictwem naszym badania ukazują nam coraz lepiej, coraz wyraźniej i coraz wierniej oblicza dawnych jego wieków. Rozwiewają się liczne uprzedzenia, pogłębia się znajomość, zmieniają dawne zapatrywania, prostują pojęcia i sądy. W zupełnie innym świetle przedstawiają się nam wieki średnie; nieco inaczej, niż nasi ojcowie, patrzymy na humanizm i reformację; zmienił się zwłaszcza gruntownie nasz pogląd na wiek XVII.

Co to jest „wiek siedemnasty“ w literaturze? czy tworzy ten wiek jakąś odrębną epokę w jej dziejach? czy pojęcie kalendarzowe „wieku“ da się przenieść do literatury, i czy tam będzie miało jaki sens?

Nazwa, jak wszystkie zresztą nazwy, jest dowolna i jest sztuczna, mówi za wiele i mówi za mało. Równie dowolnem jest nazwanie pewnej epoki epoką humanizmu i reformacji, bo te dwa wyrazy nie wyczerpują wcale zakresu pojęcia, które w nie wkładamy. Równie dowolnem jest nazwanie pewnego okresu literatury polskiej epoką Stanisława Augusta, bo przesądem nazwać można mniemanie, jakoby rozkwit tej literatury w tym czasie był zasługą Stanisława Augusta. Równie dowolną jest w literaturze francuskiej nazwa epoki Ludwika XIV, skoro bardzo wiele znakomitych dzieł epoki tak nazwanej urodziło się w innym czasie i pod innymi auspicjami. Równie dowolną jest w literaturze rzymskiej nazwa epoki Augusta. Równie dowolnych nazwań znajdziemy pełno we wszystkich historyach literatur świata.

Okres literatury polskiej, nazwany przez nas wiekiem XVII, ma w naszych historyach literatury, jeżeli pominiemy nazwy dawne, przestarzałe, dwa nazwania. Są to dla Chmielowskiego „czasy reakcji katolickiej i swywoli politycznej“ w ogóle, szczegółowiej zaś okres „przyćmienia światła i psującego się smaku“. Brückner zaś widzi w tym okresie „dyletantów wieku siedemnastego“. Obydwa te nazwania, obydwie te etykiety nie są słuszne, i nie są trafne. Z nazw Chmielowskiego pierwsza odnosić się może do historii politycznej, nie do historii literatury; związek jest zbyt daleki i równem prawem nazwalibyśmy cały wiek dziewiętnasty okresem upadku i ucisku politycznego, a nazwa ta literatury by nie określała. Nazwa druga ma już więcej w sobie znamion ściśle literackich, jest przez to szczuplejsza a dokładniejsza, ale cóż z tego, kiedy zwraca uwagę tylko na jedną i to nie wyłączną, nie wybitną cechę tej literatury. Podobną wadę ma i termin Brücknera. Mówi on wprawdzie więcej od poprzedniego, bo w nazwaniu pisarzy tego okresu dyletantami jest zarazem podana jedna z charakterystycznych cech tej literatury, ale i to jeszcze nie jest wszystkiem, — termin ten określa raczej jedną z zewnętrznych stron literatury, odnosi się prędzej do techniki, aniżeli do istoty rzeczy.

Kiedy Porębowicz nazwał Morsztyna poetą barokowym, użył określenia najtrafniejszego i najbystrzejszego, odniósł je wszakże tylko do jednego pisarza, na cały okres nie rozciągnął.

Wszystkie nazwy tedy są niedokładne, wszystkie sztuczne i dowolne, uwzględniające część zamiast całości, bo żadna nie zdoła pomieścić w sobie określenia wszystkich cech głównych, znajdujących się w przedmiocie nazwanym. Wobec tego najlepiej będzie — jak to zrobił prof. Tarnowski — w przedstawieniu całości nie dzielić literatury na takie okresy, którymby należało nadawać osobne nazwy.

Ale co jest możliwem w przedstawieniu całości, niekoniecznie da się przeprowadzić tam, gdzie się mówi wy-

łącznie o części. Zajmując się jedną tylko epoką, muszę ją w jakiś sposób nazwać. W takim razie zaś najroztropniej chyba zrezygnować z nazw rzekomo ścisłych i dokładnych, a zadowolić się taką, która wprawdzie mniej mówi od tamtych, ale też i mniejszy błąd popełnia.

Taką nazwą dla jednej z epok literatury polskiej niech będzie termin „wiek siedemnasty“. Będzie to nazwa przede wszystkim określająca chronologię tej epoki, a nie dotykająca istotnych jej znamion.

„Wiek siedemnasty“ w literaturze nie jest równoznaczny z kalendarzowym wiekiem siedemnastym. W literaturze takich ścisłych odgraniczeń, jakby nożem uciął, niema i być nie może. Jedna epoka jeszcze się nie skończyła, gdy druga rozpoczęła się już dawno, koniec poprzedzającej i początek następczej splatają się z sobą niezliczonemi, widzialnemi i niewidzialnemi włóknami. Tak i w obecnie nas obchodzącym wypadku. Skarga jest niewątpliwie dzieckiem epoki humanizmu i reformacji, jej w literaturze wypadkową i zamknięciem; należy tedy do wieku XVI. Ale z drugiej strony wiele szczegółów ma takich, które się rozwiną u autorów wieku XVII, jego język na przykład nie jest to już język Górnickich lub Orzechowskich; jako reprezentant odrodzenia katolicyzmu, kontrreformacji, Skarga wiąże się duchowo raczej ze stuleciem siedemnastem. Szymonowicz chronologicznie więcej należy do wieku XVII, duchowo mieści się niemal cały w wieku poprzednim. Taki Miaskowski, Grochowski są w formie przedłużeniem epoki złotej w stulecie siedemnaste, pojęciami już z niej wyszli. Nawet Sęp Szarzyński łatwo mógłby się znaleźć między poetami wieku XVII. Tak widzimy, że o dokładnem, ścisłym zamknięciu okresu literackiego w dwie daty nie może być mowy. Rozkwit, współczesne istnienie obok siebie wszystkich cech, temu okresowi właściwych, przypadnie na drugą połowę stulecia kalendarzowego. Przeciagną one swój żywot jeszcze w pierwsze lata wieku XVIII, rozpoczynają zaś występować więcej gromadnie, w większych

skupieniach gdzieś w drugim, w trzecim dziesiątku wieku XVII. Gdyby chodziło o pojedyncze dzieła, gdzie które należy, to Sielanki Szymonowicza (1614) zaliczylibyśmy, pomimo ich sielankowości, do stulecia XVI, ale Jerolimę Kochanowskiego (1618) już do XVII.

\*            \*            \*

W naszej historyografii literackiej (najnowszej) spotykamy się z dwoma sądami o literaturze polskiej siedemnastego wieku. Mówimy oczywiście tylko o sądach oryginalnych, własnych, opartych na własnym badaniu i z własnej myśli wysnutych.

Są to sądy prof. St. Tarnowskiego i prof. Al. Brücknera, zawarte w ich historyach literatury polskiej.

Nie tu miejsce przytaczać je w całości. Ogólne wrażenie, jakie po nich w umyśle zostaje, da się sformułować: literatura polska wieku siedemnastego ma wartość i bezwzględnie i względnie małą (prof. Tarnowski); — ma wartość bardzo wielką (prof. Brückner).

Obaj autorowie wypowiadają swój sąd bez ubocznych zastrzeżeń; jeżeli są jakie zastrzeżenia, to bardzo nieznaczne, nie zmieniające istoty twierdzenia. Tym sposobem stają na przeciw siebie dwa o jednej rzeczy mniemania, zgoła różne, owszem wprost sobie przeciwne. Obydwa zaś nie są rzucone na wiatr, ale poparte całym szeregiem dowodów, obydwaj dokładnie uzasadnione.

Gdzież tedy prawda?

I tu i tam. Słuszność jest po stronie tak pierwszego, jak i drugiego twierdzenia. Należy się tylko przypatrzeć założeniu, z którego oba sądy wyszły.

Żaden z historyków nie sformułował teoretycznie, jak pojmuje literaturę i jej historię; za to tem wyraźniej występują ich zapatrywania na tę kwestyę w praktyce. Stąd możemy łatwo wywnioskować, jakimi drogami i z jakiego wy-



szedłszy punktu obaj krytycy doszli do rezultatów przeciwnych.

Prof. Tarnowski widzi w literaturze przedewszystkiem sztukę, i szuka w niej przedewszystkiem piękna. Więc z zamiłowaniem, z przejęciem się, mówi o autorach wielkich i o dziełach pięknych, zaś raczej z musu o takich dziełach i autorach, którzy temu warunkowi nie odpowiadają, choćby skądinąd mieli dla literatury wielkie znaczenie; wystarczy porównać np. ustępy poświęcone Rejowi a Kochanowskiemu. Przez dzieła piękne zaś nie należy rozumieć wyłącznie dzieł, doskonałych formą, techniką, ale i głębokie rozumną myślą (Modrzewski), albo wzniosłe potężnem uczuciem (Skarga). Takich autorów przedewszystkiem prof. Tarnowski stawia wysoko, i z nich sądzi o literaturze całej epoki, na nich się opierając stawia tę literaturę wysoko. Gdzie ich brak, gdzie żadne z pism temu głównemu warunkowi nie odpowiada, tam i piśmiennictwo przedstawia się ubogo.

Więc nic dziwnego, że literatura wieku siedemnastego maluje się w kolorach szarych, mizernych, zwłaszcza gdy ma tuż przed sobą tak bogatą i tak ozdobną rywalkę, jak wiek XVI. Przecież w porównaniu z Kochanowskim, Górnickim, Orzechowskim, Skargą, ta literatura późniejsza musi tracić niezmiernie wiele: kogóż w niej przeciwstawimy takim imionom? Morsztyna czy Kochowskiego, Potockiego czy Opałińskiego, Starowolskiego czy Lubomirskiego? Nie zdzierzą porównania. A znowu abstrahując od wszelkich zestawień: czy dzieła z wieku XVII mają bezwzględnie, same w sobie, znaczną wartość? Z pewnością nie.

Więc jak powiedzieliśmy, nic dziwnego, że dla prof. Tarnowskiego literatura ta nie ma wielkiej wartości.

Na zgoła innem stanowisku stoi prof. Brückner. Nie darmo rozpoczął on swój zawód od filologii. Jest też w krytyce literackiej przedewszystkiem filologiem, który w historii literatury rozgląda się za wzajemnem oddziaływaniem literatur na siebie, za filiacją i rozprzestrzenianiem się pomy-

słów, tematów i form, za wpływem życia na literaturę i literatury na życie. To wszystko zaś służy jednemu głównemu celowi. Literatura jest odbiciem, obrazem kultury. Badanie literatury jest zarazem badaniem dziejów kultury. A w tym razie pierwiastek estetyczny musi zejść na drugi plan wobec historycznego. Tu więcej rzeczy, więcej dzieł musi być wciągniętych w zakres badania, aniżeli przy oglądaniu piśmiennictwa przez pryzmat pojęć estetycznych. Tu najmniejszy, najbliższy drobiazg może mieć znaczenie bardzo wielkie, tu niczem gardzić nie wolno. Stąd zaś płynie wniosek: im lepiej, im pełniej, im wszechstronniej literatura w pewnej epoce odbija stan kultury narodu, tem jest ważniejsza, tem większą ma wartość.

Przenieśmy teraz te zapatrywania na literaturę siedemnastego wieku. Jakże literatura ta świetnie tym wymaganiom odpowiada! Pod względem estetycznym zostaje wprawdzie w tyle za literaturą XVI wieku, za to jest wszechstronniejsza, bogatsza w formy, jest wiernem odbiciem i wyobrażeniem ówczesnego życia i ówczesnej kultury. I to tak dalece, że gdy wiek XVI jest nam bądź co bądź bardziej obcy, więcej od nas odległy, to siedemnasty jest nam daleko bardziej znany, więcej bliski nietylko chronologicznie. Rzecz to znana, że na wieki dawne patrzymy przedewszystkiem pod kątem widzenia literatury, i ta wyciska na naszych zapatrywaniach piętno bardzo silne. Im mniej literatura rozwinięta, im uboższa, tem mglistszym staje się obraz epoki, tem bledsze rysy jej fizygnomii, choćby nam skądinąd nieźle była znana. Tak na przykład nasze wieki średnie z całym ich bujnym i rozwiniętym życiem wydają się nam, pomimo badań historycznych, czemś dalekiem, obcem, jedynie dlatego, że nie możemy na nie spojrzeć poprzez literaturę. Tymczasem wiek siedemnasty ma na swoje usługi bujnie rozkrzewioną literaturę. Jaka ona jest z punktu widzenia estetycznego, czy ma ona dzieła bardziej rozumne, niż rozum zwykłego człowieka, to szczegół mniejszej wagi wobec tego, że ta litera-

tura pokazuje nam wybornie całą ówczesną Polskę, jej życie, jej kulturę, jej szlachtę i chłopów, mieszczan i żydów, jej myśli, pojęcia, pragnienia i dążenia — jest tem oknem, przez które widzimy jak na dłoni świat i ludzi w Polsce w wieku siedemnastym. Ten przymiot literatura XVI wieku ma w stopniu daleko mniejszym, a w jeszcze mniejszym epoka Saska lub chociażby epoka Stanisława Augusta.

Więc nic dziwnego, że kto tak pojmuje literaturę, dla tego rozpatrywanie literatury wieku siedemnastego jest prawdziwą rozkoszą. Ma ona przed sobą rywalkę, bogatszą i ozdobniejszą, wiek XVI, ale nie tak ciekawą, nie tak interesującą. Takiemu Paskowi kogóż przeciwstawi wiek XVI? Reja? Rej sam jest postacią zapewne interesującą, ale jego Żywot pocziwego człowieka jest w tylu partyach ogólnikowy, nic nie mówiący, nudny poprostu; takim obrazem, typem człowieka XVI wieku, jakim jest Pasek pamiętnikarz dla swej epoki, Rejów człowiek pocziwy nie jest. Kochanowski z Fraszkami nie może się też równać co do wartości kulturalno-źródłowej z Potockim Wacławem. Nie mnożmy przykładów; tem bardziej, że oprócz pisarzów, znanych z imienia, w wieku XVII roi się formalnie od całego legionu bezimiennych pisarzy dyletantów, miernych, czasem zbyt miernych jako artystów, ale niemal zawsze bardzo interesujących jako płyty fotograficzne, na których się odbił obraz wieku.

Więc, jak powiedzieliśmy, nic dziwnego, że dla prof. Brücknera literatura ta ma wartość bardzo wielką.

Ale spróbujmy spojrzeć na ten wiek siedemnasty jeszcze z innego punktu.

\* \* \*

Dziwna rzecz, ale ze wszystkich epok literatury polskiej wiek siedemnasty robi na mnie wrażenie najsmutniejsze, najboleśniejse.

Jest jeden okres, od tego smutniejszy, to czasy saskie. Ale od nich odwracamy oczy ze wstrętem, staramy się o nich

zapomnieć, wykreślamy je z pamięci i z historii. Po za nimi zaś każda epoka, choćby miała w sobie niedostatki, błędy, zarodki późniejszego upadku, przecież z tem wszystkim przedstawia widok, ku któremu z chęcią zwracamy oczy. Wiek XVI to okres bujnej, pełnej młodości, wiek XIX to okres wszechstronnego rozkwitu, druga połowa wieku XVIII to krzepiący ducha okres dźwigania się.

Wiek siedemnasty najniezwyklejszy. Przypada na ten czas perypetya tragedyi literatury polskiej.

Łączy się zaś z nią i chronologicznie i ideowo tragedia historii polskiej i tragedia umysłowości polskiej.

Momentem tragedyi najtragiczniejszym, najsilniej budzącym „grozę i litość“, najpotężniej wstrząsającym, jest przełamanie się, perypetya. Po niej widzimy już tylko w niedalekiej perspektywie katastrofę, do której się zbliżamy szybkimi krokami; ale niepewności w nas już niema, niema tego oczekiwania, tego naprężenia nerwów i całej naszej istoty, jakie nami miota przed punktem zwrotnym. Litość budzi się po perypetyi, ale kiedy widzimy, że ta perypetya się zbliża, kiedy się w niej znajdziemy, gdy widzimy i zdajemy sobie sprawę z tego, że jednak wszystko mogłoby wziąć inny obrót, wtedy dusza popada w stan największego napięcia, wtedy najsilniej i najboleśniej odczuwamy całą grozę zdarzeń.

Tego uczucia doznajemy — rozważając dzieje Polski w wieku siedemnastym.

Rzeczy te są powszechnie znane, więc krótko się z niemi załatwimy. W połowie wieku XVII — według wyrażenia jednego z historyków — na żyznych błoniach Ukrainy po raz pierwszy pojawiła się widomie mara upadku Polski. Wojny kozackie i szwedzkie zadały cios stanowczy ekonomicznemu bogactwu kraju. Na wiek XVII przypadają najohydniejsze klęski i najdotkliwsze straty naszych dziejów, utrata Inflant, Prus, Zadnieprza, początki potęgi pruskiej, zmarnowanie możliwości odzyskania Śląska, zmarnowanie możliwości załatwienia ostatecznego stosunków z Moskwą, niewyzyskanie świętych

zwycięstw; w tym wieku dokonywa się poczęte w stuleciu poprzednim znieprawienie umysłów polityczne i społeczne. Są to wszystko klęski tak straszne, że za nimi nieuchronnie, koniecznie musiał iść upadek, ich najzupełniej naturalna konsekwencya. W wieku XVII przeważały się dzieje Polski, stał się zwrot ku katastrofie.

Ale stulecie XVII w Polsce, to wiek najskrajniejszych przeciwieństw. Więc obok charakterów słabych lub nikczemnych — charaktery najpiękniejsze, najwznioślejsze, jakie historia Polski wydała; obok niebywałych klęsk — najświetniejsze zwycięstwa; obok głębokiego upadku — najwznioślejsze porywy i dążenia. Te jasne światła, porównane z cieniami, powiększają jeszcze grozę obrazu. Albowiem są one świadectwem, że jeszcze i wtedy, w wieku XVII, możliwy był zwrot nie ku katastrofie, lecz ku dobremu, są one świadectwem pasowania się pierwiastku dobrego ze złym. Przez to tem wyraźniej, tem jaskrawiej występuje owe załamywanie się tragedji dziejowej, tem boleśniej szarpie naszemi sercami i umysłami.

Epoka straszna i przerażająca.

Jak mogło do tego dojść; jakim sposobem się to stało, że nastąpiła ona po świetnym okresie poprzednim? Prawda, złe zaczęło się już w tym bujnym kwiecie Odrodzenia, już tam widzimy początek tragedji. Ale rozwój, postęp złego był bezprzykładnie szybki, za szybki, aby go tłumaczyć zwykłą bezwładnością wydarzeń.

Odpowiedzi na te tak bardzo dręczące pytania należy chyba szukać gdzieindziej. Historia swój rozwój poprowadziła inną drogą, nie tą, po której zdarzenia powinny były iść dla dobra narodu, dlatego, że te wypadki przerosły umysły poziom narodu, że naród nie był dostatecznie dojrzały, nie był dość przygotowany do tego, aby nimi pokierować. I tutaj tragedia dziejów spotyka się i objaśnia tragedją umysłowości polskiej; w tej ostatniej zawarte jest wytłumaczenie pierwszej.

W wiekach średnich rozwój umysłowości polskiej idzie temi samemi mniej więcej drogami, co w Europie zachodniej, chociaż daleko później poczęty. W literaturze pięknej nie możemy oczywiście równać się z Zachodem. W dziejach myśli nie mamy Dantego ani Tomasza z Akwinu, ale też cały Zachód ma z olbrzymów rodu tylko tych dwóch. Poza tem umysłowo jesteśmy na równi z Europą. W wieku szesnastym rzecz się ma podobnie. Ale wiek XVII przedstawia już obraz zgoła różny od umysłowości ludów zachodnio-europejskich. Polska wstępuje i idzie drogą odrębną, sobie tylko właściwą. Droga ta zaś wiedzie prosto ku pochyłości, ku obniżeniu.

Zamiast posuwać się naprzód, Polska cofa się wstecz. Widać to cofanie się na całej linii, ale przedewszystkiem w dziejach myśli, w dziejach umysłowości.

Zobaczmy, co się wtedy dzieje na Zachodzie.

Rozwój umysłowy Europy chrześcijańskiej dziwnie podobny przedstawia widok do umysłowego rozwoju człowieka. Zrazu są to lata nauki u ludzi starszych, lata, w których na myśl samodzielną człowiek nie potrafi się zdobyć. To wieki średnie. Europa żyje myślą, zaczerpniętą z kultur zgoła różnych, innych. Mistrzynią jest filozofia, służebnica teologii, a ta teologia ma pochodzenie — ściśle po ludzku rzecz biorąc i z tej strony na nią patrząc — pozaeuropejskie. W epoce Odrodzenia Europa z dziecka przemienia się w młodzieńca, który poza dotychczasową nauką ogląda się za innymi źródłami. Zaczyna sam czytać nowe księgi i nad nimi się zastanawia. Zaczyna myśleć. Przyczem niejednokrotnie mu się zdaje, że jego myśli są własne, oryginalne, że sam stworzył coś nowego. Złudzenie! Dopiero z czasem, gdy przetrwał należycie zebrane dotąd zasoby wiedzy, gdy umysł wygimnastykował do tego stopnia, że ze starych pierwiastków potrafi złożyć rzecz nową, dopiero wtedy jest samodzielny, dopiero wtedy dojrzały. Otóż Europa renesansowa, to jeszcze ów młodzieniec. Myśleć zaczyna, ale jeszcze nic nowego nie stwarza.

Dopiero z czasem, gdy minęło pierwsze upojenie czarem klasycznym, gdy bezpośredni wpływ świata starożytnego już właściwie ustał, dopiero wtedy z zawichrzenia, wywołanego połączeniem się (nie walką!) pierwiastku starożytnego ze średniowiecznym, wyłania się Europa zmężniała, dojrzała, dostatecznie przygotowana, i zaczyna myśleć samodzielnie i pracować nad stworzeniem nowego świata myśli.

Koniec wieku szesnastego i wiek siedemnasty to epoka, w której rodzi się nowożytna filozofia, z nią nowożytny pogląd na świat, z nim nowożytny świat. W tej epoce Europa zaczyna o własnych siłach nachylać się nad głębiami nieskończoności.

Oto kilka imion: Bakon, Hume, Hobbes, Kartezjusz, Spinoza, Leibnitz. Jakże te imiona wymowne! jak brzemiennie w znaczenie i doniosłość! jak łatwo w echu tych kilku słów odróżnić imię Newtona i Pascala, Kanta i Hegla, jak słychać za nimi Goethego, jak łatwo dostrzec w nich zawiązków całej nauki europejskiej, wszystkich zdobyczy duchowych i materialnych europejskiej kultury!

Czy między temi imionami znajdujemy imię polskie? Gdzie jest Polska w tym spisie ludzi, „co przetrwali długą kolej pierzchłych wieków“, których „w próchnie ziemi, w dziejów pyle, rozjaśnione twarze świecą“, którzy „na świeczniku z trupich kości, niezgryzieni pleśnią rdzawą, stoją żywcem wśród ciemności, nad przebrzmiałą życia wrzawą, i płomieniem swym jaskrawo oświecają twarz ludzkości“, z których „każdy w swego wieku łonie całą jego myśl zawiera“? Gdzie jest Polak, z rodu tych nieśmiertelnych?

W wiekach średnich mieliśmy teologów, nie gorszych od europejskich. Wiek XVI wydał u nas Kopernika, i wielu nie tak wielkich, a bądź co bądź godnych uwagi. Wiek siedemnasty nie wydaje już nic, nie wydaje choćby Modrzewskiego lub Petrycego.

I tu zaczyna się nasza niedola.

Naród, który nie wytworzył własnej filozofii, musiał pozostać w niemowlęctwie umysłowym, musiał być zepchniętym na plan dalszy. Wszakże na ten dalszy plan musiała ustąpić Hiszpania, na dalszy plan ustąpiły nawet Włochy, pomimo Dantego i Michała Anioła! Cóż dopiero Polska! Tu jest klucz do rozwiązania owego dręczącego pytania, dlaczego w wieku XVII takeśmy się cofnęli. Po prostu nie stanęliśmy na tym samym poziomie umysłowym, co Anglicy, Francuzi, Niemcy, nie byliśmy im równorzędni. Podczas gdy tamte narody stały się naprawdę dojrzałymi i wykształconymi, my zatrzymaliśmy się na krawędzi, dzielącej młodzieńca od męża. Szujski bystrze zauważył i określił młodszość naszego rozwoju cywilizacyjnego; dodajmy że oprócz młodszości, obok niej czy skutkiem niej jest i niższość, nierównorzędność. I tak zostało po dziś dzień. Nie łudźmy się, a zwłaszcza nie łudźmy się świadomie i dobrowolnie. Lepiej i korzystniej prawdzie spojrzeć w oczy, niż udawać, że się jej nie widzi. Przecież my żyjemy ciągle cudzymi zasobami umysłowymi; przecież my w dziedzinie myśli nie mamy nic, co byśmy mogli postawić na równi z produktami myśli europejskiej; przecież my nie przyczyniliśmy się niczem do rozwoju świata nowożytnego. Tu nic nie pomoże słuszna zresztą uwaga, żeśmy tej cywilizacji zachodniej bronili od wschodu i że się ona za naszymi plecami mogła rozwijać. Nie przyczyniliśmy się do jej rozwoju jako czynnik duchowy, innym współrzędnym. Więc możemy ubolewać, gdy Francuz lub Niemiec nie uważa nas za równych sobie, ale nie możemy się dziwić, nie możemy mu nie przyznać racji.

Powyższem przedstawieniem rzeczy, jak ona się miała od wieku XVII po dziś dzień, nie przesądzam wcale tego, jak być powinno i jak będzie później; nie myślę wcale być pedagogiem i wyciągać z faktów historycznych nauki moralnej. Chcę tylko podkreślić fakt:

że ludy zachodnio-europejskie z końcem XVI i w XVII wieku wytwarzają własną oryginalną filozofię;



że ta filozofia jest dowodem i owocem ich wyrobienia,  
ich dojrzałości umysłowej;

że w filozofii tej zamyka się *in potentia* cały rozwój  
nowożytnej myśli, ducha, cywilizacji;

że Polska ówczesna filozofii własnej nie wytworzyła;

że ten brak własnej filozofii jest dowodem braku po-  
stępu w rozwoju umysłowym;

że w związku z tem jest cofnięcie się w rozwoju cy-  
wilizacyjnym;

że Polska do wytworzenia świata nowożytnego niczem  
się nie przyczyniła.

Początek tego smutnego zjawiska przypada na wiek  
siedemnasty, i tutaj zaczyna się tragedia umysłowości pol-  
skiej, tragedia, której widzami i bohaterami jesteśmy jeszcze  
po dziś dzień.

Niewesoły to wynik naszych rozmyślań. Ale nie pesy-  
mistyczny. *In deiner Brust sind deines Schicksals Sterne*, od  
nas zależy, aby w przyszłości rzeczy szły innym torem. Pra-  
wda, że droga ciężka, zadanie niełatwe, ale nie brak pocie-  
szających objawów, budzących otuchę. Po za tem: przyszłość  
w ręku Boga.

Po tem przedstawieniu rzeczy należałoby jeszcze odpo-  
wiedzieć na pytanie, nasuwające się koniecznie: czem to  
wszystko wytłumaczyć? jak się to stało, że do tego przyszło?  
Zjawisko bardzo złożone, wyjaśnienie powinno być również  
takie. Złożyły się tu czynniki zewnętrzne i wewnętrzne. Na  
jeden zwróćmy uwagę.

Przypomnijmy sobie zastosowane poprzednio porówna-  
nie rozwoju umysłowego Europy chrześcijańskiej z rozwojem  
pojedynczego człowieka. Długich lat i pracy potrzeba, aby  
z dziecka i młodzieńca w znaczeniu duchowym wyrósł mąż  
dojrzały. W chwili zaś, kiedy młodzieniec przekształca się  
w męża i ma zacząć żyć życiem samodzielnem, potrzeba ko-  
niecznie, aby umysł jego był dostatecznie i prawdziwie przy-  
gotowany, aby wykształcenie było głębokie, nie powierzchow-

wne. W przeciwnym razie powstanie człowiek z umysłem niedokształconym, płytkim; tem gorzej zaś, gdy się mu zdaje, że umysł jego jest tak samo rozwinięty, jak i drugiego, wykształconego naprawdę.

Przenieśmy teraz ten schemat do stosunków Europy i Polski w wieku XVII, a zobaczymy, jak tam dziwnie dobrze przystaje.

Lata studyów pod okiem nauczyciela trwały dla Europy zachodniej o kilka jeżeli nie kilkanaście wieków dłużej, aniżeli dla Polski. Włosi już w chwili wystąpienia na arenie dziejów są chrześcijanami, są już w szkole, już się uczą. Reszta ludów romańskich, nawet ludy germańskie nie o wiele później do tej szkoły się dostają. W epoce Karola Wielkiego praca cywilizacyjna jest już rozwinięta wszczegółowo i w głąb i odbywa się dalej bez najmniejszej przerwy. A u nas? W wieku dziesiątym przyjmujemy chrześcijaństwo, o kilka set lat później od sąsiadów. Ale powszechna, głębsza praca cywilizacyjna nie mogła się jeszcze rozpocząć. Jeszcze młode państwo i młody naród musi zwalczyć reakcję pogaństwa w swoim łonie, musi walczyć nieustannie o swój byt na wszystkich frontach. Praca cywilizacyjna rozpoczyna się właściwie dopiero w połowie wieku XIII. Więc wieki średnie trwają u nas mniej więcej dwieście lat. Dwieście lat pracy w owych czasach i warunkach to stanowczo za mało. Przygotowanie, wyrobienie umysłu, musiało być za słabe.

Na ten stan duchów padło Odrodzenie. I wydało zrazu kwiaty świetne, ale były one bez podstaw. Stąd orka dusz, jaką Odrodzenie w Europie wykonało, u nas była za płytka. Odrodzenie przyszło do nas za wcześnie. Więc rezultatem jego nie było to głębokie przetworzenie, przeobrażenie umysłów, które się stało na Zachodzie, umysł polski nie wyrósł, nie zmeźniał, nie zmocniał tak, aby odtąd mógł żyć życiem własnym, myśleć własną myślą. Polska skazana została na przykucie do rydwanu myśli cudzej. Polak stał się niedokształconym, powierzchownym, nie nauczył się myśleć. Za-

czem zamiast myślą, rozumem, począł się kierować uczuciem, porywem, fantazją, kaprysem, nie wytworzył nauki, nie wytworzył sztuki, nie umiał orłem okiem spojrzeć na wypadki dziejowe i pokierować nimi.

Zaczem — poczęła się rozwijać ku perypetyi tragedia dziejów polskich.

\* \* \*

Na takie tło rzućmy literaturę siedemnastego wieku i na takim tle jej się przypatrzmy.

Literatura jest jedną z form, w których duch ludzki objawia się na zewnątrz. Określenie to nie jest wcale definicyą; nie tłumaczy właściwie, czem literatura jest, powiada tylko, jaką ona spełnia funkcję. Powiedzmy więc ściślej: w literaturze odbija się stan duchowy narodu. Oczywiście nie wyłącznie i nie zupełnie. Takich form objawienia się ducha ludzkiego jest więcej: jest nią na przykład nauka, jest sztuka plastyczna, jest muzyka. Literatura wszakże jest jedną z najważniejszych, jest jedną z tych, w których dusza ludzka wypowiada się najlepiej, najwszechstronniej, najpiękniej. A że dusza mieszka w ciele, więc w literaturze odbije się i „ciało“, odbiją się ramy, wypadki zewnętrzne, na tle których odgrywa się akcja duszy.

Jeżeli zaś tak jest, to w literaturze polskiej siedemnastego wieku znajdziemy objawy i świadectwo obniżenia i skąłowacenia poziomu umysłowego, któreśmy wskazali jako cechę ówczesnej umysłowości polskiej; w literaturze polskiej siedemnastego wieku znajdziemy analogie do ówczesnych wydarzeń dziejowych; w literaturze polskiej siedemnastego wieku znajdziemy refleksy odgrywającej się współcześnie tragedii umysłowości i tragedii historii polskiej, do których przyłączy się — w zakresie faktów ściśle i wyłącznie literackich — tragedia samejże literatury.

To wszystko powinniśmy w literaturze polskiej siedemnastego wieku znaleźć.

Szukajmy.

\* \* \*

Od geniusza - myśliciela aż do człowieka zwykłego jest cała skala, cały szereg stopni umysłowych. Są ludzie w ogólności bardzo „przeciętni“, ani głupi, ani mądrzy. Tych spotykamy w różnych epokach literatury liczny poczet; zwłaszcza że nieraz z brakiem jakiegokolwiek pogłębienia umysłowego łączy się u nich techniczna łatwość pisania.

Są dalej ludzie, którzy są z pewnością rozumni, ale tym rozumem bardzo powszednim, bardzo codziennym; czasem jest to ów chwalony zdrowy, chłopski rozum, przed którym — przyznam się szczerze — nie mam zbyt wielkiego respektu. Otóż takich ludzi rozumnych rozumem codziennym, nie wznoszących się w tym względzie niczem ponad masę współczesnych, nie mających własnych myśli nic, żyjących życiem cudzym i myślących myślą cudzą — takich jest we wszystkich literaturach najwięcej.

Dalej idą ludzie z rozumem na ogół biorąc większym, głębszym, wszechstronniejszym, aniżeli go może mieć tłum zwyczajny; umieją oni dostrzec rzeczy, których masy nie widzą; umieją śledzić głębiej przyczyny i skutki zdarzeń, aniżeli ogół; umieją już myśleć myślami własnymi. Ale myśli te jeszcze się nie wzbijają wysoko ponad świat i życie. To jest udziałem dopiero grupy ostatniej, tej, której jedynie i wyłącznie przysługuje prawo do najszczytniejszej nazwy myślicieli. Ci dopiero nachylają się nad głębią świata i duszy, ci dopiero zapuszczają wzrok w otchłanie nieskończoności. Tych jest najmniej w życiu i w literaturze. Więc nawet stosunkowo mało nadają tonu i barwy literaturze. Szczęśliwa ta, która ich posiada; ale wypadkowe, końcowe wrażenie, jakie całość literatury zostawia w umyśle naszym, składa się raczej z wrażeń, jakich nam dostarczają owe dwie grupy

najliczniejsze: rozumnych rozumem masowym i rozumnych rozumem już więcej indywidualnym. Te o charakterze, o nastroju, o barwie literatury rozstrzygają. Masa i tu bierze górę nad jednostką, choćby najpotężniejszą. Ale w każdym razie istnienie geniuszów myślicieli w pewnym narodzie jest objawem i dowodem, że naród ten w masie swej wznosił się umysłowo na wysoki stopień, że umysłowo rozwinął się i pogłębił; szczyty mogą się wznosić tylko na podstawach.

Jakże pod tym względem przedstawiają się stosunki w literaturze polskiej siedemnastego wieku?

Z góry zaznaczmy, że w tej literaturze panują ale to nieomal wyłącznie ludzie owej grupy rozumnych rozumem codziennym, powszednim, masowym. Ci wyciskają na tej literaturze piętno niesłychanie silne, oni tworzą ją prawie całą. Natomiast grupa następna, więcej od masy rozumna, reprezentowana jest przez jednostki nadzwyczaj nieliczne; o najwyższych już ani mowy. Reprezentuje więc ta literatura poziom umysłowy nadzwyczaj średni, powiedzmy banalny.

Zaznaczmy w nawiasie, że nie dotykamy tu kwestii czysto literackich, zajmując się na razie jedynie sprawą myśli, rozumu, sprawą ogólnego poziomu umysłowego. To jeszcze całej literatury nie wyczerpuje, dlatego później mowa będzie i o innych sprawach. W każdym razie rzeczą główną jest skala rozumów, na której ta literatura jest rozpięta.

Wracając do przerwanej poprzedniej myśli, poprzyjmy ją przykładami, powszechnie zresztą znanymi.

Wiadomo, że najnowsze badania, przedewszystkiem prof. Brücknera, do dawnych znanych imion i dzieł literatury XVII wieku dodały wiele nowych imion i nowych dzieł, z tych ostatnich i wiele bezimiennych. Wartość tych nowych nabytków prof. Brückner stawia bardzo wysoko. Ale tu znowu należy mieć na oku jego punkt wyjścia; jako obrazy epoki są to rzeczy istotnie bardzo cenne, poza tem (z wyjątkiem dzieł Potockiego) nie pokazało się nic, coby poglądy na ogólną, estetyczną wartość tej literatury zmieniało. To też

z czystym, spokojnym sumieniem możemy brać autorów, już i przedtem znanych, za typowych reprezentantów literatury XVII wieku. Pogląd na Starowolskiego, Opalińskiego, Fredrę, Paskę, nie potrzebuje się zmieniać.

Dwóch tylko znamy pisarzy w tej epoce, którymby z pewnością zastrzeżeniami nadać można miano myślicieli. Są to Andrzej Maksymilian Fredro i Stanisław Herakliusz Lubomirski. W ich pismach spotykamy wskazówki dosyć częste, że ci ludzie naprawdę umieli się zastanawiać i myśleć, umieli wpatrywać się w świat ogólności, a w szczególności w duszę ludzką. Przysłowia mów potocznych, *Monita politico-moralia*, Rozmowy Artaxesa z Ewandrem i po części *De vanitate Consiliorum* świadczą, że ci pisarze niejednokrotnie mają myśli, jakich w całej ówczesnej Polsce znaleźć trudno, a myśli te są nieraz naprawdę głębokie i naprawdę filozoficzne. Obok tego, niestety, są oni nadzwyczaj ściśle złączeni całą swoją duchową istotą ze współczesnym im światem polskim, tak że ich głębokie myśli, świadectwa inteligencji większej i rozumu głębszego od współczesnych, pomieszaną są z rzeczami błahemi i słabemi, z pojęciami i uprzedzeniami, jakie żywił w tym czasie każdy „przeciętny“ szlachcic. Wrodzona inteligencja i wpływ myślicieli obcych (Bako, Montaigne) wywołały w nich myśli głębsze, wpływ otoczenia zdołał te myśli przygłuszyć banalnością powszechną, nie dozwolił im się rozwinąć i zrobić z Fredry i Lubomirskiego myślicieli prawdziwych, umysłów głębszych.

Znaczniejszą już będzie liczba tych ludzi, którzy myślicielami wprawdzie nie byli, ale rozumem potrafili wznieść się nad poziom masy; rozum ten objawia się zaś przede wszystkim w dziedzinie poglądów praktycznych, wchodzących wprost w życie. Takim jest na przykład Starowolski. Uczuciem wzniósł się nad wszystkich w Lamencie. Ale nie o uczucie nam tu chodzi, bo ono nie musi mieć podkładu rozumowego. Rozum Starowolskiego, praktyczny, znać w takiej Reformacji obyczajów polskich w uwa-

gach co do praktycznych zmian w urządzeniach polskich (stosunek pana do poddanego, obrona granic i t. p.). Z wpływów, które w tym względzie działały na Starowolskiego, warto podkreślić wpływ literatury polskiej politycznej XVI w. bardzo wyraźny, będący zresztą wpływem jego wszechstronnego wykształcenia. Wyższy nad współczesnych rozum praktyczny okazuje Krzysztof Opaliński w politycznej części Satyr. Nie tak wszechstronny, jak Starowolski, jest od niego w wielu punktach mądrzejszy i głębszy. Takim jest i Łukasz Opaliński, jeżeli to on jest istotnie autorem Rozmowy plebana z ziemianinem, pisma, które jest najgłębsze, najrozumniejsze w całej literaturze politycznej XVII wieku; tutaj znowu wpływ Macchiavellego jest niezaprzeczony. Takim wreszcie jest i Wacław Potocki, któremu praktyczne, mądre rady dyktowało spotęgowane uczucie przy mniejszem niż u poprzednich wykształceniu i obserwowaniu dokładne świata zewnętrznego.

Toby byli z najwybitniejszych autorów tej epoki chyba wszyscy z tych, którzy rozumem potrafili wznieść się choć trochę ponad tłum zwyczajny. Jak widzimy, liczba smutnie mała, upokarzająca. Wszyscy inni, chociażby byli poetami takimi jak Jan Jędrzej Morsztyn, lub prozaikami, jak Pasek, tej przeciętnej, banalnej miary nie przekraczają. Jakże więc ubogo umysłowość odbija się w tej literaturze, jakie smutne w niej znajduje świadectwo! Naród, który wydał taką literaturę, umysłowo rozwinięty nie był.

Tragedya umysłowości polskiej dotknęła i zabiła myśl w literaturze.

Ale ta tragedia wewnętrzna uwydatniła się na zewnątrz w dwóch kierunkach. Była rodzicielką tragedji dziejowej, to pierwsze; — po drugie zaś: zrodziła tragedję literatury w jej ściślejszym zakresie. Ta tragedia rozgrywa się już na tle obniżenia ogólnego poziomu umysłowego, jest jego wpływem i dowodem, ale równocześnie ma cechy sobie tylko właściwe. Te zaś wykazują uderzające podobieństwa i ana-

logie ze współczesnymi wypadkami dziejowymi. Oba te odbicia tragedyi pierwotnej są dwiema ilustracyami jednego faktu.

Podobnie jak historia XVII wieku, tak i jego literatura jest w porównaniu z epoką poprzednią w cofaniu się, w upadku. Żadne tłumaczenie, żadna obrona nie zmieniają faktów:

że ani Morsztyn, ani Twardowski, ani Potocki, ani Kochowski jako poeci nie mogą się równać z Kochanowskim, nawet powiedziałbym z Szymonowiczem — żadnego z nich utwory nie mogą się jako dzieła sztuki równać z poezją XVI wieku;

że Starowolski lub Birkowski nie wznoszą się na tak wysoki stopień natchnienia przy doskonałej równocześnie formie, co Skarga;

że żaden z historyków tej epoki wdziękiem nie dorównywa Kromerowi, żywością Orzechowskiemu, głębokością Heidensteinowi;

że literatura polityczna przestała być tak głęboko rozumną, a tak etycznie szlachetną, jak była nią u Modrzewskiego lub Skargi, chociaż ze wszystkich działów literatury ona stosunkowo najmniej uległa skażeniu.

Więc artystyczne opracowanie, wdzięk formy, potęga uczucia, głębokość rozumu, słowem to wszystko, co literaturę robi potężną i piękną, to wszystko nie jest w XVII wieku w napięciu tak znacznem, w skali tak wysokiej, jak w wieku XVI. Ta literatura nie odpowiada wymaganiom sztuki, nie sprawia rozkoszy czysto artystycznej czytającemu, nie unosi go, nie porywa potęgą czy uczucia, czy rozumu. Taka literatura zaś stanowczo nie może być nazwana dobrą, taka literatura jest w upadku. Nie dajmy się uwieść temu, że ona doskonale odbija ówczesnego ducha i życie narodu. Naprzód widzieliśmy, że w tej mierze przynajmniej w zakresie ducha — myśli — nie wiele nieboga ma do odbijania — odbija ludzi wcale powszednich, nie niepospolitych. A zresztą spojrzmy



na poezję w latach 1825—1850: ona doskonale, lepiej niż poezya XVII wieku, świadczy i pokazuje swoją epokę, ale to nie przeszkodziło jej być równocześnie piękną, doskonałą, artystycznie skończoną. Warunek piękna musi być w ocenianiu sztuki najpierwszym, najważniejszym.

Teraz nasuwa się pytanie drugie: czy ta literatura XVII wieku nie mogła być inną? czy nie mogła być głębszą i artystyczniejszą, wogóle doskonalszą i piękniejszą, aniżeli jest?

Pytanie na pozór jałowe i zbyteczne. Widocznie taką być nie mogła, skoro się taką nie stała, skoro taką nie jest. Tymczasem nie. Literatura polska wieku siedemnastego miała w sobie wiele pierwiastków, wiele danych, aby się stać literaturą piękną, rozwiniętą, aby w niejednym przewyższyć nawet literaturę epoki poprzedzającej. Zupełnie to samo, co w ówczesnej historii: obok cieni mamy jasne światła, które są dowodem, że możliwy był wtedy zwrot ku lepszemu, zamiast ku upadkowi, i są świadectwem zmagania się pierwiastków dobrych ze złymi.

Przykładem są niemal wszyscy wybitniejsi pisarze tej epoki. A obok nich przykładem jest niemal cała ówczesna literatura, cała jej masa; w najmniej ważnych przyczynkach do niej znajdziemy nieraz świadectwo na potwierdzenie powyższego sądu.

Przypatrzwszy się pisarzom wybitniejszym, spostrzegamy odrazu, że w każdym z nich jest jakby coś niezupełnego, niedokończonego. Oto w nich wszystkich są pierwiastki większe, potężniejsze od tego, co oni zrobili; we wszystkich był materiał na pisarzy daleko większych, aniżeli oni nimi byli.

Morsztyn na przykład. Jako pan i mistrz formy, jako pan różnych uczuć i ich form, jako artysta, z nich wszystkich jest najdoskonalszy. Ma on formę tak wyrobioną, tak giętką, tak posłuszną każdemu skinieniu, tak wytworną, że przewyższa w tym względzie nawet Kochanowskiego. Ale cóż, kiedy ta forma była zawsze taką, jaką mu od niechcienia

przychodziła; kiedy w tej formie nie mieściło się głębsze uczucie lub myśl głębsza; kiedy poeta-dyletant nie pracował ani nad swoim udoskonaleniem artystycznym ani nad swoim pogłębieniem umysłowym. W Morsztynie był materyał na poetę o całe niebo wyższego, aniżeli nim Morsztyn był. Jest to talent, który, gdyby był należycie wykształcony i pogłębiony, gdyby był poparty usilną pracą, mógł być stworzyć poetę co najmniej równego Kochanowskiemu.

Albo Kochowski. Talent i umysł miary średniej. Ale zmysł artystyczny silniejszy i czulszy, niż u przeważnej liczby współczesnych. Ale uczucie głębsze i delikatniejsze. Te naprowadziły go na tak piękny i oryginalny pomysł *Psalmodyi*. Pomysł, który gdyby był wykonany z większą potęgą, mógł autora postawić w rzędzie znakomitych poetów, a na poezję mógł wywrzeć wpływ jak najzbawienniejszy. Ale cóż z tego, kiedy Kochowski rozumem nie wznosi się wcale ponad przeciętny poziom, więc o własnych siłach wydoskonalić się nie mógł, tem bardziej, że nad tem doskonaleniem się — jak wszyscy inni — nie pracował.

A Pasek? Przecież opowiadanie Paska w niektórych ustępach jest wprost niestychane, jest wprost arcydziełem. Takiej żywości, takiego ruchu, takiej plastyki, takiej dramatyczności, jak czasem u Paska, nie spotkamy w całej starszej literaturze polskiej. Aż przykro czytać *Pamiętniki*, gdy się widzi, jak te brylanty zmarnowały się w otoczeniu podłych kamieni. U Paska nie można mówić ani o wykształceniu wogóle, a nie już o kształceniu się samoistnem. Tego drugiego brak wszystkim, ale taki Morsztyn, Kochowski, Potocki mieli pierwsze choć jakie takie. Pasek jest tem bardziej godny pożałowania, że widać dobrze, jaka to była natura bogata, uposażona hojnie, do wszystkiego ciekawa.

Potocki z nich wszystkich najwięcej pracował nad sobą i nad swemi poezjami, i on też może jedyny w XVII wieku przedstawia obraz poety postępującego i doskonalącego się: jego utwory późniejsze są znacznie lepsze od wcześniejszych.

Myśl jego z pewnością poważniejsza, niż u Morsztyna, energia większa, niż u Kochowskiego, uczucie głębsze, niż u bardzo wielu innych. I w nim był materiał na poetę, jeżeli nie pierwszorzędnego, to w każdym razie znacznego, ale i na nim zaciążyła klątwa ówczesnej umysłowości polskiej, i on skrzydeł rozwinąć nie mógł stosownie do ich rozpiętości.

Starowolski? Jeden z najszlachetniejszych i najczcigodniejszych ludzi swego czasu; uczuciem jeden z najgłębszych; wykształcony z nich wszystkich najbardziej. Ale ten polihistor, znający się na wszystkim i o wszystkim piszący, nie był wcale umysłem bardzo głębokim, przedewszystkiem nie był zgoła oryginalnym. W każdym razie i on miał wiele danych, aby być lepszym pisarzem, aniżeli nim był.

Jeżeli odwrócimy wzrok od pisarzy wybitniejszych, a skierujemy go na całość ówczesnej literatury, spostrzeżemy zjawisko to samo, spostrzeżemy tem bardziej uderzającą analogię z historią.

Ówczesna literatura polska ma jakieś szersze dążenia, wyższe porywy, jakieś plany i szczątki kompozycyj na wielką skalę, słyhać w niej jakiś szum skrzydeł i echa orlich polotów. U wstępu do niej staje przekład Jerozolimy wyzwolonej — więc już widocznem jest dążenie do wprowadzenia nowych wzorów i nowych form do poezji, dążenie do rycerskiej epopei na wielką skalę. Narodowi widać nie wystarczają już sielanki i fraszki, choćby najpiękniej pisane. Duch narodu rycerski i bohaterski potrzebuje tonu głębszego i silniejszego, potrzebuje horyzontów szerszych. I oto powstają bohaterskie poematy Twardowskiego, Kochowskiego, Potockiego, a szczęśliwym wiedzione instynktem, za treść biorą bohaterskie zdarzenia z dziejów współczesnych i z dziejów własnego narodu. Oto na wzór tych trzech najlepszych powstaje wielu pisarzy, miernych jako pisarzy, ale podobnym ożywionych duchem. Oto na wzór poematów świeckich powstają pod piórem pobożnego zakonnika messyady. Litera-

tura pragnie wyjść z małych myśli i małych form, pragnie szerszej przestrzeni rozleglejszych horyzontów, uderza w ton heroiczny.

Ten sam ton w zasadzie, ale znacznie niższy, objawi się jako zamaszystość, jako tężyzna, zdrowie, ruch, życie. Objawy właściwe ówczesnemu społeczeństwu, i odbijające się w ówczesnej literaturze. Nie każdy z poetów potrafił nastroić alcejski bardon, ale niemal wszyscy płoną animuszem i tęgością. W tem jest ta literatura daleko wyższą od epoki poprzedniej. I ten pierwiastek gdyby się był naleźycie wydoskonalił i gdyby był przeszedł przez autokrytykę artystyczną, inteligentną, mógł się być stać wielką ozdobą literatury, mógł być dać jej odrębny ton, odrębną barwę. Gdyby przy zachowaniu tej właściwości literatura polska XVII wieku stanęła na artystycznym poziomie ówczesnej literatury francuskiej, mielibyśmy literaturę doskonałą, piękną, a przytem nadzwyczajnie oryginalną i nadzwyczajnie narodową.

Jest więc w naszym piśmiennictwie XVII wieku pierwiastek heroiczny, wnoszący do niego wysoki ton, i pierwiastek zamaszystości, wnoszący oryginalność i rodzimość. Te dwa pierwiastki mogły przecież literaturę zrobić prawdziwie piękną, prawdziwie wielką, i już nietylko na obszarze polskim, ale mogły z niej zrobić literaturę europejskiego znaczenia. Że się stało inaczej, to nie dowodzi wcale, aby się tak stać nie mogło. Więc widzimy, że postawione poprzednio pytanie, czy literatura ta mogła być inną, nie jest tak zbyt bezczelne i jałowe, jakby się w pierwszej chwili wydawać mogło. Widzimy, że słusznym jest nazwanie tego okresu tragicznym wiekiem literatury polskiej.

Fakt upadku, obniżenia się piśmiennictwa XVII wieku w porównaniu z wiekiem poprzednim, spostrzeżono i pokazano już dawno. Najnowsze odkrycia mogły zmienić wiele szczegółów, ukazały wiele rzeczy cennych i dobrych, tego zasadniczego faktu zmienić, niestety, nie zdołały. Ale umożliwiły właśnie pokazanie tego pasowania się rzeczy dobrych

ze złemi, pierwiastków dodatnich, prących ku rozwojowi, z ujemnymi, powstrzymującymi rozwój.

Tłumaczenia tego upadku są liczne. Jak samo zjawisko jest złożone, tak trudno wyprowadzać je z jednej przyczyny. Przytaczano więc np. dyletantyzm tej epoki, powoływano się na zerwanie z literaturami zachodnimi. Co do tego ostatniego punktu, to pokazuje się, że było wprost przeciwnie, że utrzymywano związek żywy z literaturą włoską, że znano i czytano autorów francuskich. Dyletantyzm sam przez się również wszystkiego nie objaśni. Przyczyny są różne, złożone. Ale przecież wszystkie tkwią w tym zasadniczym, głównym powodzie, obniżeniu się poziomu umysłowego. Tu leży w zarodku brak głębszego artystycznego wykształcenia, tu niewyzyskanie, nieopracowanie skarbów, jakie ta literatura miała w swem łonie, tu brak samodzielności i oryginalności duchowej a nierozwinięcie należyte oryginalności zewnętrznej. Literatura jest taką, jakim jest duch narodu. Gdzie ten duch nie potrafił przebić się przez przeszkody fizyczne, gdzie nie stał się głębokim, tam i literatura wielką stać się nie mogła. Duchowy rozwój Polski w tej epoce się zatrzymał, a raczej cofnął: literatura poszła za nim, pomimo tylu danych, aby mogła pójść naprzód.

I dlatego to wiek XVII w historii literatury polskiej jest może ze wszystkich najboleśniejszy.

28.11.1907 JH





## SPIS RZECZY.

---

	Str.
Polska poezja średniowieczna, (Przegląd Powszechny, r. 1900)	5
Najdawniejsze kołędy polskie, (Przegląd Pow., r. 1903, t. IV, 1904, t. I) . . . . .	51
Rej, (Pamiętnik literacki, r. 1905) . . . . .	87
Humor i dowcip w Polsce XVI wieku, (Lud, r. 1905) . . . . .	109
Przyroda w literaturze polskiej XVI wieku, (Pamiętnik literacki, r. 1906) . . . . .	147
Krzysztof Opaliński jako statysta, (Biblioteka Warszawska, r. 1898) . . . . .	215
Program reformy Rzeczypospolitej w XVII wieku, (Ateneum, r. 1897) . . . . .	253
Tragiczny wiek literatury polskiej, (Pamiętkowa księga. 1866 do 1906. Prace byłych uczniów Stanisława hr. Tarnowskiego ku uczczeniu XXXV-lecia jego nauczycielskiej pracy. Tom I. Kraków, 1904) . . . . .	277



















PG 7015 .D6 C.1  
Z dziejow literatury polskiej  
Stanford University Libraries



3 6105 036 597 115

PG  
7015  
.D6

I. L. L.

DATE DUE

SEP 8 1989

S. U. L.

Stanford University Libraries  
Stanford, Ca.  
94305





PG 7015 .D6 C.1  
Z dziejow literatury polskiej  
Stanford University Libraries



3 6105 036 597 115

PG  
7015  
.D6

**I. L. L.**

DATE DUE			
SEP	8	1989	
<b>S. U. L.</b>			

Stanford University Libraries  
Stanford, Ca.  
94305

